

I część trylogii

Libba Bray

Mroczny

SEKRET

Przełożyła Magda Białoń-Chalecka

Wydawnictwo Dolnośląskie

LIBBA BRAY

Mroczny sekret

Dzień czy noc magii tka materię. Radość i kolor snuje wiernie. Klątwa jej każe trwać tam biernie Serce przebija, szepczą, cierniem. Gdy spojrzysz choć na Camelot. Nie wie. w czym klątwy tkwi zła treść, Więc nieć swą równo może pleść I życie bez trosk może wieść Pani z Shalott.

Tam rzeka snuje się wirami. Kmieć chodzi obok pól brudami. Wieśniaczek płaszcze z kapturami Czerwienią wzgórze Camelot.

Przez cały rok w jej lustrze, na dnie. Co świat odbija, wszystko snadnie Cieniami się na taflę kładnie.

Czasami wzrok na trakt ten padnie. Co wiezie aż do Camelot.

Lecz swym arrasem wciąż się cieszy. Wplatać magiczne sceny spieszy. Bo w noc samotną nieraz słyszy:

Z ognia, w żałobie idą piersi Z muzyką hen. do Camelot.

Gdy księżyc świeci! nocą błogą, Kochanków para szła tą drogą, „Tych cieni oczy znieść nie mogą”, Westchnęła Pani z Shalott.

Patrzy wzdłuż brzegów rzeki Pani, Wzrok jej świat barwi nieszczęściami Jak jasnowidza spojrzeniami.

Tak, z zasnutymi mgłą oczami, Patrzyła w stronę Cameloti

A gdy się wreszcie kończył dzień, Zepchnęła łódź i legia węń. Szeroki strumień poniósł hen Panią z Shalott.

lord Alfred Tennyson Pani z Shalott, przekł. Piotr W. Cholewa

('

ROZDZIAŁ. PIERWSZY

21 czerwca 1895 Bombaj, Indie

Proszę, tylko nie mów, że to ma być składnik mojej dzisiejszej kolacji urodzinowej!

Patrzę prosto w pysk syczącej kobry. Zaskakująco różowy język wysuwa się z okrutnej paszczy, podczas gdy Hindus o błękitnych oczach ślepego pochyla się ku mojej mamie, zapewniając, że kobry są bardzo smaczne.

Mama głaszcze węża po grzbiecie palcem obciążonym białą rękawiczką.

- Co ty na to, Gemmo? Skoro masz już szesnaście lat, to może zjesz kobrę na kolację?

Oślizgłe stworzenie budzi we mnie dreszcz obrzydzenia.

- Raczej nie, dziękuję.

Stary, niewidomy Hindus ukazuje bezzębny uśmiech i podsuwa mi kobrę pod nos. Cofam się gwałtownie i wpadam na drewniany stojak pełen małych statuetek hinduskich bóstw, jeden z posążków kobieta z potwornie wykrzywioną twarzą, a poza tym złożona niemal wyłącznie z ramion, spada na ziemię. Kali, niszczycielka. Niedawno mama zasugerowała, że powinnam ją uznać za swoją nieoficjalną świętą patronkę. Ostatnio nie najlepiej się między nami układa. Mama twierdzi, że to dlatego, iż weszłam w trudny wiek. naciskiem mówię każdemu, kto słucha, że to dlatego, iż ona nie chce mnie wysiać do Londynu.

- Słyszałam, że w Londynie nie trzeba swoim posiłkom usuwać

zębów jadowych - mówię. Zostawiamy mężczyznę z kobrą i wchodzimy w ludzką ciżbę, kłębiącą się na bombajskim targowisku. Mama nie odzywając się, machnięciem dłoni odprawia kataryniarza i jego małpkę. Panuje nieznośny upał. Pod bawełnianą suknią z krynoliną spływają ze mnie strużki potu. Muchy

- najgorliwsze wielbicielki - śmigają wokół mojej twarzy. Próbuje pacnąć jedną z tych małych skrzydlatych bestii, ale ucieka, mogłabym przysiąc, śmiejąc się ze mnie szyderczo. Moje cierpienie sięga rozmiarów kataklizmu.

Gęste i ciemne chmury nad naszymi głowami niosą przypomnienie, że to pora monsunowa, podczas

której dzika ulewa może się rozpętać dosłownie w ciągu kilku minut. Tymczasem na zakurzonej bazarze mężczyźni w turbanach zaczepiają nas, krzyczą i targują się, brązowymi, spieczonymi przez słońce rękoma unosząc ku nam jaskrawe jedwabie. Wokół widać wózki zastawione kosztami pełnymi wszelkiego rodzaju dóbr jadalnych i niejadalnych - delikatne miedziane wazy, drewniane puzderka rzeźbione w skomplikowane kwiatowe ornamenty i dojrzewające w upale owoce mango.

Jak daleko jeszcze do nowego domu pani Talbot? Czy nie mogłybyśmy wziąć powozu? - pytam, starając się, by w moim głosie wyraźnie brzmiało rozdrażnienie.

To miły dzień na przechadzkę. I będę ci wdzięczna za uprzejmiejszy ton.

Moje rozdrażnienie zostało zauważone.

Sarita, nasza cierpliwa gospodyni, ujmuje w pomarszczone dłonie owoc granatu.

- Memsahib, te są bardzo ładne. Może je weźmiemy dla ojca panienki?

Gdybym była dobrą córką, zaniósłabym granaty ojcu i patrzyła, jak jego niebieskie oczy błyszczą, gdy rozcina soczysty czerwony owoc i srebrną łyżeczką wyjada małe nasionka, jak przystało na brytyjskiego dżentelmena.

- Poplami sobie biały garnitur - mamrocze. Mama chce coś powiedzieć, ale rezygnuje i wzdycha, jak zwykle. Kiedyś wszędzie chodziliśmy razem - zwiedzać starożytne świątynie, poznawać miejscowe zwyczaje, oglądać hinduskie festiwale, późno w nocy podziwiać ulice rozkwitające światłami świec. Teraz rzadko kiedy zabiera mnie nawet na spotkania towarzyskie, jakbym była trędowatą bez własnej kolonii.

Na pewno poplami sobie biały garnitur. Zawsze to robi - mrużąc obronnym tonem, choć nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, poza kataryniarzem i jego małpką. Idą za mną krok w krok, mając nadzieję, że rozbawią mnie za pieniądze. Wysoki koronkowy kołnier mojej sukni przesiąknięty jest potem. Tęsknię za chłodną, soczystą zielenią Anglii, o której miałam okazję jedynie czytać w listach od babki. W listach pełnych ploteczek na temat podwieczorków tanecznych i balów oraz tego, kto kogo zgorszył po drugiej stronie kuli ziemskiej, podczas gdy ja tkwię w nudnych, zakurzonych Indiach, patrząc, jak małpka kataryniarza wykonuje sztuczkę z żonglowaniem daktylami, tę samą od roku.

Spójrz na małpkę, memsahib. Jaka jest urocza! - zachwyca się Sarita, jakbym nadal miała trzy latka i trzymała się spódnicy jej sari. Wydaje się, że do nikogo nie dociera, iż kończę już szesnaście lat i chcę, nie, muszę pojechać do Londynu, gdzie będę zwiedzała muzea, chodziła na przyjęcia i poznawała mężczyzn mających więcej lat niż sześć, a mniej niż sześćdziesiąt.

Sarita, ta małpka to cwany złodziejasek, który za chwilę wyciągnie od ciebie całą pensję - odpowiadam z westchnieniem. Jak by na dany znak futrzasty urwis wdrapuje się po mnie i siada mi na ramieniu z wyciągniętą łapką. - Chcesz skończyć jako urodzinowy gulasz? - pytam przez zaciśnięte zęby. Małpka syczy. Mama krzywi się, wstrząśnięta moimi fatalnymi manierami, i rzuca właścicielowi zwierzaka monetę do czapki. Małpka triumfalnie się uśmiecha i na zakończenie wskakuje mi jeszcze na głowę.

Kolejny sprzedawca pokazuje rzeźbioną maskę z wyszczerzonymi zębami i słoniowymi uszami. Mama bez wahania wkłada ją na twarz.

- Znajdź mnie, jeśli potrafisz - mówi.

To taka gra, w którą bawiła się ze mną, od kiedy nauczyłam się chodzić - taka zabawa w chowanego, która miała mnie rozśmieszyć. Dziecinna zabawa.

- Widzę jedynie swoją matkę - odpowiadam ze znużeniem. -

Te same zęby, te same uszy.

Matka oddaje maskę sprzedawcy. Ugodziłam w jej próżność, trafiłam w czuły punkt.

- A ja widzę, że szesnaście lat niezbyt służy mojej córce - za uważa.

-Owszem, mam szesnaście lat. Szesnaście. W tym wieku większość przyzwoitych dziewcząt wysyła się do szkół w Londynie. - Kładę szczególny nacisk na słowo „przyzwoitych”, w nadziei, że zaapeluję do jakiegoś matczynego poczucia winy i odpowiedzialności.

Chyba są trochę zbyt zielone. - Mama ze skupieniem wpatruje się w mango. Inspekcja owoców pochłania ją całkowicie.

Nikt nie próbował trzymać Toma uwięzionego w Bombaju - odzywam się, używając imienia mojego brata jako ostatecznego argumentu. - Spędził w Londynie całe cztery lata! A teraz zaczyna studia na uniwersytecie.

Z mężczyznami jest inaczej.

-To niesprawiedliwe. Nigdy nie będę miała swojego sezonu. Skończę jako stara panna z setkami kotów pijących mleko z porcelanowych miseczek. - Skomlę. To bardzo nieatrakcyjne, ale stwierdzam, że nie potrafię przestać.

Rozumiem - mówi w końcu matka. - Masz ochotę być pokazywana na balach londyńskiego towarzystwa jak jakaś rasowa klacz, której zdolności rozrodcze należy oszacować? Czy nadal będziesz uważała, że Londyn jest taki uroczy, gdy staniesz się obiektem okrutnych plotek za najłżejsze naruszenie zasad? Londyn wcale nie jest taki sielankowy, jak to przedstawia twoja babcia.

Nie wiem tego. Nigdy tam nie byłam.

-Gemmo... - głos mamy przybiera ostrzegawczy ton, choć ona nadal uśmiecha się na użytek Hindusów. Nie wolno im pokazać, że my, brytyjskie damy, możemy być tak małostkowe, by wdawać się w spory na ulicy. My rozmawiamy tylko o pogodzie, a jeśli pogoda jest kiepska, udajemy, że jej nie zauważamy. Sarita chichocze nerwowo.

Jak to możliwe, że memsahib jest już młodą damą? Wydaje się, że jeszcze wczoraj była niemowlęciem. Och, popatrz, panienko, daktyle! Twoje ulubione. - Szczerbaty uśmiech ożywia każdą zmarszczkę głęboko wrytą na jej twarzy. Jest bardzo gorąco i nagle mam ochotę krzyknąć, a potem uciec od wszystkiego i wszystkich, których kiedykolwiek znałam.

Zapewne gniją od środka, tak jak Indie.

Gemmo, dosyć tego. - Mama przeszywa mnie spojrzeniem przejrzystych zielonych oczu. Przenikliwie i mądre, jak mówią ludzie. Ja mam takie same duże, wyraziste zielone oczy. Hindusi twierdzą, że są dziwne i niepokojące. Jakby obserwował ich duch. Sarita uśmiecha się, wlepiając wzrok w stopy i nerwowo poprawiając sari. Czuję ukłucie winy, że tak brzydko wyraziłam się o jej kraju. O naszym kraju, choć ja ostatnio nigdzie nie czuję się u siebie.

Memsahib wcale nie chce pojechać do Londynu. Tam jest zimno, szaro i nie ma chleba. Nie podobałoby się tam panience.

Do dworca położonego nad Iśniącą zatoką z gwizdem podjeżdża pociąg. Bombaj. Nazwa oznacza dobrą zatokę, choć mnie te raz nie przychodzi do głowy nic dobrego na jej temat. Ciemna smuga dymu z lokomotywy unosi się w górę, dotykając ciężkich chmur. Mama przygląda się jej.

- Tak, zimno i szaro. - Przykłada dłoń do szyi i dotyka palca mi małego srebrnego medalionu z wszechwidzącym okiem nad sierpem księżycy. Podarunek od jakiejś wieśniaczki, jak mówi. Talizman na szczęście. Nigdy nie widziałam, by go zdejmowała.

Sarita kładzie dłoń na ramieniu matki.

- Czas iść, memsahib.

Matka odrywa wzrok od pociągu i opuszcza rękę.

- Tak. Chodźmy. Młodo spędzimy czas u pani Talbot. Na pewno przygotowała pyszne ciasteczka z okazji twoich urodzin...

Nagle od tyłu wpada na nią człowiek w białym turbanie i grubym czarnym płaszczu podróżnym, mocno ją popychając.

Tysiącrotnie przepraszam, szanowna pani. - Uśmiecha się i kłania nisko, aby zatuszować swoje niegrzeczne zachowanie. Gdy to robi, za jego plecami dostrzegam młodego mężczyznę w takim samym dziwnym płaszczu. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Nie jest wiele starszy ode mnie, ma może siedemnaście lat, brązową skórę, pełne usta i najdłuższe rzęsy, jakie w życiu widziałam. Wiem, że Hindusi nie powinni wydawać mi się atrakcyjni, ale nie widuję wielu młodych mężczyzn i czuję, że wbrew sobie oblewam się rumieńcem. Chłopak odrywa ode mnie spojrzenie i wyciąga szyję, żeby coś dojrzeć ponad głowami tłumu.

Powinieneś bardziej uważać! - warczy Sarita na starszego mężczyznę, grożąc mu palcem. - Lepiej, żebyś nie okazał się złodziejem, bo nie ominie cię kara.

Nie, nie, memsahib, jestem tylko strasznie niezdarzy. - Nagle przestała się uśmiechać i udawać prostaka. Szepcze do mojej mamy z idealnym angielskim akcentem.

Kirke się zbliża.

Dla mnie nie ma to żadnego sensu, brzmi jak paplanina sprytnego złodzieja pragnącego odwrócić uwagę ofiary. Już chcę ostrzec mamę, gdy zamieram na widok wyrazu paniki na jej twarzy. Z dzikim wzrokiem okręca się wokół, omiatając spojrzeniem zatłoczone ulice, jakby szukała zgubionego dziecka.

- Co się dzieje? O co chodzi? - pytam.

Mężczyźni nagle znikają. Rozplývają się w tłumie, pozostawiając tylko ślady stóp w pyłku na placu.

- Co ten człowiek ci powiedział?

Głos mamy jest twardy jak stal.

- Nic takiego. Najwyraźniej był obłąkany, na ulicach nie jest

bezpiecznie ostatnimi czasy. - Nigdy nie słyszałam, żeby mama tak mówiła. Tak twardo. Z takim lękiem. - Gemmo, myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójde do pani Talbot sama.

-Ale... a co z ciastkami? - To idiotyczne pytanie, ale są moje urodziny i chociaż nie mam ochoty ich spędzić w salonie pani Talbot. tym bardziej nie chcę marnować całego dnia samotnie w domu, tylko dlatego, że jakiś odziany w czarny płaszcz szaleniec i je go towarzysz przestraszyli moją matkę. Mama ciasno owija ramiona szalem. Zjemy ciastka później... -Ale obiecałaś... Tak, lecz to było. zanim... - Milknie. Zanim co?

Zanim mnie tak zirytowałaś! Doprawdy, Gemmo, nie jesteś dzisiaj w odpowiednim nastroju, żeby składać wizyty. Sarita odprowadzi cię do domu.

Jestem w dobrym nastroju - protestuję, ale mój głos zadaje kłam tym słowom.

Nie, nie jesteś! - Spogląda prosto na mnie swoimi zielonymi oczami. Jest w nich coś, czego nie widziałam nigdy przedtem: ogromna i przerażająca złość, która zapiera mi dech w piersiach. Znika równie szybko, jak się pojawiła, i mama znowu staje się sobą. - Jesteś przemęczona i potrzebujesz odpoczynku.

Wieczorem będziemy świętowały i pozwolę ci wypić szampana.

„Pozwolę ci wypić szampana”. To nie jest obietnica - to przekupstwo, żeby się mnie pozbyć. Kiedyś wszystko robiliśmy wspólnie, a teraz nie możemy nawet pójść razem na bazar, nie doprowadzając do awantury. Przynoszę jej wstyd i rozczarowanie. Córka, której nie chce nigdzie zabrać, nie tylko do Londynu, ale nawet do domu starej matrony, która podaje słabą herbatę.

Znów się rozlega gwizd pociągu, a mama aż podskakuje.

- Wiesz co? Dam ci ponosić mój naszyjnik, co ty na to? No już, weź go. Wiem, że zawsze ci się podobał.

Stoję oniemiała i pozwalam, aby założyła mi wisior, którego rzeczywiście zawsze pragnęłam, ale który teraz niespodziewanie mi ciąży - lśniący, nienawistny medalion. Kolejna łapówka. Mama rzuca jeszcze jedno szybkie spojrzenie na zakurzone targowisko, a potem znów spogląda mi w oczy.

-No proszę. Wyglądasz... całkiem dorosłe. - Przyciska dłoń w rękawiczkę do mojego policzka i przytrzymuje ją chwilę, jakby chciała palcami zapamiętać moją twarz. - Zobaczymy się, gdy wrócę do domu.

Nie chcę, żeby ktokolwiek widział łzy napływające mi do oczu, próbuję więc wymyślić najpodlejszą możliwą odpowiedź, a moje usta wypowiadają ją, gdy pędem uciekam z targowiska.

- Nie obchodzi mnie, czy w ogóle do niego wrócisz.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przedzieram się przez tłum handlarzy, zebranych dzieci i cuchnących wielbłądów, prawie wpadając na dwóch mężczyzn niosących naręcze sari zawieszane na sznurku łączącym dwa słupki. Rzucam się w wąską alejkę i pędzę krętymi bocznymi uliczkami, aż w końcu muszę się zatrzymać, żeby złapać oddech. Po po liczkach płyną mi gorące łzy. Teraz gdy obok nie ma nikogo, po zwałam sobie na płacz.

„Panie, uchroni mnie przed łzami kobiet, bo jestem wobec nich bezradny!“. Tak powiedziała by mój ojciec, gdyby tu był. Mój ojciec o roziskrzonych oczach i sumiastych wąsach, który wybucha grzmiącym śmiechem, gdy jest ze mnie zadowolony, lub patrzy nieobecny wzrokiem - zupełnie jakbym nie istniała - kiedy nie zachowuję się jak na damę przystało. Nie wyobrażam sobie, by był zbyt szczęśliwy, kiedy się dowie o moim postępkach. Mówienie przykrych rzeczy i awanturowanie się nie należą do zachowań, które pomagają dziewczynie przekonać rodziców, że powinni wysłać ją do Londynu. Na myśl o tym zaczyna mnie boleć brzuch. Co ja sobie wyobrażałam?

Nie mam wyjścia - muszę przełknąć dumę, wrócić i przeprosić. Jeśli w ogóle trafię z powrotem. Okolica nie wygląda znajomo. Dwaj starzy mężczyźni siedzą po turecku na ziemi, paląc krótkie, brązowe papierosy. Przyglądają mi się, gdy ich mijam. Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy jestem w mieście sama. Bez przyzwoitki. Bez towarzystwa. Dama bez eskorty. Naprawdę skandaliczne zachowanie. Moje serce zaczyna bić szybciej i przyspieszam kroku.

Powietrze stoi nieruchomo. Burza jest już niedaleko. W oddali słyszę gorączkową krzątaninę na bazarze, gdzie sprzedawcy dobijają

ostatnich targów przed popołudniową ulewą. Idę za tym dźwiękiem i docieram w to samo miejsce, z którego wyruszyłam. Staruszkowie uśmiechają się do mnie - do angielskiej dziewczyny zagubionej i

samotnej na ulicach Bombaju. Mogłabym ich spytać o drogę na bazar, choć nie mówię po hindusku tak dobrze jak ojciec i z tego, co wiem, pytanie: „Gdzie jest targ?” mogłoby zabrzmieć jak: „Pożadam pięknej krowy bliźniego twego”. Mimo to warto spróbować.

- Przepraszam - odzywam się do starszego, tego z siwą brodą. - Chyba się zgubiłam. Czy może mi pan powiedzieć, jak dojść na targ?

Uśmiech mężczyzny błędnie, wypiera go wyraz lęku. Mówi coś gwałtownie do swojego towarzysza w dialekcie, z którego nie rozumiem ani słowa. W oknach i drzwiach pojawiają się twarze ludzi zaintrygowanych zamieszaniem. Staruszek wstaje, wskazuje na mnie, potem na naszyjnik. Nie podoba mu się? Coś we mnie go zaniepokoiło. Odpędza mnie gestem ręki, wchodzi do domu i za trzaskuje mi drzwi przed nosem. Miło jest wiedzieć, że nie tylko matka i Sarita nie mogą znieść mojego towarzystwa. Twarze w oknach obserwują mnie. Pojawia się pierwsza kropla deszczu. Wsiąka w suknię, tworząc wilgotną plamę. Teraz w każdą dech chwili może lunąć. Muszę wracać. Wolę nie myśleć, co powie matka, jeśli przemoknie z mojego powodu. Dlaczego zachowałam się jak rozwyrzony bachor? Teraz już na pewno nie weźmie mnie do Londynu. Spędzę resztę życia w austriackim klasztorze, w otoczeniu kobiet z wąsami, i wzrok mi się popsuje od dziergania skomplikowanych koronek do wypraw ślubnych innych dziewcząt. Mogę przeklinać swój zły charakter, ale to nie pomoże mi wrócić. Wybierz kierunek, Gemmo, dowolny kierunek - i idź. Wybieram drogę w prawo. Nieznajoma ulica prowadzi do następnej, i do następnej, a gdy wychodzę zza kolejnego zakrętu, widzę go, jak się zbliża. Chłopak z bazaru.

Nie panikuj, Gemmo. Wycofaj się, zanim cię zobaczy.

Pospiesznie robię dwa kroki w tył. Niestety, zahaczam obcasem o śliski kamień i z impetem wypadam na ulicę. Kiedy się prostuję,

patrzy na mnie z miną, której nie potrafię rozszyfrować. Przez sekundę żadne z nas się nie porusza, Jesteśmy równie nieruchomi jak otaczające nas powietrze, które albo obiecuje zbawczy deszcz, albo grozi burzą.

Nagle budzi się we mnie strach. Przelewa się zimną falą, podsycany przez rozmowy, które podsłuchałam w gabinecie ojca - opowiadki przy kieliszku brandy i cygarze o losie kobiet samotnie chodzących po mieście, zniewolonych przez złych mężczyzn, którzy na zawsze zrujnowali im życie. Pamiętam tylko strzępki rozmów. Tymczasem zbliża się do mnie prawdziwy mężczyzna, pokonując dzielącą nas odległość długimi krokami.

Na pewno zamierza mnie złapać, ale nie pozwolę mu. Z łomoczącym sercem zbieram spódnicę w dłoń. gotowa rzucić się do biegu. Próbuję zrobić krok, lecz nogi mi drżą jak u żrebaka. Ziemia migocze i zapada się pode mną.

Co się dzieje?

Ruszyć się. Muszę się ruszyć, ale nie mogę. Dziwne mrowie nie budzi się w moich palcach, wędruje w górę ramion i ogarnia klatkę piersiową. Całe ciało zaczyna drżeć. Potworne ciśnienie Wypiera powietrze z płuc, przygniata mnie do ziemi. Wzbiera we mnie panika. Chcę krzyczeć. Ale słowa nie nadchodzą. Ani jeden dźwięk. Chłopak chwyta mnie, gdy zaczynam upadać na ziemię. Chcę go prosić, żeby mi pomógł. Skupić się na jego twarzy, na jego zmysłowych ustach o idealnym kształcie. Gęste, ciemne loki opadają mu na oczy - głębokie, brązowe, okolone niezwykle długimi rzęsami. I pełne niepokoju.

Pomóż mi.

Słowa tkwią głęboko we mnie. Nie boję się już utraty cnoty. Wiem, że umieram. Próbuję zmusić się, żeby mu to powiedzieć, ale z mojego gardła dobywa się tylko zduszony jęk. Zalewa mnie silny lipach róż i korzennych przypraw, gdy horyzont oddala się, a ja trzepocze powiekami, walcząc, by zachować przytomność, Jego usta otwierają się, poruszają, mówią coś.

W końcu dociera do mnie jego głos:

- To się dzieje naprawdę.

Nacisk rośnie, aż czuję, że zaraz wybuchnę, a potem zaczynam spadać. Wirujący tunel światła i oślepiających kolorów porywa mnie niczym podwodny prąd. Lecę bez końca. Wokół pędzą obrazy. Opadam obok dziesięcioletniej mnie, bawiącej się Julią, szmacianą lalką, którą zgubiłam na pikniku rok później. Mam sześć lat, pozwalam Saricie. by umyła mi twarz przed kolacją. Czas cofa się i mam lat trzy, dwa. jestem niemowlęciem, a potem stworzeniem bladym i dziwnym, nie większym od kijanki i równie bezbronnym. Mocny prąd znowu chwyta mnie bezwzględnie i ciągnie przez zastonę czerni, aż znów widzę ulicę w Indiach. Zwiedzam miasto. spaceruję w żywym śnie. w którym nie słycać żadnego dźwięku poza dudnieniem mojego serca, poza wdechem i wydechem, szumem krwi krążącej w moich żyłach. Po szczytach dachów nade mną, obnażając zęby, skacze małpka kataryniarza. Próbuję coś po wiedzieć, ale okazuje się, że nie mogę. Zwierzak daje susa na następny dach. To sklep, nad jego wejściem wiszą

suszone zioła, a do drzwi przymocowany jest symbol oka i księżycy - taki sam jak na naszyjniku mamy. Stroną ulicą szybko zbliża się kobieta - ma złotorude włosy, niebieską suknię i białe rękawiczki. Moja matka. Co ona tu robi? Powinna być u pani Talbot, popijać herbatkę i dyskutować o wzorach tkanin. Z jej ust ulatuje moje imię. Gemma. Gemma. Przyszła mnie szukać. Tuż za nią podąża Hindus w turbanie. Nie słyszy go. Wołam do niej, ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Jedną dłonią popycha drzwi do sklepu i wchodzi. Idę za nią, a moje serce bije coraz głośniejsze i mocniej. Ona musi wiedzieć, że ten człowiek jest tuż za jej plecami. Musi już słyszeć jego oddech, jednak cały czas patrzy prosto przed siebie.

Mężczyzna wyciąga spod płaszcza sztylet, ale ona nadal się nie odwraca. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Chcę ją powstrzymać, wyciągnąć stamtąd. Przy każdym kroku muszę przedzierać się siłą przez powietrze, unosząc nogi z dręczącą powolnością. Mężczyzna zatrzymuje się i nasłuchuje. Szeroko otwiera oczy. Boi się.

Coś czeka przyczajone w cieniu na tyłach sklepu. Tak jakby ciemność zaczęła się poruszać. Jak to możliwe? Ale tak jest. Z zimnym oślizgłym odgłosem, od którego cierpie mi skóra, ciemny kształt wylania się ze swojej kryjówki. Rośnie, aż ogarnia wszystko wokół. Czern w środku tego czegoś wiruje, a dźwięki... Z jego wnętrza dochodzą upiorne krzyki i jęki.

Mężczyzna rzuca się do przodu, lecz to coś owija się wokół niego. Pochłania go. Po czym pochyla się nad moją mamą i przemawia do niej gładkim sykiem:

- Chodź do nas. ślicznotko. Czekaliśmy... Wewnątrz mnie eksploduje krzyk. Mama odwraca się, dostrzega sztylet leżący na podłodze i podnosi go. To coś wyje z wściekłości. Mama zamierza z tym walczyć. Poradzi sobie. Pojedyncza łza pływa po jej policzku, gdy zamyka zrozpaczone oczy, miętko niczym modlitwę wymawiając moje imię: Gemma, Jednym płynnym ruchem unosi sztylet i zatapia go w swojej piersi. Nie!

Silny prąd wyciąga mnie ze sklepu. Wracam na ulicę, jakbym się stamtąd w ogóle nie ruszała, krzycząc jak oszalała, a młody Hindus usiłuje przytrzymać ramiona, którymi młóć powietrze. Co widziałaś? Powiedz mi! Kopię i walczę, wyrывая się z jego uścisku. Czy nie ma tu nikogo kto mógłby mi pomóc? Co się dzieje? Mamo! Mój umysł walczy, żeby odzyskać kontrolę i odnaleźć jakąś logikę, co w końcu mu się udaje. Mama na pewno pije herbatę w domu pani Talbot. Pójdę do niej i udowodnię to. Zezłości się i odeśle mnie z Saritą do domu, później nie będzie żadnego szampana ani Londynu, ale to nie ma znaczenia. Będzie żywa, cała i zdrowa, a ja nie będę się posiadała z radości, kiedy mnie ukarze. Chłopak nadal do mnie krzyczy: - Widziałaś mojego brata?!

- Puść mnie! - Kopię go nogami, które w pełni odzyskały sprawność i trafiam w najczulsze miejsce. Zwijają się na ziemi, a ja biegnę na oślep ulicą i skręcam na następnym rogu. gnana strachem. Niewielki tłumek zebrał się przed sklepem. Przed sklepem, nad którego drzwiami wiszą suszone zioła.

Nie. To wszystko jakiś ohydny sen. Obudzę się we własnym łóżku i usłyszę donośny, chrapliwy głos ojca opowiadającego jeden ze swoich skomplikowanych dowcipów. Potem rozlegnie się miękki śmiech mamy. Nogi mi drętwieją, a potem zaczynają drzeć, gdy próbuję utorować sobie drogę przez tłum. Mała mała kataryniarka zeskakuje na ziemię i przekrzywia głowę na lewo i na prawo, z ciekawością przyglądając się ciału. Tych kilka osób przede mną odsuwa się. Mój umysł przyswaja obraz stopniowo. Przewrócony but, złamany obcas. Rozczapierzona dłoń, pałce już sztywniejące. Zawartość torebki rozsypana na ziemi. Naga szyja wystająca ze stanika niebieskiej sukni. Słynne zielone oczy otwarte i niewidzące. Usta lekko rozchylone, jakby próbowała coś powiedzieć, kiedy umierała.

Gemma.

Czerwona kałuża rozlewa się, wpływa pod jej pozbawione życia ciało i wsiąka w splekaną ziemię, przypominając mi o widzianych kiedyś podobiznach Kali, mrocznej bogini, która przelewa krew i miażdży kości. Kali niszczycielka. Moja święta patronka. Zamykam oczy. łudząc się, że to wszystko zniknie. To się nie dzieje. To się nie dzieje. To się nie dzieje.

Ale kiedy otwieram oczy, ona nadal tam jest i patrzy na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Nie obchodzi mnie, czy w ogóle wrócisz. To była ostania rzecz, jaką do niej powiedziałam. Zanim uciekłam. Zanim ona ruszyła mnie szukać. Zanim zobaczyłam w wizji, jak umiera. Ciężkie odrętwienie ogarnia moje ramiona i nogi. Opadam na ziemię. Krew matki dotyka rąbka mojej najlepszej sukni, plamiąc ją na zawsze. A potem krzyk, który wstrzymywałam, wypada ze mnie gwałtownie i szybko niczym rozpędzony pociąg, akurat gdy niebo otwiera się szeroko i zaczyna padać rzęsisty deszcz, dla więc wszelkie dźwięki.

LONDYN, ANGLIA. DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ DRUGI

- Victoria! Victoria Station!

Tęgi konduktor w niebieskim uniformie zmierza do ostatniego wagonu, obwieszczając, że wreszcie dotarliśmy do Londynu. Po-l ąg zwalnia, aż w końcu staje. Skłębione obłoki pary przesuwają się za oknem, sprawiając, że wszystko wygląda jak we śnie. Na siedzeniu naprzeciwko mój brat Tom budzi się, po czym a czarną kamizelkę i sprawdza, czy ubranie mu się nie pogniotło. Przez cztery lata, kiedy się nie widzieliśmy, bardzo urósł i zrobił się nieco szerszy w ramionach, ale nadal jest chudy i ma szczerinę jasnych włosów. Przez tę grzywę modnie opadającą na kie oczy zupełnie nie wygląda na dwadzieścia lat. Nie miej takiej ponurej miny. Gemmo. Nie zostałam skazana . Spence to bardzo dobra szkoła, słynąca z tego, że wy-'.11 ze swych murów czarujące młode damy.

l/o dobra szkoła. Czarujące młode damy. Dokładnie to sali iwo w słowo, powiedziała moja babcia, po tym jak spędzili-?.i tygodnie w Pleasant House. jej domu na angielskiej wsi. il.i mnie długim taksującym spojrzeniem, moją piegowatą niesformą czupryną rudych włosów, moją ponurą twarz, lu, że potrzebna mi jest odpowiednia szkoła dla panien, jeśli chcę kiedykolwiek dobrze wyjść za mąż.

- To zadziwiające, że nie zostałam przysłana do domu wiele lat temu - gdała. - Wszyscy wiedzą, że powietrze w Indiach psuje krew. Twoja matka z pewnością by sobie tego życzyła.

Musiałam ugryźć się w język, żeby nie zapytać, skąd ona może wiedzieć, czego by sobie życzyła moja matka. Moja matka

chciała, żebym została w Indiach, za to ja chciałam przyjechać do Londynu. Teraz tu jestem i nie mogłabym być bardziej nieszcześliwa.

Przez trzy godziny, gdy pociąg przemierzał zielone, pofałdowane pastwiska, a deszcz monotonicznie bębnił o szyby. Tom spał. Ja natomiast potrafiłam tylko patrzeć wstecz, tam, skąd przybyłam. Wspominałam gorące równiny Indii. Policję zadającą pytania: Czy kogoś widziałam? Czy matka miała wrogów? Co robiłam sama na ulicy? I co z mężczyzną, który rozmawia! z nią na bazarze, kupcem o imieniu Amar? Czy go znałam? Gdzie on i moja mama (w tym momencie robili zakłopotane miny i szurali nogami, szukając słów, które brzmiałyby w miarę delikatnie) „zawarli znajomość”?

lak mogłam im opowiedzieć o tym, co widziałam? Nie miałam nawet pojęcia, czy sama mogę w to wierzyć. Pociąg sunie wśród kwitnących pól, lecz kołysanie wagonu pasażerskiego przypomina mi o okręcie, który przywiózł nas z Indii przez wzburzone morze. Linia brzegowa Anglii nabierająca kształtu niczym ostrzeżenie. Mama pochowana głęboko w zimnej, bezlitosnej angielskiej ziemi. Ojciec szklanym wzrokiem patrzący na kamień nagrobny - Virginia Doyle. ukochana żona i matka - spoglądający przez niego, jakby samą siłą woli mógł zmienić to, co się stało. A kiedy okazało się, że nie może, wycofał się do swojego gabinetu i buteleczki laudanum, która stała się jego nieodłączną towarzyszką. Czasami znajduję go, śpiącego w fotelu, z psami u stóp, z brązową flaszeczką blisko pod ręką, z oddechem głębokim i słodko pachnącym lekarstwem. Kiedyś był potężnym mężczyzną, lecz teraz wychudł, skurczony przez smutek i opium. A ja mogę tylko stać obok, bezradna i niema, przyczyna tego wszystkiego. Strażniczka tajemnicy tak straszliwej, że boję się odzywać, przestraszona, iż wyleje się ze mnie niczym płonąca nafta, parząc wszystkich wokół.

-Znów się zamyśliłaś - mówi Tom, rzucając mi podejrzliwe spojrzenie.

- Przepraszam.

Tak. przepraszam, przepraszam za wszystko.

Tom wzdycha długo i ciężko, a zaraz potem dodaje:

Nie przepraszaj, po prostu przestań.

Dobrze, przepraszam - mówię znów bez zastanowienia. Dotykam zarysu amuletu. Wisi teraz na mojej szyi, przypominając mi mamę i moją winę, ukryty pod sztywną czarną suknią żalobną z krepy, którą będę nosić przez pół roku.

Przez rzadniejącą mgłę za oknem widzę bagażowych biegnących obok pociągu, gotowych do ustawienia drewnianych schodków przy otwartych drzwiach, żebyśmy mogli zejść na peron. W końcu pociąg zatrzymuje się z sykiem i westchnieniem pary.

Tom wstaje i przeciąga się.

- Chodźmy więc. Ruszajmy, póki wszyscy bagażowi nie zniknęli.

Ruch panujący na Victoria Station zupełnie zapiera mi dech w piersi. Tabuny ludzi kręcą się po peronie. Na drugim końcu pociągu pasażerowie trzeciej klasy wyskakują w płataninie rąk i nóg. Bagażowi spieszą się, by przejąć walizki i paczki od pasażerów pierwszej klasy. Gazeciarze trzymają dzienniki w górze, najwyżej jak potrafią, wykrzykując co ciekawsze nagłówki. Wokół kręcą się kwiaciarki, nosząc uśmiechy równie twarde i zużyte jak drewniane tace zawieszane na ich delikatnych szyjach. Mężczyzna z

parasolem wetkniętym pod pachę przeciska się obok, niemalże zbijając mnie z nóg.

Pan wybaczy - mamroczę mocno rozdrażniona, ale nie zwraca na mnie uwagi. Kiedy zerkam na dalszy koniec peronu, zauważam coś dziwnego. Czarny płaszcz podróżny, na którego widok moje serce przyspiesza. Zasycha mi w ustach. To niemożliwe, żeby on tu był! A jednak jestem pewna, że to on zniknął właśnie za kioskiem. Próbuję podejść bliżej, ale na peronie panuje potworny ścisk.

Co ty robisz? - pyta Tom, patrząc, jak walczę z naporem tłumu.

- Rozglądam się tylko - odpowiadam w nadziei, że nie usłyszy lęku w moim głosie. Zza kiosku wychodzi mężczyzna z naręczem gazet. Płaszcz - cienki, czarny i o kilka rozmiarów za duży - wisi na nim jak luźna peleryna. Ogarnia mnie taka ulga, że niemalże wybucham śmiechem. Widzisz, Gemmo? To tylko wyobraźnia. Daj sobie spokój.

- No cóż, skoro się rozglądasz, to może znajdziesz nam bagażowego. Nie wiem, gdzie oni wszyscy, u licha, tak szybko zniknęli.

Obok pojawia się wychudzony gazeciarka i proponuje, że za dwa pensy sprowadzi dla nas dwukólkę, Z wysiłkiem dźwiga kufer wypełniony moim ziemskim dobytkiem: kilka sukien, pamiętnik ma my, czerwone sari, biały rzeźbiony słoń z Indii i cenny kij do krykieta mojego taty, pamiątka po szczęśliwszych czasach. **>

Tom pomaga mi wsiąść do powozu, a woźnica rusza spod Victoria Station, przypominającej wielką rozłożystą damę. ze stukotem kopyt kierując dwukólkę do centrum Londynu. Powietrze jest mroczne, przesycone dymem z latarni gazowych, które stoją wzdłuż londyńskich ulic. Mglista szarość wywołuje wrażenie, że zapadł już zmierzch, chociaż jest dopiero czwarta po południu. Na tych cienistych ulicach wszystko mogłoby podkręcić się do człowieka. Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałam, ale tak się stało, więc natychmiast oddaliłam od siebie tę myśl.

Cieniutkie iglice Parlamentu wystają nad mrocznymi zarysami kominów. Kilku złanych potem mężczyzn kopie głęboki rów wzdłuż brukowanej ulicy.

- Co oni robią?

- Kładą kable do świateł elektrycznych - wyjaśnia Tom, kaszląc w białą chusteczkę z monogramem wyszytym w rogu wyraźną czarną nicią. - Już wkrótce te duszące lampy gazowe będą należały do przeszłości.

Uliczni handlarze sprzedają towary z wózków, zachwalając je charakterystycznymi okrzykami: Ostre noże. dobra ryba, kupujcie jabłka, mam tu jabłka! Mleczarki dostarczają mleko z ostatniego udoju. To dziwne, ale ten widok przypomina mi Indie. Kuszące wystawy oferują wszystko, co można sobie wymarzyć - herbatę, płótno, porcelanę oraz piękne suknie skopiowane z najlepszych pa ryskich modeli. Szyld wiszący w oknie drugiego piętra informuje, że są tam biura do wynajęcia, pytać w budynku. Rowery śmigają wśród dwukółek na ulicach. Przygotowuję się na wszelki wypadek, gdyby klacz ciągnąca nasz powóz przestraszyła się na ich widok, ale ona wydaje się zupełnie niezainteresowana. Już to wszystko wcześniej widziałam, w przeciwieństwie do mnie.

Mija nas omnibus pełen pasażerów, ciągniony przez wspaniałą zaprzęg. Na dachu siedzi grupka dam z parasolkami mającymi chronić je przed żywiołami. Długi pas drewna z reklamą mydła Pear's sprytnie Oslania ich kostki, zgodnie z wymogami przyzwoitości. To niezwykle widok i marzę, byśmy mogli tak po prostu jeździć po ulicach Londynu, wdychając kurz historii, którą znałam tylko z fotografii. Mężczyźni w ciemnych garniturach i melonikach wychodzą z biur, pewnym siebie krokiem kierując się do domów po dniu pracy. Widzę białą kopułę katedry św. Pawła wznoszącą się nad pokrytymi sadzą dachami. Przyklejony do słupa plakat zapowiada przedstawienie Makbeta, w którym występuje amerykańska aktorka Lily Trimble. Jest zachwycająca, na kasztanowe włosy, rozpuszczone i wzburzone, oraz czerwoną suknię ze śmiałym dekoltem. Zastanawiam się, czy dziewczęta też będą tak urocze i wyrafinowane. - Lilly Trimble jest bardzo piękna, prawda? - mówię, starając się wciągnąć Toma w miłą pogawędkę, choć to zadanie wydaje się niemożliwe.

- Aktorka - prychnął mój brat. - Cóż to za życie dla kobiety, bez porządnego domu, męża, dzieci? Prowadzi się, jakby sama sobie była panem i mistrzem. Z pewnością nigdy nie zostanie przyjęta do towarzystwa jako prawdziwa dama.

To by było tyle, jeśli chodzi o miłą pogawędkę.

Jakaś część mnie ma ochotę kopnąć Toma za jego arogancję.

Obawiam się jednak, że inna część mnie umiera z ciekawości, czego takiego mężczyźni szukają w kobietach. Być może mój brat jest na puszonej, ale wie pewne rzeczy, które mogą okazać się przydatne.

- Rozumiem - odpowiadam szybko, jakbym chciała się dowiedzieć, jak zaprojektować ładny ogród. Jestem opanowana. Uprzejma. Dystygowana. - A jaka powinna być prawdziwa dama?

Gdy odpowiada, odnoszę wrażenie, że brakuje mu tylko fajki w zębach.

- Mężczyzna szuka kobiety, która ułatwi mu życie. Powinna być atrakcyjna, zadbana, znać się na muzyce, malarstwie i prowadzeniu domu, ale nade wszystko powinna pilnować, aby jego nazwiska nie splamił żaden skandal, oraz nie robić nic, co by zwracało na nią uwagę.

On chyba żartuje. Poczekam chwilę, a on na pewno wybuchnie śmiechem i powie, że tylko się ze mną droczy, jednak przemądrzały uśmieszek nie schodzi mu z twarzy. Nie zamierzam spokojnie przyjmować tej zniewagi.

- Mama miała takie same prawa jak ojciec - mówię chłodno. -

Nie oczekiwał, że będzie chodziła krok za nim jak jakaś smutna kretyńska.

Uśmiech Toma znika.

- No właśnie. I zobacz, do czego nas to doprowadziło.

Znów zapada cisza. Za oknami powozu przesuwa się Londyn

i Tom odwraca się w jego stronę. Po raz pierwszy widzę ból mojego brata, dostrzegam go w geście, jakim przeczesuje włosy palca mi, jeszcze raz i jeszcze, i rozumiem, ile go kosztuje ukrywanie tych wszystkich uczuć. Ale nie wiem, jak przerzucić most nad tym niezręcznym milczeniem, więc jedziemy dalej, patrząc na Wszystko, niewiele widząc i nic nie mówiąc.

- Gemmo... - Głos Toma załamuje się i brat milknie na chwilę. Walczy z tym czymś, co się w nim kotłuje. - Tego dnia z ma

mą... Dlaczego, do licha, uciekałeś? Co sobie myślałeś?

Mój głos jest ledwie szeptem.

- Nie wiem.

Chociaż mówię prawdę, nie przynosi mi ona żadnego pocieszenia.

Mroczny sekret

Kobiety brak logiki.

Tak - potwierdzam nie dlatego, że się zgadzam, lecz dlatego, że chcę mu coś dać, cokolwiek. Mówię to, bo pragnę, żeby mi wybaczył. A może wtedy będę mogła wybaczyć sama sobie. Może.

Znałeś tego - szczeka zaciska mu się przy tym słowie - mężczyznę, który leżał zamordowany obok niej?

Nie - szepczę.

Sarita mówi, że byłaś w hysterii, kiedy znalazła cię wraz z policją. Plotkaś coś o hinduskim chłopaku i wizji, w której... coś było.

Milknie i pociera dłońmi spodnie na kolanach. Nadal na mnie nie patrzy.

Moje dłonie złożone na podołku drżą. Mogłabym mu powiedzieć. Mogłabym mu wyjawić to, co skrywam w sercu. W tej chwili

z łokciem opadającym na oczy jest takim bratem, za którym tęskni-

łam, tym, który kiedyś przynosił mi kamienie z morza, mówiąc, że

to skarby radży. Chcę mu wyznać, że boję się, iż stopniowo tracę

rozum, i że nic już nie wydaje mi się całkowicie realne. Chcę opowiedzieć mu o wizji, chcę, by w swój irytujący sposób poklepał

mnie po głowie i zbył wszystko idealnie logicznym medycznym wyjaśnieniem. Chcę go zapytać, czy dziewczynka może się urodzić

antypatyczna, czy tylko taka się staje. Chcę powiedzieć mu wszystko i chcę, żeby zrozumiał. Tom

chrząka cicho. - To znaczy chciałem zapytać, czy coś ci się stało. Czy on... czy nic ci nic jest? Każdym

następnym słowem na nowo buduję między nami mur. - Pytasz, czy nadal jestem niewinna?

- Skoro chcesz to ująć tak bez ogródek, owszem.

Teraz rozumiem, że wygłupiłam się, myśląc, iż on chce wiedzieć, co naprawdę się stało. Martwi go tylko to, czy w jakiś sposób nie okryłam rodziny wstydem.

- Nie, jak to sformułowałaś, nic mi nie jest. Chce mi się śmiać z tego kłamstwa - z całą pewnością coś mi jest. Ale moje słowa działają zgodnie z przewidywaniem. Takie

właśnie jest życie - jedno wielkie kłamstwo. Iluzja, w której wszyscy odwracają wzrok i udają, że nie istnieje nic nieprzyjemnego, nie ma goblinów w ciemnościach, nie ma upiórów w duszy. Tom z ulgą prostuje ramiona.

- Dobrze. To w porządku. - Ludzki moment minął i mój brat

znów jest absolutnie opanowany. - Gemmo, morderstwo matki to hańba dla naszej rodziny. - Wpatruje się we mnie. - Matka umarła na cholere - mówi z naciskiem, tak jakby sam wierzył w to kłamstwo. - Wiem, że się nie zgadzasz, ale jako twój brat zapewniam cię, że im mniej będziemy mówić na ten temat, tym lepiej. Musimy cię chronić. Ten człowiek stanowi ucieleśnienie samych konkretów i żadnych uczuć. Pewnego dnia bardzo mu się to przyda jako lekarzowi. Wiem, że ma rację, ale nic nie mogę poradzić, że go za to nienawidzę. - Pewien jesteś, że martwisz się o mnie? Znów mocno zaciska zęby. - Uznam, że nie słyszałem tego komentarza. Skoro nie chcesz myśleć o mnie czy o sobie, pomyśl o ojcu. Nie czuje się dobrze. Sama to widzisz. Okoliczności śmierci matki zupełnie go przybiły. - Tom bawi się mankietami koszuli. - Powinnaś się dowiedzieć, że w Indiach ojciec popadł w bardzo nieprzyjemne nałogi. Być może palenie nargili z Hindusami pomogło mu stać się popularnym człowiekiem interesu, jednym z nich, ale nie przysłużyło się zbyt go zdrowiu. Ojciec zawsze z upodobaniem oddawał się swoim przyjemnościom, chętnie szukał ucieczki. Czasami wracał do domu późno, całkowicie wyczerpany. Pamiętam, jak mama i służba pomagali mu położyć się do łóżka, i to nieraz. Mimo to te słowa bołą. Nienawidzę Toma za to, że mi o tym mówi. To dlaczego dostarczasz mu laudanum? Nie ma nic złego w laudanum. To lekarstwo. - Pociąga nosem. Stosowane z umiarem...

Ojciec nie jest uzależniony. Nie on - powtarza, jakby chciał przekonać lawę przysięgłych. - Teraz, gdy już wrócił do Anglii, dojdzie do siebie. Tylko pamiętaj, co ci powiedziałem. Czy możesz mi przynajmniej tyle obiecać? P

roszę. Tak, oczywiście - odpowiadam, czując się martwa w środku. Akademia Spence nie wie, co robi, przyjmując mnie, widmo dziewczyny, która będzie kiwała głową, uśmiechała się i popijała herbatę, ale tak naprawdę nie będzie tam obecna.

Woźnica woła:

Panie, musimy przejechać przez East, może chce pan zaciągnąć zasłony?

O co chodzi? - pytam.

Będziemy jechać przez East End. Whitechapel? Och, na litość boską, to slumsy, Gemmo - wyjaśnia, opuszczając zasłony, żeby odciąć się od nędzy i brudu.

Widziałam slumsy w Indiach - mówię i nie zasłaniam okna. Powóz podskakuje na bruku wąskich, brudnych uliczek. Kilkanaścioro zaniedbanych, chudych dzieci biegnie obok, patrząc na nas w eleganckiej dwukółce. Serce mi zamiera na widok ich kościstych, umazanych sadzą twarzyczek. Kilka kobiet zbitych w gromadę pod latarnią gazową zajmuje się szyciem. Bardzo rozsądnie wykorzystują światło miejskie, żeby nie marnować własnych cennych świeczek na tę niewdzięczną pracę. Zapach na ulicach - połączenie odoru śmieci, końskich odchodów, uryny i rozpachy - jest naprawdę koszmarny i dławi mnie. Z gospody wylewają się na ulicę głośna muzyka i krzyki. Potem wytacza się z niej pijana para. Kobieta ma włosy w kolorze zachodzącego słońca i prostacko, mocno pomalowaną twarz. Zatrzymują powóz i wdają się w kłótnię z woźnicą.

O co znowu chodzi? - Tom nagląco stuka w dach dwukółki, lecz kobieta nie daje za wygraną. Możemy tu spędzić całą noc. Pijany mężczyzna spogląda na mnie pożądliwie, mruga i wykonuje niezmiernie obraźliwy gest palcami wskazującymi.

Zdegustowana odwracam wzrok i spoglądam w pustą alejkę. Tom wychyla się przez okno. Słyszę, jak protekcyjnie i niecierpliwie próbuje się dogadać z parą na ulicy. Nagle dzieje się coś dziwnego, lego głos staje się stłumiony, niczym dźwięki dobiegające przez muszlę przyłożoną do ucha. A potem słyszę już tylko, jak moja krew przyspiesza i dudni głucho w żyłach. Przygniata mnie potworne ciśnienie, wyciskając powietrze z płuc.

Znów czuję to samo co w Indiach.

Chcę zawołać Toma, ale nie mogę. Potem znowu pędzę tym tunelem z koloru i światła, a alejka wygina

się i migocze. I równie szybko wypływam z powozu, lekko stąpam po zaciemnionej ulicy o lśniących krawężdach. Mała dziewczynka w wieku około ośmiu lat siedzi na ziemi pokrytej żdźbłami słomy, bawiąc się szmacianą lalką. Buzię ma brudną, ale poza tym nie pasuje do tego miejsca. Ma różową wstążkę we włosach i o rozmiar za duży biały wy-krochmalony fartuszek. Nuci fragment piosenki, w której rozpoznaję starą ludową przyśpiewkę. Kiedy się zbliżam, podnosi wzrok.

Prawda, że moja lala jest śliczna?

Widzisz mnie?

Kiwa głową i dalej przeczesuje brudnymi palcami włosy lalki.

Ona cię szuka. -Kto?

Mary.

Mary? Jaka Mary?

- Posłała mnie, żebym cię znalazła. Ale musimy być ostrożne.

To też cię szuka.

Powietrze porusza się, niosąc chłodną wilgoć. Drzę mimo wolnie.

- Kim jesteś?

W mętym mroku za plecami dziewczynki wyczuwam poruszenie. Mrużę oczy, żeby lepiej widzieć, ale to nie jest złudzenie - cie nie się ruszają. Szybka jak ciekłe srebro ciemność powstaje i nabiera ohydneho kształtu - widzę błyszczące kości czaszki, puste, czarne dziury w miejscu oczu, zamiast włosów płataninę węży. Usta otwierają się i wydobywa się z nich chrapliwy szept:

- Chodź do nas. moja śliczna, śliczna...

- Uciekaj. - To słowo jest ledwie zdławionym szeptem na moim języku. Monstrum rośnie i przysuwa się coraz bliżej. Zawrocie i jęki w jego wnętrzu sprawiają, że każda komórka mojego ciała robi się lodowato zimna. W gardle narasta krzyk. Jeśli pozwolę mu się wydobyć, nigdy już nie umilknę.

Serce bije ciężko o moje żebra, kiedy powtarzam trochę mocniejszym głosem:

- Uciekaj!

To coś waha się, wycofuje. Wciąga powietrze, jakby węszyło w poszukiwaniu zapachu. Dziewczynka zwraca na mnie pozbawione wyrazu brązowe oczy.

Za późno - mówi, gdy stwór kieruje na mnie niewidzący wzrok. Rozkładające się usta rozciągają się, ukazując podobne do kołców zęby. Dobry Boże, to coś się uśmiecha. Szeroko otwiera potworną paszczę i skrzeczy - ten dźwięk wreszcie odblokowuje mój język.

Nie! - W ułamku sekundy znowu znajduję się w powozie i wychylając się z okna, wrzeszczę na parę pijaków.

Zejdźcie z drogi, do cholery, natychmiast!

Uderzam klacz szalem po zadzie, a ona rzy cicho, po czym gwałtownie rusza, zmuszając parę do ucieczki w bezpieczne wnętrze gospody. Woźnica uspokaja konia, a Tom sadza mnie na miejscu.

Gemmo! Co cię opętało?

Ja... - Zaglądam w alejkę, szukając tego czegoś, ale go tam nie widzę. To tylko słabo oświetlony zaułek, w którym kilkoro brudnych dzieci próbuje ukraść kapelusz młodszemu chłopcu. Ich śmiech odbija się od stajni i ruder. Cała scena niknie za nami w mroku nocy.

- Gemmo, słyszysz mnie? Nic ci nie jest? - Tom jest naprawdę zmartwiony.

Tracę rozum, Tom. Pomóż mi.

- Po prostu się spieszę. - Dźwięk, który potem wydobywa się moich ust, brzmi jak coś pośredniego między śmiechem a skowytym, mogłaby go wydać kobieta obłąkana.

Tom przygląda mi się, jakbym cierpiała na jakąś rzadką chorobę, której nie potrafi wyleczyć.

- Na litość boską! Weź się w garść. I proszę, uważaj na swoje słownictwo w Spence. Nie zamierzam po ciebie przyjeżdżać kilka

godzin po tym, jak cię tam zostawię.

- Dobrze, Tom - odpowiadam, gdy powóz zaczyna toczyć się szybciej, chwiejąc się na bruku i uwożąc nas z dala od Londynu

i jego cieni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Dojeżdżamy do szkoły, sir! - woła woźnica.

Przez godzinę jechaliśmy po falujących wzgórzach, gdzie niegdzie pocętkowanych sylwetkami drzew.

Słońce zaszło, a niebo pokryło się mglistym błękitem pory zmierzchu. Kiedy wyglądam przez okno, nie

widzę niczego prócz baldachimu z gałęzi nad głową oraz dojrzałego jak melon księżycy za koronką liści. Zaczynam myśleć, że naszemu woźnicy chyba coś się przywidziało, ale gdy wjeżdżamy na grzbiet wzgórza, moim oczom ukazuje się Spence w całej swej okazałości.

Spodziewałam się uroczej wiejskiej posiadłości, w której młode dziewczęta o różnych policzkach grają w tenisa na schludnych zielonych trawnikach, jak to opisują tanie gazety. W Spence nie ma nic przytulnego. Budowla jest kolosalna niczym zapomniany zamek szaleńca, z wielkimi, grubymi wieżami i cienkimi, ostrymi iglicami. Niewątpliwie gdyby jakieś dziewczę chciało zwiedzić wszystkie pokoje w tym gmaszysku, potrzebowałoby co najmniej roku.

Prrr! - Woźnica zatrzymuje powóz. Ktoś stoi na drodze.

Kto to jedzie?

Do mojego okienka podchodzi jakaś kobieta i zagląda do środka. To stara Cyganka. Chociaż włosy ma przykryte bogato haftowanym szalem, a jej biżuteria wykonana jest z czystego złota, poza tym wygląda na dość zaniedbaną.

- Co znowu? - wzdycha Tom.

Wystawiam głowę na zewnątrz. Kiedy blask księżycy pada na moje rysy, twarz Cyganki łagodnieje.

Och, to ty. Wróciłaś do mnie.

Przepraszam, ale musiała mnie pani z kimś pomylić.

37

LIBBA BRAY

- A gdzie jest Carolina? Gdzie ona? Zabrałaś ją ze sobą? - Zaczyna cicho łkać.

- No już, paniusiu, przepuść nas! - wola woźnica. Trzaskają lejce i powóz znów rusza, a staruszka krzyczy za nami:

- Matka Elena widzi wszystko! Zna twoje serce! Ona wie!

- Dobry Boże, mają nawet własną wieszczkę - parska Tom. -Cóż za modne miejsce!

Niech Tom się śmieje, ale ja nie mogę się już doczekać, żeby wydostać się z powozu i z ciemności.

Przejeżdżamy przez zwieńczoną kamiennym lukiem bramę, która otwiera się na uroczy teren. Zauważam cudownie zielone pole, idealne do gry w tenisa lub krokietu, a także coś, co wygląda na bujne, rozrośnięte ogrody. Kawałek dalej znajduje się zagajnik wysokich drzew, gęsty jak las. Za nim na wzgórzu przycupnęła kapliczka. Cały obrazek wygląda tak, jakby wszystko trwało od wieków w nienaruszonym stanie.

Powóz podskakuje na podjeździe prowadzącym do frontowych drzwi Spence. Wystawiam głowę przez okno, żeby objąć wzrokiem całą masywną bryłę budynku. Coś sterczy na dachu, ale w nikłym świetle nie mogę dostrzec co to. Nagłe księżyc wynurza się zza chmur i widzę je wyraźnie: to gargulce. Blask księżycy rozlewa się po dachu, oświetlając detale - błysk ostrych zębów, lubieżnie uśmiechnięte usta, groźne oczy.

Witaj w szkole dla młodych panien. Gemmo. Nauczysz się tu haftować, podawać herbatę, dygać. Och. tak przy okazji, w nocy możesz zostać spałaszowana przez odrażającego skrzydlatego stwora z dachu.

Powóz zatrzymuje się ze zgrzytem. Mój kufer zostaje postawiony na kamiennych schodach pod ogromnymi drewnianymi drzwiami. Tom stuka wielką mosiężną kołatką, niemalże rozmiarów mojej głowy. Kiedy czekamy, nie potrafi się powstrzymać od dania mi ostatniej braterskiej porady.

- Jest bardzo ważne, abyś w Spence prowadziła się w sposób odpowiadający twojej pozycji. Możesz być uprzejma dla niżej po stawionych dziewcząt, ale pamiętaj, że nie są ci równe.

Pozycja. Niżej postawione dziewczęta. Nie są mi równe. To na prawdę śmiechu warte. W końcu to ja jestem tą nikczemną, odpowiedzialną za śmierć własnej matki, mającą wizję osobą. Udaję, że poprawiam kapelusz, korzystając z odbicia w mosiężnej kołatce. Moje złe przeczucia z pewnością rozwiążą się w chwili, gdy drzwi się otworzą i sympatyczna gospodyni przyjmie mnie ciepłym gestem i pogodnym uśmiechem.

Niech będzie. Jeszcze raz dobrze, porządnie zapukajmy do drzwi, żeby pokazać, że jestem dobrą, porządną dziewczyną, taką, z której obecności powinna być rada każda upiorna szkoła z internatem. Ciężkie dębowe drzwi otwierają się, ukazując potężną sylwetkę gospodyni o grubej talii i twarzy poranej bruzdami, emanującej całym ciepłem Walii w styczniu. Wpatruje się we mnie, wycie rając ręce w ubrudzony mąką fartuch.

- Zapewne panienska Doyle. Spodziewaliśmy się jej pół godziny temu. Przez nią pani dyrektor musiała czekać. Niech idzie za mną

Gospodyni zostawia nas na chwilę w ogromnej, słabo oświetlonej bawialni, pełnej zakurzonych książek i schnących paproci. W kominku pali się ogień. Strzela i syczy, pochłaniając suche drewno. Za otwartymi podwójnymi drzwiami rozbrzmiewa śmiech i przez chwilę widać kilka młodszych dziewcząt w białych fartuszkach, leniwie idących przez hall. Jedna z nich zagląda do bawialni, zauważa mnie, po czym rusza dalej, jakbym była meblem. Ale po chwili wraca z kilkoma innymi. Z zachwytem wpatrują się w Toina, który stroszy przed nimi piórka i kłania się, co wywołuje falę rumieńców i głośnych chichotów.

Panie Boże, miej nas w swojej opiece!

Zaczynam się obawiać, że będę musiała użyć na braciszku po grzebaczka, żeby zakończyć ten spektakl. Na szczęście moje mor dercze zapędy nie znajdują ujścia, gdyż wraca ponura gospodyni. Czas już, byśmy pożegnali się z Tomem, co polega głównie na tym, że oboje wpatrujemy się w dywan.

- No, cóż, zobaczymy się w następnym miesiącu w Dniu Wizyt.

- Tak sądzę.

- Daj nam powody do dumy, Gemmo - mówi w końcu. Żadnych sentymentalnych pocieszeń w stylu: Kocham cię. wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Jeszcze raz posyła uśmiech gromadce adoratorek kryjących się w hallu i wychodzi. Zostaję sama.

-Tędy, panienko, proszę za mną - odzywa się gospodyni. Idę za nią do ogromnego, otwartego hallu, w którym znajduje się nie prawdopodobna podwójna klatka schodowa. Jeden bieg schodów zaczyna się po lewej, a drugi po prawej stronie. Lekki powiew z otwartego okna porusza żyrandolem nade mną. Jest olśniewający. Wisiorzy z przepięknych kryształów przeplatają się z metalowy mi wężami o wyszukanych kształtach.

- Proszę patrzeć pod nogi, panienko - ostrzega gospodyni. -Stopnie są strome.

Schody wiją się wokół pomieszczenia i w górę całymi kilometrami. Ponad balustradą widzę biało-czarne marmurowe płytki układające się w romby na podłodze daleko w dół. U szczytu schodów wita nas portret siwowłosej kobiety w sukni, która za pewne była krzykiem mody dwadzieścia lat temu.

- To pani Spence - informuje mnie gospodyni.

- Och - odpowiadam. - Czarująca.

Portret jest kolosalny - wrażenie jest takie, jakby przyglądało nam się oko Boga.

Idziemy dalej długim korytarzem do solidnych podwójnych drzwi. Gospodyni stuka w nie mięsistą pięścią i czeka. Z drugiej strony rozlega się głos: „Wejść” i zostaję wprowadzona do pokoju wyłożonego ciemnozielonymi tapetami we wzór z pawich piór. Za

Mroczny sekret

okazałym biurkiem siedzi mocno zbudowana kobieta o gęstych brązowych, przetykanych siwizną włosach i w okularach z metalowymi oprawkami na nosie.

- To już wszystko. Brigid - mówi, odprawiając ciepłą i serdeczną gospodynię. Dyrektorka kończy zajmować się korespondencją, podczas gdy ja stoję na perskim dywanie, udając, że jestem absolutnie zafascynowana porcelanową figurką małej niemieckiej mleczarki niosącej na ramionach pełne wiadra. Tak na-

prawdę mam ochotę odwrócić się na pięcie i jak strzała pomknąć do drzwi.

Przykro mi. pomyliłam się. Przypuszczam, że miałam się zgłosić do innej szkoły z internatem, prowadzonej przez ludzkie istoty, które zaproponowałyby dziewczynie po podróży herbatę albo chociaż krzesło. Zegar na kominku odmierza sekundy, a jego rytm budzi we mnie zmęczenie, z którym do tej pory dzielnie walczyłam.

W końcu dyrektorka odkłada pióro i wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka.

- Niech pani siada. Bez żadnego „proszę”. Albo „jeśli można prosić”. W efekcie czuję się równie mile widziana jak porcja tranu. Bestia próbuje przybrać pogodną minę, co wygląda tak, jakby cierpiała na atak bolesnych wiatrów.

- Nazywam się Nigtwing, jestem dyrektorką Akademii Spence. Mam nadzieję, że podróż była przyjemna, panno Doyle?

- Och, tak, dziękuję.

Tik-tak, tik-tak. tik-tak -Brigid zajęła się panienką odpowiednio?

- Tak, dziękuję.

tik. tik. tik. tak.

- Zazwyczaj nie przyjmuję dziewcząt w tak zaawansowanym wieku. Uważam, że trudniej jest im się

przystosować do stylu życia

w Spence. - Mam już więc na koncie wielki minus. - Ale w zaistniałych okolicznościach uważam, że naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest uczynić wyjątek. Przykro mi z powodu pani straty. Nic nie mówię, tylko wbijam wzrok w głupiotką niemiecką mleczarkę. Uśmiecha się, ma zaróżowione policzki i najprawdopodobniej wraca do malej wioski, w której czeka na nią mama i w której nie czają się żadne mroczne cienie.

Ponieważ nie odpowiadam, pani Nightwing mówi dalej.

- Wiem, że zwyczaj nakazuje przynajmniej roczny okres żałoby. Ja jednak uważam, że takie uporczywe trwanie w smutku nic jest zdrowe. Sprawia, że skupiamy się na martwych zamiast na żywych. Wiem, że to dość niekonwencjonalne podejście. - Spogląda na mnie znad okularów, żeby sprawdzić, czy się sprzeciwię. Nie sprzeciwiam się. - To bardzo ważne, żeby pani się tu odnalazła i funkcjonowała na równych prawach z innymi dziewczętami. W końcu niektóre z nich są z nami od lat, o wiele dłużej niż z własnymi krewnymi. Spence jest jak jedna rodzina, jej członkowie ma ją swój honor i uczucia, przestrzegają pewnych zasad i ponoszą konsekwencje swoich czynów. - Podkreśla ostatnie słowo. - A zatem będzie pani nosiła taki sam mundurek jak inne dziewczęta. Ufam, że się pani zgadza?

- Tak - odpowiadam. I choć ogarnia mnie lekkie poczucie winy za to, że tak szybko zrzucam żałobę, prawdę mówiąc, czuję też wdzięczność za szansę, by nie wyróżniać się z tłumu. Mam nadzieję, że dzięki temu będę niezauważalna.

- Wspaniale. Będzie pani w pierwszej klasie z sześcioma innymi młodymi damami w pani wieku. Śniadanie podajemy punktualnie o dziewiątej. Lekcje francuskiego prowadzi mademoiselle Le-Farge, rysunku panna Moore, muzyki pan Grunewald. Ja poprowadzę lekcje manier. Modlitwy odmawiamy co wieczór o szóstej w kaplicy. Właściwie... - Zerka na zegar kominkowy. - Już za chwileczkę wychodzimy. Kolacja zaczyna się o siódmej. Później jest czas wolny w wielkim salonie, lecz wszystkie dziewczęta muszą być w łóżkach przed dziesiątą. - Próbuje ułożyć usta w konfidencjonalny uśmiech, zazwyczaj prezentowany na pełnych czci portretach Florence Nightingale. Z mojego doświadczenia wynika, że ta kie uśmiechy oznaczają, iż prawdziwa wiadomość - ukryta pod pokładami dobrego wychowania i pozorów - będzie wymagała tłumaczenia

- Myślę, że powinna pani być tu bardzo szczęśliwa, panno Doyle.

Tłumaczenie: to jest rozkaz.

- Spence wychowała wiele wspaniałych młodych kobiet, które znalazły doskonałe partie.

Nie oczekujemy po tobie niczego więcej. Proszę, nie rób nic żenującego.

- Cóż, być może nawet pewnego dnia zajmie pani moje miejsce, jeśli okaże się, że absolutnie nie da się wydać cię za żąd i nie

skończysz w klasztorze w Austrii, szyjąc koronkowe koszule nocne.

Uśmiech pani Nightwing robi się nieco niepewny. Wiem, że czeka, aż powiem coś uroczego, coś, co upewni ją, że nie popełniła błędu, przyjmując pograżoną w żałobie dziewczynę, która wyda je się zupełnie niegodna nauki w Spence. No, dalej. Gemmo. Rzuć jej kość - powiedz, jaka jesteś dumna i szczęśliwa, że możesz należeć do rodziny Spence. Kiwam głową. Jej uśmiech znika.

- Podczas pobytu tutaj mogę być pani prawdziwym sprzymierzeńcem, jeśli będzie pani przestrzegająca zasad. W przeciwnym wypadku bezwzględnie zmuszę panią do posłuszeństwa. Rozumiemy się?

- Tak, proszę pani.

- Doskonale. Oprowdzę panią po domu, a potem przebierze się pani do modlitwy.

- Tu jest pani pokój. - Znajdujemy się na trzecim piętrze i idzie-my długim korytarzem, mijając kolejne pary drzwi. Na ścianach wiszą fotograficzne portrety różnych roczników absolwentek Spence -widać na nich ziarniste twarze, tym trudniejsze do rozpoznania, że kilka gazowych lamp daje bardzo słabe światło. W końcu docieramy do drzwi na końcu po lewej. Pani Nightwing otwiera je szeroko, a za nimi ukazują się ciasny, pachnący stęchlizną pokój, który optymistycznie można by nazwać niewesołym, a realistycznie - ponurym. Stoją tam biurko z poplamionym blatem, krzesło oraz lampa. Żelazne łóżka tulą się do lewej i do prawej ściany. Jedno wygląda na używane, leży na nim starannie ułożona kołdra. Drugie łóżko, moje, stoi wciśnięte w kącik pod stromym skośnym sufitem, o który prawdo podobnie mogłabym rozłupać sobie czaszkę, gdybym usiadła zbyt gwałtownie. To pokój mansardowy, jeden z tych co wystają z dachu niczym spóźniona refleksja - doskonały dla spóźnionej dziewczyny wpisanej na listę uczennic w ostatnim możliwym momencie.

Pani Nightwing przeciąga palcem po blacie biurka i krzywi się, znajdując kurz.

- Oczywiście, dajemy pierwszeństwo tym dziewczętom, które kontynuują u nas naukę - mówi w ramach przeprosin za mój no wy dom. - Myślę jednak, że pokój okaże się miły i praktyczny. Z okna roztacza się wspaniały widok.

Ma rację. Stojąc przed oknem, widzę zalany księżycowym światłem trawnik, ogrody, kaplicę na wzgórzu i wielką ścianę lasu.

- Rzeczywiście śliczny - mówię, starając się być zarówno miła, jak i praktyczna.

Oblaskawiam tym panią Nightwing, więc obdarza mnie uśmiechem.

- Będzie pani dzieliła pokój z Ann Bradshaw. Ann jest bardzo pomocna. To jedna z naszych stypendystek. Oto uprzejmy sposób powiedzenia „jedno z naszych dzieł dobroczynnych”, jakieś biedne dziecko umieszczone w szkole przez dalekiego krewnego albo jednego z dobroczyńców Spence, który ufundował stypendium. Koldra Ann jest starannie ułożona i wygładzona. Zastanawiam się, jaka naprawdę jest sytuacja tej dziewczyny, a także czy będzie się między nami układało na tyle dobrze, by zechciała mi o tym opowiedzieć.

Drzwi szafy są uchylone. W środku wisi mundurek — biała rozszerzana spódnica, biała bluzka z koronkowymi wstawkami na karczku i bufiastymi rękawami zwężającymi się w dopasowane mankiety. Do tego białe sznurowane buty oraz ciemnoniebieska aksamitna peleryna z kapturem.

- Może się pani przebrać na modlitwę. Poczekam chwilę. - Zamyka drzwi, a ja wślizguję się w mundurek i zapinam dziesiątki małych guziczków. Spódnica jest za krótka, ale poza tym strój wy daje się wygodny. Pani Nightwing natychmiast dostrzega problem i marszczy brwi.

- Jest pani dość wysoka. - Uwielbiam, gdy mi się to wypomina. - Powiemy Brigid, żeby doszyła lamówkę do rąbka spódnicy. -Odwraca się, a ja wychodzę w ślad za nią.

- Dokąd prowadzą te drzwi? - pytam, wskazując na zaciemnione skrzydło po drugiej stronie podestu, do którego dostępu bronią ciężkie drzwi zabezpieczone wielkim zamkiem. Tego typu zamków używa się, żeby nie wpuszczać ludzi do środka. Albo nie wypuszczać czegoś na zewnątrz.

Czoło pani Nightwing marszczy się, a usta zaciskają.

- To Wschodnie Skrzydło. Uległo zniszczeniu w pożarze wiele lat temu. Już z niego nie korzystamy, więc je zamknęliśmy. Oszczędzamy na ogrzewaniu. Chodźmy.

Mija mnie. Ruszam za nią, po czym zerkam do tyłu, a mój wzrok pada na dolną krawędź zamkniętych drzwi, pod którą widać dwucentymetrową smugę światła. Być może to z powodu późnej pory i zmęczenia podróżą albo tego, że zaczynam przywykać, iż widuję różne rzeczy, ale mogłabym przysiąc, że widzę cię przesuwający się po podłodze po drugiej stronie drzwi.

Nie. Precz!

Nie zgadzam się, aby przeszłość mnie tu odnalazła. Muszę się wziąć w garść. Na sekundę zamykam więc oczy i składam sobie obietnicę.

Nic tam nie ma. jestem zmęczona. Otworzę oczy i zobaczę tylko drzwi.

Kiedy otwieram oczy, nic tam nie ma.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Znów znajduję się w hallu, w którym tym razem zgromadziło się około pięćdziesięciu dziewcząt w aksamitnych pelerynach. Na pływa noc, kąpiąc pokój w purpurowej poświacie. Ciche rozmowy, od czasu do czasu zagłuszane przez śmiech, odbijają się echem od niskiego sufitu i opadają wokół mnie jak potłuczone szkło. Bicie kościelnego dzwonu obwieszcza, że czas już opuścić szkołę i od być kilometrowy spacer do kaplicy na wzgórzu.

Szybko rozglądam się wokół, żeby sprawdzić, czy znajdę tu kogoś w swoim wieku. Niedaleko drzwi stoi gromadka dziewcząt wyglądających na szesnaście lub siedemnaście lat. Z pochylonymi głowami szepczą coś między sobą i śmieją z jakiegoś tylko im znanego żartu. Jedna z nich jest niewiarygodnie piękna -ma ciemnobrązowe włosy i jasną twarz, która mogłaby zdobić medalion z kameą. To chyba najśliczniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałam. Obok niej stoją trzy inne, dziwnie do siebie podobne - zadbane, z arystokratycznymi profilami, każda przy ozdobiona drogocenną broszką lub grzebieniem we włosach. drobiazgami wyróżniającymi je spośród gawiedzi i podkreślającymi ich pozycję.

Towarzysząca im piąta dziewczyna pochwyciła mój wzrok. Wy daje się inna od pozostałych, jasnoblonde włosy ma starannie upięte w kok, jak przystoi młodej damie, ale mimo to fryzura wygląda nie sfornie, jakby wsuwki nie dawały rady jej utrzymać. W twarzy tak bladej, że wydaje się niemal opalizująca, lśnią niewielkie szare oczy pod wygiętymi w luk brwiami. Coś ją rozbawiło, odrzuca więc głowę do tyłu i wybucha serdecznym śmiechem, nawet nie starając się go stłumić. Mimo że ciemnowłosa dziewczyna stanowi ideał urody. to

właśnie blondynka przyciąga uwagę wszystkich obecnych. Najwyraźniej jest tu przywódczynią.

Pani Nightwing klaszcze w dłonie, a szmer rozmów zamiera falami

- Dziewczęta, chciałabym, abyście poznały nową uczennicę Akademii Spence. To Gemma Doyle. Panna Doyle przyjechała do nas z Shropshire i dołączy do pierwszej klasy. Większość życia spędziła w Indiach i pewna jestem, że chętnie wam opowie o tamtejszych osobliwych zwyczajach i nawykach. Ufam, że przywitacie ją odpowiednio w Spence i zapoznacie z panującymi tu zasadami. Umieram po tysiącokroć okrutną i niezwykłą śmiercią, gdy pięćdziesiąt par oczu zwraca się w moją stronę i szacuje mnie, jakbym była czymś, co ma zawisnąć nad kominkiem w gabinecie dżentelmena. Wszelkie nadzieje na to, że wmięszam się w tłum i pozostanę niezauważona, właśnie zostały unicestwione przez krótkie prze-mówienie pani Nightwing. jasnowłosa dziewczyna przechyla głowę na bok, taksując mnie wzrokiem. Ziewa, zasłaniając usta dłonią. po czym wraca do ploteczek ze swoimi przyjaciółkami. Może mimo wszystko jednak uda mi się wmięsząć w tłum.

Pani Nightwing ciasno wiąże pelerynę pod szyją, a następnie okazuje kierunek. - Idziemy na modlitwę, panienki. Uczennice rządkiem zmiierzają do drzwi, podczas gdy dyrektorka zbliża się do mnie, prowadząc za sobą jakieś dziewczę. - Panno Doyle, to jest Ann Bradshaw, pani współlokatorka. Pan-na Bradshaw ma piętnaście lat i uczy się w tej samej klasie. Będzie pani towarzyszyła dziś wieczór i pomoże się pani zaaklimatyzować. - Witaj - odzywa się dziewczyna, a w jej matowych, wodnistych oczach nie widać żadnych emocji. Przypominam sobie sta-rannie posłane łóżko i dochodzę do wniosku, że chyba nie jest zbyt pogodną osobą.

- Miło mi cię poznać - odpowiadam. Przez sekundę żadna z nas nic nie mówi, więc stoimy w niezręcznym milczeniu. Ann Bradshaw jest brzydką istotą o ziemistej cerze, przez co budzi podwójne poczucie winy. Panna bez pieniędzy, ale za to ładna, miałaby przynajmniej szansę na poprawienie swojej sytuacji życiowej. Do tego ciek nie jej z nosa. Wyciera go sfatygowaną koronkową chusteczką.

- Przeziębienia potrafią być bardzo dokuczliwe - zauważam. starając się okazać serdeczność.

Puste spojrzenie nie zmienia się.

- Nie jestem przeziębiona.

Świetnie. Dobrze, że się odezwałam. Panna Bradshaw i ja zawieramy znajomość w oszałamiającym stylu. Niewątpliwie zanim nadejdzie ranek, będziemy dla siebie niczym siostry. Gdybym mogła natychmiast odwrócić się na pięcie i odejść, chętnie bym to zrobiła.

- Kaplica jest tam - mówi, przełamując lody tą błyskotliwą uwagą. - Nie należy się spóźniać na modlitwę.

Przemykamy wśród drzew na samym końcu grupy, zmiierzając do stojącej na wzgórzu kaplicy z pruskiego muru. Napływa niska mgła. Układa się na ziemi, nadając okolicy niesamowity wygląd. Przed nami błękitne peleryny trzepoczą poruszone wieczornym wiatrem, aż gęstniejąca mgła pochłania wszystko prócz echa dziewczęcych głosów.

- Dlaczego rodzina przysłała cię tutaj? - pyta Ann w wyjątkowo niesympatyczny sposób.

- Chyba po to. żeby mnie ucywilizować. - Śmieję się cicho. Widzisz, jaka jestem wesolutka? Ha. ha. Ann zachowuje kamienną twarz.

- Mój ojciec zmarł, kiedy miałam trzy lata. Mama musiała podjąć pracę, ale wkrótce zachorowała i także umarła. Jej krewni nic chcieli, żebym u nich zamieszkała, ale nie potrafili oddać mi da przytułku. Wysiali mnie więc tutaj, żebym uczyła się na guwernantki.'

Jej szczerłość jest oszałamiająca. Nawet nie mruga okiem pod czas tych wszystkich wyznań. Nie bardzo wiem. jak zareagować.

- Och, bardzo mi przykro - mówię, kiedy udaje mi się odzyskać głos.

Matowe oczy wpatrują się we mnie.

- Naprawdę?

-No... tak. Dlaczego masz wątpliwości?

- Ponieważ ludzie mówią tak zazwyczaj po to, żeby dać im spokój. W rzeczywistości wcale tak nie myślą. Ma rację, a ja się rumienię. To coś, co wypada powiedzieć. Ile razy inni zwracali się tak samo do mnie w związku z moją sytuacją? We mgle potykam się o gruby korzeń wystający ze ścieżki i wymyka mi się ulubione przekleństwo mojego ojca.

- Niech to szlag!

Ann podrywa głowę. Niewątpliwie należy do świętoszek i będzie leciała do pani Nightwing za każdym razem, gdy krzywo na nią spojrzę.

- Wybacz, proszę, nie wiem doprawdy, jak mogłam odezwać

niegrzecznie - mówię, starając się zminimalizować szkodę. Na pewno nie mam ochoty na naganę już pierwszego dnia.

- Nie przejmuj się - odpowiada Ann, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje. Lecz w pobliżu nie ma żywego ducha, ponieważ idziemy jako ostatnie. - Tutaj wcale nie jest tak elegancko, jak to przedstawia pani Nightwing. To z pewnością intrygująca nowina.

- Naprawdę? Co masz na myśli?

- Nie powinnam o tym mówić - mityguje się.

Dźwięk dzwonu dryfuje przez mgłę wraz ze stłumionymi głosami. Poza tym panuje zupełna cisza. Ta mgła jest naprawdę niesamowita.

- Doskonałe miejsce na przechadzkę o północy - zauważam, starając się, aby zabrzmiało to figlarnie. Słyszałam, że ludzie lubią figlarne dziewczęta. - Może później przyjdą tu dokazywać wilkołaki? - Po zmroku możemy wychodzić tylko na nieszpory - oznajmia rzeczowo Ann. To tyle, jeśli chodzi o figlarność.

- Dlaczego?

- To wbrew zasadom. W nocy jest tu niezbyt przyjemnie. - Ann milknie i wyciera ciekący nos. - Czasami w lesie pojawiają się Cyganie.

Przypomina mi się kobieta, która zatrzymała powóz.

- Chyba spotkałam jedną Cygankę. Mówiła o sobie matka jakaś tam...

- Matka Elena?

- Tak, właśnie tak.

- Jest zupełnie szalona. Trzymaj się od niej z daleka. Może mieć nóż i zadźgać cię we śnie - mówi Ann z przejęciem.

- Wydawała się zupełnie nieszkodliwa...

- Tego nigdy nie można być pewnym.

Nie wiem, czy to z powodu mgły, dźwięku dzwonów czy lęku Ann, ale przyspieszam kroku. Dziewczyna, która miewa wizje, trafia na taką, która wierzy w nocne strachy. Może właśnie w ten sposób dobiera się towarzystwo w Spence?

- Będziesz w tej samej klasie co ja?

- Tak - przyznaję. - Kto jeszcze chodzi z nami? Wymienia imiona jedno po drugim.

- Oraz Felicity i Pippa. - Kończy i milknie, jakby powiedziała za dużo.

- Felicity i Pippa. Cóż za urocze imiona! - rzucam radośnie. Powinno się mnie zastrzelić za tak idiotyczny komentarz, ale umiem ram z ciekawości, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tych dwóch dziewczynach, które też są w naszej klasie.

Ann ścisza głos.

- One nie są urocze. Wcale, ale to wcale.

Dzwon w końcu przestaje bić, pozostawiając po sobie dziwną, pustą ciszę.

- Nie? Pół dziewczyny, pół wilki? Czy może oblizują noże do masła?

Ann nie tylko nie uznaje mnie za zabawną, ale w jej oczach po jawią się zimny, twardy błysk.

- Bądź przy nich ostrożna. Nie ufaj...

Przerywa jej chrapliwy głos, który rozlega się za naszymi plecami.

- Znów za dużo gadasz, Ann?

Obracamy się i widzimy dwie twarze wyłaniające się z mgły. Blondynka i piękność. Musiały zostać z tyłu, a potem podkraść się do nas. Matowy głos należy do blondynki.

- Nie wiesz, że to bardzo nieestosowne zachowanie? Ann otwiera usta, ale nie odpowiada.

Brunetka chichocze i szepcze do ucha blondynce coś, co znów wywołuje ten szczery, żywiołowy śmiech. Wskazuje na mnie.

- Ty jesteś ta nowa. tak?

Nie podoba mi się sposób, w jaki to mówi. Nowa. Jakbym była jakimś insektem, który nie został jeszcze do końca sklasyfikowany. Szkaradny okaz, rodzaj żeński.

- Gemma Doyle - przedstawiam się, starając się nie drgnąć i nie spuścić wzroku. Mój ojciec stosował taką sztuczkę, kiedy targował się o cenę. Ja targuję się teraz o coś bardziej nieokreślonego, ale o wiele ważniejszego - o swoje miejsce w hierarchii Spence. Mija sekunda, zanim blondynka odwraca się ode mnie i wbija chłodny wzrok w Ann.

- Plotkowanie to bardzo zły nawyk. Nie zgadzamy się na złe nawyki w Spence. panno Stypendium - mówi, nieprzyjemnie podkreślając ostatnie dwa słowa. To przypomnienie, że Ann nie należy do tej samej klasy i nie może być traktowana tak samo. - Otrzymałaś ostrzeżenie. Miło było cię poznać, panno Doily - dodaje, biorąc pod rękę brunetkę, która brutalnie potrąca mnie ramieniem, gdy przechodzą.

- Najmocniej przepraszam - mówi i wybucha śmiechem. Gdy-bym była mężczyzną, dałabym jej w nos. Ale nie jestem mężczyzną. Przybyłam tu, by zostać damą. Niezależnie od tego, jaki to budzi we mnie' wstręt.

- Chodźmy - odzywa się Ann drżącym głosem, gdy dziewczyny znikają. - Czas się pomodlić. Nie wiem, czy to uwaga ogólna, czy dotyczy przede wszystkim jej samej.

#

W pośpiechu przekraczamy próg cichej, przestronnej kaplicy i zajmujemy miejsca. Nasze kroki odbijają się echem od marmurowych posadzek. Sklepony sufit z drewnianych belek mający dobre pięć metrów nad nami. Świece w kandelabrach na bocznych ścianach rzucają długie cienie na drewniane ławki. W oknach znaj dują się witraże, kolorowe reklamy Boga, sielankowe sceny ukazujące anioły oddające się anielskim zajęciom: odwiedzaniu wieśniaków, przekazywaniu im dobrych nowin, głaskaniu owieczek, tuleniu dzieci. Jest też dziwny witraż przedstawiający odciętą głowę gorgony, obok której stoi anioł w zbroi i wywija ociekającym krwią mieczem. Chyba nigdy nie słyszałam tej konkretnej opowieści biblijnej - i nie mam na to ochoty. Obraz jest nieco makabryczny, więc kieruję uwagę na ołtarz, przy którym stoi pastor, wysoki i chudy jak strach na wróble.

Nazywa się wielebny Waite i prowadzi nas przez kolejne modlitwy. Wszystkie zaczynają się od „O, Panie”, a kończą tym, że jesteśmy czegoś niegodni - my, grzesznicy, którzy zawsze byli grzesznikami i będą nimi aż do śmierci. Nie jest to najbardziej optymistyczny pogląd, z jakim się zetknęłam. Ale pastor zachęca nas, byśmy nie ustawali w wysiłkach.

Muszę obserwować Ann i pozostałych, żeby wiedzieć, kiedy uklęknąć, kiedy wstać, a kiedy poruszać ustami do słów hymnu. Moja rodzina wyznaje niesprecyzowany anglikanizm, jak wszyscy inni, ale prawda jest taka. że w Indiach rzadko chodziliśmy do kościoła. W niedziele mama zabierała mnie na pikniki pod gorącym, bezchmurnym niebem. Siadałyśmy na kocu i słuchałyśmy, jak wiatr chłozcze suchą ziemię, pogwizdując do nas.

-To jest nasz kościół - mówiła, przeczesując palcami moje włosy.

Serce zaciska mi się w piersi w twardą kulę, gdy wypowiadam których nie czuję. Matka twierdziła, że większość Anglików Modli się z głębi duszy tylko wtedy, gdy potrzebują czegoś od Boga. Ja najbardziej potrzebuję, żeby moja mama wróciła. Ale to nie możliwe. Gdyby było inaczej, modliłabym się do dowolnego Boga i noc. Pastor siada, natomiast pani Nightwing wstaje. Ann wydaje cichy jęk.

- O. nie. Zamierza wygłosić mowę - szepcze.

- Robi to podczas każdych nieспорów? - pytam.

- Nie - odpowiada Ann, zerkając na mnie z ukosa. - Robi to na twój użytek.

Nagle czuję, że wszystkie oczy wpatrują się we mnie. No cóż, to z pewnością od razu usposobi do mnie koleżanki bardzo entuzjastycznie.

- Drogie panie - zaczyna pani Nightwing. - Jak wiecie, od dwudziestu czterech lat Akademia Spence cieszy się opinią jednej

najlepszych w Anglii szkół dla pań. Podczas gdy my będziemy wam wpajać umiejętności konieczne, abyście zostały dobrymi angielskimi żonami i matkami, gospodyniami oraz strażniczkami kobiecych tradycji Imperium, do was będzie należała troska o duszę oraz pielęgnowanie w sobie wdzięku, uroku i piękna. Tak brzmi motto Spence: Wdzięk, urok i piękno. Powstańmy i powtórzmy je wszystkie razem.

Rozlega się głośnie szuranie, a potem pięćdziesiąt dziewczyn staje na baczność i wypowiada ślubowanie z głowami uniesionymi wysoko w stronę przyszłości.

- Dziękuję. Możecie usiąść. Te, które kontynuują naukę u nas, powinny być przykładem dla innych. Po tych, które dopiero do nas dołączyły... - pani Nightwing przeszukuje wzrokiem kaplicę, aż znajduje mnie obok Ann - ...spodziewamy się, że dadzą z siebie wszystko.

Uznając, że w ten sposób nas odprawia, wstaje z ławki. Ann ciągnie mnie za spódnice.

- Ona dopiero zaczyna - szepcze.

I rzeczywiście pani Nightwing zaskakuje mnie paplaniną na te mat cnoty, dobrych manier, owoców odpowiednich na śniadanie, niefortunnego wpływu Amerykanów na brytyjskie społeczeństwo i jej własnych ciepłych wspomnień z okresu szkoły. Upływ czasu nie ma żadnego znaczenia. Czuję się, jakby porzucono mnie na pewną śmierć na pustyni, a ja czekam niecierpliwie, aż sępy rozpoczną swoje dzieło i zakończą moje cierpienia.

Długie rzucane przez świece cienie kładą się na ścianach, nadając naszym twarzom nawiedzony wyraz. W kaplicy panuje niezbyt krze piąca atmosfera. Właściwie jest upiornie. Na pewno nie chciałabym tu zostać sama po zmroku. Drzę na samą myśl o tym. Nareszcie pa ni Nightwing kończy swoje zawiklane przemówienie, czym sprawia, że odmawiam w myślach modlitwę dziękczynną. Wielebny Waite odczytuje błogosławieństwo i możemy wracać na kolację.

Jedna ze starszych uczennic stoi przy drzwiach. Kiedy ją mijam, podstawiła Ann nogę, a ta rozciąga się jak długa na podłodze. Dziewczyna ogląda się do tyłu, aby odszukać wzrokiem Felicity i Pippę.

Podaję Ann rękę i pomagam jej się podnieść.

- Nic ci się nie stało?

- Nie - odpowiada, spoglądając prosto przed siebie, co chyba jest jej dyżurną miną.

Ta, która podstawiła jej nogę, rusza naprzód.

- Naprawdę powinnaś być ostrożniejsza. Dziewczęta mijają nas, chichocząc.

- Wdzięk, urok i piękno - rzuca Felicity, z gracją przechodząc obok. Zastanawiam się, jak by wyglądała, gdyby ktoś w nocy obciął jej wszystkie włosy. Mój pierwszy wieczór w kościele nie uczynił ze mnie zbyt miłosiernej osoby.

Mgła na zewnątrz zgęstniała w szarą maź, która owija nam się wokół nóg. U stóp wzgórza majaczy niewyraźny kształt ogromnej szkoły, poprzecinany cienkimi smugami światła z okien. Tylko jedna część budynku pozostaje zupełnie ciemna. Domyślam się, że to

wschodnie Skrzydło, zniszczone w pożarze. Przyciało się, skulone i ciche niczym gargulce na dachu, jakby na coś czekało. Nie wiem na co. Poruszenie. Po mojej prawej stronie. Czarny płaszcz przemyka między drzewami, po czym znika we mgle. Nogi mam jak z waty. - Widziałas to? - pytam drżącym głosem. - Co?

- Tam. Przebiegi ktoś w czarnej pelerynie. - Nie, to tylko mgła. Wywołuje złudzenia. Wiem, co widziałam. Ktoś tam czekał i obserwował nas. - Jest zimno - dodaje Ann. - Chodźmy trochę szybciej, dobrze?

Prędko rusza naprzód, a mgła owija się wokół niej, aż dziewczyna staje się tylko błękitną plamą, cieniem znikającym w nicości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ktoś mnie obserwuje. Ta myśl towarzyszy mi podczas mdłego posiłku złożonego z jagnięciny z ziemniakami i budyniu. Kto i dla czego miałby mnie obserwować? To znaczy, kto poza dziewczętami mi ze Spence, które wpatrują się we mnie i szepczą do siebie nieustannie, przerywając, dopiero gdy pani Nightwing udziela jednej z nich reprimendy za to, że upuściła widelec.

Po kolacji mamy wolny czas, który spędzamy w wielkim salo nie. Mamy teraz chwilę, by poczuć się swobodnie - czytać, śmiać się, udzielać towarzysko albo po prostu spokojnie siedzieć. Wielki salon jest rzeczywiście ogromny. Środek jednej ze ścian zajmuje potężny kominek. Sześć pięknie rzeźbionych marmurowych kolumn tworzy krąg na środku pomieszczenia. Zdobia je mityczne stwory: skrzydlate wróżki, nimfy i satyry. Dziwny wystrój, delikatnie mówiąc.

W jednym końcu pokoju młodsze dziewczynki bawią się lalkami. Kilka innych czyta, haftuje lub plotkuje.

W najbardziej atrakcyjnej części salonu Pippa i Felicity zabawiają rozmową kilka innych dziewcząt. Felicity oddzieliła kąt do siedzenia i zaanektowała go, dekorując egzotycznymi szalami, które sprawiają, że wygląda tam jak w namiocie szejka. Niezależnie od tego, co mówi do dziewcząt, one spijają jej słowa z ust. Nie mam pojęcia, jakie to ekscytujące, ponieważ nie zostałam zaproszona. Nie żebym chciała. W każdym razie nie za bardzo.

Nigdzie nie widzę Ann. Nie mogę stać jak głupek na środku pokoju, więc znajduję sobie spokojne miejsce w pobliżu buzującego ognia i otwieram pamiętnik mamy. Chociaż nie zaglądałam do niego prawie od miesiąca, dziś jestem w odpowiednim nastroju, żeby

się podręczyć. Eleganckie pismo mamy tańczy na stronie. To zadziwiające, że wystarczy widok słów napisanych przez nią na papierze, aby łzy zaczęły szczypać mnie w oczy. Tak wiele wspomnień o niej zaczęło już blaknąć. Chcę się ich trzymać. Czytam zatem, przeglądając strona po stronie zapiski na temat podwieczorków i zwiedzania świątyń oraz listy spraw związanych z prowadzeniem domu, aż docieram do ostatniego wpisu.

2 czerwca. Gemma znów się na mnie gniewa. Rozpaczliwie pragnie pojechać do Londynu, jej żelazna wola jest zatrwająca, a ja czuję się już tym wszystkim wyczerpana. Co przyniesie dzień jej urodzin? Czekanie jest trudne, a jej nienawiść do mnie bardzo bolesna.

Zdania rozmazują się, słowa zlewają, a łzy płyną. Tak bardzo żałuję, że nie mogę wrócić do przeszłości i

wszystkiego zmienić.

- Co robisz? - pyta Ann, pochylając się nade mną.

Nie podnosząc głowy, wierzchem dłoni ocieram wilgotne policzki.

- Nic. Ann zajmuje miejsce i wyciąga z koszyka robótkę na drutach. - Ja też lubię książki. Czytałaś może Perypetie Lucy: historia pewnej dziewczyny?

- Nie, raczej nie.

Znam ten rodzaj literatury - tanie

, sentymentalne bzdury o źle

traktowanych dziewczętach, które odnoszą triumf nad przeciwnościami losu, nigdy nie tracąc słodkiej, łagodnej kobiecej uległości,

tka wysoko przez wszystkich cenionej. O dziewczętach z gatunku

tych, które nigdy nie przysporzyłyby zmartwień i cierpień swojej

rodzinie. Zupełnie innych niż ja. Nie potrafię zapanować nad rozgoryczeniem.

- Zaraz, poczekaj - mówię. - To książka, której bohaterką jest jakaś biedna, nieśmiała dziewczyna przebywająca w szkole z internatem, gdzie wszyscy ją dręczą za to, że jest taką niedołągą. Czyta niewidomym lub wychowuje kalekiego brata, a może nawet niewidomego i kalekiego brata. A na końcu wszyscy odkrywają, że tak naprawdę jest księżniczką czy kimś takim, i wyjeżdża, aby prowadzić wyśławne życie w Kent. A wszystko tylko dlatego, że przyjmowała swój los z uśmiechem i chrześcijańską pokorą. Co za nonsens!

Wstrzymuję oddech. Usłyszało mnie kolko hałciarek-plotkarek. które chichoczą, wstrząśnięte i zachwycone zarazem moim brakiem manier.

- To wszystko jest możliwe - mówi miękko Ann.

- No oczywiście - odpowiadam z niepewnym śmiechem, tak jakbym liczyła na to, że w ten sposób złagodzę opryskliwe słowa. -Znasz jakieś osierocone dziewczęta, które żyły w zapomnieniu. a potem zostały wyniesione do godności księżnych?

Zapanuj nad sobą. Gemmo. Nie wolno ci krzyczeć.

W głosie Ann pojawia się nowa determinacja.

-Ale to mogłoby się zdarzyć. Prawda? Osierocona dziewczyna, po której nikt się wiele nie spodziewa, porzucona w szkole, ponieważ krewni uznali ją za zbędny ciężar, dziewczyna, z której inne się wyśmiewają za brak wdzięku, uroku i urody... być może ta dziewczyna pewnego dnia im wszystkim pokaże!

Wpatruje się w ogień, zawzięcie pracując nad robótką, a druty szczękają w wełnie jak dwa ostre kły. Zbyt późno uświadamiam sobie, co zrobiłam. Zanegowałam sedno nadziei Ann: nadziei na to, że może stać się kimś innym, kimś, kto nie spędzi reszty swoich dni jako guwernantka dzieci jakiegoś bogacza, przygotowująca je do wspaniałego życia i możliwości, które jej nigdy nie będą pisane.

- Tak - mówię cichym, schrypniętym głosem. -Tak, sądzę, że to się może wydarzyć.

-Te dziewczyny, te, które źle osądziły... Lucy. Pewnego dnia gorzko pożałują, prawda?

- Tak, pożałują - zgadzam się. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc siedzimy i patrzymy, jak ogień strzela i pluje iskrami.

Naszą uwagę przyciągają salwy głośnego śmiechu w odległym kącie pokoju. Z namiotu szejka, w którym nadal siedzą pozostałe

Mroczny sekret

dziewczęta. wyłania się Pippa. Powoli podchodzi do nas, po czym wsuwa rękę pod ramię Ann.

- Ann, kochanie, Felicity i ja czujemy się po prostu potwornie, że tak cię wcześniej potraktowałyśmy. To było z naszej strony bardzo niechrześcijańskie zachowanie.

Twarz Ann nadal jest spokojna, ale pokrywa ją rumieniec, więc wiem, że jest zadowolona i przekonana, iż oto zaczyna się jej no-we, wspaniałe życie wśród pięknych. Koniec Perypetii Ann.

- Mama Felicity przystała pudełko czekoladek. Masz ochotę się do nas przyłączyć?

Ja nie otrzymuję zaproszenia. To wielka zniewaga. Dziewczę-ta po drugiej stronie pokoju czekają, jak ją przyjmę. Ann zerka na mnie z poczuciem winy i wiem, co odpowie. Będzie siedziała i za jadła czekoladki z dziewczynami, które ją dręczyły. I wiem już, że Ann jest równie pusta jak cała reszta. Jeszcze bardziej niż przedtem pragnę wrócić do domu, niestety nie mam już żadnego domu.

- No cóż... - odzywa się Ann, spoglądając na swoje stopy. Powinnam pozwolić, by czuła zakłopotanie, zmusić ją, by zrobiła mi afront, ale nie zamierzam dawać im jeszcze większej satysfakcji.

- Ależ idź - mówię, błyskając uśmiechem tak promiennym, że przyćmiłby słońce. - Ja naprawdę muszę

nadrobić zaległości w lek turze.

Tak, a poza tym, gdybym się do was przyłączyła, mogłabym jeszcze dobrze się bawić, a to by była prawdziwa hańba. Proszę, nie przejmujcie się mną. Pippa rozplywa się w uśmiechach.

- Jaka dobra koleżanka! Chodźmy, Ann.

Odprowadza Ann na drugi koniec salonu. Na użytek dziewczyn obserwujących mnie z namiotu udaję, że ziewam, siadam wygodniej i ponownie otwieram pamiętnik mamy, dając wszystkim do

zrozumienia, że cała ta sytuacja kompletnie mnie nie obeszła.

Przewracam strony, jakbym była całkowicie pochłonięta treścią

dziennika, choć wszystko to już czytałam. Co one sobie wyobraża ją, żeby mnie tak traktować?

Odwracam następną stronę i jeszcze jedną. Z namiotu dobiegają coraz głośniejsze chichoty. Czekoladki

są prawdopodobnie z Manchesteru. A te szaliki wyglądają śmiesznie. Felicity ma tyle fantazji co Bank

Anglii. Moje palce trafiają na coś szeleszczącego i sztywnego w środku zeszytu. Wcześniej tego nie

zauważyłam. To artykuł z brukowej londyńskiej gazety, z rodzaju tych, których istnienia wyższe klasy

zdają się nie zauważać. Był składany tyle razy, że tusz na zagięciach i w innych miejscach zupełnie się

wytarł, więc trudno go odczytać. Wychwytyuję tylko najważniejsze punkty, coś o „skandalicznych sekretach w szkołach dla dziewcząt”.

To oczywiście brednie, ale dlatego właśnie wydają się tak fascynujące. Artykuł w sensacyjny sposób

przedstawia wydarzenia w szkole w Walii, z której wyszło kilka dziewcząt i „wszelki ślad po nich zaginał”.

„Cnotliwa róża Anglii ścięta tragicznym sztyłem samobójstwa” w szkole dla dziewcząt w Szkocji.

Wzmianka o dziewczynie, która „zupełnie postradała zmysły” po tajemniczych rytuałach w „diabolicznych, okultystycznych kręgach”. Diaboliczne jest to, że ktoś zarabia pieniądze na tych śmieciach.

Już mam odłożyć wycinek, kiedy u samego dołu dostrzegam wzmiankę na temat pożaru w Spence

dwadzieścia lat temu. Ale wycinek jest zbyt zniszczony, by dało się cokolwiek przeczytać. To takie

podobne do mojej mamy, żeby przechowywać ten parszywy artykuł i wydłużać listę trapiących ją

zmartwień. Nic dziwnego, że nie chciała mnie wysłać do Londynu. Bała się, że skończę jako temat na

pierwszej stronie brukowców. To zabawne, że te jej cechy, które przedtem trudno mi było znieść, teraz budzą bolesne ukłucie w sercu.

W sanktuarium Felicity rozlega się wrzask.

- Mój pierścionek! Co zrobiłaś z moim pierścionkiem? - Szale rozchylają się gwałtownie. Ann wychodzi

tylem, pozostałe dziewczyny napierają na nią, a Felicity oskarżycielskim gestem wyciąga w jej stronę

palec. - Gdzie on jest? Mów natychmiast!

- Ja g-go nie mam. N-nic n-nie z-zrobiłam. - Ann potyka się o słowa. a ja uświadamiam sobie, że jej

bezbarnowość i opanowanie muszą po części wynikać z wysiłku, jaki wkłada w to, żeby się nie jąkać.

- N-nic? D-dlaczego ci n-nie w-wierzę? - Głos Felicity przepełnia szyderstwo i nienawiść. - Zapraszam

cię, żebyś z nami po-

siedziała, a ty się tak odwdzięczasz za moją uprzejmość? Mogłam się tego spodziewać po kimś takim jak ty.

Wszystkie wiemy, co oznacza „takim jak ty”. Z niższej klasy. Pospolitym. Brzydkim, biednym i

beznadziejnym. Na zawsze po-zostaniesz tym, kim się urodziłaś. Taka jest ogólna wymowa jej słów.

Do dziewcząt zbliża się imponująca kobieta o niebrzydkiej twarzy,

- Co się tutaj dzieje? - pyta, stając między Ann, która się kuli, a Felicity, która wygląda, jakby gotowa była upiec ją na ruszcie.

Pippa szeroko otwiera oczy, jak aktorka grająca rolę niewiniątka w kiepskiej sztuce.

- Och, panno Moore! Ann ukradła Felicity pierścionek z szaf-

rem

Felicity na dowód wyciąga palec bez pierścionka i próbuje przybrać żalony wyraz twarzy.

- Miałam go wcześniej i zauważyłam, że zniknął tuż po tym, jak ona tu przyszła.

Nie jest to zbyt przekonujące przedstawienie. Małpka katarzyniarza potrafi lepiej oszukiwać, ale trudno stwierdzić, czy panna

Moore da się nabrać tym dwóm, czy nie. W końcu mają pieniądze i pozycję, a Ann nie ma nic. To

zdumiewające, jak często racja stoi po stronie człowieka, na którego korzyść działają te dwa elementy.

Przygotowuję się na to, że nauczycielka upokorzy Ann na oczach wszystkich, zmuszając ją, by przyznała

się do winy - a także obrzucając przeróżnymi strasznymi określeniami. Jest taki rodzaj niezamężnych dam,

które czerpią radość z dręczenia innych pod pozorem „dawania dobrego przykładu”. Ale panna Moore

zaskakuje mnie i nie połyka przynęty.

- No dobrze, poszukajmy na podłodze. Może gdzieś upadł. Proszę, dziewczęta, pomóżmy panie Worthington znaleźć pierścionek, dobrze?

Ann stoi, wpatrując się w czubki swoich butów, niezdolna po ruszyć się ani odezwać, jakby spodziewała się, że i tak zostanie uznana za winną. Wiem, że powinnam jej współczuć, ale nadal czuję się dotknięta tym, jak mnie porzuciła, a niezycziwa część mnie uważa, że dziewczyna dostaje to, na co sobie zasłużyła, okazując tamtym zaufanie. Wszystkie uczennice przesuwają krzesła i zagładają za zasłony, bez przekonania szukając pierścionka.

- Nie ma go — oświadcza po chwili triumfalnie dziewczyna o wychudzonej twarzy.

Panna Moore wzdycha przeciągle i na moment przygryza dolną wargę. Gdy się odzywa, jej głos brzmi miękko, ale zdecydowanie.

- Panno Bradshaw, czy zabrała pani ten pierścionek? Jeśli się pani przyzna, kara będzie łagodniejsza. Twarz Ann pokrywa się plamami. Powraca jąkanie.

- N-nie, p-proszę p-ani. N-nie z-zabrałam.

- Tak to się kończy, gdy kogoś z jej klasy przyjmuje się do szkoły takiej jak Spence. Wszystkie padniemy ofiarą jej zawiści. -Felicity napawa się chwilą. Pozostałe dziewczyny potakująco kiwa ją głowami. Owce. Wylądowałam w szkole pełnej owiec.

- Wystarczy, panno Worthington. - Panna Moore unosi brew. Felicity patrzy na nią gniewnie, wspierając dłoń na biodrze.

- Ten pierścionek dostałam od ojca na szesnaste urodziny. Z pewnością tata nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że prezent został skradziony i nikt nic nie zrobił w tej sprawie.

Panna Moore odwraca się do Ann i wyciąga rękę.

- Przykro mi, panno Bradshaw, ale muszę prosić o pozwolenie, by zajrzeć do pani koszyczka z robótkami. Skrajnie nieszczęśliwa Ann oddaje koszyk, a ja nagle dokładnie wiem, co się stało i co się stanie później. To bardzo podły psikus Panna Moore znajdzie pierścionek. Incydent zostanie odnotowany w szkolnych aktach Ann. Jaka rodzina zatrudni guwernantkę, której przypięto etykietkę złodziejki? A ta biedna, głupia dziewczyna

po prostu stoi, gotowa przyjąć swój los. Panna Moore wyciąga olśniewający błękitny szafir z koszyczka, a w jej oczach przez chwilę widać smutek i rozczarowanie, zanim udaje jej się odzyskać opanowanie i przybrać maskę powściągliwości oraz dobrych manier.

- Cóż, panno Bradshaw. co ma pani do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Połączenie głębokiej rozpacz i rezygnacji sprawia, że Ann zwiesza głowę i ramiona. Usta Pippy wykrzywiają się w wesołym uśmiechu, a Felicity w kpiącym, gdy dziewczyny wymieniają szybkie spojrzenia. Zastanawiam się, czy to kara dla Ann za to, że rozmawiała ze mną wcześniej po drodze do kaplicy. Czy też ostrzeżenie dla mnie, żebym uważała?

- Lepiej chodźmy do panny Nightwing. - Panna Moore bierze Ann za rękę, aby zaprowadzić ją na egzekucję. A ja powinnam

wrócić do kominka i czytać dalej. Rozsądek podpowiada mi, że powinnam być cicho, wmieszać się w tłum, trzymać stronę zwycięzców. Czasami jednak mój rozsądek zdecydowanie przegrywa z temperamentem.

- Ann, kochanie - mówię, parodiując wcześniejszy przyjacielski

tom Pippy. Wszyscy wydają się zaskoczeni tym, że się odezwałam, a najbardziej ja sama. - Nie bądź taka skromna. Powiedz prawdę panie Moore. Ann wpatruje się w moją twarz wielkimi oczami, próbując zrozumieć.

- P-prawdę?

- Tak - odpowiadam w nadziei, że poradzę sobie z dalszym ciągiem. - Prawdę. O tym, że panna Worthington zgubiła pierścionek dziś wieczorem podczas nieśporów. Znalazłaś go i dla bezpieczeństwa schowałaś w koszyczku na robótki.

- To dlaczego nie oddała go od razu? - Felicity postępuje krok do przodu, wyzywając mnie na pojedynek. Jej szare oczy znajdują się zaledwie kilkanaście centymetrów od moich.

Sprytnie, sprytnie. Rozegraj to dobrze, Gem.

- Nie chciała cię zawstydzić na oczach wszystkich, pokazując, że tak beztrósko traktujesz rzecz równie cenną jak podarunek od ojca. Czekala więc na odpowiedni moment. Wiesz przecież, jaka Ann jest serdeczna. - Odrobina Perypetii Lucy. Lekki policzek dla Felicity w postaci jej własnej pretensjonalnej

historyjki o kochanym, starym ojczulku. W sumie nieźle.

Panna Moore szacuje mnie wzrokiem. Trudno powiedzieć, czy mi uwierzyła.

- Panno Bradshaw, czy to prawda? Dalej. Ann. Podejmij grę. Oddaj cios.

Ann przełyka głośno ślinę i unosi podbródek.

- T-tak, prawda. Grzeczna dziewczynka.

Czuję się całkiem z siebie zadowolona, dopóki nie napotykam wzroku Felicity, która patrzy na mnie z mieszaniną podziwu i nienawiści. Wygrałam tę rundę, ale wiem, że z dziewczynami takimi jak Felicity i Pippa nie kończy się na jednej walce.

- Cieszę się, że to ustaliliśmy, panno...? - Nauczycielka wpatruje się we mnie.

- Doyle. Gemma Doyle.

-Cóż, panno Gemmo Doyle, jesteśmy pani dłużniczkami. Pewna jestem, że panna Worthington podziękuje wam obu za odzyskanie zguby, mam rację?

Po raz drugi tego wieczoru panna Moore zaskakuje mnie i je stem niemalże pewna, że widzę pełen satysfakcji uśmiešek czający się w kącikach jej typowych brytyjskich ust.

- Mogła zgłosić się wcześniej i nie straszyć tak nas wszystkich - mówi Felicity w ramach podziękowania.

- Wdzięk, urok i piękno, panno Worthington - napomina ją. nauczycielka, z dezaprobatą kiwając palcem.

Felicity wygląda jak dziewczynka, której właśnie spadł na ziemię lizak. Ale po chwili znowu rozplywa się w uśmiechach, a cała gorycz znika, ukryta głęboko.

Mroczny sekret

- Wydaje się, że mam u ciebie dług. Gemmo - dodaje. Prowokuje, z wracając się do mnie tak nieformalnie po imieniu, choć jej

na to jeszcze nie pozwoliłam.

- Nie ma sprawy, Felicity - odbijam piłeczkę.

-Ten pierścionek to prezent od mojego ojca, admirała Worthingtona. Może o nim słyszałaś?

Połowa anglojęzycznego świata słyszała o admirałce Worthingtonie, bohaterce marynarki wojennej, odznaczonym przez samą królową Wiktorię.

- Nie, nic wydaje mi się - kłamię.

- Jest bardzo sławny. Przysłała mi mnóstwo prezentów ze swoich podróży. A mama prowadzi salon w Paryżu, więc kiedy Pippa

i ja skończymy szkołę, pojedziemy do Paryża, gdzie mama nas

ubierze u najlepszych francuskich krawców. Może ciebie też ze sobą weźmiemy.

To coś nowego. Kolejne wyzwanie. Chcą wiedzieć, czy stać mnie, by dotrzymać im kroku.

- Może - odpowiadam. Ann nie zostaje zaproszona.

- To będzie wspaniały sezon, choć zapewne Pippie przypadnie lwią część uwagi. - Pippa, słysząc to, promienieje.

Jest taka śliczna, że tłumy młodych mężczyzn będą stawały na uszach, byle tylko móc się jej przedstawić. - Ty i ja po prostu będziemy musiały dobrze się bawić.

- I Ann - podpowiadam.

-Tak, i Ann oczywiście. Droga Ann. - Felicity śmieje się i szybko całuje Ann w policzek, co sprawia, że dziewczyna znowu się rumieni. Tak jakby wszystko poszło w niepamięć.

Zegar wybija dziesiątą i w drzwiach pojawia się pani Nightwing.

- Czas do łóżek, panienki. Życzę wam dobrej nocy. Dziewczęta wychodzą dwójkami i trójkami, trzymając się pod

ręce i głośno rozprawiając. Ekscytacja wywołana wydarzeniami tego wieczoru trwa nadal,

rozprzestrzeniając się niczym zaraza prze-noszona szeptem od jednej dziewczyny do drugiej. Jak w

majowym tańcu wokół słupa wchodzimy w kółko po schodach, a potem po

następnych, zbliżając się do labiryntu drzwi, za którymi znajdują się nasze pokoje.

W końcu nie potrafię dłużej powstrzymać złości na Ann.

- Nie ma za co, skoro o tym mowa.

- Dlaczego to zrobiłaś? - pyta. Czy nikt tu nie potrafi powie dzieć prostego „dziękuję”.

- A dlaczego się nie broniłaś? Wzrusza ramionami.

- Po co? Z nimi nie da się wygrać.

- Tu jesteś, Ann, kochanie. - Pippa podchodzi i przytrzymuje Ann za ramię, żeby Felicity mogła się wślizgnąć na miejsce obok mnie. Jej głos przy moim uchu brzmi cicho jak podczas spowiedzi.

- Muszę pomyśleć o tym, jak ci się odwdziżyć za znalezienie mojego pierścionka. Mamy taki swój prywatny klub: Pippa, Cecily, Elizabeth i ja, ale może znajdzie się też miejsce dla ciebie.

- Jakaż ze mnie szczęściara! Zaraz popędzę i kupię sobie z tej okazji nowy czepek.

Oczy Felicity zwężają się, lecz uśmiech nie schodzi z jej twarzy.

- Niektóre dziewczyny oddałyby wszystko, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

- Wspaniale. Więc z nimi porozmawiaj.

- Posłuchaj, daję ci szansę urzędzenia się w Spence. Przynależności do grupy i zyskania szacunku innych dziewczyn. Może powinnaś to przemyśleć.

- Przynależności do grupy w takim sensie, w jakim dziś wieczór przynależała do niej Ann? - pytam.

Oglądam się na koleżankę, idącą kilka stopni poniżej, znowu z ciekącym nosem.

Felicity zauważa mój wzrok.

- Nie chodzi o to, że nie chcemy przyjąć Ann. Rzecz w tym, że jej życie nie będzie nigdy takie jak nasze, Jesteś dla niej bardzo miła, a przecież dobrze wiesz, że nie będziecie mogły się przyjaźnić na zewnątrz.

To o wiele okrutniejsze - dawać jej nadzieję i zwodzić ją.

Ma rację. Nie ufam jej ani odrobinę, lecz ma rację. To prawda przykra i okrutna, ale jednak prawda.

- Gdybym była zainteresowana przyłączeniem się do was - nie mówię, że jestem, ale gdybym była - to musiałabym zrobić?

- Jeszcze nic - odpowiada, a na jej twarzy pojawia się uśmiech, który bynajmniej nie napawa mnie beztroską. - Nie przejmuj się, przyjdziemy do ciebie.

Unosi spódnicę i wbiega po schodach, przemykając obok nas niczym kometa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Budzi mnie jakiś dźwięk. Gwałtownie otwieram oczy, otrząsając się z resztek snu. Leżę na prawym boku. twarzą do łóżka Ann. Drzwi oraz to, co mogło przez nie wejść, znajdują się w moich nogach, w dalszym końcu pokoju. Żeby się temu przyjrzeć, musiałabym się poruszyć, usiąść lub przesunąć, a nie chcę zdradzić, że już nic śpię. Oto logika pięciolatki: skoro ja czegoś nie widzę, to coś nie może widzieć mnie. Niewątpliwie dzięki podobnym założeniom wielu nieszczęśników skończyło z odciętymi głowami.

No dobrze. Gem. nie ma sensu się bać. To prawdopodobnie nic takiego. Mrugam i pozwalam oczom przywyknąć do mroku. Prze? szczelinę w długich aksamitnych storach smugi księżycowego światła sięgają do ściany i prawie dotykają niskiego sufitu. Na zewnątrz gałąź z piskiem ociera się o szybę w oknie. Wytężam słuch. starając się pochwycić jakiś inny dźwięk, dowód czyjejś obecności w naszym pokoju. Nie słyhać nic prócz rytmicznego pochrapywania Ann. Przez chwilę myślę, że coś musiało mi się przyśnić. I wtedy znów to słyszę. Trzeszczenie desek w podłodze pod naciskiem ostrożnych kroków dowodzi, że to jednak nie dzieło mojej wyobraźni. Przymykam powieki, zostawiając wąskie szparki, przez które mogę patrzeć, udając jednak, że śpię. Nie oddam życia bez walki. Jakaś postać podchodzi bliżej. Zupełnie zasycha mi w ustach. Intruz wyciąga rękę, a ja zrywam się błyskawicznie, uderzając głową w skos nad łóżkiem.

Syczę z bólu, zapominając o nocnym gościu i trzymając się dłonią za pulsujące czoło.

Zaskakująco drobna dłoń zatyka mi usta.

- Chcesz obudzić całą przeklętą szkołę? - Felicity pochyla się nade mną, a w świetle księżycy jej twarz wydaje się płaska i blada. Mogłaby być obliczem samego księżycy.

- Co ty tutaj robisz? - pytam, dotykając palcami rosnącego tuż przy linii włosów guza wielkości gęsiego jaja.

- Mówiłam ci, że po ciebie przyjdziemy.

-Ale nie mówiłaś, że to będzie w środku przeklętej nocy - od-powiadam takim samym tonem jak ona. Jest w niej coś, co sprawia, że chcę wyrzucić na niej wrażenie, pokazać, że jestem godnym jej przeciwnikiem i że tak łatwo ze mną nie wygra.

- Chodź. Chcę ci coś pokazać. - Co?

Mówi do mnie wyraźnie jak do dziecka.

- Chodź ze mną, to ci pokażę.

Głowa nadal mnie boli po uderzeniu. Ann chrapie cicho, zupełnie nieświadoma naszej rozmowy.

- Wróc rano - odpowiadam, opadając z powrotem na po-duszkę. Jestem na tyle przytomna, by wiedzieć, że to. co Felicity

chce mi pokazać o tej porze, nie może prowadzić do niczego dobrego

- Nie powtórzę tej propozycji. Teraz albo nigdy.

Idź spać. Gem. To nie brzmi zbyt obiecująco. Oto odzywa się

moje sumienie. Ale moje sumienie nie będzie musiało przez następne dwa lata prowadzić pustych rozmów przy herbatce, nudząc

się do granic katatonii. To jest wyzwanie, a ja jeszcze nigdy w życiu nie zrezygnowałam z żadnego wyzwania.

- W takim razie dobrze. Wstaję - mówię. A potem, na wszelki wypadek, żebym nie wydawała się zbyt miękka, dodaję: - Ale lepiej niech to będzie coś naprawdę dobrego.

- Och, będzie. Obiecuję. Wychodzę za Felicity z mojego pokoju, potem idziemy długim korytarzem, mijając pokoje ze śpiącymi dziewczętami ukrytymi za ścianami, na których wiszą obrazy kobiet z przeszłości Spence. Portrety ubranych w białe suknie duchów o ponurych twarzach, których zgorzkniałe usta zaciśnięte są mocno w wyrazie dezaprobaty dla tej malej eskapady, ale ich oczy wydają się mówić: „Idź”. Idź, dopóki możesz. Wolność trwa tak krótko.

Gdy docieramy do szerokiego podestu, zatrzymuję się.

- A co z panią Nightwing? - pytam, zerkając w górę wielkich schodów wiodących na czwarte piętro, którego nie mogę dostrzec w ciemności.

- Nie przejmuj się nią. Gdy już wypije sobie szklaneczkę sherry, wyłącza się na całą noc.

Felicity rusza na dół.

- Poczekaj! - szepczę, starając się nikogo nie obudzić. Dziewczyna zatrzymuje się i odwraca do mnie, a jej blada twarz ma drwiący wyraz. Kołysząc biodrami, wchodzi na schodek tuż przede mną.

- Jeśli chcesz się tu zajmować wyszywaniem sentencji Pani. pobłogosław nasz dom i naukę gry w tenisa w gorsecie i w spódnicy. wracaj do łóżka. Ale jeśli chcesz naprawdę się zabawić, to...

Po czym śmiga lekko w dół i skręca na kolejny bieg schodów, gdzie już jej nie widzę.

Pippa czeka na nas w wielkim salonie. Ogień w kominku wygasi, jeszcze tylko kilka polan się tli, trzeszcząc i iskrząc, ale nie dając już ani prawdziwego ciepła, ani światła. Dziewczyna ukrywa się za dużą paprocią. Teraz wyskakuje zza niej, oczy ma szeroko otwarte i jest wyraźnie zaniepokojona.

- Czemu to trwało tak długo?

- Załedwie kilka minut - odpowiada Felicity.

- Nie lubię tu czekać. Wszystkie te oczy na kolumnach... Mam wrażenie, że mnie obserwują.

Oblicza marmurowych chochlików i nimf nabierają w półmroku makabrycznego wyrazu. Wydaje się, że pokój żyje, dostrzega każdy nasz ruch, liczy każdy oddech.

- Nie bądź taką ofermą. Przecież odważne z nas dziewczyny, czyż nie? Gdzie reszta?

Jakby na dany znak, po schodach schodzą dwie dziewczyny. Zostają przedstawiona Elizabeth, drobnej, podobnej do szczura istocie, która wyraża swoją opinię dopiero wtedy, gdy zrobią to już wszyscy inni, oraz Cecily o wychudłej twarzy, która na mój widok pogardliwie krzywi wąskie usta. Marthy, tej, która podstawiła nogę w kaplicy, nie ma wśród nich, więc rozumiem, że nie należy do klubu, a jedynie tego pragnie. Dlatego wyrzuciła Ann - żeby wkupić się w łaski dziewcząt.

- Gotowe? - pyta z uśmiechem Cecily.

W co ja się wpakowałam? Dlaczego nie powiem po prostu: „Dobrze. Kochane, było uroczo. Bardzo dziękuję za te figle o północy na terenie starej rezydencji. Żałowałabym niezmiernie, gdybym nie zobaczyła, jak salon budzi się do życia w tej cudownej, koszmarniej poświacie, ale teraz już wrócę do łóżka”? Zamiast tego wychodzę za nimi na trawnik, gdzie księżyc w pełni barwi świat na żółto zza cienkiej powłoki wysokich chmur. W powietrzu nadal wisi ta przekłeta mgła i jest potwornie zimno. Mam na sobie tylko koszulę nocną. Sprytnie dziewczęta wzięły przynajmniej błękitne peleryny.

- Chodźcie. - Felicity kieruje się w stronę kaplicy na wzgórzu, a gęsta mgła pochłania ją załedwie po kilku krokach. Ruszam za nią, a pozostałe dziewczyny tuż za mną, więc wycofanie się nie wchodzi już w grę.

Decyzja, aby iść za Tajemniczymi Siostrami w mglistą noc aż do drzwi kaplicy, zdecydowanie przestaje mi się podobać.

- Mamy taką tradycję w Spence - odzywa się Felicity. - To taka ceremonia inicjacyjna dla nowych dziewcząt, które mogą się okazać godne wstąpienia do naszego wewnętrznego kręgu.

- Czy można mieć wewnętrzny krąg z załedwie czwórką członkiń? - pytam, prezentując znacznie większą odwagę, niż czuję. - To brzmi raczej jak wewnętrzny kwadrat, prawda?

- Masz szczęście, że w ogóle się tu znalazłaś - upomina mnie Cecily.

Tak, czuję, że mam nieprawdopodobne szczęście, maszerując na tym lodowatym zimnie w samej koszuli nocnej. Niektórzy mogliby to nazwać skrajną głupotą, ale ja zachowuję pewien optymizm.

- Na czym zatem polega ta tajemna inicjacja?

Elizabeth spogląda na Felicity, czekając na pozwolenie, żeby odpowiedzieć.

- Musisz tylko zabrać coś z kaplicy.

- To znaczy ukraść coś? - pytam i choć bardzo mi się nie po doba kierunek, w jakim to wszystko zmierza, tkwię w tym już za głęboko, żeby się wycofać.

- To nie jest kradzież. Przecież nie wyniesiesz niczego poza teren Spence. To tylko sposób, by udowodnić, że można na tobie polegać - wyjaśnia Felicity.

Mam kilka sekund na zastanowienie i choć najrozsądniej było by powiedzieć, że nie interesuje mnie to i że wracam do łóżka, za miast tego pytam:

- Co mam stamtąd zabrać?

Chmury zmieniają się w cienkie smugi. Na ziemię leje się maślane światło księżyca. Felicity otwiera usta i językiem przesuwając po górnych zębach, jakby sprawdzała ich stan.

- Wino mszalne.

- Wino mszalne? - powtarzam.

Pippa wydaje taki dźwięk, jakby kaszłała, a potem zaczyna chi chotać, i wiem już, że jest to zaimprovizowane żądanie, dodatkowe wyzwanie ze strony Felicity.

Cecily wygląda na osłupiałą.

- Ależ Fee, to świętokradztwo!

- Tak. nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł... - zaczynam.

- Naprawdę? A ja sądzę, że to pomysł wprost doskonały - przerywa mi ostro Felicity. Córka admirała nie lubi, gdy załoga jej się sprzeciwia. - A ty, Elizabeth? Co ty na to?

Marionetka Elizabeth spogląda na swoje dwie mistrzynię, Felicity i Cecily.

- Och, wydaje mi się... Wtrąca się Pippa:

- Uważam, że to fantastyczny pomysł. Mogłabym przysiąc, że słyszę, jak drzewa szepczą: „Idiotka”.

W co ja się wpakowałam?

- Nie powiesz chyba, że boisz się tam wejść sama? - rzuca Felicity.

Dokładnie tego się boję, ale raczej nie mogę się do tego przyznać.

- Co się stanie, kiedy wielbny Waite odkryje, że wino mszalne zniknęło? Czy nie nabierze podejrzeń?

Z ust Felicity wymyka się pełne pogardy „ha!”.

- Ten pijak będzie pewnie myślał, że sam je wypił. Poza tym

o tej porze roku w okolicy zawsze kręcą się Cyganie, Jeśli będzie my musiały, możemy zrzucić winę na nich.

Nie podoba mi się ten pomysł. Mam wrażenie, że od czasu niesporów drzwi kaplicy zrobiły się większe i bardziej złowieszcze.

Lecz mimo obaw wiem, że wejdę do środka.

- Gdzie on trzyma wino? Pippa popycha mnie w stronę drzwi.

- Za ołtarzem. Jest tam skrytka.

Z całej siły napiera na rygiel i odsuwa go. Wrota otwierają się ZE skrzypieniem, ukazując mrok, który jednoznacznie kojarzy się

Z wnętrzem grobowca.

- Nie możecie oczekiwać, że znajdę wino po ciemku.

- Spróbuj wymacać drogę rękami - odpowiada Felicity, wpychając mnie do środka.

Nie mogę uwierzyć, że znajduję się wewnątrz ciemnej, ponurej kaplicy gotowa popełnić potworne świętokradztwo. Nie kradnij.

Przypomina mi się to jako jedno z tych przykazań Boga, które

oznaczają: „Lepiej tego nie rób, bo inaczej będę musiał zetrzeć cię

na proch”. Nie sądzę też, by na moją korzyść świadczyło to, że zamierzam ukraść coś, co Kościół uważa za świętą krew Chrystusa.

Nie jest jeszcze za późno, nadal mogłabym zawrócić i pójść spać.

Mogłabym, ale wtedy na zawsze utracę władzę, jaką mam nad tymi dziewczynami.

Dobra. W takim razie lepiej szybko załatwić sprawę. Poświata z otwartych drzwi rozjaśnia przedsionek, ale dalszy koniec kaplicy, w którym znajdują się ołtarz oraz wino, tonie w zupełnych ciemnościach.

Ruszam w tamtą stronę i słyszę, jak drzwi zamykają się ze skrzypieniem, światło znika wraz z dziewczętami, a potem rozlega się głuchy stuk drewnianego rygla na zewnątrz. Chcą mnie tu uwięzić. Bez namysłu rzucam się ramieniem na drzwi w nadziei, że zdążę je otworzyć. Niestety, nie ustępują. I, prawdę mówiąc, jest to dość bolesne doświadczenie.

Głupia, głupia, głupia. Gem. Czego się spodziewałam? Jak mogłam dać się nabrać na historyjkę o tym, że chcę, abym należała do ich klubu? W mojej głowie rozbrzmiewa głos Ann: Po co? Z nimi nie da się wygrać. Nie mam czasu, żeby się nad sobą użalać. Muszę pomyśleć.

Powinno być stąd jakieś inne wyjście. Trzeba je tylko znaleźć. Wydaje się, że wewnątrz kościoła wypełniają ruchome cienie. Pod ławkami przemykają myszy, a ich łapki chroboczą na marmurowej posadzce. Skóra

mi cierpnie na samą myśl o nich. Ale księżyc świeci mocno. Światło wpada przez witrażowe okna, ożywiając anioła oraz głowę gorgony, której oczy połyskują złotem w ciemnościach.

Idę dalej, wyczuwając ręką ławkę za ławką, w nadziei, że nie nadepnę na futrzastego gryzonia albo na coś jeszcze gorszego. Wszystkie dźwięki wydają się wyolbrzymione. Stukotanie nocnych stworów. Trzeszczenie i jęki drewna na wietrze. W myślach strofuję się za to, że dałam się tak wstrętnie nabrać. Mamy taką małą ceremonię inicjacyjną tutaj w Spence - uwielbiamy znęcać się nad innymi. Piękno, wdzięk i urok, doprawdy! Oto szkoła dla sadystek, które potrafią też serwować herbatę. Stuk-stuk. Trzaśnięcie.

Feticity jest zapewne równie blisko spokrewniona z admirałem Worthingtonem jak ja. Stuk-stuk. Trzaśnięcie.

Nawet nie chcę jechać do Paryża.

Stuk-stuk. Kaszlnięcie.

Kaszlnięcie. Ja nie kaszlałam. A skoro nie ja, to kto?

Trzeba sekundy, żeby ta informacja dotarła do moich nóg i teraz potykając się, biegnę środkową nawą najszybciej, jak potrafię. Trafiam stopą na pierwszy schodek przed ołtarzem. Potykam się i wy ciągam jak długa na twardym marmurze, a ostra krawędź stopnia wbija mi się w nogę. jednak słyszę za sobą kroki, więc dźwigam się na kolana i na dłonie, i na czworakach pędzę w kierunku organów, za którymi dostrzegam drzwi, ledwie uchylone. Wyczuwam ostatni stopień i stoję na drżących nogach, żeby pobiec za obietnicą tego, co znajduje się po drugiej stronie. Wyciągam rękę i...

Coś znajduje się nad moją głową. Dobry Boże, muszę mieć przywidzenia, ponieważ coś, ktoś przelatuje nad moją głową i lą dużej z głuchym odgłosem między mną i wyjściem. Czyjaś dłoń za ciska się na moich ustach, dławiając krzyk. Drugie ramię obejmuje mnie mocno i unieruchamia.

Instynktownie wpijam się zębami w rękę intruza. Zostaję bez ceremonialnie ciśnięta na podłogę. Po chwili zrywam się znów na nogi i skaczę w stronę drzwi. Tym razem napastnik chwyta mnie za kostkę i upadam tak ciężko, że widzę jasne światelka pod za mkniętymi powiekami. Próbuję się odczołgać, lecz głowa i kolana

za bardzo mnie bołą.

- Przestań. Proszę. - Głos jest młody, męski i dziwnie znajomy.

W ciemności zapala się zapalka. Wpatruję się w nią, a światło wypełnia wnętrze latarni. Wylewa się i obejmuje zarys szerokich ramion oraz czarnego płaszcza, a potem dociera do twarzy o dużych, ciemnych oczach okolonych długimi rzęsami. To nie wyobraźnia. On naprawdę tu jest. Zrywam się na nogi, ale jest szybszy i blokuje mi dostęp do drzwi.

- Będę krzyczała. Przysięgam, że będę. - Mój głos brzmi zaledwie jak szelest w ciemności.

Chłopak jest spięty i gotowy, nie wiem na co, ale ta świadomość sprawia, że moje serce zaczyna się tłuc jak oszalale.

- Nie będziesz. Jak wyjaśnisz, co tu ze mną robisz w środku nocy tak nieodpowiednio ubrana, panno Doyle?

Odruchowo obejmuję się ramionami próbując zasłonić swoje kształty pod cienką, białą koszulą. On mnie zna wie jak się nazywam. Słyszę w uszach łomotanie krwi. Jak długo będzie trwało aż ktoś usłyszy moje krzyki? Czy w ogóle jest tam ktokolwiek kto mógłby mnie usłyszeć?

Staję za ołtarzem, chcąc, by nas rozdzielił.

- Kim jesteś?

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Znasz moje nazwisko. Czemu ja nie mogę znać twojego? Rozważa to, a potem odpowiada krótko

- Kartik.

- Kartik. Czy to prawdziwe imię?

- Przedstawiłem się, to wystarczy.

- Czego chcesz?

- Tylko porozmawiać. Myśl. Gemmo. Zagadaj go.

- Śledziłeś mnie. Dzisiaj na dworcu, kolejowym i podczas nieszporów.

Kiwa głową.

- Popłynąłem na gapę „Mary Elizabeth” z Bombaju. Ciężka to była podróż. Wiem, że Anglicy okropnie sentymentalnie podchodzą do morza, ale ja zdecydowanie mógłbym bez niego żyć.

Lampa rzuca na ścianę jego cień przypominający jakiegoś skrzydlatego, wiszącego nad nami stwora.

Chłopak nadal pilnuje drzwi. Żadne z nas się nie porusza.

- Dlaczego? Po co przejechałeś taki kawał drogi?

- Jak już wspomniałem, muszę z tobą porozmawiać. - Robi krok naprzód. Cofam się, więc nie idzie dalej -
Chodzi o tamten dzień i o twoją matkę.

-Co wiesz o mojej matce? - Płoszę ptaka ukrywającego się. wśród krokwi. W panice trzepocząc
skrzydłami, przelatuje na sąsiednią belkę.

Mroczny sekret

- Przede wszystkim wiem, że nie zmarła na cholereę. Biorę głęboki wdech.

-Zamierzasz szantażować naszą rodzinę...

- Nic w tym rodzaju. - Kolejny krok naprzód.

Moje dłonie drżą niepewnie na chłodnym marmurze ołtarza, gdy zastanawiam się, czy będę musiała
walczyć.

- Mów dalej.

- Widziałas, jak to się stało, prawda?

- Nie. - Kłamstwo sprawia, że mój oddech robi się płytki i szybki.

- Kłamiesz.

- N-nie... Ja...

Błyskawicznie wskakuje na ołtarz i kuca przede mną, trzymając latarnię zaledwie kilka centymetrów od
mojej twarzy. Z łatwością mógłby mnie oparzyć albo skrócić mi kark.

- Po raz ostatni pytam, co widziałas?

W ustach kompletnie mi zaschło ze strachu, który sprawia, że gotowa jestem powiedzieć cokolwiek.

- Ja... Widziałam, jak zginęła. Jak oboje zginęli. Młodzieniec mocno zaciska zęby.

- Mów. Oddycham z trudnością, w moim gardle narasta szloch. Jakoś udaje mi się nad nim zapanować.

- Pró... Próbowałam ją zawołać, ale nie słyszała. A potem... -Co?

Nieznośny ciężar przygniata moją pierś, sprawiając, że muszę walczyć o wypowiedzenie każdego słowa.
- Nic wiem. To wyglądało tak, jakby cienie zaczęły się poruszać... Nigdy niczego podobnego nie
widziałam... To jakiś odrażający stwór.

Z niewiadomego powodu dobrze się poczułam, wyjawiając zupełnie obcemu człowiekowi to, co ukrywam
przed wszystkimi innymi.

- Twoja mama odebrała sobie życie, tak?

- Tak - szepczę zaskoczona, że on o tym wie.

- Miała szczęście.

- Jak śmiesz...

- Zaufaj mi, miała szczęście, że to coś jej nie zabrało. Jeśli chodzi o mojego brata, jemu tak dobrze nie
poszło.

- Co to jest?

- Nic, z czym mogłabyś walczyć.

- Widziałam to jeszcze raz. Gdy jechałam tutaj powozem. Miałam kolejną... wizję.

Chłopak jest zaniepokojony. Widzę jego strach i żałuję, że cokolwiek mu powiedziałam. Jednym ruchem
zeskakuje z ołtarza i staje przed mną.

- Posłuchaj mnie uważnie, panno Doyle. Nie wolno ci nikomu mówić o tym, co widziałas. Rozumiesz?

Światło księżyca przenika przez witraż nikłymi smużkami.

- Dlaczego?

- Ponieważ narazisz się w ten sposób na niebezpieczeństwo.

- Czym było to, co widziałam?

- Ostrzeżeniem. A jeśli nie chcesz, żeby doszło do następnych potwornych wydarzeń, to nie dopuścisz do
kolejnych wizji.

Noc, głupie psikusy, strach i wyczerpanie sprawiają, że wybucham szyderczym śmiechem, którego nie
mogę pohamować.

- A jak, oświeć mnie, błagam, mam to osiągnąć? Bynajmniej nie prosiłam się o te wizje.

- Zamknij przed nimi umysł, a wkrótce przestaną przychodzić.

- A jeśli mi się nie uda?

Bez słowa wyciąga szybko rękę i obejmuje dłonią delikatne kostki mojego nadgarstka, mocno go
ściskając.

- Uda ci się.

Kolo głównej nawy jakaś mysz zbiera się na odwagę i przebiega na drugą stronę kościoła, gdzie znowu
staje się tylko cichym drapiącym odgłosem. Zginam się wół, pokonana bólem. Chłopak puszcza mnie,
uśmiechając się z zadowoleniem. Podnoszę ramię i rozcieram piekącą skórę.

- Będziemy cię pilnować.

Przy ciężkich dębowych drzwiach kaplicy rozlega się stuk. Słyszę śpiew pijanego wielebnego Waite'a, gmerającego przy ryglu przeklinającego, gdy ten z głośnym łupnięciem opada z powrotem. Nie wiem, czy mam być wdzięczna, czy przerażona faktem, że mnie tu znajdzie. W ciągu tej sekundy, gdy odwróciłam się, że-by spojrzeć na drzwi, mój prześladowca zniknął. Po prostu prze padł. Wyjście jest niestrzeżone. Mogę uciec. I wtedy ją zauważam - karafka z winem mszalnym czeka na mnie w skrytce. Drewniany rygiel ustępuje. Pastor jest już prawie w środku. Ale dziś w nocy nic będzie mu dane napić się wina. Tuląc karafkę w ramionach, przemykam przez boczne drzwi i zatrzymuję się w ciemnej klatce schodowej. A jeśli on czeka na mnie u stóp tych cienistych schodów? Lekko zamroczony wielebny Waite wola:

- Jest tam kto?! Gnam po schodach i wypadam z tyłu kaplicy, niczym wystrzelona z procy. Chwiejnym biegiem pokonuję całą drogę w dół wzgórza i dopiero gdy w zasięgu mojego wzroku pojawiają się imponujące mury Spence. staję, by zaczerpnąć tchu. Rozlega się kra-kanie kruka, a ja podskakuję ze strachu. Mam wrażenie, że zewsząd wpatrują się we mnie oczy. Będziemy cię pilnować.

Co miał na myśli? Co za „my”? I dlaczego ktokolwiek chciał-by interesować się dziewczyną, która nie ma nawet na tyle rozumu. by przechytrzyć kwartet szkolnych kawalarek? Co on wie o mojej mamie?

Patrz na szkołę. Gemmo. Nic ci się nie stanie. Nie spuszczam wzroku z rzędów okien przede mną.

Chwieją się w górę i w dół przy każdym kroku. Nie dopuścisz do następnych wizji.

To śmieszne. Naprawdę zabawne. Tak jakbym miała nad nimi jakąś kontrolę. Jakbym mogła tak po prostu zamknąć oczy, choćby

w tej chwili, i na żądanie mieć wizję. Mój oddech zwalnia i staje się

głośniejszy. Całe moje ciało robi się ciepłe i odprężone, jakby unosiło się w rozkosznej, słodko pachnącej różami kąpieli. Gdy dociera do mnie zapach róż, szybko otwieram oczy.

Emanując delikatnym blaskiem, stoi przede mną mała dziewczynka, którą widziałam wtedy w alejce. Kiwa na mnie dłonią.

- Chodź.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dokąd idziemy?

Nie odpowiada, tylko wbiega między drzewa, a jej blask prowadzi mnie przez noc niczym światło latarni.

- Poczekaj - proszę. - Nie tak prędko.

- Musimy się spieszyć.

Przemyka przez ścieżkę. Co ja wyprawiam? Zrobiłam jedyną rzecz, której mi zakazano - wywołałam kolejną wizję. Ale skąd mogłam wiedzieć, że potrafię to zrobić, kiedy tylko zechcę? Teraz znajdujemy się na czymś w rodzaju polany. Tuż przed nami widać ciemne wzgórza. Boję się, że cienie ożyją i że usłyszę ten sam upiorny głos co w alejce, ale dziewczynka nie wydaje się przestraszona. Wzgórze okazuje się wydrążone, a w jego wnętrzu znajduje się jaskinia. Mała prowadzi mnie w pachnącą wilgocią ciemność. Jej blask wypełnia grotę, ale i tak ledwie widzę cokolwiek poza kawałkiem skały i plamą lśniącego mchu.

- Za tym głazem. - Dłonią, żarzącą się i drobną, wskazuje na najbliższą ścianę groty, pod którą leży wielki kamień. - Ona mówi, że masz tam zajrzeć.

- Kto to jest „ona”?

- Mary, oczywiście.

- Powiedziałam ci już, że nie znam żadnej Mary.

Kłócę się z wizją, z duchem. Zanim się zorientuję, będę twierdziła, że jestem królową Rumunii, i chodziła po parku owinięta prześcieradłem zamiast peleryny.

- Ale ona cię zna, panienko.

Mary. To chyba najbardziej pospolite dziewczęce imię w całej Anglii. A jeżeli to tylko podstęp, taki sprawdzian? Chłopak powiedział, że grozi mi niebezpieczeństwo. A jeśli to niezemskie dziewczętko jest wrogim duchem, który chce mnie skrzywdzić? A jeśli bajki na dobranoc służące do dyscyplinowania dzieci - opowieści o duchach, goblinach i czarownicach, które podstępem skłaniają do wyrzeczenia się duszy - mówią prawdę? A ja jestem uwięziona w ciemnej grocie z jakąś złowieszczą siłą, która tylko wygląda jak bezbronny urwis?

Przełykam ślinę, ale gardło nadal mam ściśnięte.

- A jeżeli nie zechcę tam zajrzeć?

- Ona mówi, że musisz, panienko. To jedyny sposób, abyś zrozumiała, co się z tobą dzieje. Abyś zrozumiała moc.

Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Wiem jedynie, że nie szczególnie mam ochotę odwracać się do niej plecami.

- To dlaczego ty tego nie przyniesiesz? Kręci głową.
- Ona mówi, że sama musisz to znaleźć. Tak się postępuje w międzyświecie. Jestem zmęczona, zmarznięta i nie mam już nastroju na żadne tajemnice.
- Nic z tego nie rozumiem. Po prostu powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi!
- Lepiej niech się panienka pospieszy.

Spojrzenie dużych brązowych oczu szybko wędruje w stronę wejścia do jaskini i z powrotem, a ja drzę na myśl o tym, czego boi się dziewczynka.

Cokolwiek się wydarzy, nie mogę wiedzieć mniej, niż wiem te raz. Głaz jest spory, ale da się go ruszyć. Z pewnym wysiłkiem przesuwam go na bok. W ścianie grotty znajduje się dziura głębokości ramienia. Serce mi łomocze, gdy badam palcami zimną, twardą skałę w środku. Jeden Bóg wie, co tam może pełzać. Muszę zagryźć wargi, żeby powstrzymać krzyk. Dopiero kiedy wsuwam całe ramię, wyczuwam coś pod palcami. Tkwi solidnie za kleszczone między kamieniami i muszę mocno ciągnąć, żeby wy dobyć to na zewnątrz. Okazuje się, że to oprawny w skórę dziennik. Otwieram go na pierwszej stronie. Na ziemię opada obłok kurzu, resztę wycieram. Pod okładkę wetknięta jest koperta. Papier szeleści w moich palcach, gdy wyciągam ze środka jedną kartkę.

Co cię przeraża?

Co sprawia, że unoszą ci się włoski na ramionach, dłonie się pocą, dech zamiera w piersi jak dziki ptak uwięziony w klatce?

Czy to ciemność? Ulotne wspomnienie opowieści na dobranoc o duchach, goblinach i czarownicach kryjących się w cieniach? Czy może sposób, w jaki wiatr wzmaga się tuż przed burzą, posmak wilgoci w powietrzu, który sprawia, że chcesz biec do domu i bezpiecznie usiąść przy kominku?

Czy może to coś ważniejszego, bardziej przerażającego? Potwór ukryty tak głęboko w tobie, że nigdy nie zdołałaś ujrzeć go w całości, wielka niewiadoma twojej własnej duszy, gdzie tajemnice gromadzą się ze straszną mocą?

Jeśli posłuchasz, opowiem ci historię - a jej duchów nie przegna ogień miło strzelający na kominku.

Opowiem ci o tym, jak się zna lażyliśmy w międzyświecie. w którym tworzą się sny. decyduje się przeznaczenie, a magia jest równie realna jak odcisk dłoni na śniegu. Opowiem ci, jak otworzyliśmy naszą własną puszkę Pandory. zasmakowałyśmy wolności, splamiłyśmy nasze dusze krwią i złymi wyborami, a także wypuściłyśmy na świat koszmar, który zniszczył wielki Zakon. Te strony stanowią zapis wszystkiego, co doprowadziło do tego zimnego, szarego świtu. Nie potrafię powiedzieć, co będzie dalej.

Czy twoje serce bije szybciej?

Czy wydaje ci się, że na horyzoncie gromadzą się chmury?

Czy skóra na twojej szyi zdaje się mocno napięta, jakby w oczekiwaniu na pocałunek, którego zarazem pragniesz i obawiasz się?

Czy będziesz się bala?

Czy poznasz prawdę?

Mary Dowd, 7 kwietnia 1871

Czy to ta Mary, która uważa, że mnie zna? Ja nie znam żadnej Mary Dowd. Boli mnie głowa i jest mi zimno w samej koszuli nocnej

- Powiedz Mary, żeby zostawiła mnie w spokoju. Nie chcę tej mocy, którą mi oferuje.

- Ona nie oferuje ci mocy, panienko, tylko pokazuje drogę.

-No. a ja nie chcę nią iść! Rozumiesz, Mary Dowd?! - krzyczę, a mój własny głos wraca do mnie echem. To wystarczy, żeby uwolnić mnie od wizji. Stoję sama w jaskini z pamiętnikiem w dłoniach.

Życie Mary Dowd spoczywa na moim łóżku i kusi mnie. Zanies

ję z powrotem i pochowaj. Ale niestety moja ciekawość jest zbyt wielka. Kładę się, zapalam świecę, stawiam ją na parapecie i czy-

tam. ile się da, w tym słabym świetle. Dowiaduję się, że w roku 1871 Mary Dowd ma szesnaście lat.

Uwielbia spacerować po lesie, tęskni za rodziną, chciałaby mieć jaśniejszą cerę. Jej ukochaną przyjaciółką jest Sarah Rees-Toome, będąca „najbardziej uroczą i cnotliwą istotą na świecie”. Są nierozłączne niczym siostry, a ja

odkrywam, że robię się zazdrosna o dziewczynę, której nigdy nie spotkałam. Ogółem pierwszych dwadzieścia stron pamiętnika to beznadziejna nuda i nie rozumiem, czemu jego właścicielka chciała, żebym to przeczytała. Zmęczenie sprawia, że powieki mi ciężą, a głowa opada, więc chowam dziennik na

dnie szafy, obok kija do krykieta taty. A potem zapadam w sen, wyrzucając go z myśli. Śnię o mamie. Delikatnie odgarnia moje włosy do tyłu, jej ciepłe palce przesuwają się przez nie jak promienie słońca, a ja czuję się bardzo przyjemnie i robię się senna. Mocno obejmuje mnie ramionami, lecz wyślizguję się z jej objęć i idę do ruin antycznej świątyni. Między ciężkimi zielonymi pędami winorośli, która zarosła cały ołtarz, wiją się węże. Nagle nadchodzi burza, a gęste chmury zasłaniają niebo. Znów ukazuje mi się mama. z twarzą stężałą ze strachu. Reaguje szybko, zdejmując amulet i rzuca mi go. Naszyjnik zawisa w powietrzu, obracając się powoli, zanim wyląduje w moich rękach. Kącik srebrnego oka rozcina mi się dłoń. Z rany sączy się krew. Unoszę wzrok i widzę, że mama coś do mnie woła, próbując przekrzyknąć burzę. Zagłusza ją wycie wiatru. Jednak udaje mi się usłyszeć jedno słowo. Uciekaj!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy się budzę, jest jasny błękitny poranek, a słońce wlewa się przez okna i rysuje wzory na podłodze. Wszystko na zewnątrz wydaje się złociste. Nikt nie każe mi niczego ukraść. Żaden młody mężczyzna nie przekazuje mi zagadkowych ostrzeżeń. Nie ma dziwnych dziewczynek emanujących blaskiem, podczas gdy ja muszę przeszukiwać ciemne zakamarki. Jest tak, jakby wydarzenia poprzedniej nocy nigdy nie nastąpiły. Wyciągam ręce nad głowę próbując przypomnieć sobie dziwny sen o mamie, ale nie chce wrócić. Pamiętnik leży w szafie i zamierzam go tam zostawić aby pokrył się kurzem. Dziś zaprzęta mnie przede wszystkim myśl o zemście.

- Obudziłaś się - stwierdza Ann. Jest kompletnie ubrana i siedzi na starannie zasłanym łóżku, przyglądając mi się.

- Tak - potwierdzam.

- Lepiej się ubierz, jeśli chcesz zjeść ciepłe śniadanie. Na zimno jest niejadalne. - Milknie i wpatruje się we mnie. - Posprzętałam bieliznę, które naniostaś.

Szybko zerkam na łóżko i, och, widzę moją brudną stopę, wy stającą pomiędzy sztywnych, białych prześcieradeł. Szybko ją zakrywam.

- Dokąd chodziłaś?

Nie mam ochoty na tę rozmowę. Na zewnątrz świeci słońce Na dole smaży się bekań. Moje życie zaczyna się dziś na nowo. Postanawiam oficjalnie uznać to za fakt.

- W żadne szczególne miejsce. Po prostu nie mogłam spać -kłamie, zmuszając się do uśmiechu, który wygląda, mam nadzieję promiennie.

Ann przygląda się, jak nalewam wodę do miski z malowanego w kwiatki dzbanka i szoruję pokryte bielizną stopy oraz kostki. Aby nie urazić jej skromności, wchodzę za parawan, wkładam przez głowę białą koszulę, a potem przeciągam szczerką po moich lokach Meduzy i upinam je w ciasny kok na karku.

Szpilka do włosów drapie mnie po wrażliwej skórze głowy i żałuję, że nie mogę nosić rozpuszczonych włosów tak jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką.

Pojawia się problem gorsetu. Nie dam rady sama go sobie za sznurować na plecach, a wygląda na to, że nie ma tu pokojówki, która pomaga w ubieraniu. Z westchnieniem zwracam się do Ann.

- Czy mogłabyś mi pomóc?

Mocno zaciąga sznurowadła, wyciskając mi powietrze z płuc. aż mam wrażenie, że żebra zaraz mi pękną.

- Troszkę luźniej - piszczę.

Spełnia moją prośbę i teraz czuję się tylko skrzepowana, a nie okaleczona.

- Dziękuję - mówię, kiedy kończy.

- Masz smugę brudu na szyi.

Wolałabym, żeby przestała mi się tak bacznie przyglądać. W stoją cym na biurku małym lusterku odnajduję plamę tuż pod brodą. Liżę palec i ścieram ją w nadziei, że to urazi uczucia Ann na tyle, by odwróciła wzrok, zanim poczuje się zmuszona do zrobienia czegoś na prawdę obrzydliwego - zdrapywania strupów, wyciskania pryszczycy czy szukania włosów w nosie - żeby zyskać trochę prywatności. Po raz ostatni zerkam na siebie w lusterku. Twarz spoglądająca na mnie nie jest piękna, ale też na jej widok konie by nie poniosły. Tego ranka. gdy słońce ogrzało moje policzki, bardzo przypominam matkę.

Ann chrząka głośno.

- Naprawdę nic powinnaś się włożyć sama po okolicy.

Nie byłam sama. Ona o tym wie, ale ja nie rwę się, żeby opowiadać Ann o upokorzeniu, jakie zafundowały mi dziewczyny. Mogłaby uznać, że to nas łączy jako osoby wyrzucone poza nawias towarzystwa, lecz ja stanowię innego rodzaju osobliwość, a moje dziwactwo jest zbyt skomplikowane, żeby je wyjaśniać czy

się nim dzielić.

- Następny razem, gdy nie będę mogła zasnąć, ciebie też obudzę - obiecuję. - Dobry Boże, co ci się stało?

Wewnętrzna strona nadgarstka Ann wygląda koszmarnie, po kryta cienkimi, czerwonymi zadrapaniami, niczym krawędź mankietu obrębiała mereżką. Rany wyglądają jak wydrapane igłą albo szpilką. Ann szybko naciąga niżej rękawy.

- N-nic - odpowiada. - To był w-wypadek.

Jakież to wypadek mógł pozostawić takie ślady? Dla mnie rany wyglądają na zrobione umyślnie, ale mówię tylko „och” i odwracam wzrok.

Ann podchodzi do drzwi.

- Mam nadzieję, że będą dziś świeże truskawki. Są dobre na cerę. Wyczytałam to w Perypetiach Lucy. - Staje na progu, lekko kołysząc się na piętach w tył i w przód. Jej denerwujące spojrzenie traci nieco na intensywności. W końcu spuszcza wzrok i przygląda się swoim palcom, mówiąc: - Mojej cerze przyda się każda możliwa pomoc.

- Masz ładną cerę. - Udaję, że poprawiam sobie kołnierzyk. Nie tak łatwo ją kupić.

- W porządku, wiem, że jestem brzydka. Wszyscy tak mówią. -Ma w oczach błysk wyzwania, jakby prowokowała mnie, żebym za przeczyła. Jeśli to zrobię, będzie wiedziała, że kłamie. Nic nie mówię. niech się potwierdzą jej najgorsze obawy.

- Truskawki, powiadasz? Będę musiała spróbować.

Wraca kamienny spokój. Miała nadzieję, że skłamię, że przynajmniej ja nie zgodzę się i powiem jej, że jest piękna. Zawiodłam ją.

- Nie żałuj sobie - odpowiada, zostawiając mnie samą, pełną wątpliwości, czy uda mi się nawiązać przyjaźń choćby z jedną osobą w Spence.

Mam akurat tyle czasu, by udać się w pewne miejsce i złożyć drobny gest uznania za uprzejmość Felicity zeszłej nocy, po czym idę na śniadanie, nagle ogarnięta wilczym głodem. Ponieważ się spóźniam, udaje mi się uniknąć spotkania z Felicity, Pippą i pozostałymi. Co niestety oznacza też, że jajka oraz owsianka są letnie i rzeczywiście tak niedobre, jak przewidywała Ann, a właściwie jeszcze gorsze.

Owsianka krzepnie na łyżce w zimne, kleiste

grudy.

- A nie mówiłam? - odzywa się Ann, zjadając ostatni kawałek bekonu. na którego widok napływa mi ślinka do ust.

Kiedy stawiamy się na pierwszą lekcję - francuski z mademoiselle LeFarge - szczęście mnie opuszcza.

Klika Felicity siedzi na miejscach, czekając na mnie. Zajmują ostatni rząd w malej, zagraconej klasie, więc jestem zmuszona przejść obok nich, żeby usiąść.

Dobra. Idziemy.

Felicity wystawia delikatną stopkę, zatrzymując mnie w wąskim przejściu między ławką swoją i Pippy.

- Dobrze spałaś?

- Całkiem nieźle. - Odpowiadam z przesadną wesołością, tylko po to. by pokazać, jak mało mnie obchodzą szkolne figle po nocy. Stopka ani drgnie.

- Jak ci się to udało? To znaczy, jak się wydostałaś? - pyta Cecily.

- Posiadam ukrytą moc - mówię i rozśmiesza mnie to ponure niedopowiedzenie.

Martha uświadamia sobie, że ominął ją udział w nocnej zabawie. Nie potrafi się jednak do tego przyznać, więc próbuje wkupić się w łaski grupy, przedrzeźniając mnie.

- Posiadam ukrytą moc - powtarza melodyjnie. Policzki zaczynają mnie piec.

-A tak przy okazji, zabezpieczyłam przedmiot, którego żądałyście.

Felicity skupia na mnie całą uwagę.

- Naprawdę? Gdzie go schowałaś?

Och, uznałam, że nie będzie mądrze go chować. Mogłabym go ponownie nie znaleźć - odpowiadam radośnie. - Leży na widoku na twoim krześle w wielkim salonie. Sądzę, że to było najlepsze miejsce.

Przerażona Felicity szeroko otwiera usta. Lekko odsuwam jej stopę nogą i idę do ławki w pierwszym rzędzie, czując na karku palące spojrzenia.

- O co chodziło? - pyta Ann, składając grzecznie ręce na blacie, jak na przykładną uczennicę przystało.
- Nie warto o tym wspominać - odpowiadam.
- Zamknęły cię w kościele, tak? Unoszę pulpit mojego biurka, żeby zasłonić się przed Ann.
- Nie. oczywiście, że nie. Nie bądź niemądra. Ale po raz pierwszy widzę ślad uśmiechu - prawdziwego uśmiechu - czającego się w kącikach jej ust.
- Czy ten kawał nigdy ich nie znudzi? - mruczy, kręcąc głową. Nie udaje mi się nic odrzec, ponieważ mademoiselle LeFarge

w całej swojej dziewięćdziesięciokilogramowej okazałości, wkracza do klasy z pogodnym bonjour. Chwyta ścierkę i energicznie przeciera czystą tablicę, nieustannie trąkając po francusku i co jakiś czas rzucając pytania, na które - co odkrywam w panice - należy odpowiadać również po francusku. Nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi, ponieważ francuski jako język zawsze niejasno mi się kojarzył wyłącznie z dźwiękami wydawanymi podczas płukania gardła,

Mademoiselle LeFarge zatrzymuje się przed moją ławką i klaszcze w ręce, ucieszona ze swojego odkrycia. -Ah, une nouvelle filie! Comment vous appelez-vous? Jej twarz zawisa niebezpiecznie blisko mojej, tak że widzę prze rwę między przednimi zębami i wszystkie pory na szerokim nosie - Słucham?

Nauczycielka grozi mi pulchnym palcem. -Non, non, non... en francais. s'U mus plail. Maintenant, comment vous appelez-vous?

I znowu obdarza mnie tym pełnym nadziei, szerokim uśmiechem. Za plecami słyszę chichot Felicity i Pippy. pierwszy dzień mojego nowego życia i oto otrzymuję nokaut, jeszcze zanim na dobre zaczęłam. Wydaje mi się, że mija kilka godzin, zanim Ann decyduje się na udzielenie mi pomocy.

- Elle s'appelle Gemma.

Jak się nazywasz? Wypowiedziała wszystkie te pokręcone samogłoski. żeby zadać jedno cholerne, głupie pytanie? To najbardziej idiotyczny język na świecie.

- Ah, bon, Ann. Tres bon.

Felicity nadal tłumi śmiech. Mademoiselle LeFarge zadaje jej pytanie. Modłę się, żeby brnęła przez odpowiedź jak krowa przez bagno, ale jej francuszczyzna jest bezbłędna. Na świecie nie ma sprawiedliwości.

Za każdym razem gdy mademoiselle pyta mnie o coś, patrzę prosto przed siebie i często powtarzam: „słucham?“, jakby bycie głuchą lub uprzejmą mogło mi w jakiś sposób pomóc zrozumieć ten nieprawdopodobny język. Jej szeroki uśmiech przeradza się powoli w wyraz niezadowolenia, aż w końcu nauczycielka rezygnuje z zadawania mi jakichkolwiek pytań, co wcale mi nie przeszkadza. Gdy ta wyczerpująca

godzina wreszcie dobiega końca, potrafię już wydukać zwroty: „Ależ uroczo” oraz „Tak, moje truskawki są bardzo soczyste”.

Mademoiselle unosi ramiona, wszystkie wstajemy jednocześnie i recytujemy pożegnanie:

- Au revoir, mademoiselle LeFarge.
- Au revoir, mes filles! - woła, gdy chowamy książki i kałamarze do biurka.
- Gemmo, czy możesz zostać na chwilę? - Jej angielski akcent

wydaje się orzeźwiający niczym chłodna woda po tym całym rozfalowanym francuskim. Mademoiselle Le Farge jest taką samą paryżanką jak ja.

Felicity niemal się przewraca w dzikim pędzie do drzwi.

- Mademoiselle Felicity! Nie należy się tak spieszyć.
- Przepraszam, mademoiselle LeFarge. - Zerka na mnie z wściekłością. - Ale właśnie sobie przypomniałam, że muszę pójść po coś ważnego przed następną lekcją.

Gdy w klasie zostajemy tylko my dwie, nauczycielka włacza swoje ciało za biurko. Na blacie nie stoi nic poza ferrotypem przedstawiającym przystojnego mężczyznę w mundurze. Zapewne brat albo inny krewny. W końcu to mademoiselle, a ma ponad dwadzieścia pięć lat - stara panna bez żadnej nadziei na małżeństwo, bo inaczej cóż by tu robiła? Przecież uczenie w szkole dla dziewcząt to ostatnia deska ratunku.

Mademoiselle LeFarge kręci głową.

- Musi pani włożyć dużo wysiłku w naukę języka, mademoiselle Gemmo. Z pewnością wie pani o tym. Będzie pani musiała ciężko pracować, żeby zostać w tej klasie ze swoimi rówieśnikami, Jeśli nie będzie pani robiła postępów, będę musiała panią przenieść do niższej klasy.

- Tak, mademoiselle.

- Może pani poprosić koleżanki o pomoc, jeśli to konieczne. Felicity jest całkiem dobra z francuskiego.

- Tak - odpowiadam, z trudem przełykając ślinę i dobrze wiedząc, że prędzej połknę gwóźdź, niż poproszę Felicity o pomoc.

Reszta dnia upływa powoli i bez szczególnych przygód. Odbywa ją się zajęcia z dykcji. Potem lekcje tańca, manier i łaciny. Następnie muzyki z panem Grunewaldem, drobnym, przygarbionym Austriakiem o znużonym głosie i zrezygnowanej minie przyklejonej na stałe do obwisłej twarzy. Każdym westchnieniem oznajmia, że uczenie nas gry i śpiewu jest dla niego gorsze niż powolne tortury prowadzące do śmierci. Z muzyką radzimy sobie nieźle, choć bez polotu, wszystkie - poza Ann.

Gdy wstaje, żeby zaśpiewać, wydobywa z siebie czysty, słodki głos. Jest uroczy, choć nieco nieśmiały. Gdyby więcej ćwiczyła

i wkładała w to więcej uczucia, mogłaby być naprawdę niezłą. Szkoda, że nie będzie miała szansy.

Przyjechała tutaj nauczyć się, jak być pożyteczną i nic więcej. Ann kończy śpiewać i z opuszczoną głową wraca na swoje miejsce, a ja zastanawiam się, ile razy dziennie ta dziewczyna po trosze umiera.

- Masz całkiem ładny głos - szepczę, kiedy siada.

- Tylko tak mówisz, bo chcesz być miła - odpowiada, obgryzając paznokcie. Ale rumieniec już toruje sobie drogę na jej pełne policzki i wiem, że możliwość śpiewania, choćby przez chwilę, jest dla niej najważniejsza na świecie.

Tydzień mija na ogłupiającej rutynie. Modlitwy. Maniery. Postawa. Rano i wieczorem cieszę się tym samym statusem wyrzutka co Ann. Wieczorami obie siadujemy przy kominku w wielkim salo nie, gdzie ciszę zakłócają tylko wybuchy śmiechu dochodzące od strony Felicity i jej świty, która ostentacyjnie nas ignoruje. Pod koniec tygodnia nabieram przekonania, że stałam się niewidzialna. Ale nie dla wszystkich. Dostaję wiadomość od Kartika. Następnego wieczoru po od kryciu pamiętnika znajduję stary list od ojca przyszpilony do po duszki niewielkim sztyletem. Czytanie tego chaotycznego i kłliwe-go listu było bardzo bolesne, więc ukryłam go głęboko w szufladzie biurka. A przynajmniej tak mi się wydawało. Gdy zauważam go na łóżku, gdzie leży przekłuty sztyletem z nakreślonymi w poprzek podpisu ojca słowami: „Zostałaś ostrzeżona”, czuję, jak chłód przenika mnie do szpiku kości. Pogróżka jest jasna. Jedynym sposobem na chronienie siebie i rodziny jest zamknięcie umysłu na wizje. Ale odkrywam, że nie mogę zamknąć umysłu, nie zamykając całej reszty siebie. Strach sprawia, że wycofuję się w głąb, odcinam się od świata, równie bezużyteczna jak wypalone Wschodnie Skrzydło.

Jedyna chwila, gdy się trochę ożywiam, następuje podczas lekcji rysunku z panną Moore. Spodziewałam się, że będzie nużąco - banalne szkice natury z króliczkami baraszkującymi beztrudnie w angielskim pejzażu - ale panna Moore znów mnie zaskakuje. Wybrała słynny poemat lorda Tennysona Pani z Shalott jako inspirację dla naszej pracy. Opowiada on o kobiecie, która umrze, jeżeli opuści bezpieczne schronienie w swojej wieży z kości słoniowej. Jeszcze bardziej zaskakujące jest to, że panna Moore chce wiedzieć, co myśli my o sztuce. Zamiast uczyć nas starannego odwzorowywania owoców wiśni, zamierza nas skłonić do mówienia i ryzykownego wygłaszania własnych opinii. To wpędza owce w zupełny popłoch.

- Co możecie mi powiedzieć o tym szkicu pani z Shalott? - pyta nauczycielka, umieszczając rysunek na sztalugach. Obraz przedstawia kobietę, która stoi przy wysokim oknie i spogląda w dół na rycerza w lesie. Lustro odbija wnętrze pokoju.

Przez chwilę panuje cisza.

- Słucham?

- To rysunek węglem - odzywa się Ann.

- Tak, trudno byłoby podważyć tę opinię, panno Bradshaw. Ktoś jeszcze? - Panna Moore rozgląda się za ofiarą wśród ósemki dziewcząt. - Panna Tempie? Panna Poole? - Nikt nic nie mówi. - Ach, panna Worthington, pani nigdy nie brakuje słów.

Felicity przekrzywia głowę, udając, że się zastanawia, ale założę się, że już doskonale wie, co chce powiedzieć.

- To śliczny szkic, panno Moore. Cudowna kompozycja, wspaniale zachowana równowaga między lustrem i kobietą, która jest przedstawiona, jak mi się zdaje, w stylu prerafaelickim. - Felicity

włącza uśmiech, gotowa na przyjęcie pochwały. Umiejętność schlebiana innym doprowadziła do rangi

prawdziwej sztuki.

Panna Moore kiwa głową.

- Trafna, choć nieco bezduszna ocena. - Uśmiech Felicity natychmiast gaśnie. Nauczycielka mówi dalej. - Ale co waszym zdaniem dzieje się na tym obrazie? Co artysta chce nam przekazać na temat tej kobiety? Co czujecie, kiedy patrzycie na ten rysunek? Co czujecie? Nikt nigdy nie zadał mi takiego pytania. Żadnej z nas. Po nas nie oczekuje się uczuć. Jesteśmy Brytyjkami. W pokoju zapada absolutna cisza.

- Jest bardzo ładny - proponuje Elizabeth, jak zawsze wyrażając opinię niewyraźną niczego. - Przyjemny. - Sprawia, że czujesz się przyjemnie? - pyta panna Moore. - Nie. Tak. A powinnam czuć się przyjemnie? - Panna Poole, nie ośmieliłabym się nikomu sugerować, jak po-winien odbierać dzieło sztuki.

- Przecież obrazy są albo ładne i przyjemne, albo do niczego się nie nadają. Prawda? Czy nie powinnymy się uczyć ładnie malować? - odzywa się Pippa. - Niekoniecznie. Spróbujmy zatem inaczej. Co się dzieje na tym obrazie w tej chwili, panno Cross? - Ona spogląda przez okno na sir Lancelota? - Pippa nadaje temu zadaniu intonację pytającą, jakby nie była nawet pewna tego, co widzi.

- Tak. Wszystkie znacie wiersz Tennysona. Co się dzieje z pa nią z Shalott? Odzywa się Martha, szczęśliwa, że przynajmniej jedno wie na pewno.

- Opuszcza zamek i płynie łódką w dół strumienia.

- I?

Martha traci śmiałość.

- I...umiera.

- Dlaczego?

Rozlegają się nerwowe śmiechy, ale nikt nie udziela odpowiedzi. W końcu beznamiętny, chłodny głos Ann przerywa ciszę. - Ponieważ ciąży na niej kłątwa. - Nie, ona umiera z miłości - oponuje Pippa i po raz pierwszy w jej głosie brzmi pewność siebie. - Ona nie może bez niego żyć. To potwornie romantyczne. Panna Moore uśmiecha się krzywo.

- Albo romantycznie potworne. Pippa jest zmieszana.

- Uważam, że to romantyczne.

- Można by się spierać o to, czy śmierć z miłości jest romantyczna. Przecież człowiek wtedy nie żyje i nie może pojechać na miesiąc miodowy w Alpy z innymi modnymi parami nowożeńców. a to wielka szkoda.

- Ale ona jest obłożona kławą, prawda? - upiera się Ann. - To nie jest miłość. Ona nie ma na nic wpływu, Jeśli opuści wieżę, umrze.

— A jednak nie umiera, kiedy opuszcza wieżę. Umiera dopiero na rzece. Interesujące, prawda? Czy ktoś jeszcze ma jakieś prze myślenia? Panna... Doyle?

Wzdrygam się ze strachu, słysząc swoje nazwisko. Natychmiast zupełnie zasycha mi w gardle. Marszczę brwi i wpatruję się badawczo w obraz, czekając, aż spłynie na mnie odpowiedź. Nie mogę wymyślić ani jednego słowa.

— Proszę się nie nadweręzać, panno Doyle. Nie chcę, aby moje dziewczęta dostawały zęza w imię sztuki.

Rozlegają się chichoty. Wiem, że powinnam być zawstydzona ale przede wszystkim czuję ulgę, że nie muszę wymyślać odpowiedzi, której nie znam. Znow chowam się w sobie.

Panna Moore przechadza się po klasie, wzdłuż długiego stołu na którym leżą częściowo ukończone płótna, tubki farb olejnych, sterty akwarel i cynowe kubki pełne pędzli o włosiu cienkim ni czym źdźbła traw. W rogu stoi obraz wsparty o sztalugi. To studium natury przedstawiające drzewa, trawnik i strzelistą wieżę czyli scenę, którą widzimy powtórzoną w rzędzie okien przed naszymi oczami.

— Uważam, iż pani z Shalott umiera nie dlatego, że opuszcza wieżę i wychodzi na zewnątrz, ale dlatego, że zgadza się dryfować przez świat, pozwala się nieść prądowi w pogoni za marzeniem.

Przez chwilę panuje cisza, nie słychać nic prócz szurania stóp pod ławkami oraz Ann bębniącej palcami po blacie, jakby to było wymaginowane pianino.

- To znaczy, że pani zdaniem ona powinna była wiosłować? -pyta Cecily.

Panna Moore śmieje się.

- W pewnym sensie tak. Ann przestaje bębnić.

- Ale to nie ma znaczenia, czy będzie wiosłowała, czy nie. Ona jest przeklęta. Niezależnie od tego, co zrobi, i tak umrze.

- Jeśli zostanie w wieży, też umrze. Może nie tak od razu, ale umrze. Tak jak my wszyscy - mówi panna

Moore łagodnie. Ann nie może tego tak zostawić. - Przecież ona nie ma wyboru. Nie może wygrać. Nie pozwolą jej - Pochyliła się do przodu na krześle, prawie z niego spadając, i zaczynam rozumieć, podobnie jak pozostałe dziewczyny, że ona nie mówi już o kobiecie z obrazu.

- Dobry Boże, Ann, to tylko głupi wiersz - szydzi z niej Felici-tz, przewracając oczami. Świta podchwytuje jej ton i szeptem do daje własne, okrutne komentarze.

- Ciii, dość już - karci je panna Moore. - Tak, Ann, to tylko wiersz. To tylko obraz. Pippa nagle się ożywia. - Ale przecież ludzie mogą być obłożeni klątwą, prawda? Mogą cierpieć z jakiegoś powodu, na przykład jakiejś przypadłości, na którą nie mają wpływu. Prawda? Oddech więźnie mi w gardle. W czubkach palców czuję mrowienie. Nie. Nie dam się wciągnąć. Precz!

-Wszyscy dźwigamy jakieś brzemie, panno Cross. Rzec w tym, Jak sobie z nim radzimy - łagodnie wyjaśnia panna Moore.

- Wierzy pani w klątwy? - pyta Felicity. To brzmi jak wyzwanie.

Jestem pusta. Próżna. Nie czuję nic, nic, nic. Mary Dowd. czy kim tam jesteś odejdz, proszę. Odejdz.

Panna Moore przesuwa wzrokiem po ścianie za nami. jakby odpowiedź mogła kryć się wśród pastelowych akwarel przedstawiających martwą naturę. Czerwone dojrzałe jabłka. Soczyste winogrona. Jasno cętkowane pomarańcze. Wszystkie owoce powoli gnijące na paterze.

-Wierzę...

Milknie. Wydaje się zagubiona. Przez otwarte okno wpada po dmuch wiatru i przewraca kubek z pędzlami. Mrowienie w palcach ustępuje. Chwilowo jestem bezpieczna. Pospiesznie wypuszczam oddech, który wstrzymywałam.

Panna Moore stawia kubek.

- Wierzę, że w tym tygodniu powinniśmy przejść się po lesie i obejrzeć stare jaskinie, w których znajdują się naprawdę zaskakujące prymitywne malowidła. Powiedzą wam o sztuce o wiele więcej, niż ja mogę. W klasie rozlegają się entuzjastyczne okrzyki. Szansa wyjścia ze szkoły to doprawdy radosna wiadomość, widomy znak. że ma my większe przywileje niż młodsze uczennice. Ale ja czuję niepokój, wspominając własną wyprawę do jaskini i pamiętnik Mary Dowd nadal ukryty na dnie mojej szafy.

- Cóż, zbyt piękny mamy dzień, abyście miały tkwić w pracowni, dyskutując o przeklętych damach w łódkach. Możecie wcześniej zacząć czas wolny, a gdy ktoś o to zapyta, to po prostu obserwujecie świat zewnętrzny w poszukiwaniu inspiracji twórczej. Natomiast jeżeli o to chodzi... - dodaje, przyglądając się krytycznie swojemu szkicowi. - Czegoś tu brakuje.

Panna Moore zamasztył gestem dorysowuje wąsik pani z Shalott.

- Diabeł tkwi w szczegółach - mówi.

Poza Cecily, która wydaje mi się coraz bardziej świętoszkowata, wszystkie śmiejemy się, rozbawione jej odwagą, i szczęśliwie, że wspólnie psocimy. Twarz panny Moore ożywia uśmiech, a mój niepokój się rozwiewa.

Gdy w pełnym pędzie wbiegam do pokoju, żeby zabrać pamiętnik Mary Dowd, całym impetem wpadam na plecy Brigid, która właśnie nadzoruje szkolenie nowej pokojówki.

- Bardzo przepraszam - mamroczę z największą godnością, na jaką mnie stać. biorąc pod uwagę to, że leżę płasko na podłodze ze

spódnicą podkasaną nad kolana. Wbiec w postawną Brigid to trochę tak jakby się całym ciałem rzucić na burtę statku. W głowie mi dzwoni i boję się, że ogłuchnę od tego potwornego uderzenia.

- Przepraszam? I słusznie - mówi Brigid, dźwigając mnie na nogi i obciągając rąbek mojej sukni do przyzwoitej długości. Nowa pokojówka odwraca się. ale widzę, jak jej szczupłymi ramionami wstrząsa tłumiony śmiech.

- Chcę podziękować Brigid za to. że pomogła mi wstać, ale ona dopiero zaczęła swoją tyradę.

- Kto to widział takie zachowanie? Żeby panienka galopowała niczym ogier uciekający przed nożem do kastrowania! Pytam panienkę, czy tak powinna się prowadzić przyzwoita dama? Hm? Co by powiedziała pani Nightwing, gdyby zobaczyła, jakie panienka robi z siebie widowisko?

- Przepraszam. - Spoglądam na swoje stopy w nadziei, że wyglądam na skruszoną. Brigid kłaska językiem o podniebienie.

- No to bardzo się cieszę. A co panienkę tak pogoniło, hę? Tyl ko niech mówi starej Brigid prawdę. Po dwudziestu paru latach

w szkole wzrok mam naprawdę bystry, o tak. - Zapomniałam książki - wyjaśniam, szybko podchodząc do szafy. Chwytam pelerynę i ukrywam pod nią pamiętnik.

- I cała ta biegania, że prawie panienka ludzi zabija, dla jednej

książki - narzeka Brigid, jakby to ona, a nie ja, leżała przed chwilą ogłuszona na podłodze.

- Przepraszam, że przeszkodziłam. Już sobie idę - mówię, próbuję przemknąć obok niej.
- Chwilunię. Najpierw sprawdzimy, jak się panienka prezentuje. Brigid bierze mnie pod brodę i unosi moją twarz do światła, że by się jej dokładnie przyjrzeć. Jej policzki gwałtownie powleka bledość.
- Coś nie tak? - pytam cicho, zastanawiając się, czy nie odniosłam obrażeń poważniejszych, niż myślałam. Może Brigid wygląda z tyłu jak szafa, ale nie wydaje mi się, bym mogła w zderzeniu z nią nabawić się rany na głowie.
Brigid puszcza moją brodę, cofa się i wyciera ręce w fartuch, jakby się pobrudziła.
- Nic tam. Tylko... oczy ma panienka bardzo zielone. Tylko tyle. Niech już sobie idzie. Lepiej niech wraca do klasy.
Powiedziawszy to, całą uwagę kieruje na Molly, która najwyraźniej źle używa pierzastej miotełki do kurzu, a ja odzyskuję wolność i mogę się zająć swoimi sprawami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy wychodzę na wielki trawnik przed szkołą, dziewczęta cieszą się już dobrodziejstwami pobytu na świeżym powietrzu. Słońce utrzymało się przez cały dzień i jest teraz pogodne, błękitne popołudnie. Niskie chmury leniwie płyną po niebie. Kaplica na wzgórzu stoi dumna i wysoka. Kawalek dalej młodsze dziewczynki zawiązały oczy małej brunetce. Okręcają ją w kółko i rozpierzchają się na boki niczym rozsypane kamyki. Mała niepewnie wyciąga ręce i chwiejnie rusza przez trawnik, wołając: „Ciuciubabka!”. Odrzekują do niej: „Tutaj!”, a ona rusza na oślep, kierując się ich wysokimi głosami. Ann siedzi na ławce, czytając gazetę za pół pensa. Zauważa mnie, lecz ja udaję, że jej nie widzę. Nie jest to zbyt miłe z mojej strony, ale chcę być sama.

Las po mojej prawej wygląda zachęcająco, więc wchodzę w jego chłodne zacisze. Słoneczne światło przesącza się przez liście plamami ciepła. Próbuję pochwycić je w palce, ale przecieka przez nie na ziemię. Panuje tutaj cisza, przerywana jedynie okrzykami rozbawionych dziewczynek. Pamiętnik Mary Dowd spoczywa spokojnie w kieszeni peleryny, obciążając ją swoimi tajemnicami.

Gdybym odkryła to, co chce mi przekazać, może udałoby mi się zrozumieć, co się ze mną dzieje.

Otwieram kolejną stronę i czytam.

31 grudnia 1870

Dzisiaj obchodzę szesnaste urodziny. Sara zachowała się wobec mnie niezbyt uprzejmie. „Teraz dowiesz się, jak to jest” - oznajmiła. Nalegałam, by powiedziała coś więcej, ale odmówiła - mnie, która jestem dla niej niczym siostra. „Nie mogę ci powiedzieć, moja najdroższa przyjaciółko. Ale wkrótce się dowiesz. Będzie tak, jakby otworzyły się przed tobą drzwi”. Muszę przyznać, że rozgniewałam się na nią. Ona już skończyła szesnaście lat i wie więcej niż ja. Kochany dzienniczku, Ale potem ujęła moje dłonie w swoje, a ja nie potrafię się gniewać, gdy jest dla mnie taka miła.

Nie mogę pojąć, co jest takiego wspaniałego w ukończeniu szesnastego roku życia. Myliłam się, mając nadzieję, że pamiętnik Mary zrobi się ciekawszy czy bardziej odkrywczy. Ale nie mam nic innego do roboty, więc czytam następny fragment.

7 stycznia 1871

Dzieją się ze mną tak straszne rzeczy, kochany dzienniczku, że boję się o nich pisać. Boję się o nich mówić nawet Sarze. Co ze mną będzie?

W okolicach brzucha czuję dziwny ucisk. Co mogło być tak straszego, że bała się to powierzyć własnemu pamiętnikowi? Muska mnie podmucha wiatru, niosący głosy dziewczynek. „Ciuciubabka! Tutaj!”. Następnym wpisowi nosi datę 12 lutego. Moje serce bije szybciej, gdy zaczynam czytać.

Kochany dzienniczku, jakąż ulgę czuję nareszcie! Nie jestem szalona, czego tak bardzo się obawiałam. Wzjęcie nie ogarniają mnie już z całą mocą, ponieważ nauczyłam się nad nimi panować. Och, dzienniczku, nie są przerażające, lecz piękne! Sara mówi, że tak będzie, ale wyznaję, że zbyt się bałam ich wspaniałości, by poddawać się im bez oporów. Można mnie było jedynie wciągnąć siłą wbrew mojej woli. Ale dziś, och, to było cudowne! Kiedy poczułam, że ogarnia mnie gorączka, otworzyłam się na nią. Sama się na to decyduję, powiedziałam, i uzbroiłam się w odwagę. Nie czułam wielkiego nacisku. Tym razem był to tylko łagodny dreszcz, a potem po jawiły się cudowne drzwi ze światła. Och, dzienniczku, wkroczyłam przez nie w krainę niezwyklego piękna, do ogrodu ze śpiewającą rzeką i kwiatami

spadającymi z drzew niczym najdelikatniejszy deszcz. Tam wszystko, co sobie zamarysz, może być twoje. Pobiegłam szybko jak łania, nogi miałam silne i wytrzymałe, przepełniła mnie radość. której nie potrafię opisać. Wydawało mi się, że spędziłam tam wiele godzin, ale kiedy wróciłam przez drzwi, było tak, jakbym w ogóle nie ruszała się z miejsca. Znowu znalazłam się w pokoju, gdzie Sara czekała, żeby mnie przytulić. „Kochana Mary. udało ci się! Jutro chwycimy się za ręce i dołączymy do naszych sióstr. I wtedy poznamy wszystkie tajemnice międzyświata” .

Cała drzę. One obie. Mary i Sara, miały wizje. Nie jestem sama. Gdzieś tam istnieją dwie dziewczyny - dwie kobiety - które mogą mi pomóc. Czy to chciała mi przekazać Mary? Drzwi ze światła. Nigdy niczego takiego nie widziałam. Ani ogrodu. W moich wizjach nie ma nic pięknego. A jeśli moje przeżycia są zupełnie inne? Karlik powiedział, że narażają mnie na niebezpieczeństwo, a wszystko, czego doświadczyłam, wydaje się dowodzić, że miał rację. Kartik, który być może obserwuje mnie nawet teraz w lesie. A jeśli się myli? jeżeli kłamie?

To za dużo jak na moją głowę, więc chowam dziennik do kieszeni i ruszam na wędrówkę między ogromnymi drzewami, prze suwając palcami po szorstkich guzach na starej korze. Ziemia za słana jest skorupkami żółodzi, suchymi liśćmi, gałązkami.

Dochodzę do polany, na której znajduje się małe, gładkie ni czym lustro jeziorko. Po drugiej stronie jakby na straży stoi han gar. Do pnia drzewa jest przycumowana zniszczona niebieska łódka z jednym tylko wiosłem. Poruszana wiatrem przesuwa się do przodu i do tyłu, pozostawiając lekkie zmarszczki na po wierzchni wody. Nie ma w okolicy nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć, więc odwiązuję łódkę i wchodzę do niej. Słońce składa ciepłe pocałunki na mojej twarzy, gdy leżę, opierając głowę o dziób. Rozmyślam o Mary Dowd, o jej cudownych wizjach z drzwiami ze światła i fantastycznym ogrodem. Gdybym mogła kontrolować swoje wizje, najbardziej chciałabym przywołać twarz mamy.

- Wybrałabym ją - szepczę, mruganiem odganiając łzy. Po płacz sobie. Gem. Zakrywam ramieniem twarz i łkam cicho, aż brakuje mi łez i czuję pieczenie pod powiekami. Rytmiczne pluska nie wody o burtę łodki sprawia, że robię się ocieźzała i zasypiam.

Nadchodzą sny. Biegnę boszo przez las w nocnej mgle. Oddech wydobywa się z moich ust w postaci niewielkich białych obłoczków. Gonię sarnę, jej mlecznobrązowa sierść błyska między drze wami niczym zwodniczy błędny ogień. Mimo to zbliżam się do mej. Biegnę tak szybko, że niemal lecę, aż w końcu sięgam ręką do boku zwierzęcia. Chwytam w palce sierść, ale to nie jest już sarna, lecz moja mama w błękitnej sukni. To moja mama, moja mama tu taj! Naprawdę czuję dotyk tkaniny. Mama uśmiecha się. - Znajdź mnie, jeśli potrafisz - mówi i ucieka. Rąbkami sukienki zahacza o gałąź drzewa, ale uwalnia się szarpnięciem. Chwytam oderwany skrawek materiału, chowam go za stanik i gonię mamę przez mglisty las do ruin antycznej świątyni z podłogą usłaną płatkami lili. Boję się, że ją zgubiłam, ale kiwa na mnie palcem ze ścieżki kawałek dalej. Gonię ją przez mgłę, aż docieramy do stęchłych pokojów w Spence. Biegnę za nią po nie kończących się schodach w górę, przez korytarz na trzecim piętrze, gdzie wisi w rzędzie pięć portretów klasowych. Podążam za jej śmiechem po ostatnim biegu schodów i staję samotnie na samej górze przed zamkniętymi drzwiami do Wschodniego Skrzydła. Po wietrze szepcze mi kołysankę... Chodź do nas. chodź do nas, chodź do nas. Rozpostartą dłońią popycham drzwi. Moim oczom nie ukazuje się jednak wypalona ruina, lecz pełen światła pokój o złocistych ścianach i błyszczącej posadzce. Mama zniknęła. Zamiast niej widzę małą dziewczynkę przycupniętą nad lalką. Oczy ma wielkie i nieruchome. - Obiecały mi nową lalkę.

Chcę powiedzieć: „Przepraszam, nie rozumiem”, ale ściany się rozpyływają. Znajdujemy się w krainie martwych drzew, śniegu, lodu i siarczystej zimy. Od strony horyzontu nadciąga ciemność. Majaczy przede mną twarz mężczyzny. Znam go: to Amar, brat Karika. Jest zmarznięty i zagubiony, ucieka przed czymś, czego nie widzę. A potem ciemność przemawia do mnie.

- Tak blisko...

Budzę się gwałtownie. Przez chwilę wpatruję się w światło słoneczne migoczące na wodzie, nie mogąc pojąć, gdzie jestem. Serce bije mi w piersi niczym młot. Sen wydaje się bardziej rzeczywisty niż woda liżąca moje palce. I mama. Była tak blisko, że mogła mnie objąć. Dlaczego uciekała? Dokąd mnie prowadziła?

Moje rozmyślenia przerywa cichy dziewczęcy śmiech dochodzący zza hangaru. Nie jestem sama. Śmiech rozlega się znowu i rozpoznaję Felicity. Wszystko się we mnie kotłuje. Tęsknota za mamą, która wymyka mi się nawet w snach. Warstwy tajemnicy w pamiętni ku Mary. Nienawiść, którą czuję do Felicity, Pippy i

wszystkich tych dziewczyn, które beztrząsco przemykają przez życie. Wybrały nieodpowiedni dzień i nieodpowiednią osobę do swoich okrutnych figli. Już ja im pokażę okrucieństwo! Mogłabym jednym ruchem poskręcać ich smukłe karki.

Ostrożnie. Jestem potworem. Lepiej uciekajcie dla własnego dobra. Zmykajcie na swoich małych, sarnich kopytkach.

Wysiadam z łódki cicho jak piórko opadające na śnieg i przemykam na drugą stronę hangaru, kryjąc się pod osłoną krzewów. Dzisiaj to nie ja będę się bała. Za nic w świecie! Chichot przechodzi w mruczenie i coś jeszcze. Rozlega się głębszy głos. Męski. Straszne Siostry nie są same. Tym lepiej. Zaskoczę ich wszystkich, niech wiedzą, że nie zamierzam już nigdy pozwolić, by zrobiły ze mnie ofiarę.

Podchodzę jeszcze dwa kroki bliżej i wyskakuję akurat w porę, aby zobaczyć Felicity w objęciach Cygana. Zauważa mnie i wydaje mrożący krew w żyłach okrzyk. W odpowiedzi też krzyczę. Ona krzyczy znowu. Teraz obie głośno dyszymy, podczas gdy Cygan w białej koszuli przygląda się naszej ożywionej prezentacji, a w jego złoto nakrapianych oczach i uniesionym łuku gęstych, ciemnych brwi widać rozbawienie.

- Co... co ty tutaj robisz? - Felicity z trudem łapie oddech.

- Mogę ci zadać to samo pytanie - odpowiadam, skinieniem głowy wskazując na jej towarzysza. Spotkanie sam na sam z mężczyzną jest nie do przyjęcia - stanowi powód do zawarcia pośpiesznego małżeństwa. Ale spotkanie z Cyganem! Gdybym komuś o tym powiedziała, Felicity miałaby zrujnowane życie. Gdybym po wiedziała.

- Jestem Ithal - mówi chłopak z silnym rumuńskim akcentem.

- Nic jej nie mów - nakazuje Felicity, nadal roztrzęsiona. Ostry głos pani Nightwing przedziera się przez las i dociera do nas.

- Dziewczęta! Dziewczęta!

W szarych oczach Felicity pojawia się czysta panika.

- Dobry Boże, ona nie może nas tak zobaczyć!

Z tuzin różnych osób woła nas po imieniu. Zbliżają się. Ithal podchodzi, żeby objąć Felicity.

- Bater. Niech nas znajdą. Nie podoba mi się to całe ukrywanie. Dziewczyna odpycha go od siebie, głos ma ostry.

- Przestań! Oszalałeś? Nie mogą mnie z tobą zobaczyć. Musisz wracać.

- Chodź ze mną.

Bierze ją za rękę i próbuje pociągnąć, lecz ona się opiera.

- Nie rozumiesz? Nie mogę iść z tobą. - Felicity zwraca się do mnie. - Musisz mi pomóc.

- Czy to żądanie ze strony dziewczyny, która zamknęła mnie w kaplicy w zeszłym tygodniu? - pytam, krzyżując ramiona na piersi.

Ithal próbuje objąć Felicity w tali, ale ona się wymyka.

- Nie miałam na myśli nic złego. To była tylko zabawa. - Widząc, że ja nie jestem za bardzo rozbawiona, próbuje z innej beczki. - Proszę, Gemmo. Dam ci wszystko, czego zechcesz. Moje pióro. Rękawiczki. Pierścionek z szafirem!

Wykonuje taki ruch, jakby chciała go zdjąć z palca, ale po wstrzymaniu ją. Chociaż byłoby rozkosznie oglądać, jak Felicity wiję się na przesłuchaniu u pani Nightwing, lepiej będzie, żeby za wdzięczała ratunek mojej wspaniałomyślności. To powinno być dla niej dostateczną karą.

- Będiesz moją dłużniczką - mówię.

- To zrozumiałe. Popycham ją w stronę jeziora.

- Co robisz?

- Ratuję ci skórę - odpowiadam i wpycham ją do wody. Pod czas gdy ona chlapie zimną wodą i piszczy, kieruję Ithala w przeciwną stronę, do lasu. - Idź stąd, jeśli chcesz ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyć!

- Nie będę uciekał jak jakiś tchórz. - Rozstawia szeroko nogi, przyjmując postawę, którą uważa chyba za bohaterską. Aż się prosi, żeby gołąb przeleciał nad nim i ulżył sobie.

- Naprawdę sądzisz, że zobaczysz coś z jej dziedzictwa? Zostanie bez grosza przy duszy. O ile najpierw nie zakują cię w kajdany i nie powieszą w Newgate - mówię, przywołując wizję cieszącego się najgorszą sławą więzienia w Londynie. Twarz mu blednie, ale chłopak nadal nic schodzi z posterunku. Męska duma. Jeśli nie uda mi się go stąd pozbyć, jesteśmy załatwione na amen.

Ku memu zaskoczeniu zza drzew wyłania się Kartik. Poza czarnym płaszczem jest ubrany tak jak Cyganie - chustka na szyi, kolorowa kamizelka, spodnie wetknięte w wysokie buty. Mówi coś do Ithala, niezbyt płynnie po rumuńsku. Nie wiem, co powiedział, ale Cygan spokojnie z nim odchodzi. Gdy są już na

ścieżce, Kartik odwraca się i nasze spojrzenia się krzyżują. Z jakiegoś powodu kiwam mu głową w niemym podziękowaniu. Przyjmuje mój gest lekkim ukłonem i obaj młodzieńcy szybko kierują się ku bezpiecznemu schronieniu w obozie Cyganów.

- Chwyć mnie za rękę. - Wyciągam wściekłą Felicity z jeziora. Miotając się w wodzie, nie zauważyła nic z tego, co się wydarzyło.

- Dlaczego to zrobiłaś?! - Jest przemoczona do suchej nitki, a jej policzki płoną z wściekłości.

Tak nas zastaje pani Nightwing.

- Co tu się dzieje? Co to za krzyki?

- Och, proszę pani! Postanowiłyśmy popływać łódką i Felicity przez przypadek wpadła do wody. To była z naszej strony potwór na nieostrożność i okropnie nam przykro, że wszystkich tak przestraszyłyśmy. - Ileszcze w życiu tak szybko nie mówiłam. Oszołomiona Felicity milczy jak głaz, poza kichnięciem w odpowiednim momencie, po którym pani Nightwing natychmiast zaczyna robić wrzawę i zamieszanie.

- Panno Doyle, proszę okryć pannę Worthington swoją peleryną, zanim zaziębi się na śmierć. Wracamy do szkoły. To nie jest odpowiednie miejsce dla młodych dam. W tych lasach czasami kręcą się Cyganie. Drżę na myśl o tym, co mogło się stać.

Jakoś nie możemy oderwać wzroku od swoich stóp. Ku mojemu zaskoczeniu Felicity nagle daje mi łokciem kuksańca pod żebra.

- Tak - mówi bez uśmiechu. - To doprawdy niepokojąca myśl, proszę pani. Obie jesteśmy bardzo zobowiązane za dobrą radę.

- Dobrze, na przyszłość bądźcie ostrożniejsze. - Pani Nightwing pochrząkuje, wyraźnie zadowolona po zręcznej manipulacji Felicity. - No, panienki, z powrotem do szkoły. Dzień jeszcze nie minął i czeka na was praca.

Pani Nightwing zbiera dziewczęta i zagania je na ścieżkę. Za rzucam pelerynę na ramiona Felicity.

-To było nieco melodramatyczne, prawda? „Obie jesteśmy bardzo zobowiązane za dobrą radę”? - Nie chcę, żeby myślała, że cokolwiek jej zawdzięczam.

-Ale zadziało, tak? Jeśli mówisz im to, co chcą usłyszeć, na wet się nie starają ujrzeć prawdy - wyjaśnia Felicity.

Podbiega do nas zadyszana Pippa.

- Dobry Boże, co się stało? Musisz mi powiedzieć, zanim umrę z ciekawości!

Ann pojawia się jak cień u mojego boku. Nie odzywa się, tylko idzie obok pewnym, wolnym krokiem.

- Tak jak powiedziała Gemma - kłamie Felicity - wpadłam do wody, a ona mnie wyciągnęła.

108

Mroczny sekret

Twarz Pippy wydłużyła się.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko.

- I nic więcej?

- Czy nie wystarczy, że prawie utonęłam? - prychna Felicity. Jest tak dobra, że mogłabym przysiąc, iż sama w to wierzy. Wiem już, że nie zwierzała się na temat cygańskiego adoratora nawet Pippie, swo jej najbliższej przyjaciółce. Mamy więc wspólny sekret, którego nie dzieli z nikim innym. Pippa wyczuwa, że nie mówimy całej prawdy. Jej oczy nabierają tego podejrzliwego, zranionego wyrazu, charakterystycznego dla dziewcząt, które wiedzą, że spadły z najwyższego szczebla przyjaźni i ktoś inny zajął ich miejsce, ale nie mają pojęcia, kiedy ani jak do tego doszło.

Nachyla się w stronę Felicity. -Co ty robiłaś z nią?

- Doprawdy, wydaje mi się, że jedna dyrektorka w tej szkole wystarczy, Pippo - karci ją przyjaciółka. - Masz tak bujną wyobraźnię, że powinnaś zająć się pisaniem powieści. Chodźmy, Gemmo.

Wsuwa mi rękę pod ramię i mijamy Pippę, która nie może zrobić już nic, żeby zachować twarz, jedynie ostentacyjnie zlekceważyć Ann i pobiec do innych dziewcząt.

- Czasami takie z niej dziecko - mówi Felicity, gdy zostajemy kilka kroków z tyłu.

- Myślałam, że jesteście najlepszymi przyjaciółkami.

- Uwielbiam Pippę. Naprawdę. Ale ona żyje pod kloszem. Są rzeczy, o których nigdy bym jej nie mogła powiedzieć. Na przykład o Ithalu. Lecz ty to rozumiesz. Wiem, że tak jest. Sądzę, że zosta niemy dobrymi przyjaciółkami, Gemmo.

- Czy zostałybyśmy przyjaciółkami, gdybym nie poznała twojego go sekretu? - pytam.

-A czy nie jest tak, że przyjaciółki zawsze się dzielą sekretami?

Czy powierzyłabym moje tajemnice którejś z tych dziewcząt?

Zapewne uciekłyby w panice, gdyby poznały prawdę o mnie. Kawalek dalej panna Moore wyprowadza grupkę młodszych uczennic z zagajnika na wielki trawnik. Przygląda się nam z zaciekawieniem, jakbyśmy były oknami, przez które widać przeszłość. Duchami.

- Chodźcie, dziewczęta! - wola. - Nie wleczcie się tak.

- Nie wleczcie się? Ledwie mogę złapać oddech w tym galopie pod górę! - złości się Felicity.

- Od jak dawna panna Moore uczy w Spence? - pytam.

- Pojawiła się tu zeszłego lata. Jest niczym powiew świeżego powietrza w tym zatęchłym miejscu, mówię ci. Och, co to jest?

- Co takiego? - dziwię się.

- Ta szmatka w twoim staniku. Nieco podarta. Błę, i zablocona. Jeśli potrzebujesz porządnej chusteczki, wystarczy poprosić. Mam ich całe sterty. - Kładzie skrawek materiału na mojej otwartej dłoni. Błękitny jedwab, podarty i zabrudzony na krawędzi, jak by zahaczył o gałąź. Nogi drżą mi tak bardzo, że muszę się oprzeć o pierwsze napotkane drzewo.

Felicity wygląda na zaskoczoną.

- O co chodzi?

- O nic - dopowiadam niewyraźnym szeptem.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Możliwe.

Zablocony niebieski jedwab stanowi dla mnie obietnicę. Moja mama tu była. Wybrałam ją. To powiedziałam, zanim zapadłam w sen. Jakimś cudem wszystko zmieniłam. Sprowadziłam ją z powrotem dzięki tej mojej dziwnej mocy. Po raz pierwszy chciałabym dowiedzieć się wszystkiego na jej temat. Jeżeli Kartik mi nie powie. sama znajdę sposób. Wytropię Mary Dowd i zmuszę, żeby wyjawiała to, co chcę wiedzieć. Nic mnie nic powstrzyma.

Felicity ciągnie mnie za rękę.

- Pospiesz się.

- Już idę - odpowiadam i ruszam żwawo, żeby wydostać się spomiędzy drzew w ciepło słońca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po kolacji udaję ból głowy i pani Nightwing wysyła mnie prosto do łóżka z butelką gorącej wody. Oznacza to, że odrzucam zaproszenie do nagle otwartego sanktuarium Felicity w wielkim salonie - zdobyte dzięki mojemu nowemu statusowi strażniczki jej sekretów - ale naprawdę zaprzęta mnie tylko jedna myśl: musi być jakiś sposób, bym to ja kontrolowała swoje wizje, a nie one mnie.

Stoję już pod drzwiami, gdy zatrzymuje mnie ciche stuknięcie. Przez otwarte drzwi przesuwa się cień.

Ktoś jest w moim pokoju. Z bijącym sercem, przyciskając plecy do ściany, skradam się w tamtą stronę i zerkam do środka. Przy biurku stoi Kartik, bez wątplenia pisząc kolejne zagadkowe ostrzeżenie. Dobra, nie tym razem. Najszybciej, jak potrafię, rzucam się do otwartego okna, przez które wszedł, i zatrzaskuję je. Chłopak okręca się wokół własnej osi, gotów do walki.

- Teraz jest tylko jedno wyjście - mówię bez tchu. Mruży oczy.

- Odsuń się.

- Dopiero gdy odpowiesz na kilka pytań.

Odcięłam mu jedyną drogę ucieczki. Jeśli wydam jakiś głośniejszy dźwięk lub krzyknę, to zostanie złapany. Znalazł się w pułapce. Zakłada ramiona na piersi i patrzy na mnie gniewnie, czekając, aż zacznę mówić.

- Co robisz w moim pokoju?

- Nic - odpowiada, mocno gniotąc papier w dłoni, tak że słyszę szelest.

- Zostawiasz kolejną wiadomość?

Wzrusza ramionami. Nigdzie za szybko nie dojdziemy.

- Dlaczego pomogłeś mi dzisiaj w lesie?

- Potrzebowałam tego.

Mój temperament bierze górę.

- Z pewnością nie.

Parska śmiechem i przestaje wyglądać tak groźnie. Znowu ma siedemnaście lat.

- Jak sobie chcesz.

- Mój plan zadziałał, czyż nie? Opuszcza ramiona i otwiera szerzej oczy.

- Twój plan zadziałał, bo namówiłem Ithala, żeby ruszył się z miejsca. Jak myślisz, co by się stało, gdyby mi się to nie udało? Prawda jest taka, że nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Dobrze. Powiem ci. Ten uparty Cygan nigdzie by nie poszedł. a twoja przyjaciółeczka, która lubi igrać z ogniem, bardzo mocno by się sparzyła. Zostałaby wydalona ze szkoły, zrujnowana towarzysko i do końca

życia na jej widok szeptano by po kątach. - Udaje wysoki, afektowany głos damy. - „Och, słyszałaś o niej?”, „Moja droga. doprawdy, przecież przyłapano ją w lesie z poganinem”. Powiedz przyjaciółce, żeby się ograniczyła do towarzystwa osób ze swojej sfery i przestała bawić się lthalem.

- Ona nie jest moją przyjaciółką - protestuję. Chłopak unosi brew.

- Więc kim są twoi przyjaciele?

Otwieram usta, ale nie rozlega się żaden dźwięk. Kartik uśmiecha się krzywo.

- Mogę już iść?

- Jeszcze nie. - Zachowuję się śmiało, choć wcale się tak nie czuję. Ale potrzebuję więcej informacji. - Kim są ci „my”, o kogo wspomniałaś? Dlaczego boicie się moich wizji?

- Nie muszę ci niczego mówić.

Nienawidzę go! Stoi tu, jakby mój pokój wraz ze mną był jego własnością, rzuca ostrzeżeniami i obelgami, a niczego nie chce wyjaśnić.

- Czy mam ci powiedzieć, co się stanie, jeśli zawołam teraz O pomoc i zostaniesz złapany jako złodziej? - Nie powinnam była sugerować. Szybko jak błyskawica przyciska mnie do ściany, naciskając ramieniem na gardło.

- Sądzisz, że możesz mnie powstrzymać? Jestem Rakshana. Nasze bractwo istnieje od wieków, sięgając swoją historią w czasy templariuszy, Artura i Karola Wielkiego, Jesteśmy teraz strażnika mi międzyświata i nie zamierzamy go oddać. To, co było, odeszło w przeszłość. Nie pozwolimy ci tego przywrócić.

Z braku tlenu zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Ja... ja nie rozumiem.

- Mogłabyś wszystko zmienić. Wejść do międzyświata. Tego od ciebie chcą. — Rozluźnia chwyt i wypuszcza mnie.

Oczy mi wilgotnieją. Chwytam się za szyję.

- Kto? Kto tego chce?

- Zakon. - Następne słowo wręcz wypluwa. - Kirke.

Kirke. To imię wypowiedział brat Kartika przy mojej mamie na targu.

- Nie rozumiem tych wszystkich nazw. Kim są Rakshana, Zakon, Kirke...?

Przerywa mi.

- Musisz wiedzieć tylko to. co ci przekazałem: czyli że masz powstrzymać te wizje, zanim zaczniesz ci grozić niebezpieczeństwem.

- A jeśli ci powiem, że dzisiaj w wizji przyszła do mnie matka?

- Nie wierzę - odpowiada Kartik, ale jego twarz błędnie.

- Zostawiła mi to. - Wyciągam kawałek tkaniny, który trzy mam blisko serca. Chłopak wpatruje się w niego.

- Widziałam też twojego brata.

- Widziałas Amara?

- Tak. Znajdował się na takim zamrożonym pustkowiu... Jego głos jest spokojny, ale ostry.

- Przestań.

- Znasz to miejsce? Czy tam jest też moja mama?

- Powiedziałem, żebyś przestała!

- A jeśli próbują się ze mną skontaktować przez te wizje? Z jakiego innego powodu miałaby mi to zostawiać? - Wyciągam rękę z kawałkiem błękitnego jedwabiu.

- To niczego nie dowodzi! - mówi, mocno trzymając mnie za ramię. - Posłuchaj mnie. Te osoby, które widziałaś, to nie był ani mój brat, ani twoja matka, rozumiesz? To były tylko iluzje- Musisz wyrzucić je z umysłu.

Wyrzucić z umysłu? Stanowią jedyny powód, dla którego żyję.

- Myślę, że ona próbowała mi coś przekazać. Kręci głową.

- To nie jest prawda.

- Skąd to wiesz?

Jego słowa są twarde i przemyślane.

- Bo tak właśnie działają Zakon i Kirke: używają każdego możliwego podstępu, żeby zyskać to, czego chcą. Twoja matka i mój brat nie żyją. Oni ich zabili, żeby dobrać się do ciebie. Pamiętaj o tym następnym razem, gdy te wizje będą cię kusiły, panno Doyle. - W jego oczach widzę litość. Trudniej mi ją znieść niż nienawiść. - Między-świat musi pozostać zamknięty. Dla dobra nas wszystkich.

Jestem odpowiedzialna za ich śmierć - właśnie powiedział to na głos. On mi nie pomoże. Nie ma sensu próbować. Z dołu dochodzą stłumione głosy. Dziewczeta będą tu lada chwila, ale muszę wiedzieć jeszcze jedno.

- A co z Mary Dowd? - pytam, chcąc sprawdzić, ile o niej wie.
 - Kim jest Mary Dowd? - pyta, rozproszony przez cichy tupot stóp na schodach. Nie wie. Ci, dla których pracuje, nie powierzają mu wszystkiego.
 - Moją przyjaciółką. Pytałeś przecież, czy mam jakichś przyjaciół, prawda?
 - Owszem. - Słysząc kroki na podeście. Odpycha mnie na bok i jak kot wskakuje na parapet, po czym wychodzi przez okno. Widzę linę, którą przywiązał do metalowego oczka w barierce. Jest tak ukryta w gęstwinie bluszczu, że trudno ją zauważyć, jeśli się jej nie szuka. Sprytne, ale nie niezawodne. Podobnie jak on.
- Zamykam za nim okno i przysuwam usta do szyby, patrząc, jak pokrywa się parą z każdym cichym słowem.
- Możesz przekazać Rakshanom wiadomość ode mnie, posłań cu Kartiku. Dziś w lesie naprawdę widziałam moją mamę. I zamierzam ją odnaleźć, niezależnie od tego, czy mi pomożesz, czy nie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Popołudnie następnego dnia jest wietrzne i pochmurne, ale panna Moore dotrzymuje obietnicy i zabiera nas do jaskiń. Wy

ruszamy na długą wycieczkę przez las, potem dalej za hangar na łódzie i jezioro, a następnie wzdłuż głębokiego jaru. Ann przy padkim wchodzi na osuwające się zbocze i niemalże spada w dół.

- Ostrożnie - mówi panna Moore. - Ten wąwóz jest dość podstępny i zanim się obejrzysz, możesz do niego wpaść i skrócić sobie kark.

Przechodzimy przez niewielki mostek, trafiając w miejsce, w którym drzewa rozstępują się, tworząc małą, okrągłą polanę. Zapiera mi dech w piersi. Mam przed oczyma to samo miejsce, w które przyprowadziła mnie tamta dziewczynka, abym odnalazła pamiątnik Mary Dowd. Jaskinie znajdują się przed nami, ukryte pod występem skalnym porośniętym pnączami, które łaskoczą nas po ramionach, gdy torujemy sobie przez nie drogę w aksamitną czerń. Panna Moore zapala nasze latarnie i ściany jaskini zaczyna ją tańczyć w blasku światła. Wiele lat deszczu wygładziło kamień w niektórych miejscach do takiego połysku, że widzę fragmenty mojej twarzy odbite w nierównej powierzchni - oko, usta, drugie oko, kompozycja niepasujących do siebie detali.

- Jesteśmy na miejscu. - Głęboki, melodyjny głos odbija się od chropowatych występów i gładkich płaszczyzn jaskini. - Piktogramy znajdują się tutaj.

Nauczycielka oświetla duży, płaski fragment ściany. Wszystkie unosimy latarnie i rysunki ożywają w zdumiewający sposób. Naszym oczom ukazuje się skarb.

- Dość surowe, prawda? - odzywa się Ann, przyglądając się prymitywnym konturom węża. Natychmiast przychodzi mi na myśl jej schludna kołdra, bez żadnych zagnieceń i zmarszczek.

- To pierwotne rysunki, Ann. Ludzie w tych jaskiniach rysowali tym, co mieli pod ręką - ostrymi odłamkami skały, prowizoryczny mi nożami, gliną lub naturalnymi barwnikami. Czasami nawet krwią.

- Odrażające! - Oczywiście, Pippa. Nawet w ciemnościach wy czuwać, jak z dezaprobatą marszczy swój mały zadarty nos.

Felicity wybucha śmiechem i przybiera ton modnej damy.

- Kochanie, Bryn-Jonesowie zrobili w swoim salonie wspaniałe rzeczy z ludzkiej krwi. Też musimy zafundować sobie coś podobnego!

- Uważam, że to obrzydliwe - mówi Pippa, choć przypuszczam, że wyprowadza ją z równowagi raczej to, iż ja i Felicity śmiejemy się razem, niż wzmianka o krwi.

- Używano krwi przy tworzeniu świętych rysunków, żeby zło żyć ofiarę bogini, o której łąskę się ubiegano. O, na przykład tutaj. - Panna Moore wskazuje na bładoczerwony rysunek czegoś, co wygląda jak łuk ze strzałą. - Wykonano go dla Diany, rzymskiej bogini księżycy i łowów. Była opiekunką dziewcząt i strzegła ich niewinności.

W tym momencie Felicity daje mi ostrego kuksańca pod żebro. Wszystkie pokaszujemy i szuramy nogami, żeby pokryć swoje zażenowanie. Panna Moore nie poddaje się.

- Godne uwagi w tej jaskini jest to, że znajdują się tutaj symbole kultu wielu różnych bogiń. Nie tylko pogańskiej czy rzymskiej, ale też skandynawskiej, germańskiej, celtyckiej. Najprawdopodobniej miejsce to znane było podróżnym, którzy wiedzieli, że mogą tu bezpiecznie praktykować magię.

- Magię? - dziwi się Elizabeth. - To były czarownice?

- Nie w takim sensie, w jakim my to rozumiemy. To były mi styczki i uzdrowicielki, kobiety znające się na ziołach i pomagające przyjmować dzieci na świat. Ale to czyniło z nich osoby podejrzane. Ludzie zawsze łąkają się kobiet, które mają moc - mówi nauczycielka ze smutkiem. Zastanawiam się, jak panna Moore

tutaj trafiła, by uczyć nas malowania ładnych obrazków, zamiast żyć w szerokim świecie. Nie jest nieatrakcyjna. Twarz ma ujmującą. uśmiech wesoły i smukłą figurę. Pod szyją nosi ozdobioną kilkoma rubinami broszkę, co oznacza, że nie jest zupełnie pozbawiona środków do życia.

- Uważam, że są niezwykle - odzywa się Felicity, przysuwając latarnię bliżej ściany. Dotyka palcami topornej sylwetki kobiety -wrony, po której bokach stoją dwie inne postacie, częściowo za tarte przez czas.

- Ee, niezbyt ładne - stwierdza Cecily. Cienie przesuwają się po jej twarzy i przez chwilę widzę, jak będzie wyglądała na starość - wychudła i koścista, z wielkim nosem.

Panna Moore zerka na rysunek.

- Akurat ta dama prawdopodobnie ma związek z Morrigan. -Z kim? - pyta Pippa, trzepocząc rzęsami i uśmiechając się

w sposób, który niewątpliwie każdego mężczyznę skłoniłby do obiecania jej gwiazdki z nieba.

-Z Morrigan. To dawna celtycka bogini wojny i śmierci. Budziła wielki lęk. Powiadają, że można było ją zobaczyć, jak prała ubrania tych, którzy mieli zginąć, a potem latała ogarnięta szalem nad polem bitwy, zbierając czaszki poległych.

Cecily wzdryga się.

- Dlaczego ktokolwiek chciał ją czcić?

- Nie ma w pani ani krztyny ducha walki, panno Tempie? -pyta panna Moore.

Cecily jest przerażona.

- Mam ogromną nadzieję, że nie. Co za nieatrakcyjny pomysł!

- Dlaczegoż to?

- No cóż. - Cecily wyraźnie czuje się nieswojo. - To jakby... być mężczyzną, prawda? Kobieta nigdy nie powinna zachowywać się tak niestosownie.

-Ale bez tej iskry gniewu, bez destrukcji, nie ma mowy o odrodzeniu. Morrigan kojarzono również z siłą, niezależnością i płodnością. Strzegła duszy do czasu, aż ta mogła się znowu odnowić Tak przynajmniej mówiono.

-A kim są te dwie kobiety? - Ann krótkim palcem wskazuje wyblakły rysunek.

- Morrigan była boginią w trzech osobach, często postrzegani jako piękna dziewica, dobra matka oraz złakniona krwi wrona. Mogła dowolnie zmieniać kształt. To naprawdę bardzo fascynujące.

Felicity chłodno przygląda się pannie Moore.

- Skąd pani wie tak wiele o boginiach i innych takich, panno Moore?

Nauczycielka pochyła się w stronę Felicity, aż ich twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów. Obawiam się, że dziewczyna oberwie za swój tupet. Panna Moore odpowiada powoli i z namysłem:

- Wiem dużo, bo dużo czytam. - Odsuwa się i wspiera ręce na biodrach, rzucając nam wyzwanie. -

Proponuję, żebyście wy też zaczęły czytać. I to sporo. Naprawdę miło jest mieć różne tematy do rozmowy poza pogodą i zdrowiem królowej. Wasz umysł to nie klatka. To ogród. I wymaga regularnej pielęgnacji. A teraz dość już o mitologii. Poszkicujemy trochę, dobrze?

Posłusznie wyciągamy podkładki do rysowania i cienkie kawałki węgla. Pippa od razu zaczyna narzekać, że w jaskini jest za gorąco Prawda jest taka, że nie potrafi rysować. Ani odrobinę. Wszystko, co przedstawia, zawsze w końcu wygląda jak masa burych skał, a jej to wcale nie bawi. Ann zmagą się z zadaniem ze zwykłym dla siebie perfekcjonizmem. kreśląc delikatne, staranne linie. Mój węgiel szyb ko śmiga po papierze i udaje mi się naszkicować boginię łowów z włócznią w ręku i uciekającą przed nią sarnę. Rysunek wydaje mi się niepełny, więc dodaję własne symbole. Wkrótce dół strony wypełnia się wizerunkiem księżycy i oka z naszyjnika mojej mamy.

- Bardzo interesujące, panno Doyle. - Panna Moore zagląda mi przez ramię. - Narysowała pani księżycowe oko.

- To ono ma własną nazwę?

- Och, tak. To słynny symbol. Trochę jak piramida wolnomularzy.

Odzywa się Ann:

- Przypominam ten twój dziwny naszyjnik.

Dziewczęta przyglądają mi się podejrzliwie. Mogłabym zatłuc Ann za ten jej długi ozór! Panna Moore unosi brwi.

- Ma pani taki symbol na naszyjniku?

Z pewnym trudem wyciągam amulet spod wysokiego kołnierzyka sukni, pod którym go ukryłam.

- Należał do mojej mamy. Dostała go dawno temu od pewnej wieśniaczki.

Panna Moore pochyła się, aby dokładniej obejrzeć wisiołek. Przesuwa kciukiem po księżycu wybitym w metalu. -Tak, to on, zgadza się.

- Co to dokładnie jest? - pytam, chowając amulet z powrotem pod sukienkę.
Nauczycielka prostuje się i poprawia kapelusz.
- Legenda głosi, że księżycowe oko było symbolem Zakonu.
- Czego? - Pyta Cecily' robiąc kpiącą minę.
- Nigdy nie słyszałyście o Zakonie? - dziwi się panna Moore. jakby ta wiedza powinna nam być równie bliska jak podstawy arytmetyki.
- Proszę nam o tym opowiedzieć, panno Moore! - natychmiast błaga Pippa. Gotowa jest na wszystko, byle nie rysować.
- Ach, Zakon... To bardzo ciekawa historia. O ile dobrze pamiętam, było to stowarzyszenie potężnych czarodziejek, które istniało od zarania dziejów. Podobno jego członkinie miały dostęp do mistycznego królestwa poza granicami rzeczywistości, między świata złożonego z wielu krain, gdzie mogły praktykować swoją magię.
Kartik wspomniał coś o międzyświecie, podobnie jak Mary Dowd w pamiętniku. Robi mi się zimno i rozpaczliwie pragnę do wiedzieć się czegoś więcej.
- Jakiego rodzaju magię? - słyszę pytanie zadane własnymi ustami.
- Największą ze wszystkich: moc iluzji.
- Nie wydaje mi się, żeby to było coś szczególnie niezwykłego - kpi Cecily. Elizabeth zakłada ramiona na piersi. Najwyraźniej obie niezbyt poważają pannę Moore.
- Doprawdy, panno Tempie? A ten grzebień w pani włosach... To najnowszy krzyk mody, nieprawdaż?
Cecily uznaje to za komplement.
- No, tak, owszem.
-A czy to czyni panią osobą modną? Czy tylko stwarza taką iluzję?
- Z pewnością nie rozumiem, o co pani chodzi. - Oczy Cecily miotają płomień.
- Z pewnością nie - odpowiada panna Moore. Znów uśmiecha się ironicznie.
- Czy potrafiły coś jeszcze? - pytam.
- Och, tak. Te kobiety pomagały duchom przejść do życia po śmierci. Miały dar prorocstwa i jasnowidzenia. Dla nich zasłona między światem nadprzyrodzonym a naszym była bardzo cienka. Widziały i czuły rzeczy niedostępne dla innych.
Usta mam suche niczym trociny.
- Miewały wizje?
- Coś bardzo się tym interesujesz - drwi ze mnie Elizabeth. Felicity ciągnie ją za loki, a ona wydaje głośny jęk, po czym milknie.
- Jak się przedostawały do tego innego świata? - To Felicity zadaje pytanie, na które ja chcę usłyszeć odpowiedź. Chłód sływa po moich ramionach.
- Och, wygląda na to, że wznieciłam mały pożar. - Panna Moore śmieje się. - Nie miałyście okrutnych nianiek, które opowiadały wam straszne historie, żebyście zachowywały się grzecznie i cicho w nocy? Na Boga, co się stanie z Imperium, skoro guwernantki straciły umiejętność zastraszania dzieci na śmierć?
- Proszę nam powiedzieć, panno Moore - prosi Pippa, zerkając na Felicity.
- Zgodnie z legendą, i ze słowami mojej wrednej niani, Panie świeć nad jej podłą duszą, siostry z Zakonu brały się za ręce, a następnie siłą woli odnajdywały przejście czy coś w rodzaju portalu.
Drzwi ze światła.
- Czy musiały robić coś jeszcze, żeby się tam dostać? Coś mówić, wygłaszać jakąś inkantację? - naciskam. Martha przedrzeźnia mnie za plecami i gdybym nie była tak pochłonięta tematem, to znalazłabym sposób, żeby dać jej nauczkę.
Panna Moore śmieje się i kręci głową.
- Dobry Boże, nie mam zielonego pojęcia! To mit. Tak jak te wszystkie symbole. Opowiadka przekazywana z pokolenia na po kolenie. I zapomniana przez nie. Takie legendy umierają z powodu uprzemysłowienia.
- Uważa pani, że powinniśmy wrócić do tego, jak było kiedyś? — pyta Felicity.
- Nic takiego nie twierdzą. Nie można wracać. Trzeba zawsze iść naprzód.
- Panno Moore - pytam, nie mogąc się powstrzymać - dlaczego ktoś miałby dać mojej mamie księżycowe oko?

Nauczycielka zastanawia się.

- Przypuszczam, że musiał uznać, iż potrzebuje ona ochrony. Potworna myśl toruje sobie drogę do mojego umysłu.

- Załóżmy, że zdjęłaby naszyjnik i on by jej nie chronił. Co by się wtedy z nią stało?

Panna Moore potrząsa głową.

- Nie sądziłam, że można tak łatwo zrobić na pani wrażenie, panno Doyle. - Dziewczyny parskają śmiechem. Moja twarz płonie. - Te amulety nie są bardziej skuteczne niż królicza łapka. Nie pokładałabym aż takiej wiary w ochronnych właściwościach pani naszyjnika, niezależnie od tego, jak bardzo jest on atrakcyjny.

Nie mogę zrezygnować. -A co jeśli...

Panna Moore przerywa mi.

- Jeżeli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o starożytnych legendach, drogie panie, znajdziecie pomoc w pewnym miejscu.

To miejsce to biblioteka. I przypuszczam, że w Spence istnieje coś takiego.

Z płóciennej torby na akcesoria malarskie wyciąga kieszonkowy zegarek. Nigdy przedtem nie widziałam kobiety noszącej męski zegarek, co tylko pogłębia tajemnicę, jaką jest panna Moore.

- Już czas wracać - mówi, ze zdecydowanym trzaśnięciem zamykając wieczko czasomierza. - Jak to się stało, że zaczęliśmy dyskutować o starożytnych boginiach, skoro przyszliśmy tu podziwiać sztukę? Chceć wykonać jeszcze kilka szkiców przy wejściu do jaski ni. Gdy pozbieracie swoje rzeczy, możecie do mnie dołączyć.

Wtyka torbę pod ramię i pewnym siebie krokiem zmierza do wyjścia, zostawiając nas same w półmroku.

Ręce drżą mi tak bardzo, że z trudem pakuję przybory. Prawie nie zwracam uwagi na pozostałe dziewczęta. Ich szepty wypełniają jaskinię niczym brzęczenie much.

- To kompletna strata czasu - mruczy Cecily. - Założę się, że pani Nightwing chętnie by się dowiedziała o tym, czego nas uczy panna Moore.

- Ciekawa osoba - zgadza się Elizabeth. - Dziwna.

- Dla mnie to było bardzo interesujące - stwierdza Felicity.

- Mój przyszły mąż byłby odmiennego zdania - narzeka Cecily. - Wolałby wiedzieć, że potrafię narysować coś ładnego, by wy wrzeć wrażenie na naszych gościach, zamiast rujnować kolację opowiadaniem o żądnych krwi czarownicach.

- Przynajmniej spędziłyśmy popołudnie poza murami tego starego, ponurego gmaszyska - przypomina im Felicity.

Ann upuszcza wszystkie ołówki na ziemię, a ich stukot niesie się głośnym echem po jaskini. Dziewczyna niezdarnie opada na kolana, próbując je pozbiierać.

-Twarz Ann mogłaby być talizmanem przeciwko wszystkim mężczyznom - szepcze Elizabeth na tyle głośno, żeby dobrze ją słyszano. Pozostałe dziewczęta wybuchają śmiechem, jak zwykle kiedy nie mogą uwierzyć, że ktoś był równie okrutny, by wyrazić na głos to, co same myślą. Ann nawet nie podnosi wzroku.

Felicity bierze mnie pod rękę i szepcze cicho:

- Nie miej takiej ponurej miny. One są zupełnie niegroźne. Uwalniam ramię.

- To ogary piekielne. Czy nie mogłabyś ich odwołać? Cecily chichocze.

- Uważaj. Felicity, jeszcze użyje przeciwko nam swojego złego oka.

Nawet Felicity nie może się powstrzymać od śmiechu. Bardzo bym chciała użyć swojego złego oka. Albo przynajmniej swojego złego buta na tylnej części Cecily.

Panna Moore wyprowadza nas z powrotem na światło dzienne. a następnie ścieżką przez las na wąską drogę. Za niskim kamiennym murkiem biegnącym wzdłuż niej zauważam cygańskie wozy przycupnięte w zagajniku. Nagle u mego boku pojawia się Felicity. Chce wykorzystać moją wysoką sylwetkę, żeby się ukryć na wypadek. gdyby w pobliżu znajdował się Ithal.

- Ann, wydaje mi się, że panna Moore cię woła - mówi. Ann wy pełnia polecenie, gniewnie odchodząc swoim niezdarnym krokiem w stronę nauczycielki. - Gemmo, proszę cię, nie złość się. - Felicity wystawia głowę i rozgląda się. - Widzisz go?

Nie ma tam nic prócz trzech wozów i kilku koni.

- Nie - odpowiadam opryskliwym tonem.

- Dzięki niech będą bogom! - Bierze mnie pod ramię, nie zwracając uwagi na mój zły humor. - To byłaby niezręczna sytuacja. Wy obrażasz siebie? - Próbuje mnie podbić swoim urokiem i udaje jej się to.

Uśmiecham się wbrew sobie, a ona odpowiada jednym z tych rzadkich promiennych uśmiechów, które

sprawiają, że świat wydaje się wesołym i atrakcyjnym miejscem.

- Słuchaj, mam kapitalny pomysł. Może założymy własny zakon?

Zatrzymuję się ogarnięta nagłym chłodem.

- I co będziemy robiły? - Żyły.

Z ulgą znowu ruszam.

- Już żyjemy.

- Nie. Bierzymy udział w z góry ustalonych gierkach. A gdybyśmy miały miejsce, w którym mogłybyśmy grać nie według czyichś zasad, ale naszych własnych?

- A gdzie, zdradź mi, byśmy to robiły? Felicity rozgląda się wokół.

- Możemy spotykać się w jaskini.

- Żartujesz sobie - odpowiadam. - Żartujesz, prawda? Kręci głową.

- Tylko pomyśl: same byśmy wszystko planowały, same byśmy rządziły i miałybyśmy trochę zabawy, póki możemy. Spence należałoby do nas.

- Wydalono by nas i tyle.

- Nie damy się złapać, jesteśmy na to zbyt sprytne.

Przed nami Cecily szczebiocze coś do Elizabeth, która wydaje się bardzo przejęta tym, że mogą jej się zabłocić buty. Spoglądam wymownie na Felicity.

- Nie są takie złe, kiedy je poznasz bliżej - zapewnia mnie. - Zapewne pirania też jest miła dla swojej rodziny, ale ja nie

mam ochoty się do niej za bardzo zbliżać.

Ann ogląda się na mnie rozczerowana. Właśnie odkryła, że panna Moore wcale nie chciała z nią rozmawiać. Nikt nie chciał. I w tym rzecz, ale może uda się to zmienić.

- Dobrze - mówię. - Wchodzę w to, ale pod jednym warunkiem.

- Śmiało.

- Zaprosisz również Ann.

Felicity nie może się zdecydować, czy wybuchnąć śmiechem, czy opluć mnie jadem.

- Nie mówisz poważnie. - Kiedy nie odpowiadam, dodaje: - Nie zrobię tego.

- Z tego, co pamiętam, jesteś mi coś winna.

Posyła mi pełne wyższości spojrzenie, które ma zakończyć ten temat.

- Pozostałe dziewczęta nie dopuszczają do tego. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- To już twój problem. - Nie mogę się pohamować, by nie do dać z uśmiechem: - Nie bądź taka ponura.

One są zupełnie nie szkodliwe. Naprawdę.

Felicity mruży oczy i odchodzi, żeby porozmawiać z Pippą. Elizabeth i Cecily. Po chwili zaczynają się kłócić, Elizabeth i Cecily kręcą głowami, a Felicity wyraźnie okazuje irytację i niezadowolony. Pippa ze swojej strony wydaje się po prostu zadowolona, że przyjaciółka znów zwraca na nią uwagę. Po chwili Felicity wraca do mnie. kipiąc z wściekłości.

- No i?

- Mówiłam ci, że jej nie przyjmą. Nie należy do ich klasy.

- Przykro mi, że twój klubik upadł, zanim jeszcze powstał - wyrażam współczucie nie bez satysfakcji.

- Czy ja mówiłam, że upadł? Wiem, że mogę przekabacić Pippę. Cecily zrobiła się ostatnio zbyt arogancka. Stworzyłam ją z ni czego. jeżeli ona i Elizabeth uważają, że sobie poradzą w tej szkole bez mojego poparcia, to grubo się mylą.

Nie doceniałam jej potrzeby kontrolowania wszystkiego. Woli raczej pokazywać się ze mną i z Ann, niż przyznać się do porażki przed swoją świtą. W końcu to córka admirała.

- Kiedy się spotkamy?

- Dziś o północy - odpowiada.

Mam głębokie przekonanie, że to wszystko doprowadzi tylko do wstydu i nieszczęścia, a przynajmniej do tego, że będę zmuszona do wysłuchiwania wywodów Pippy na temat romantycznej miłości. Ale za to będą musiały choć na jakiś czas przestać dręczyć Ann.

Na zakręcie stoi Ithal. Felicity zatrzymuje się gwałtownie jak spłoszony koń. Mocno trzyma mnie pod ramię, uparcie nie patrząc w jego kierunku.

- Dobry Boże - jęczy.

- Nie odważy się odezwać do ciebie publicznie, prawda? - szepczę, starając się nie zwracać uwagi na paznokcie Felicity wbijające się głęboko w moją rękę.

Ithal pochyla się, by zerwać kwiatek. Śpiewając coś, wskakuje na murek i podaje go Felicity, jakbym w ogóle między nimi nie stała. Pozostałe dziewczęta odwracają się, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie.

Szeptają i chichoczą, zarówno zaszokowane, jak i zachwycone całą sceną. Felicity trzyma głowę nisko spuszczoną i wbija wzrok w ziemię.

Panna Moore wygląda na rozbawioną.

- Zdaje się, że masz adoratora, Felicity.

Dziewczyny spoglądają to na Ithala, to na Felicity, obserwując i czekając.

Chłopak podaje jej kwiat. Trzyma go w palcach, czerwony i wonny.

- Piękno dla piękności - mówi swoim niskim, zmysłowym głosem.

Słyszę, jak Felicity szepcze pod nosem:

- Co za tupet!

Z kamienną twarzą rzuca kwiat na drogę.

- Panno Moore, czy nie można usunąć tej hołoty z lasu? To skandal!

Równie dobrze mogła wymierzyć mu policzek. Delikatnie unosi dłońmi spódnicę, następuje na kwiat i rozgniała go butem, po czym rusza na czele grupy. Pozostałe dziewczęta idą za nią.

Czuję się upokorzona w imieniu Ithala. Stoi przy murku i patrzy, jak się oddalamy. Kiedy docieramy do alei prowadzącej do szkoły, nadal tam jest ze zniszczonym kwiatem w dłoni, daleko za nami. mała gasnąca gwiazda, która wypadła z naszej konstelacji.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wymykamy się tuż po północy. Wędrujemy przez las przy świetle latarni, aż docieramy głęboko do ciemnego tona jaskini. Fe licity zapala świecę, które podkracla z kredensu. Po chwili robi się jasno, a rysunki znów tańczą na skalnych ścianach. W niesamowitym świetle czaszki Morrigan skręcą się i wyginają jak żywe stworzenia, aż muszę odwrócić wzrok.

- Faj, jak tu mokro - jęczy Pippa, siadając ostrożnie na podłodze jaskini. Felicity namówiła ją, żeby poszła z nami, a teraz Pippa wyłącznie na wszystko narzeka. - Czy ktoś wpadł na pomysł, żeby wziąć coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Jej wzrok pada na Ann, która właśnie wyjęła jabłko z kieszeni pe leryny. Spoczywa w jej dłoni, podczas gdy ona rozważa, co powinno zwyciężyć - głód czy potrzeba przynależności. Po pełnej udręki mi nucie podaje owoc Pippie.

- Możesz zjeść moje jabłko.

- Chyba będzie musiało wystarczyć - ocenia dziewczyna z wes tchnieniem. Sięga po nic, ale Felicity łapie je pierwsza.

- Jeszcze nie. Musimy zrobić to w odpowiedni sposób. Z toa stem.

Jej oczy błyszczą, gdy sięga pod luźną suknię i wyciąga karafkę z winem mszalnym. Zachwycone piski Pippy wypełniają jaskinię. Dziewczyna obejmuje przyjaciółkę ramionami.

- Och, Fee, jesteś genialna!

- Owszem, jestem, czyż nie?

Chcę im przypomnieć, że to ja ryzykowałam życie, kończyń, duszę i wydalenie ze szkoły, aby zdobyć wino, ale wiem, że to bez sensu, więc tylko robię ponurą minę.

- Co to jest? - pyta Ann. Felicity przewraca oczami.

- Tran. A jak myślisz, co to może być? Kolor odpływa z twarzy Ann.

- To chyba nie jest alkohol?

Pippa melodramatycznym gestem chwyta się za gardło.

- Dobry Boże, nie!

Ann zaczyna sobie uświadamiać, na co się naraża swoim za chowaniem. Próbuje ratować sytuację, żartując z kogoś innego.

- Damy nie spożywają napojów alkoholowych - mówi, przedrzeźniając afektowany ton pani Nightwing. Naśladuje ją doskonale i wszystkie wybuchamy śmiechem. Zachwycona Ann powtarza żart znowu i znowu, aż z zabawnego robi się irytujący.

- Możesz już przestać - gani ją Felicity. Ann znów wycofuje się za swoją maskę.

- Pani Nightwing nigdy nie zapomina o sherry przed snem. One wszystkie są takimi hipokrytkami.

Zdrówko! - mówi Pippa, biorąc potężny, bynajmniej nieprzystojący damie, haust z karafki.

Podaje wino Ann, która ociera dłonią szyjkę butelki i waha się.

- No dalej, nie ugryzie cię - ponagla ją Felicity.

- Nigdy jeszcze nie piłam.

- Naprawdę? Jestem wstrząśnięta. - Pippa chichocze, udając zdumienie, a ja wyobrażam sobie, jak by to było wylać zawartość butelki na jej idealne loki.

Ann chce oddać karafkę, ale Felicity jest nieugięta.

- To nie jest prośba. Pij albo wylecisz z klubu. Możesz sama wrócić do Spence.

Oczy Ann robią się ogromne. Te zepsute dziewczyny nie wiedzą, jakie ona przeżywa męczarnie, łamiąc zasady. One zawsze mogą liczyć na to, że dzięki urokowi wywiną się z kłopotów, ale dla Ann naruszenie reguł może oznaczać absolutną klęskę.

- Zostaw ją, Felicity.

- To ty chciałaś, żeby ona tu przysłała, nie my - przypomina, pozwalając, aby okrucieństwo tej uwagi dotarło do nas w pełni. -

Koniec z przysługami. Jeśli chce być z nami, musi się napić. To samo dotyczy ciebie.

- A więc dobrze. Podaj mi to - decyduję. Karafka zmierza w moją stronę.

- 1 nie wolno wypluwać - przestrzega Felicity.

Unoszę do ust wino, które pachnie słodko i ostro zarazem. Ten aromat przywodzi na myśl rzeczy wielkie, magiczne i zakazane. Piecze mnie w przełyku, aż kaszlę i krztuszę się. Jakby ktoś podpalił mi płuca zapałką.

- Ach, wino życia. - Felicity uśmiecha się szatańsko i wszystkie zaczynają się śmiać, nawet Ann. Oto wdzięczność.

- Co to jest? - udaje mi się wychrypieć. Napój wcale nie sma kuje jak wino, które podpijałam rodzicom z kieliszków. Jestem pewna, że służba używa tego czegoś do czyszczenia podłóg lub do odświeżania politory.

Tak zadowolonej Felicity jeszcze nigdy nie widziałam.

- Whisky. Przez przypadek uszczupliłaś prywatne zapasy wielebnego.

Piekący napitek wywołuje łyż w moich oczach, ale przynajmniej mogę znowu oddychać. Zaskakujące ciepło ogarnia całe moje ciało, obezwładniając mnie przyjemnie. Podoba mi się to uczucie, ale Felicity już porywa butelkę i podaje ją Ann, która łyka lekarstwo jak na grzeczną dziewczynkę przystało, lekko tylko krzywiąc się z powodu smaku. Felicity też wypija swoją porcję, dopełniając rytuału inicjacji, choć nadal nie jestem pewna, z czym związanego. Butelka robi jeszcze kilka okrążeń, aż wszystkie mamy miękkie nogi. Pływam wewnątrz własnej skóry. Mogłabym tak pływać przez wiele dni. W tej chwili realny świat ze swoimi bólączkami i rozczarowaniami stanowi tylko głuchy rytm na ochronnej membranie naszego zamroczenia. Jest gdzieś na zewnątrz nas i czeka, ale my jesteśmy zbyt oszołomione, aby się nim przejmować. Patrząc, jak skała połyskuje, a moje przyjaciółki rozmawiają przyciszonymi głosami, zastanawiam się, czy tak właśnie wyglądają dnie mojego ojca, szczelnie owiniętego kokonem z laudanum. Żadnego bólu, tylko odległe pulsowanie pamięci. Smutek tej wizji przytłacza mnie i pogrążam się w nim.

- Gemmo? Coś ci jest? - To Felicity, siada prosto i patrzy na mnie zmieszana, a ja uświadamiam sobie, że płaczę.

- To nic takiego - odpowiadam, ocierając oczy grzbietem dłoni.

- Tylko nie mów, że należysz do tych osób, które upijają się na smutno - próbuje zażartować, ale wywołuje tylko kolejną falę łez.

- Ty już nie dostaniesz więcej. Masz, zjedz coś. - Chowa butelkę za głazem i podaje mi niezjedzone jabłko. - Impreza robi się bardzo nudna. Ktoś ma jakiś fajny pomysł?

- Skoro założyliśmy klub, to chyba powinnyśmy dać mu odpowiednią nazwę. - Pippa w nonszalanckiej pozie opiera głowę o skałę. Oczy jej błyszczą od wypitego alkoholu.

- Co powiecie na Młode Damy ze Spence? - proponuje Ann. Felicity krzywi się.

- To brzmi, jakbyśmy były starymi pannami o krzywych zębach.

Śmieję się nieco za głośno, ale czuję wdzięczność. Łzy przestały wreszcie płynąć, choć nadal mam problem ze złapaniem oddechu.

- To pierwsze, co mi przyszło do głowy - podniesionym głosem odpowiada Ann. Whisky sprawia, że pokazuje pazur.

- Nie bądź taka drażliwa. Masz, napij się jeszcze.

Ann kręci głową, ale Felicity trzyma butelkę w wyciągniętej ręce. W końcu Ann poddaje się i wypija kolejny haust, mocno ściskając usta.

Pippa klaszcze w dłonie.

- Wiem, nazwiemy się Paniami z Shalott!

- Czy to oznacza, że wszystkie niedługo umrzemy? - pytam, wybuchając nieopanowanym chichotem.

Moja głowa jest piórkiem na wietrze.

Felicity podziela tę wesołość.

- Gemma ma rację. Zdecydowanie zbyt przygnębiające. Rzucamy propozycje nazw, śmiejąc się z

zupełnie skandalicznych - Kapłanki Ateny! Córki Persefony! - i wygwizdując prawdziwie okropne - Cztery Wiatry Miłości! W końcu milkniemy, opierając się o skałę i lekko dotykając się głowami. Na ścianach boginie polują i baraszkują, wolne od wszelkich ograniczeń. Same ustanawiają zasady i karzą tych, którzy je łamią.

- A może nazwiemy się Zakonem? - proponuję Felicity prostuje się tak szybko, że jeszcze przez kilka sekund czuję ciepło jej ciała.

- Absolutnie doskonale! Gemmo, jesteś naszym geniuszem. -Czuję się trochę zawstydzona, więc miętolę w rękę ogonek jabłka, aż łamię się z trzaskiem. Felicity przyciąga moją dłoń i wgrzyza się w owoc, który trzymam. Wargi ma nadal słodkie i lepkie od jego soku kiedy całuje mnie prosto w usta. Muszę przyłożyć do nich palce, żeby powstrzymać mrowienie, ale i tak rumieniec ogarnia całe moje ciało. Felicity unosi w górę jabłko oraz moje ramię, mocno trzymając je swą białą dłonią.

- Drogie panie, daję wam odrodzony Zakon! - Odrodzony Zakon! - powtarzamy za nią, a nasze głosy odbijają się echem po całej, jaskini. Pippa obejmuje mnie. Ożywia nas nowy sekret, sposób w jaki przynależymy do siebie nawzajem i do czegoś więcej niż tylko monotennie upływające godziny, podczas których nie można się spodziewać niczego prócz codziennej rutyny. Ta świadomość daje mi moc większą nawet niż whisky i pragnę czuć się tak zawsze.

- Myślicie, że naprawdę istniało takie stowarzyszenie kobiet? Felicity prychnęła lekceważąco. - Nie bądź głupia, Pip. To bajki. Pippa czuje się dotknięta. - Tak tylko się zastanawiałam. Nie chcę, by czar tej nocy przyszedł tak szybko. - A Jeśli to prawda?

Cienki, oprawiony w skórę pamiętnik znajduje się w moich dłoniach, zanim udaje mi się nad tym dobrze zastanowić. - Co to jest? -pyta Ann.

- Sekretny dziennik Mary Dowd.

- A kto to jest Mary Dowd? - dopytuje się Ann. Opowiadam im, co wiem o Mary Dowd, jej przyjaciółce Sarze

i ich przynależności do Zakonu. Felicity wyrywa mi pamiętnik, a strony odwracają się coraz szybciej i szybciej, gdy dziewczęta czytają, szeroko otwierając usta ze zdumienia.

- Znalazłyście ten fragment, gdy wchodzi do ogrodu? - pytam.

- Jesteśmy już dalej - odpowiada Felicity.

- Czekajcie! Ja tego nie czytałam! Gdzie jesteście? - mówię to nem użalającego się nad sobą dziecka.

- Na piętnastym marca. Dajcie, będę czytała na głos - proponuje Felicity.

Sara i ja byłyśmy dzisiaj dosyć niegrzeczne i wkroczyłyśmy do międzyświata bez przewodnictwa naszych sióstr. Początkowo bałyśmy się, że się zgubiłyśmy, gdyż znalazłyśmy się w mglistym lesie, gdzie wiele zagubionych dusz - tych biednych, zbłąkanych, nieszczęśliwych dusz - prosiło nas o pomoc, ale nic nie mogłyśmy zrobić. Eugenia mówi...

- Eugenia! Myślicie, że chodzi jej o panią Spence? - pyta Ann. Ucisza ją, a Felicity czyta dalej.

Eugenia mówi, że nie mogą kontynuować podróży, dopóki nie spełnią swojej misji, czy w tej krainie, czy w innej, i dopiero wtedy będą mogły odzyskać spokój. Niektórzy z tych tułaczy nigdy się nie uwalniają, wypaczają się coraz bardziej, aż stają się ciemnymi duchami, które mogą wyrządzać wszelkiego rodzaju szkody. Zostają wtedy zesłani do Krainy Zimy, królestwa ognia, lodu i cieni. Jedynie najsilniejsze i najmądrzejsze z naszych sióstr mogą tam wchodzić, gdyż mroczni z tego świata umieją kusić tysiącami pragnień. Uczy nią z ciebie niewolnicę mocy. Jeśli nie będziesz wiedziała, jak nimi pokierować i ich przegnać, tak jak potrafią to starsze. Relacja z ta kim upadłym duchem, przywiązanie go do siebie mogłoby na zawsze zmienić równowagę w międzyświecie.

Felicity milknie.

- Och, szczerze mówiąc, to najgorsza wprawka w powieści gotyckiej, jaką kiedykolwiek czytałam. Brakuje tylko trzeszczących podłóg w zamku i bohaterki, której grozi utrata cnoty.

Pippa, chichocząc, siada prosto.

- Czytajmy dalej i dowiedzmy się, czy one rzeczywiście stracą cnotę!

Dzisiaj znów znalazłyśmy się w tym przepięknym ogrodzie. w którym mogą się spełnić największe marzenia...

- No, już lepiej - ocenia Felicity. - Teraz powinno pojawić się coś bardziej cielesnego.

Słodko pachnący wrzos koloru wina kotłował się pod pomarańczowozłotym niebem. Całymi godzinami leżałyśmy wśród niego, niczego nie pragnąc, przemieniając żdźbła trawy w motyle jednym muśnięciem palców, a wszystko, co sobie wyobrażałyśmy, stawało się realne przez moc naszej woli i pragnień. Siostry uświadomiły nam, jakie zdumiewające rzeczy możemy robić, nauczyły nas sposobów uzdrawiania, zaklęć urody i miłości...

- Oooh. chcę je poznać! - wola Pippa. Felicity podnosi głos, zagłuszając ją, dopóki się nie ucisza. ... ukrywania się przed innymi, nakłaniania umysłów ludzi do woli Zakonu, wpływania na ich myśli i marzenia, dopóki przeznaczenie nie ukaże im się jak wzór gwiazd na nocnym niebie. Wszystko to zostało spisane w Wyroczni Run. Wystarczyło dotknąć dłońmi tych kryształów, by połączyć się z wszechświatem, który przepływał przez nas mocno i szybko niczym rzeka. Mogłyśmy tam zostać zaledwie kilka sekund, tak potężne było to przeżycie. Ale kiedy wróciłyśmy. byłyśmy wewnętrznie odmienione. „Zostałyście otwarte” - po wiedziały nasze siostry...

Pippa chichocze.

- Może jednak w końcu straciły cnotę.

- Pozwolisz mi dokończyć? - złości się Felicity.

... i my też to czułyśmy. Zabrałyśmy w sobie niewielką cząsteczkę magii do tego świata. Pierwszą próbę podjęłyśmy przy kolacji. Sara popatrzyła na chudą zupę i chleb, zamknęła oczy i oświadczyła.

że to bażant. Tak też wyglądał i smakował, do ostatniego kęsa. Był tak pyszny, że potem Sara uśmiechnęła się wesoło i powiedziała: „Chcę więcej”.

Tak głęboko pograżam się w myślach, że nie zauważam, iż Felicity przestała czytać. Nie słychać nic, poza szmerem wody spływającej po ścianie.

- Gdzieś ty to znalazła? - Patrzy na mnie, jakbym popełniła przestępstwo.

No cóż. któreś nocy wskazała mi drogę widmowa dziewczynka. Wam to się nigdy nie zdarza?

- W bibliotece - kłamię.

- I naprawdę uznałaś, że to opis autentycznej godziny czarownic w Spence? - Patrzy na mnie z rozbawieniem.

- Nie, oczywiście, że nie - znów kłamię. - Chciałam tylko trochę się z wami podroczyć.

- Oooh, godzina czarownic w Zakonie. Czy to tuż przed nieszporami. czy zaraz po muzyce? - Pippa śmieje się tak bardzo, że zaczyna parskać jak koń. Wygląda to bardzo nieatrakcyjnie, a ja jestem na tyle potworna, by czerpać z tego przyjemność.

- Bardzo inteligentna uwaga, masz niezwykły umysł - odpowiadam, starając się, aby zabrzmiało to wesoło, choć tak naprawdę czuję się rozgoryczona i upokorzona.

Felicity z ironiczną powagą wysoko unosi pamiętnik.

- Zostałam otwarta, siostry. Od teraz to jest nasza święta księga. Każde zgromadzenie będziemy rozpoczynały od czytania fragmentu tego fascynującego... - zerka w moją stronę - i absolutnie prawdziwego pamiętnika.

Tym oświadczeniem doprowadza Pippę do spazmów.

- Uważam, że to wyśmienity pomysł! Bełkocze tak, że wychodzi z tego „wyśmity”.

- Chwileczkę, to moje - protestuję, sięgając po dziennik, ale Felicity chowa go do kieszeni.

- Zdaje się, że mówiłaś, iż wzięłaś go z biblioteki - wtrąca Ann.

- Ha! Brawo, Ann. - Pippa uśmiecha się do niej, a ja już żałuję, że nawiązuje się między nimi przyjaźń.

Swoim kłamstwem do prowadzani do tego, że tracę pamiętnik, a przy okazji możliwość, aby odkryć, co się ze mną dzieje, co znaczą moje wizje. Jednak nie dam rady go odzyskać, nie mówiąc im całej prawdy, a na to jesz czy nie jestem gotowa. Przynajmniej dopóki sama siebie nie zrozumiem.

Ann znów podaje mi butelkę, ale odmownie macham ręką.

- Je ne voudrais pas le whisky - mówię swoją potworną francuszczyzną.

- Musimy ci pomóc z francuskim. Gemmo, zanim LeFarge cię zdegraduje - orzeka Felicity.

- A skąd ty tak dobrze znasz francuski? - pytam z irytacją.

- Dla twojej wiadomości, panno Doyle, tak się składa, że moja mama prowadzi słynny salon w Paryżu. - Słowo „salon” wymawia z francuskim akcentem. - Podejmowała wszystkich najlepszych pisarzy w Europie.

- Twoja mama jest Francuzką? - pytam. Whisky nieco zaćmiła mi umysł. Wszystko mnie śmieszy.

- Nie, jest Angielką. Z linii Yorków. Ale mieszka w Paryżu. Dlaczego miałyby mieszkać w Paryżu zamiast tutaj, gdzie wróci jej mąż, wypełniwszy obowiązki wobec Jej Królewskiej Mości?

- Twoi rodzice nie mieszkają razem? Felicity spogląda na mnie gniewnie.

- Ojciec większość czasu spędza daleko na morzu, a matka to piękna kobieta. Czemu nie miałyby się cieszyć towarzystwem przyjaciół w Paryżu?

Nie wiem, co złego powiedziałam. Zaczynam przeproszać, ale Pippa napada na mnie.

- Żałuję, że moja mama nie prowadzi salonu. Ani nie robi ni czego interesującego. Ona jedynie doprowadza mnie do szalu swoją krytyką. „Pippo, nie garb się, w ten sposób nigdy nie znajdziesz męża”.

„Pippo, musimy zawsze zachowywać pozory”. „Pippo, to, co myślisz na swój temat, nie jest nawet w

przybliżeniu tak ważne

jak to. co mówią o tobie inni". A do tego ten jej ostatni protegowany: niezdarny, pozbawiony wdzięku pan Bumble.

- Kim jest pan Bumble? - pytam.

- Amantem Pippy - wyjaśnia Felicity, podkreślając pierwsze słowo.

- Nie jest moim amantem! - skrzeczy Pippa.

- Nie, ale chce nim być. Inaczej czemu ciągle składałby ci wizyty?

- On ma chyba z pięćdziesiąt lat!

- I jest bardzo bogaty, bo inaczej matka nie pchałaby go w twoje ramiona.

- Matka żyje dla pieniędzy - wzdycha Pippa. - Denerwuje się, że tata uprawia hazard. Boi się, że przegra wszystkie nasze pieniądze. Dlatego tak rozpaczliwie pragnie wydać mnie za zamożnego człowieka.

- Zapewne znajdzie ci kogoś ze zdeformowaną stopą i dwunastką dzieci starszych od ciebie - śmieje się Felicity. Pippa wzdryga się.

- Powinnaś zobaczyć kilku kandydatów, których mi prezentowała. Jeden miał metr dwadzieścia wzrostu!

- Nie mówisz poważnie! - Jestem wstrząśnięta.

- No, może metr pięćdziesiąt. - Pippa wybucha zaraźliwym śmiechem i po chwili wszystkie histerycznie chichoczą. - Innym razem przedstawiła mi mężczyznę, który podczas tańca cały czas szczypał mnie w pupę. Wyobrażacie to sobie? „Och. cudowny walc”. Szczyp, szczyp. „Co panna powie na poncz?”. Szczyp, szczyp. Przez tydzień miałam siniaki.

Nasze kwiki przypominają zwierzęce odgłosy, swobodnie i hala śliwę. Powoli zamierają, przeradzając się w sapnięcia i pomruki, a Pippa mówi:

- Ann, Gemmo, wy nie musicie się przejmować takimi sprawami jak niezdolne matki, próbujące kontrolować każdy wasz krok. Szczęściarzy z was.

Głośno wypuszczam powietrze z płuc. Felicity mocno kopie Pippę w piszczel.

- To nie było zbyt miłe, wiesz? - Pippa ostentacyjnie masuje nogę.

- Nie bądź taka delikatna - drwi Felicity. ale kiedy udaje jej się pochwycić moje spojrzenie, widzę w nim ślad serdeczności i uświadamiam sobie, że zrobiła to dla mnie. Po raz pierwszy zastanawiam się, czy rzeczywiście nie mogłybyśmy zostać przyjaciółkami.

- Odrażające! - Ann przez chwilę kartkowała pamiętnik, a te raz trzyma w dłoni jakiś rysunek, który natychmiast odrzuca, jakby mógł ją poparzyć.

- Co to jest? - Pippa chwyta go pospiesznie, gdy ciekawość zwycięża dumę. Wszystkie się pochylamy. Rysunek przedstawia kobietę z winnymi gronami we włosach kopulującą z mężczyzną w zwierzęcych skórkach oraz maską z rogami na głowie. Podpis głosi: „Wiosenne obrządki autorstwa Sary Rees-Toome”. Wszystkie jesteśmy przerażone i mówimy, że to odrażające, jednocześnie starając się dojrzeć wszystkie szczegóły.

- Mniemam, że on się już obrządził - mówię, chichocząc wysokim głosem, którego sama nie rozpoznaję.

- Co oni robią? - pyta Ann, szybko się odwracając.

- Ona leży na plecach i myśli o Anglii! - piszczy Pippa, cytując zdanie, którym każda angielska matka opisuje akt cielesny swojej córce. To nie ma nam się podobać. Mamy tylko starać się począć dzieci w imię przyszłości Imperium i zadowolić naszych mężów. Z jakiegoś powodu przed moimi oczami pojawia się twarz Karlika. Zbliży się do mnie, spoglądając spod tych długich rzęs, a ja rozchyłam usta. Dziwne ciepło mające źródło w brzuchu zalewa każdy zakamarek mojego ciała.

- Ann, nie powiesz chyba, że nie wiesz, co mężczyźni i kobiety robią, kiedy są razem. Mam ci pokazać? - Felicity wijącym ruchem zsuwa się z głazu i pochyla nad Ann, która kuli się, wciskając plecy w ścianę.

- Nie, dziękuję - szepcze.

Felicity przez chwilę patrzy jej prosto w oczy, a potem jednym długim ruchem przesuwa językiem po jej policzku. Przerażona

Ann wyciera twarz. Felicity tylko się śmieje i opada na skalistą podłogę, wyciągając ramiona nad głowę.

Jej pełne piersi rozpierają stanik koszuli. Patrzy w jakiś punkt nad naszymi głowami.

- Będę miała wielu mężczyzn. - Mówi to rzeczowo, jakby komentowała pogodę, ale musi wiedzieć, że zachowuje się skandalicznie.

Pippa nie wie, czy powinno ją to zgorszyć, czy rozbawić, więc na wszelki wypadek decyduje się na oba rozwiązania.

- Przestań, to okropne!

Felicity wyczuwa krew. Znalazła sposób, żeby nas podręczyć, i nie daruje sobie.

- To prawda. Hordy mężczyzn! Członków parlamentu i chłopców stajennych. Maurów i Irlandczyków.

Zhańbionych książąt! Królów!

Pippa zatyka uszy dłońmi.

- Nie! - krzyczy. - Nie mów nic więcej!

Ale ona też się śmieje. Uwielbia tupet przyjaciółki. Felicity wstaje i tańczy, wirując jak derwisz w transie.

- Będę miała prezydentów i potentatów przemysłowych! Aktorów i Cyganów! Poetów i artystów!

Mężczyzn, którzy będą gotowi umrzeć, byle tylko dotknąć rąbka mojej sukni!

- Zapomniałaś o królewiczach! - woła Ann, uśmiechając się lekko, z poczuciem winy.

- Królewiczów! - krzyczy Felicity z radością. Bierze Ann za rękę i tańczy z nią w kółko, a jej jasne włosy powiewają w powietrzu.

Pippa też wstaje i dołącza do kółka. - I trubadurów!

- I trubadurów, śpiewających o szafirach moich oczu! Przyłączam się do nich. porwana wirem szaleństwa.

- Nie zapomnij o żonglerach, akrobatkach i admirałach! Felicity zatrzymuje się. Głos ma zimny.

- Nie. Żadnych admirałów.

- Przepraszam, Felicity. Nie miałam nic złego na myśli - mówię, poprawiając sukienkę, podczas gdy Pippa i Ann wbijają wzrok w ziemię. Milczenie między nami naładowane jest elektrycznością:

jedno dotknięcie, jedno niewłaściwe słowo i zapłonimy. Felicity bierze w dłoń butelkę. Pociąga długi, gwałtowny łyk, zgina się wpół przygięta mocą alkoholu, ociera wierzchem bladej dłoni usta pociemniałe od whisky.

- Odprawmy rytuał, dobrze?

- J-jakiego r-rodzaju r-rytuał? - Ann nie zdaje sobie sprawy, że odsunęła się kilka kroków od nas w stronę ciemnego wejścia do ja skini.

- Już wiem, możemy złożyć przysięgę! - Pippa jest z siebie całkiem zadowolona.

- To musi być coś bardziej wiążącego - oświadcza Felicity, a wzrok ma nieobecny. - O obietnicach można zapomnieć. Odprawimy rytuał krwi. Potrzebujemy czegoś ostrego. - Jej spojrzenie pada na mój amulet, który wysunął się spod koszuli. - Myślę, że to się nada.

Odruchowo zakrywam go dłonią.

- Co zamierzasz zrobić?

Felicity głośno wypuszcza powietrze, teatralnie przewracając oczami.

- Zamierzam cię wypatroszyć i zostawić twoje wnętrzności na palu jako ostrzeżenie dla tych, które noszą za dużą biżuterię.

- Należał do mojej mamy - protestuję. Dziewczyny patrzą na mnie wyczekująco. W końcu ulegam milczącej presji i podaję jej naszyjnik.

- Merci - Felicity dyga. Jednym szybkim ruchem opuszcza kra wędz księżycy, przecinając opuszkę swojego palca. Krew pojawia się natychmiast.

- Tak, właśnie - mówi, zostawiając smugi krwi na moich po liczkach. - Naznaczymy się nawzajem.

Zawrzemy pakt.

Podaje wisiołek Pippie, która wykrzywia twarz.

- Nie wierzę, że każesz mi to zrobić. To takie zwierzęce. Nienawidzę widoku krwi.

- Dobra, zrobię to za ciebie. Zamknij oczy. - Felicity przecina skórę Pippy, a ona wrzeszczy, jakby została śmiertelnie raniona. -

Dobry Boże, nadal oddychasz, prawda? Nie bądź taką ciamajdą. - Trzymając palec Pippy, rozciera krew na rumianych policzkach Ann. Natomiast Ann wyciera swoje pokrwawione palce o porcelanową skórę Pippy.

- Pospieszcie się, proszę. Zaraz się pochoruję. Czuję to - jęczy Pippa.

W końcu nadchodzi moja kolej. Trzymam ostry kraniec księżyca nad palcem. Przypomina mi się strzęp snu - chyba burza, mama krzyczy, a w mojej ręce zieje otwarta rana.

- No, dalej - ponagla mnie Felicity. - Tobie chyba nie muszę pomagać.

- Nie - odpowiadam i wbijam amulet w palec. Ból ogarniający moje ramię jest tak silny, że ze świstem wciągam powietrze przez usta. Skaleczenie, choć małe, krwawi bardzo mocno. Palec mnie piecze, gdy delikatnie przeciągam nim po białych kościach policzkowych Felicity.

- Dobrze - mówi, spoglądając na nas, świeżo ochrzczone w świetle świec. - Dajcie ręce. - Wyciąga swoją, a my kładziemy na niej nasze dłonie. - Przysięgamy być wobec siebie lojalne, zachować w tajemnicy rytuały naszego Zakonu i zakosztować wolności. Oby nikt nas nie zdradził. Nikt. - Mówiąc to, patrzy na mnie. - To jest nasze sanktuarium. Dopóki tu przebywamy, będziemy mówiły tylko prawdę. Przysięgnijcie.

- Przysięgamy.

Felicity stawia świeczkę na środku kręgu.

- Teraz niech każda z nas wypowie nad tą świeczką swoje największe marzenie i niech ono się spełni.

Pippa bierze świecę i mówi poważnie:

- Chcę znaleźć prawdziwą miłość.

- To głupie - rzuca Ann, próbując oddać świecę, ale Felicity jej nie przyjmuje.

- Twoje największe marzenie, Ann - powtarza. Ann nie patrzy na żadną z nas, gdy mówi:

- Chcę być piękna.

Felicity mocno trzyma świecę, a w jej głosie brzmi zdecydowanie.

- Chcę być tak silna, żeby nie można było mnie zlekceważyć. Nagle świeca znajduje się w mojej dłoni, a gorący wosk spływa

mi po palcach i parzy skórę, po czym zastyga w niekształtną bryłę na nadgarstku. Czego pragnę najbardziej? Chcą prawdy, ale najszczerze, co mogę odpowiedzieć, jest to, że nie znam swojego serca.

- Chcę zrozumieć siebie.

To wystarczy, gdyż Felicity intonuje:

- O, wielkie boginie, spełnijcie nasze marzenia!

Przez wejście do jaskini wpada podmuch wiatru, gasząc świeczkę. Wszystkim nam zapiera dech w piersi.

- Chyba nas usłyszały - szepczę. Pippa przykładła dłoń do ust.

- To znak.

Felicity po raz ostatni puszcza w obieg butelkę i pijemy.

- Wygląda na to, że boginie nam odpowiedziały. Za nasze no we życie! Pijcie. Pierwsze spotkanie Zakonu dobiegło końca. Wracajmy, póki jeszcze świece się całkiem nie wypaliły.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Umieram podczas lekcji mademoiselle LeFarge następnego ranka. Skutki picia whisky to prawdziwy koszmar. W głowie nie prze staje mi dudnić ani na chwilę, a śniadanie - suchy tost z marmoladą - niepewnie się kołysze na wzburzonym morzu mojego żołądka.

Nigdy, przenigdy nie napiję się już whisky. Od dzisiaj w grę wchodzi wyłącznie sherry.

Pippa wygląda na równie wyczerpaną jak ja. Ann prezentuje się niezłe - choć przypuszczam, że wypija znacznie mniej, niż nam się wydawało. Następnym razem powinnam skorzystać z tej lekcji. Natomiast Felicity poza podkrążonymi oczami nie wydaje się szczególnie wyczerpana długim wieczorem.

Elizabeth przygląda się mojej zmiętej fizjonomii i krzywi się z niesmakiem.

- Co się z nią dzieje? - pyta, starając się znów wkraść w łaski Felicity i Pippy. Zastanawiam się, czy połkną przynętę i przyjaźń z ostatniej nocy zostanie zapomniana, a my z Ann ponownie znajdziemy się na zewnętrznej orbicie, mogąc tylko zaglądać do środka.

- Obawiam się, że nie możemy zdradzać żadnych sekretów naszego Zakonu - odpowiada Felicity, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Elizabeth dąsa się i szepcze coś do Marthy, która kiwa głową. Jednak Cecily nie poddaje się tak łatwo.

- Fee, nie gniewaj się - mówi ociekającym słodyczą głosem. - Dostałam nową papeterię. Będziemy wieczorem pisać listy w twoim kąciku?

- Obawiam się, że mam inne zajęcia - odpowiada Felicity bardzo rzeczowym tonem.

- A zatem to tak? - Cecily ściąga wąskie usta. Z tym zabójczym połączeniem obłudy i bezwzględności byłaby idealną żoną dla pastora. Chętniej bym się delektowała jej porażką, gdybym nie była tak potwornie wyżęta. Ku powszechnemu przerażeniu wymyka mi się beknięcie, ale ja za to czuję się o wiele lepiej.

Martha macha ręką przed swoim nosem.

- Czuć od ciebie jak z gorzelnii.

Cecily czujnie unosi głowę i spogląda prosto w oczy Felicity. Moja przyjaciółka markotnieje, gdy nikły, nieprzyjazny uśmiech pojawia się w kącikach ust Cecily. Mademoiselle LeFarge wpada do klasy, tryskając francuskimi frazami, od których kręci mi się w głowie. Podaje nam piętnaście zdań, które mamy przetłumaczyć w zeszytach. Cecily kładzie dłonie na ławce.

- Mademoiselle LeFarge...

- En français!

- Proszę o wybaczenie, mademoiselle, ale wydaje mi się, że panna Doyle nie czuje się dobrze.

Cecily posyła Felicity zwycięskie spojrzenie, gdy mademoiselle wzywa mnie do swojego biurka, aby dokładniej mi się przyjrzeć.

- Rzeczywiście kiepsko pani wygląda, panno Doyle. - Wciąga nosem powietrze i pyta cichym, surowym tonem: - Panno Doyle, czy pani piła alkohol?

Skrobanie pióra po papierze za moimi plecami nieznośnie zwalnia tempo. Nie wiem, co jest bardziej wyczuwalne: odór whisky sączący się z porów mojego ciała czy zapach paniki w klasie.

- Nie, mademoiselle. Zjadłam za dużo marmolady na śniadanie - mówię z nieśmiałym uśmiechem. - To moja słabość.

Znów węszy, jakby próbowała samą siebie przekonać, że nos ją oszukał.

- Dobrze, proszę usiąść.

Chwiejnie docieram do krzesła, tylko na chwilę unosząc wzrok, żeby zobaczyć Felicity uśmiechniętą od ucha do ucha. Cecily wygląda, jakby chciała udusić mnie we śnie. Felicity dyskretnie przysłała mi liścik. „Myślałam, że to twój koniec”.

Odpisuję: „Ja też. Czuję się koszmarnie. Jak tam twoja głowa?”. Pippa zauważa, że ukradkiem przekazujemy sobie karteczkę. Wykręca szyję, żeby zobaczyć, o czym piszemy i czy przypadkiem nie dotyczy to jej. Felicity osłania dłońią treść liściku. Pippa niechętnie powraca do ćwiczenia, ale najpierw posyła mi gniewne spojrzenie fiołkowych oczu.

Felicity szybko podaje mi kartkę tuż przed tym, jak mademoiselle unosi wzrok.

- Co się dzieje tam z tyłu?

- Nic - odpowiadamy obie naraz, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że coś jednak się dzieje.

- Nie zamierzam powtarzać dzisiejszej lekcji, więc mam wielką nadzieję, że podejdziecie poważnie do tego ćwiczenia.

- Oui, mademoiselle - zapewnia ją Felicity, kwintesencja francuskiego uroku i pogody ducha.

Gdy nauczycielka znów pochyla głowę, otwieram liścik, który przekazała mi Felicity. „Spotkamy się znowu dzisiaj po północy. Wierność Zakonowi!”.

Jęczę w duchu na myśl o kolejnej bezsennej nocy. Łóżko z ciepłym wełnianym kocem wydaje mi się bardziej pociągające niż podwieczorek z księciem. Ale wiem już, że na pewno będę się przedzierała po ciemku przez las, gnana pragnieniem odkrycia ko lejnych tajemnic pamiętnika.

Pippa również postanowiła napisać liścik do Felicity, co widzę, gdy zerkam w jej stronę. Trudno mi to przyznać nawet przed samą sobą, ale rozpaczliwie chciałabym wiedzieć, co w nim jest. Na twa rzy Felicity odbija się jakieś niskie, niedobre uczucie, ale szybko zastępuje je zdawkowy uśmiech. Co zaskakujące, nie odpowiada przyjaciółce, lecz ku całkowitemu przerażeniu Pippy przekazuje list mnie. Tym razem mademoiselle wstaje i przechadza się między ławkami, więc nie mogę nic zrobić, jedynie wsunąć karteczkę między strony książki i zaczekać, aż będę mogła ją przeczytać. Gdy kończy się lekcja, nauczycielka wzywa mnie ponownie do swojego biurka. Felicity, wychodząc, posyła mi ostrzegawcze spojrzenie.

Odpowiadam jej wyrazem twarzy mówiącym „I co niby mam zrobić?”. Ponieważ list Pippy nadal wypala dziurę w książce do francuskiego, jej mina przywodzi na myśl coś pośredniego między atakiem paniki i choroby morskiej. Pippa zaczyna coś do mnie mówić, lecz Ann zamyka drzwi, pozostawiając mnie sam na sam z mademoiselle LeFarge i moim szybko bijącym sercem.

- Panno Doyle - odzywa się nauczycielka, patrząc na mnie czujnie - czy jest pani zupełnie pewna, że zapach w pani oddechu pochodzi od marmolady, a nie od jakiejś innej substancji?

- Tak, mademoiselle - odpowiadam, starając się nie wypuszczać powietrza z płuc.

Podejrzewa, że kłamię, ale nie może mi tego udowodnić. Roz czarowanie wyrywa jej z piersi głębokie westchnienie. Najwyraźniej robię wrażenie na ludziach.

- Zbyt duża ilość marmolady niekorzystnie wpływa na figurę. - Tak, mademoiselle, będę o tym pamiętała. - To, że akurat mademoiselle z jej obwodem w talii uznaje się za autorytet w dziedzinie dbania o figurę, jest zaskakujące, ale myślę jedynie o tym, żeby wyjść z tego ambarasu cało.

- Tak, postaraj się. Mężczyznom nie podobają się pulchne kobiety - mówi. Jej szczerłość sprawia, że obydwie odwracamy wzrok. -Przynajmniej niektórym. - Odruchowo gładzi palcem ferrotyp młodego człowieka w mundurze.

- Czy to krewny? - pytam, starając się zachowywać uprzejmie. Już nie whisky przewraca mi się w żołądku, lecz poczucie winy. Szczerze lubię mademoiselle LeFarge i nie cierpię jej oszukiwać.

- Mój narzeczoney, Reginald. - Wymawia jego imię z ogromną dumą, ale także z nutą czułości, która wywołuje rumieniec na mojej twarzy.

-Wydaje się... bardzo... - Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, co powiedzieć o tym mężczyźnie.

Nigdy go nie spotkałam. Jest dla mnie tylko niewyraźnym obrazkiem, ale już zaczęłam. -Bardzo godny zaufania - kończę z trudem.

Mademoiselle wygląda na ucieszoną.

- Ma miłą twarz, prawda?

- Z całą pewnością - potwierdzam.

- Nie będę cię zatrzymywała. Zapewne nie chcesz się spóźnić na lekcję pana Grunewalda. Pamiętaj, żeby

nie przesadzać z marmoladą.

-Tak, oczywiście. Dziękuję pani - mówię i na miękkich nogach opuszczam klasę. Jestem warta mniej niż pełzający robak. Nie zasługuję na taką nauczycielkę jak mademoiselle LeFarge. A mimo to wiem, że dziś w nocy pójdę do jaskini, rozczarowując ją w sposób, o którym, mam nadzieję, nigdy się nie dowie.

List Pippy wystaje spomiędzy okładek książki do francuskiego. Rozkładam go powoli, Jej idealnie okrągłe pismo wydaje się okrutne i szydercze.

„Spotkajmy się po południu w hangarze na łodzie. Matka przy słała mi nowe rękawiczki i dam ci je ponosić. Tylko, na miłość boską, nie zapraszaj jej. Jeśli spróbuje włożyć w nie swoje wielkie, krowie łapska, rękawiczki będą się nadawały do wyrzucenia”.

Po raz pierwszy tego dnia boję się, że naprawdę wymiotuję, choć nie ma to nic wspólnego z whisky, za to wiele z głęboką nienawiścią, którą czuję do nich w tym momencie - do Pippy za to, że napisała ten list, i do Felicity za to, że mi go dała.

#

Jednak okazuje się, że Pippa nie pójdzie do hangaru. W wielkim salonie aż huczy od nowych wieści - przyjechał pan Bumble. Wszystkie dziewczęta ze Spence, od sześć- do szesnastolatek, tłoczą się wokół Brigid, która z przejęciem przekazuje najnowsze plotki. Bez ustanku rozwodzi się nad tym, jaki to z niego szacowny mężczyzna, jak ślicznie Pippa się prezentuje i jaką będą wspaniałą parą. Chyba nigdy nie widziałam Brigid takiej ożywionej. Kto by pomyślał, że ta stara zrzęda jest w głębi serca romantyczką?

- No tak, ale jak on wygląda? - chce wiedzieć Martha.

- Czy jest przystojny? Wysoki? Ma wszystkie zęby? - uściśla Cecily.

- Taa - potwierdza Brigid. Rozkoszuje się tym, że choć przez chwilę znajduje się w centrum uwagi. -

Przystojny i szacowny -powtarza znów na wypadek, gdyby za pierwszym razem umknęła nam ta ważna informacja. - Och, jaką cudną partię nasza panienka Pippa trafiła! Płynie z tego dla was nauka taka, że jeśli będziecie sobie brały do serca wszystko, co mówią pani Nightwing i inne pa nie, w tym szczerze wam oddana, może dotrzecie tam, gdzie zmierza panienka Pippa - przed ołtarz w powozie bogatego mężczyzny.

Chwila wydaje się nieodpowiednia, by zauważyć, że gdyby pani Nightwing i inne panie, w tym Brigid, były takie mądre, to chyba same znalazłyby się przed tym ołtarzem. Po pełnym rozrzuwieniu zachwycie na twarzach dziewcząt widzę jednak, że święcie wierzą w słowa Brigid.

- Gdzie oni teraz są? - pyta Felicity.

- No. - Brigid ścisza głos. - Słyszałam, jak pani Nightwing mówiła, że ponoć zrobią se przechadzkę po ogrodach, ale...

Felicity zwraca się do dziewcząt:

- Ogrody widać z okna na podeście drugiego piętra!

Mimo protestów Brigid wszystkie rzucamy się pędem po schodach do okna. My, starsze dziewczyny, łokciami torujemy sobie drogę wśród młodszych, a ich nadąsane okrzyki: „To niesprawiedliwe!” w ogóle nie mają znaczenia w obliczu naszej siły przebicia. W ciągu kilku sekund zajmujemy pozycje przy oknie, a pozostałe tłoczą się za nami. usiłując cokolwiek dojrzeć.

W spacerze po ogrodzie pani Nightwing po ścieżce wijącej się między rzędami róż i hiacyntów w roli przywoitki towarzyszy Pippie oraz panu Bumble'owi. Przez otwarte okno dokładnie widzimy dwoje skrępowanych ludzi idących w sporej odległości od siebie. Pippa ukryła nos w bukietach czerwonych kwiatów, które zapewne dostała od adoratora. Wygląda na śmiertelnie znudzoną. Pani Nightwing trajkocze coś na temat różnych okazów flory rosnących wzdłuż ścieżki.

- Czy mogłybyście zrobić miejsce również dla nas? - żąda jakaś pucotowata dziewczynka, wspierając ręce na biodrach.

- Spływaj - warczy Felicity, celowo używając nieuprzejmego zwrotu, żeby ją onieśmielić.

- Powiem pani Nightwing! - piszczy mała.

- Zrób to, a zobaczysz, co się stanie. A teraz cisza, chcemy coś usłyszeć!

Dziewczyny nadal cisną się i przepychają, ale przynajmniej żad na już się nie skarży. Dziwnie jest oglądać Pippę i pana Bumble'a razem. Wbrew pochlebnym opiniom Brigid jest on w rzeczywistości o wiele starszym od Pippy otyłym mężczyzną o szpeciniastym wąsie. Spogląda gdzieś ponad głowę pani Nightwing, jakby to wszystko w ogóle go nie dotyczyło. Z tego, co widzę, nie ma w nim nic ciekawego. Kilku młodszych dziewczynkom udało się przecisnąć dołem. Próbuje się dostać między nas i okno, niczym rośliny szukające dostępu do światła słonecznego. Odpychamy je. ale one uparcie wracają. Wszystkie tłoczemy się razem, chcąc lepiej widzieć i cokolwiek słyszeć.

- Szczęściara z niej - mówi Cecily. - Może poślubić odpowiedniego mężczyznę i nawet nie musi brać

udziału w pierwszym sezonie, kiedy to każdy mężczyzna i jego matka mogą oceniać jej przydatność do małżeństwa.

- Nie wydaje mi się, żeby Pip się z tobą zgodziła - zauważa Felicity. - Raczej nie tego by chciała.

- Cóż, chyba rzecz nie w tym, czego my chcemy, prawda? - podsumowuje z prostotą Elizabeth.

Nikt nie ma na to żadnej odpowiedzi. Wiatr wieje w naszą stronę, niosąc głos pani Nightwing, mówiącej coś o tym, że róże są kwiatami prawdziwej miłości. A potem towarzystwo skręca za wy soki żywopłot i znika nam z oczu.

- Możecie uwierzyć, że przyniósł mi czerwone goździki? Wiecie, co to oznacza w języku kwiatów? Podziwił „Podziwiam cię”. Oto droga do serca dziewczyny. - Pippa rwie na strzępy jeden kwiatek po drugim, pokrywając ich kolorowymi szczątkami podłogę jaskini.

- Uważam, że goździki są ładne - mówi Ann.

- Mam dopiero siedemnaście lat! Mój sezon ledwie się zaczął. Zamierzam się nim cieszyć, a nie wychodzić za pierwszego lepsze go ospowatego starego prawnika z pieniędzmi. - Pippa unicestwia resztę goździka, zostawiając nagą, grudowatą łodyżkę.

Nie powiedziałam jeszcze ani słowa. Nadal boli mnie ten paskudny list oraz to, że Felicity włożyła jedną z nowych rękawiczek, a Pippa drugą - niczym symbole ich przyjaźni.

- Dlaczego jej się tak spieszy, żeby wydać cię za męża? - dziwi się Ann.

- Nie chce, żeby ktoś się dowiedział... - Pippa milknie speszona.

- Nie chce, żeby o czym się dowiedział? - pytam.

- Co sobie wziął, zanim będzie za późno. - Rzuciła łodygę na ziemię.

Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Pippa jest piękna, a jej rodzina, chociaż pochodzi z kupiectwa, posiada majątek i cieszy się szacunkiem. Poza tym, że dziewczyna jest próżna, niezdolna i ulega romantycznym złudzeniom, wszystko z nią w porządku.

- Jak należy się zachowywać podczas wizyty konkurenta? - pyta Ann. Końcem bezgłowego goździka kreśli małe ikсы na ziemi.

Pippa wzdycha.

- Och, na ogół zwyczajnie. Trzeba mu nadskakiwać. Gdy już zanudzi cię na śmierć jakąś tyradą na temat sprawy sądowej, którą wygrał, musisz spuścić wzrok i powiedzieć coś w rodzaju: „Mój Boże, nie miałam pojęcia, że prawo jest takie fascynujące, panie Bumble. Ale kiedy pan o tym opowiada, to lepsze od czytania powieści!”.

Wybuchamy śmiechem.

- Nie! Na pewno tak nie powiedziałaś! - wyje Felicity. Pippa jest już mniej przygnębiona.

- Och, tak, powiedziałaś! A to jak wam się podoba? - Trzepocze rękami, robiąc słodką, nieśmiałą minę.

- No cóż, chyba mogłabym się skusić na jedną czekoladkę...

Muszę się zaśmiać wbrew sobie. Wszystkie wiemy, że Pippa jest strasznym łakomczuchem.

- Jedną czekoladkę? - pyta Felicity. - Dobry Boże, gdyby zobaczył, jak pochłaniasz całą paterę ciągutek, byłby przerażony! Kiedy wstaniez jego żoną, będziesz musiała ukrywać słodycze w buduarze i wcinać je, gdy nie będzie widział.

Pippa piszczy i udaje, że chce uderzyć przyjaciółkę łodygą.

- Jesteś podia! Na pewno nie wyjdę za pana Bumble'a! Na Boga, on nazywa się Bumble! Samo to jest wystarczająco potworne!

Felicity usuwa się poza zasięg goździka.

- Och, tak, wyjdiesz za niego! Odwiedził cię cztery razy. Założę się, że twoja matka już planuje wesele.

Śmiech Pippy zamiera.

- Chyba nie myślisz tego poważnie, co?

- Nie - szybko odpowiada Felicity. - Nie, to był tylko kiepski to wszystko.

- Chcę wyjść za męża z prawdziwej miłości. Wiem, że to głupie, ale nic na to nie mogę poradzić.

Nagle Pippa wygląda na bardzo małą, gdy tak siedzi wśród poszarpanych płatków. Prawie zapominam, jak bardzo jestem na nią zła. I tak nigdy nie potrafiłam zbyt długo chować urazy.

Felicity unosi palcem jej podbródek.

-I tak będzie. A teraz otworzymy porządnie nasze zgromadzenie. P'ip, może ty odprawisz sakrament?

Znów wyciąga whisky. Jęczę w duchu, ale gdy nadchodzi moja kolej, przyjmuję truciznę i odkrywam, że nie jest taka straszna, gdy popija się ją małymi łydkami. Tym razem piję tylko do chwili, gdy ogarnia mnie ciepło i lekkość, nie więcej.

-A teraz czas na czytanie z pamiętnika naszej siostry. Mary Dowd. Gemmo, czy dziś wieczór ty możesz czynić honory?

Felicity z ukłonem przekazuje mi pamiętnik. Odchrząkuję cicho i zaczynam:

21 marca 1871

Dzisiaj stanęliśmy między Runami Wyroczni. Pod przewodnictwem Eugenii na króciutką chwilę dotknęliśmy ich palcami, otrzymując magię. To było niewyobrażalne przeżycie, Jakbyśmy mogły czuć nawzajem swoje myśli, jakbyśmy stały się jednością.

Felicity unosi brwi.

- Brzmi nieprzyzwoicie. Mary i Sara są prawdopodobnie safistkami.

- Kto to, na Boga, jest safistka? - Pippa wygląda na znudzoną. Owija końce czarnych loków na palcach gołej dłoni, starając się osiągnąć jeszcze doskonalszy skręt.

- Czy muszę wszystko wam tłumaczyć? - irytuje się Felicity. Ja też nie mam pojęcia, kim jest safistka, ale nie zamierzam o to pytać.

- Od greckiej Safony, poetki, która kochała kobiety. Pippa przestaje kręcić włosy.

- No i o co chodzi?

Felicity opuszcza głowę i spogląda na Pippę złowieszczo.

- Safistki przedkładają miłość do kobiet nad miłość do mężczyzn.

Nareszcie rozumiem, podobnie jak Ann, co wnoszę po nerwowym sposobie, w jaki wygładza suknię dłońmi, nie patrząc na ni kogo. Pippa, mrużąc oczy, wpatruje się w Felicity, jakby mogła wyczytać znaczenie tego zdania na jej czole, ale w końcu rumieniec powoli zaczyna ogarniać jej szyję i policzki, aż wreszcie dzieweczyna wydaje głośne sapnięcie.

- Och, mój Boże, chyba nie twierdzisz... że one... jak mąż i żona...?

- Tak, właśnie tak.

Oszołomiona Pippa milknie. Rumieniec nie schodzi z jej twarzy. Ja też jestem zażenowana, ale nie zamierzam dać tego po sobie poznać.

- Czy mogę kontynuować?

Dzisiaj wrócili Cyganie, żeby rozbić obóz. Gdy zauważyliśmy dym z ogniska, pobiegliśmy wraz z Sarą na spotkanie z matką Eleną.

- Matka Elena! - woła Ann.

- Ta wariatka w poszarpanym szalu na głowie? - Pippa marsz czy nasek.

- Ciii! Czytaj dalej - prosi Felicity.

Przywitała nas ciepło - ziołową herbatą i opowieściami z podróży. Dałyśmy słodczyce Carolinie, która pochłonęła je łapczywie. Matce po darowałyśmy pięć pensów. Wtedy obiecała, że nam powróży, tak jak kiedyś. Ale gdy tylko rozłożyła karty dla Sary w znany nam wzór krzyża, natychmiast zebrała je i znów potasowała. „Karty są dzisiaj w kiepskim nastroju” - powiedziała z lekkim uśmiechem, ale wyglądała, jakby ogarnęło ją złe przeczucie. Poprosiła, żebym pokazała jej rękę. Ostрым paznokciem przejechała po liniach wewnątrz mojej dłoni. „Wyruszyłeś w mroczną podróż - powiedziała, puszczając moją rękę jak rozgrzany kamień. - Nie potrafię dojrzeć, jak to się skończy”. A potem zupełnie niespodziewanie poprosiła, żebyśmy sobie poszły, bo musi zrobić obchód obozu i upewnić się, że niczego nie zaniebdano.

Ann zerka ponad moim ramieniem, próbując przeczytać, co będzie dalej. Odsuwam pamiętnik i w efekcie upuszczam go, rozsypując strony.

- Brawo, moja ty Gracjo! - oklaskuje mnie Felicity.

Ann, która nie potrafi znieść żadnego nieporządku, pomaga mi zebrać kartki. Ukazuje się fragment jej nadgarstka. Zauważam czerwona płataninę szram, świeżą i gniewną. To nie wypadek. Ona sama to sobie robi. Widzi moje spojrzenie, więc mocno obciąża rękawy, ukrywając swój sekret.

- No, szybciej - ponagla Felicity. - Co jeszcze ujawni nam dziś pamiętnik Mary Dowd?

Chwytam jakąś kartkę.

- Proszę bardzo - mówię. To nie jest ta sama strona, ale dla nich nie ma to żadnego znaczenia.

1 kwietnia 1871

Przyszła do mnie zapłakana Sara. „Mary, Mary, nie potrafię znaleźć drzwi. Moc mnie opuszcza”.

„Jesteś przemęczona, Saro, to wszystko. Spróbuj znowu jutro”.

„Nie, nie - zaczęła zawodzić. - Próbuję już od wielu godzin. Mówię ci, że zniknęła”.

Moje serce ogarnął lodowaty chłód.

„Chodź, Saro. Pomogę ci ją odnaleźć”.

Odwróciła się do mnie z taką furją, że z trudem rozpoznałam w niej moją przyjaciółkę.

„Nie rozumiesz? Muszę zrobić to sama, inaczej się nie liczy. Nie mogę podróżować dzięki twojej mocy, Mary. - Zaczęła płakać. - Och, Mary, Mary. Nie mogę znieść myśli, że nigdy już nie dotknę runów i nie poczuję, jak przepływa przeze mnie ich magia. Nie mogę znieść myśli, że od teraz będę tylko zwykłą Sarą!”.

Przez resztę wieczoru nie potrafiłam się uspokoić i nie mogłam nic jeść. Eugenia zauważyła moje strapienie i zaprosiła mnie do swojego pokoju. Mówi, że często się tak dzieje - moc dziewczyny rozbłyskuje, a potem słabnie. Moc musi być kultywowana głęboko w duszy, inaczej jest tylko zachłannością. Och, dzienniczku, wyznała mi, że moc Sary jest właśnie taka - ulotna i niezakotwiczona. Mówi, że międzyświat sam podejmuje decyzję, kto ma wzrastać w Zakonie i poznawać starożytne tajemnice, a kto ma zostać daleko w tyle. Eugenia poklepała mnie po dłoni i powiedziała, że posiadam wielką moc, ale mnie przygnębia myśl, że mam iść dalej bez mojej drogiej przyjaciółki i siostry.

Kiedy Sara przyszła do mnie późnym wieczorem, wiedziałam, że gotowa jestem zrobić wszystko, żeby było tak jak przedtem, gdy byliśmy sobie bliskie niczym siostry, a magia międzyświata leżała w naszym zasięgu. Powiedziałam jej o tym.

„Och, Mary! - zawołała. - Bardzo mnie pocieszyłaś. Wiesz, że istnieje sposób, byśmy zawsze byli razem”.

„Co masz na myśli?”.

„Muszę ci coś wyznać. Odwiedziłam Krainę Zimy. Widziałam ją”.

Byłam wstrząśnięta i przerażona.

„Ależ. Saro. tej krainy nie wolno nam jeszcze poznawać. Są tam rzeczy, których nie powinnyśmy oglądać bez opieki starszych”.

W oczach Sary pojawił się twardy błysk.

„Czy ty tego nie widzisz? Starsze chcą, żebyśmy poznawały tylko to, co same mogą kontrolować. Boją się nas, Mary. Dlatego Eugenia odbiera mi moc. Rozmawiałam z duchem, który tam przebywa. On powiedział mi prawdę”.

To wydawało się prawdopodobne, ale nadal czułam lęk.

„Saro, boję się. Wzywanie mrocznego ducha jest wbrew wszystkiemu. czego nas uczono”.

Sara chwyciła moje dłonie.

„Tylko po to, by otrzymać

moc, której potrzebujemy. Przywiąże my ducha do siebie, każemy mu wykonywać nasze rozkazy. Nie martw się, Mary. To my będziemy rządzić nim, a nie odwrotnie. A kiedy Zakon zobaczy, co potrafimy, jaką mocą możemy samo dzielnie władać, będzie musiał pozwolić mi zostać. Będziemy już zawsze razem”.

Bałam się pytać na głos o to, co musimy zrobić.

„Co będzie potrzebne?”.

Sara z czułością pogładziła mnie po policzku.

„Tylko niewielka ofiara, nic więcej. Żmija albo może wróbel. Duch nam powie. Śpij teraz, Mary. A jutro opracujemy plan”.

Och, dzienniczku, serce mam pełne obaw co do tych planów. Ale co mogę zrobić? Sara jest moją najlepszą przyjaciółką. Nie mogę iść bez niej dalej. I może ma rację. Może, jeśli nasze serca będą silne i czyste, nagniemy to stworzenie do naszej woli, wykorzystując je w najlepszych intencjach.

Pippa słucha z zapartym tchem.

- Cóż, to świetne miejsce, żeby przerwać.

- Tak, intryga się zagęszcza - przyznaje Felicity. - Właściwie mrozi krew w żyłach.

Wszystkie prócz mnie chichoczą. Zaniepokoiłam się tym fragmentem. Albo może to z powodu gorąca? Wydaje się niezwykle ciepło jak na wrzesień. Powietrze w jaskini jest lepkie i zaczynam się pocić pod gorsetem.

- Myślicie, że matka Elena może przepowiedzieć nam przyszłość? - zastanawia się Ann.

Nic na to nie mogę poradzić, że na wzmiankę o Cyganach spoglądam na Felicity. Rzuca mi wściekłe spojrzenie, jakbym ją zdradziła tym zerknięciem.

- Nie jestem nawet pewna, czy matka Elena potrafi przewidzieć, jaki jutro będzie dzień tygodnia -

odpowiada.

#

- Mam absolutnie fenomenalny pomysł - oświadcza radośnie Pippa, a ja nagle wiem, co nas czeka. - Sprawdźmy, czy potrafimy stworzyć własną magię.

- Wchodzę w to - odpowiada Felicity. - Kto jeszcze chce obcować z innym światem?

Pippa siedzi po prawicy Felicity, sploty razem palce dłoni w rękawiczkach. Ann opada obok Pippy. Włoski na moim karku stają dęba.

- Moim zdaniem to nie najlepszy pomysł - zaczynam, od razu uświadamiając sobie, że to wygląda na tchórzostwo.

- Boisz się, że zamienimy cię w żabę? - Felicity poklepuje dłonią miejsce obok siebie. Nie da się z tego wywinąć. Będę musiała dołączyć do kręgu. Z niechęcią zajmuję miejsce, po czym podaję ręce Ann i Felicity.

Pippa znowu chichocze.

- W jaki sposób zaczniemy?

- Będziemy mówili po kolei i każda doda coś od siebie - instruuje nas Felicity. - Ja pierwsza. O, wielkie duchy Zakonu, jesteście waszymi córkami. Przemówcie do nas teraz. Zdradźcie nam swoje sekrety.

- Przybądźcie do nas, o córy Safony! - Pippa wybuchła śmiechem.

- Wcale nie wiemy, czy są safistkami - karci ją poirytowana Felicity. - Jeśli mamy to robić, róbmy to porządnie.

Zawstydzona Pippa poprawia się grzecznie:

- Przybądźcie do nas tutaj.

- Błagamy was - dodaje Ann. Cisza. Czekają na mnie.

- No dobrze - mówię, wzdychając i przewracając oczami. -Ale robię to wbrew swojemu przekonaniu i lepiej, żeby te słowa nie wracały do mnie później jako prywatne żarciki.

Zamykam oczy i koncentruję się na głośnym, ciężkim oddechu Ann, pragnąc, by mój umysł pozostał pusty.

- Saro Rees-Toome i Mary Dowd. Gdziekolwiek jesteście na tym świecie, ukażcie się. Zapraszamy was.

Nie słyhać nic prócz szmeru wody na skalnych ścianach. Nie pojawiają się żadne duchy. Żadne wizje.

Nie wiem, czy czuć ulgę, czy rozczarowanie moim brakiem mocy.

Nie mam szansy zbyt długo roztrząsać tego dylematu, gdyż po wietrze zaczyna się jarzyć chaotycznymi rozbłyskami światła. Nagle wydaje się, że w jaskini wybucha pożar, a płomienie podchodzą coraz wyżej. Jest tak gorąco, że nie mogę oddychać.

- Nie! - Wkładam całą siłę w to, żeby przełamać krąg. Udaje mi się wrócić do rzeczywistości. Pippa. Ann. Felicity patrzą namnie ze zdumieniem.

- Gemmo, co się stało? - pyta Ann, oddychając ciężko.

Głośno łapię powietrze.

- O, kurczę, chyba ktoś się deczko przestraszył - zauważa Felicity.

- Chyba tak - mówię, opadając na podłogę. Ramiona mam ciężkie, ale czuję radość, że nic się nie stało.

- To śmieszne - odzywa się Pippa - ale mogłabym przysiąc, że czułam przez chwilę takie dziwne mrowienie.

- Ja też - potwierdza z zadumą Felicity. Ann kiwa głową.

- Ja również.

Wszystkie patrzą na mnie. Serce bije mi tak mocno, że boję się,

iż wyskoczy mi z piersi. Próbuję natchnąć moje słowa spokojem, którego nie czuję.

- Nie wiem, o czym mówicie. Felicity wkłada do ust pasmo włosów i dotyka go językiem. - Zupełnie niczego nie czułaś?

- Niczego. - Z całych sił staram się nie trząść.

- Cóż - podsumowuje z triumfalnym uśmiechem- wygląda na to, że reszta z nas ma w sobie odrobinę magii. Żal mi ciebie.

Gemmo.

To bardzo zabawna chwila. Dziewczyny sądzą że nie mam żadnych zdolności do odbierania zjawisk nadprzyrodzonych. Za śmiałałabym się, gdybym nie była tak bardzo wstrząśnięta.

- Boże, Gemmo - mówi Pippa. marszcząc nos z niesmakiem. -Pocisz się jak robotnik portowy.

- Dlatego że tu jest tak piekielnie gorąco - odpowiadam, cie sząc się ze zmiany tematu.

Felicity wstaje i podaje mi rękę.

- Chodź. Ta noc należy do nas.

#

Chwiejnym krokiem wychodzimy z jaskini. Wysoko nad nami księżyc zaczyna niknąć. Krawędzie ma poobgryzane, ale i tak pławimy się w jego blasku, wyjąc jak wilki. Bierzymy się za ręce i biegamy w kółko, wdychając chłodne, mszyste nocne powietrze do płuc, które ledwie mogą je pomieścić. Od razu czuję się lepiej.

- Jest okropnie gorąco. Z trudem oddycham w tym gorsecie -oznajmia Felicity.

- Tak, szkoda, że nie możemy zanurzyć się w jeziorze - mówi Ann.

- A właściwie dlaczego nie? - pyta Felicity. - Kto mnie rozsznurowuje? Jest ktoś chętny?

Pippa zakrywa usta i chichocze cicho, jakby była zażenowana tym pomysłem, a jednocześnie pamiętała, że powinna zachowywać się pruderyjnie.

- Nie możemy tego zrobić. - Dlaczego nie? Nikt nas nie zobaczy. A ja chcę przez chwilę swobodnie pooddychać. No, Gemmo, pomóż mi. Szarpnię się niezdarnie ze sznurowadłami, ale już wkrótce widać cienką koszulę Felicity i miękką skórę pod nią. Połyskuje bielą w świetle księżyca. - No to kto chce wskoczyć do jeziora? - Czeka! - Pippa niepewnie rzuca się za nią. - Co ty wyprawiasz? Felicity, to jest nieprzyzwoite!

- Jak moje kostki i ramiona mogą być nieprzyzwoite?! - odkrzykuje.

- Ale nie powinnaś ich pokazywać. To nie przystoi! Głos Felicity podpywa do nas.

- Róbcie, co chcecie. Ja wchodzę.

Woda wygląda chłodno i zachęcająco. Z pewnym wysiłkiem udaje mi się wyzwolić z ciasnego gorsetu. Moje ciało odpręża się z wdzięcznością.

- Nie zrobisz tego chyba? - protestuje Pippa, gdy ją mijam.

Lodowata woda natychmiast wchłania gorąco z mojego ciała, zamrażając powietrze w płucach w twarde bryły. Kiedy w końcu udaje

mi się złapać oddech, schrypniętym głosem zwracam się do Pippy i Ann:

- Chodźcie. Woda jest idealna, jeśli tylko nie potrzebujecie od dychać i zachować czucia w nogach.

Pippa wchodzi po kolana do wody i reaguje wysokim piskiem.

- Ciii, nie krzycz. Jeżeli, znajdzie nas tu pani Nightwing, za karę będziemy musiały uczyć w Spence do końca życia, tak jak te zgorzkniałe stare panny, które uczą nas teraz - mówi Felicity Pippa próbuje zasłonić się rękoma. Wychodzi z niej skromność.

Mnie nie obchodziłoby teraz nawet, gdyby patrzył sam książę Albert. Chcę się tylko unosić na wodzie, zawieszona w czasie.

- Skoro jesteś taka wstydliva, Pip, to schowaj się pod wodę - radzi Felicity.

- Kiedy jest taka zimna! - odpowiada Pippa tym samym piskliwym głosem,

- No to jak chcesz - poddaje się Felicity, wypływając na środek jeziora.

Ann zostaje na brzegu, całkowicie ubrana.

- Popilnuję was - mówi.

Natomiast my po chwili bierzemy się pod ręce, żeby było nam

trochę cieplej, a stopom pozwalamy muskać piaszczyste dno. Przypominamy grupę pływających nomadów.

- Jak myślicie, co by powiedziała pani Nightwing, gdyby nas te raz zobaczyła z całym naszym wdziękiem, urokiem i pięknem? -śmieje się Pippa.

- Prawdopodobnie padłaby trupem - odpowiada Ann

- Ha! - wykrzykuje Felicity. - Pobożne życzenia - Odchyła głowę do tyłu i pozwala, by jej włosy unosiły się na wodzie niczym aureola.

Pippa prostuje się gwałtownie.

- Słyszałyście to?

-Co? - Woda w uszach nie pozwala, mi usłyszeć zbyt wiele. Ale rzeczywiście, po lesie niesie się echem trzask pękającej gałęzi.

-Znowu! Słyszałyście?

- Rany boskie! - skrzeczy Ann.

- Nasze ubrania! - Pippa na miękkich nogach gramoli się na brzeg i rusza po halkę dokładnie w tej samej chwili, w której Karlik wychodzi spomiędzy drzew, niosąc prowizoryczny kij do krykieta. Nie wiem, które z nich jest bardziej wstrząśnięte i zaskoczone - Karlik czy Pippa.

- Odwróć wzrok! - wola ona bliska hysterii, rozpaczliwie usiłując się zasłonić skrawkiem materiału i koronki. Zbyt zaskoczony, żeby się klócić, Kartik wypełnia jej polecenie, tle udaje mi się dostrzec wyraz jego oczu. Zachwyt i podziw. Jakby ujrzął boginię, która zstąpiła na ziemię. Instynktowna reakcja na jej urodę jest

bardziej wymowna niż jakiegokolwiek słowa lub czyny. Mój zamglony umysł rozjaśnia się na tyle, bym mogła to zarejestrować.

- Gdyby to były czasy starożytne, wytropiłobyśmy cię i wylupilibyśmy ci oczy za to, co widziałeś - warczy Felicity z jeziora.

Kartik nie odpowiada. Równie nagle, jak się pojawił, znika w lesie.

- Następnym razem - obiecuje Felicity, ruszając w stronę Pippy - rzeczywiście wylupimy mu oczy.

#

W pokoju panuje ciemność, ale wiem, że Ann się obudziła. Nie słychać jej chrapania.

-Ann, nie śpisz? - Nie odpowiada, ale ja się nie poddaję. -Wiem, że nie, więc równie dobrze możesz się odezwać. - Milczenie. - Nie ustąpię, dopóki tego nie zrobisz. - Na zewnątrz sowa melduje, że przebywa w pobliżu.

- Dlaczego to sobie robisz? Dlaczego się kaleczysz?

Przez dłuższą chwilę panuje cisza, aż zaczyna mi się wydawać, że Ann jednak zasnęła, ale w końcu słyszę jej głos. Jest tak cichy, że muszę nadstawić uszu, żeby go wyłowić, żeby usłyszeć płacz, który powstrzymuje.

- Nie wiem. Czasami nic nie czuję i bardzo się boję. Boję się, że przestanę w ogóle cokolwiek czuć. Po prostu zniknę gdzieś w sobie samej. - Rozlega się kaszlnięcie i pociąganie nosem. - Po prostu muszę coś poczuć.

Sowa znów wola w noc, sprawdzając, czy ktoś jest w domu.

- Nie rób tego więcej - proszę. - Obiecasz mi? Znów pociąga nosem.

- Dobrze.

Prawdopodobnie powinnam w tej chwili coś zrobić - objąć ją. przytulić. Ale musiałoby to być coś, co by nie przeraziło i nie za wstydziło nas obu.

- Jeśli nie przestaniesz, będę zmuszona skonfiskować twoją igłę i stracisz satysfakcję z ukończenia swojej małej Holenderki i wiatraka w siedmiu różnych kolorach nici, hę?

Ann śmieje się słabo, a ja czuję ulgę.

- Gemmo? - odzywa się po chwili. -Hm?

- Nie powiesz nikomu, prawda? -Nie.

Kolejne sekrety. Jak doszło do tego, że mam ich aż tyle? Zadowolona Ann układa się na łóżku i po chwili rozlega się znajome pochrapywanie. Wpatruję się w ścianę, pragnąc, by nadszedł sen, i słuchając, jak sowa uparcie wola w noc, która nigdy nie odpowiada.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Wiem, że nie wierzysz, iż cokolwiek się wydarzyło wczoraj w nocy, ale uważam, że powinnymy znów spróbować skontaktować się z tamtym światem - szepcze do mnie Felicity. Stoimy na środku ogromnej sali balowej, czekając, aż pani Nightwing zacznie lekcję tańca. Nad naszymi głowami cztery żyrandole kapią kryształami, a padające z nich światło zdobi marmurową posadzkę kolorowymi błyskami.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - odpowiadam, starając się zapanować nad paniką.

- Dlaczego? Jesteś urażona, że nie czułaś tego co my?

- Nie bądź śmieszna! - parskam. Ten dźwięk najwyraźniej zawsze towarzyszy moim kłamstwom, co wygląda dość niefortunnie. Jestem na najlepszej drodze, aby stać się parszkającą idiotką.

- Więc o co chodzi?

- Po prostu mnie to nudzi. To wszystko.

- Nudzi? - Felicity szeroko otwiera usta ze zdumienia. - Twierdzisz, że to nudne? Prawdziwą nudę przeżyjesz dopiero za chwilę.

Pippa stoi obok Cecily i jej świty, rozpaczliwie usiłując zwrócić na siebie uwagę Felicity.

- Fee, podejdź tu. Pani Nightwing zaraz będzie nas ustawiała w pary.

Za każdym razem, gdy zaczynam lubić Pippe, ona robi coś ta kiego, co sprawia, że znowu nią gardzę.

- Jak miło być kochaną - mruczę pod nosem.

Felicity spogląda na modny tłumek i odwraca się do niego plecami, ostentacyjnie i z premedytacją. Twarz Pippy zapada się. Nic nie poradzę na to, że czuję lekką satysfakcję.

- Panienki, proszę o uwagę! - Głos pani Nightwing dudni w całej sali. - Dzisiaj będziemy ćwiczyły walca.

Pamiętajcie: najważniejsza jest właściwa postawa. Macie udawać, że wasz kręgosłup wisi na sznurku, za który pociąga sam Pan Bóg.

-To brzmi, jakbyśmy były jego marionetkami - mamrocze Ann.

- Bo jesteśmy, jeśli wierzyć wielebnemu Waite'owi i pani Nightwing - mówi Felicity, puszczając oko.

- Czy chciałaby pani powiedzieć coś nam wszystkim, panno Worthington?

- Nie, proszę pani. Przepraszam.

Pani Nightwing odczekuje chwilę, żebyśmy się zaczęły wic pod jej przenikliwym spojrzeniem.

- Panno Worthington, zatańczy pani z panną Bradshaw. Panna Tempie z panną Poole. a panna Cross będzie partnerką panny Doyle.

No to pięknie. Pippa wdycha z rozdrażnieniem i staje z ponurą miną przede mną, rzucając spojrzenie Felicity, która tylko wzrusza ramionami.

- Na mnie nie patrz, to nie moja wina _ wyjaśniam.

- Ty prowadzisz. Ja chcę być kobietą _ oświadcza Pippa.

- Będziecie prowadziły na zmianę. Wszystkie będziecie miały równe szanse - mówi ze znużeniem pani Nightwing. - Bardzo proszę. panienki. Ramiona wysoko. Nie opuszczajcie łokci. Sylwetka, przede wszystkim sylwetka. Szanse damy na dobre zamążpójście często znacznie wzrastają dzięki idealnej postawie.

- Zwłaszcza gdy podstawą tej postawy jest odpowiedni majątek - żartuje Felicity.

- Panno Worthington... - ostrzega pani Nightwing.

Felicity prostuje się niczym Iglia Kleopatry. Zadowolona dyrektorka przesuwając ramię Victorli i opuszcza igłę na płytę fonograficzną. Równe takty walca wypełniają salę.

-I raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Poczujcie muzykę! Panno Doyle! Proszę uważać na stopy! Drobne kroki godne damy. Jest panna gazela, a nie słońiem. Panienki, plecy wyprostowane! Nie znajdziecie męża, wbijając wzrok w podłogę!

- Najwyraźniej nigdy nie widziała mężczyzny po kilku kieliszkach brandy - szepcze Felicity, przepływając obok w walcu.

Pani Nightwing głośno klaszcze w dłonie.

- Żadnych rozmów. Rozgadane kobiety nie są atrakcyjne dla mężczyzn. Proszę głośno odliczać takty.

Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. I zmiana prowadzącej, raz, dwa, trzy.

Zmiana miesza w głowach Elizabeth oraz Cecily, i obie nagle chcą prowadzić. Wpadają prosto na mnie i Pippę. Zderzamy się z Ann i Felicity, po czym wszystkie naraz lądujemy na podłodze.

Muzyka urywa się nagle.

- Jeżeli będziecie tańczyły tak zupełnie bez wdzięku, wasz sezon dobiegnie końca, jeszcze zanim się rozpocznie. Czy mogę wam przypomnieć, drogie panie, że to nie jest zabawa? Sezon w Londynie to bardzo poważna sprawa. Stanowi waszą szansę na to, by udowodnić, że jesteście godne obowiązków żon i matek. Co więcej, wasze zachowanie może przynieść ujmę duszy Spence. -Rozlega się pukanie do drzwi i pani Nightwing wychodzi, przeprosiwszy, a my zbieramy się z podłogi. Nikt nie pomaga Ann. Podaję jej rękę. Chwyta ją nieśmiało, nie patrząc mi w oczy, nadal zawstydzona przyływem szczerości ostatniej nocy.

- To Spence ma duszę? - mówię w nadziei, że żart wprowadzi swobodniejszą atmosferę.

- To wcale nie jest śmieszne - zapalczywie odpowiada Pippa. -Niektóre z nas chcą się doskonalić.

Słyszałam, że dziewczyna jest oceniana od chwili, gdy pojawi się na swoim pierwszym balu. Nie chcę, żeby plotkowano o mnie jako o tej, która nie potrafi tańczyć.

- Odpręż się, Pippo - wtrąca Felicity, poprawiając spódnice. -Świetnie sobie poradzisz. Na pewno nie zostaniesz starą panną, pan Bumble z pewnością o to zadba.

Pippa zdaje sobie sprawę, że wszystkie oczy zwróciły się na nią.

- Chyba nie mówiłam, że zamierzam wyjść za pana Bumble'a, prawda? W końcu mogę spotkać kogoś wyjątkowego na balu.

- Na przykład księcia lub lorda - mówi z rozmarzeniem Elizabeth. - Ja bym tego chciała.

- No właśnie - Pippa posyła Felicity uśmiezek pełen wyższości.

W oczach Felicity pojawia się twardy błysk.

- Droga Pip, chyba nie zaczniesz znowu opowiadać o tych swoich fantazjach, co?

Pippa twardo trzyma się swojego uśmiechu debutantki.

- Jakich fantazjach?

- Tych, które snują się po twojej głowie niczym babie lato. Tych, w których twoja prawdziwa miłość, jakiś książę, szuka swojej księżniczki, a tak się akurat składa, że ty masz w szafie ładnie odprasowaną sukienkę.

Pippa z całych sił próbuje zachować spokój.

- Cóż, kobieta powinna mierzyć wysoko.

- To rzeczywiście wysoko jak na córkę kupca. - Felicity zakłada ramiona na piersi. Powietrze ożywa. Cała sala jest naładowana elektrycznością.

Na policzkach Pippy zakwita rumieniec.

- Osoba w twojej sytuacji raczej nie ma prawa udzielać rad, prawda? Z taką historią rodzinną.

- Co sugerujesz? - pyta Felicity z lodowatą uprzejmością.

- Niczego nie sugeruję, tylko stwierdzam fakt. Może moi rodzice nie zajmują zbyt wysokiej pozycji, ale przynajmniej moja mama nie jest... - Milknie nagle.

- Kim nie jest? - warczy Felicity.

- Wydaje mi się, że pani Nightwing wraca - wtrąca nerwowo Ann.

- Tak, czy możemy skończyć z tymi sprzeczkami? - prosi Cecily. Próbuje rozdzielić skłócone koleżanki, ale bez powodzenia.

Felicity podchodzi bliżej do Pippy.

- Nie, jeżeli Pippa ma coś do powiedzenia na mój temat, to ja chcę to usłyszeć. Przynajmniej twoja mama nie jest kim?

Pippa prostuje ramiona.

- Przynajmniej moja mama nie jest kokotą.

Policzek, który wymierza jej Felicity, rozbrzmiewa w sali ni czym wystrzał. Podskakujemy przerażone nagłą gwałtownością te go wydarzenia. Pippa ma usta otwarte w kształcie wielkiego „O”, a w jej fiołkowych oczach wzbierają łzy bólu.

- Odwołaj to! - rzuca Felicity przez zęby.

- Nie! - krzyczy Pippa. - Wiesz, że to prawda! Twoja matka jest kokotą i metresą. Porzuciła twojego ojca dla jakiegoś artysty. Uciekła z nim do Francji.

- To nieprawda!

- Prawda! Uciekła, a ciebie zostawiła.

Obie z Ann jesteśmy zbyt oszołomione, żeby się ruszyć. Cecily i Elizabeth z trudem powstrzymują uśmiechy. Nowina je zaskakuje i wiem, że zaraz po lekcji wyruszą, by roznieść ją po szkole. Felicity już nigdy nie będzie mogła przejść korytarzem Spence, nie słysząc szeptów za swoimi plecami. I to wszystko wina Pippy.

Felicity śmieje się okrutnie.

- Przyśle po mnie, kiedy skończę szkołę. Pojadę do Paryża, a słynny artysta namaluje mój portret. Wtedy pożałujesz, że we mnie wątpiłaś.

- Nadal sądzisz, że po ciebie przyśle? Ile razy ją widziałaś, od kiedy tu jesteś? Ja ci powiem: ani razu. Oczy Felicity błyszczą nienawiścią.

- Przyśle po mnie.

- Nawet nie zavraca sobie głowy przysyłaniem prezentów na twoje urodziny.

- Nienawidzę cię!

Od strony słodkich dziewczątek rozlega się chór pełnych zakłopotania westchnień. Ku mojemu zaskoczeniu Pippa łagodnieje i cichnie.

- To nie mnie nienawidzisz, Fee. Nie mnie.

Do sali wkracza pani Nightwing, która wyczuwa kłopoty ni czym zmianę pogody.

- Co się tutaj dzieje?

- Nic - odpowiadamy wszystkie naraz, odsuwając się od siebie. Każda bacznie ogląda swój kawałek podłogi.

- W takim razie kontynuujmy. - Dyrektorka opuszcza ramię fonografu. Felicity chwytą Ann za rękę. ja i Pippa stajemy naprzeciwko siebie. Tym razem ona jest mężczyzną. Obejmuje mnie w talii, a moją lewą dłoń ujmuje w swoją prawą. Tańczymy walca w pobliżu okien, zachowując stosowny dystans wobec Ann i Felicity.

- Potwornie namieszałam - mówi nieszczęśliwa Pippa. - A tak dobrze się między nami układało. Wszystko robiłyśmy razem. Ale to było, zanim... - Milknie. Obie wiemy, jak to zdanie miało się skończyć: zanim ty się pojawiłaś.

Właśnie zniszczyła Felicity, a teraz na dodatek żąda ode mnie współczucia.

- Pewna jestem, że jutro znów będziecie nierozłączne, a ten incydent pójdzie w zapomnienie - mówię, obracając się nieco gwałtowniej niż to konieczne.

- Nie. Teraz wszystko się zmieniło. Do ciebie się zwraca, za nim zwróci się do mnie. Zostałam odstawiona na bok.

- To nieprawda - odpowiadam z lekceważącym uśmiechem, ponieważ potrafię być świetną kłamczucha,

jeśli to konieczne.

- Uważaj, żeby tobą też się nie znudziła. Upadek jest bolesny. Pani Nightwing głośno odlicza w takt muzyki, korygując nasze kroki, naszą postawę, każdą naszą myśl, zanim ta przyjdzie nam do głowy. Pippa prowadzi mnie po parkiecie, a ja zastanawiam się. czy Kartik wyobraża sobie, jak by to było trzymać ją w ramionach. Pippa nie ma pojęcia, jakie wrażenie wywiera na mężczyznach. Chciałabym choć raz mieć taką moc. Jakżebym pragnęła wyrwać się stąd i być przez chwilę kimś innym w miejscu, w którym nikt mnie nie zna i niczego po mnie nie oczekuje.

To. co się dzieje później, nie jest moją winą. A przynajmniej nie doprowadzam do tego rozmyślnie. W jakiś sposób potrzeba ucieczki bierze górę. Pojawia się znajome mrowienie, wciągając mnie głęboko, zanim udaje mi się nad nim zapanować. Ale tym razem jest inaczej. Nie spadam, lecz się poruszam! Przechodzę przez połyskujący próg

Mroczny sekret

do zamglonego lasu. Przez chwilę, zawieszona między dwoma światami. widzę twarz Pippy. Dziewczyna jest blada. Zmieszana. Prze straszona. I uświadamiam sobie, że idzie ze mną.

Dobry Boże. Co się dzieje? Gdzie ja jestem? Jak ona się tu do stału? Muszę to powstrzymać, nie mogę pozwolić, żeby poszła ze mną.

Zamykam oczy i z całych sił walczę z wszechogarniającym przyływem mojej wizji. Ale to nie wystarcza i nadal widzę wokół drobne błyski. Ciemność na horyzoncie. Słyszę plusk. A potem słaby, zdławiony wodą krzyk Pippy. Wracamy. Ciężko oddycham, nadal trzymając jej dłoń w śmiertelnym uścisku. Czy ona coś widziała? Czy poznała mój sekret? Nic nie mówi. Oczy uciekają jej w głąb czaszki, tak że widać tylko drżące białka.

- Pippa? - W moim głosie brzmi taka panika, że przyciągam uwagę pani Nightwing. Biegnie w naszą stronę, podczas gdy całe ciało Pippy sztywnieje. Ramieniem, które z rozmachem przyciąga do piersi, uderza mnie mocno w usta. Czuję na wargach smak krwi, gorący i miedziany. Z wysokim, zawodzącym krzykiem Pippa upada na podłogę, a jej ciało pręży się i wygina jakby w agonii.

Pippa umiera. Co ja jej zrobiłam?

Pani Nightwing chwytą ją za ramiona i przyciska do podłogi.

- Ann, przynieś mi drewnianą łyżkę z kuchni! Cecily. Elizabeth. natychmiast sprowadźcie tu kóregoś z nauczycieli! Biegnijcie! Szybko! Przytrzymaj jej głowę - rzuca w moją stronę.

Pippa gwałtownie szamocze głową, którą usiłuję trzymać. Pip po. tak mi przykro. Wybacz mi. proszę.

- Pomóż mi ją odwrócić - mówi pani Nightwing. - Nie można pozwolić, żeby przygryzła sobie język.

Z pewnym wysiłkiem układamy ją na boku. Jak na tak delikatną istotę jest zaskakująco ciężka. Do sali balowej z krzykiem wbiega Brigid.

Pani Nightwing wyszczekuje rozkazy jak doświadczony dowódca.

- Brigid! Poślij natychmiast po doktora Thomasa! Panno Moore, proszę tu podejść. - Brigid wybiega akurat w chwili, gdy pojawia się panna Moore z łyżką w dłoni. Wtyka ją do ust śliniącej się Pippy, jakby chciała ją zadławić.

- Co pani robi?! - krzyczę. - Ona nie może oddychać! Mocuję się z łyżką, próbując ją wyciągnąć, ale panna Moore

chwytą mnie za rękę.

- Dzięki temu nie odgryzie sobie języka.

Chcę jej wierzyć, ale widząc, jak Pippa miota się po podłodze, nie potrafię sobie wyobrazić, że możemy jej pomóc. A polem gwałtowne dreszcze słabną. Dziewczyna zamyka oczy i zapada w śmiertelny bezruch.

- Czy ona...? - Nie potrafię dokończyć pytania, które wyszeptalam. Nie chcę znać odpowiedzi.

Pani Nightwing z trudem podnosi się z podłogi.

- Panno Moore, proszę sprawdzić, co z doktorem Thomasem, dobrze?

Nauczycielka kiwa głową i maszeruje w stronę otwartych drzwi. odganiając dziewczęta, które zaglądały do środka. Pani Nightwing okrywa Pippę swoim szalem. Kiedy tak leży na podłodze, wygląda jak śpiąca królewna z bajki.

Nie zdaję sobie sprawy, że szepczę do niej łagodnie:

- Przepraszam, Pippo, przepraszam.

Pani Nightwing przygląda mi się z ciekawością.

- Nie wiem, co pani ma na myśli, panno Doyle, ale to nie jest pani wina. Pippa cierpi na epilepsję. Właśnie miała atak.

- Na epilepsję? - powtarza Cecily, sprawiając, że słowo to brzmi jak „trąd” lub „syfilis”.

- Tak, panno Tempie. A teraz proszę, żeby nie wspominać o tym nikomu ani słowem. Należy zapomnieć o całym zajściu. Jeśli usłyszę jakiegokolwiek plotki na ten temat, odpowiedzialnym za ich rozpowszechnianie dziewczętom dam trzydzieści minusów i odbiorę wszelkie przywileje. Wyrażam się jasno?
W milczeniu kiwamy głowami.

170

Mroczny sekret

- Czy możemy jakoś pomóc? - pyta Ann. Pani Nightwing ociera czoło chusteczką.
- Możecie się pomodlić.

#

Świat otula miękkimi zmiękczeniami. Wczesnowieczorne cienie przesączają się przez wysokie okna, powoli okradając pokoje z barw. Nie mam ochoty na kolację ani na to, by siedzieć z innymi w ozdobionym szalami sanktuarium Felicity. Zamiast tego snuję się po szkole, aż docieram pod drzwi pokoju Pippy. Pukam delikatnie. Otwiera mi panna Moore. Za jej plecami Pippa leży na łóżku, piękna i nieruchoma.

- Jak ona się czuje?

- Śpi - odpowiada nauczycielka. - Wejdz. Nie ma sensu stać w korytarzu.

Szeroko otwiera drzwi. Pozwala mi usiąść na krześle przy łóżku i przysuwa drugie dla siebie. Ten drobny, sympatyczny gest z jakiegoś powodu jeszcze bardziej pogłębia mój smutek. Gdyby wiedziała, co zrobiłam Pippie i jaką jestem kłamczucha, nie byłaby dla mnie taka miła.

Chora oddycha głęboko, pozornie spokojna. Ja boję się pójść spać. Boję się, że ujrzę przerażoną twarz Pippy wpadającej w moją piekielną wizję. Strach i poczucie winy wyczerpują mnie. Zbyt zmęczona, żeby powstrzymać łzy, ukrywam twarz w dłoniach i płaczę - z powodu Pippy, mojej mamy, ojca, wszystkiego. Panna Moore obejmuje mnie ramieniem.

- Ciii, nie martw się. Za dzień lub dwa Pippa poczuje się dobrze.

Kiwam głową i płaczę jeszcze gwałtowniej.

- Coś mi się wydaje, że wylewasz te łzy nie tylko za Pippę.

- Jestem potworem, panno Moore. Nie wie pani, do czego jestem zdolna.

- No, już, co to za głupoty? - mruczy.

- To prawda. W ogóle nie jestem dobrym człowiekiem. Gdyby nie ja, moja mama nadal by żyła.

- Twoja mama zmarła na cholera, nie było w tym twojej winy. Tak długo tłumiłam prawdę w sobie, że nagle wypływa ze mnie, zalewając wszystko wokół.

- Nie, to nieprawda. Została zamordowana. Uciekłam od niej, a ona poszła mnie szukać i została zamordowana. Zabiłam ją tym, że byłam niedobra. To wszystko moja wina, wszystko! - Szlocham, spazmatycznie zachłystując się powietrzem. Panna Moore nadal trzyma mnie w mocnym uścisku, czym lak bardzo przypomina mi mamę, że ledwie mogę to znieść. W końcu udaje mi się wypłakać wszystkie łzy, a moja twarz przypomina rozdęty balon. Panna Moore podaje mi swoją chusteczkę i każe wydmuchać nos. Znowu mam pięć lal. Niezależnie od tego, za jak bardzo dojrzałą się uważam, i tak zawsze kiedy płaczę, znowu staję się pięciolatką.

- Dziękuję - mówię, próbując jej oddać białą, koronkową chusteczkę.

- Zatrzymaj ją sobie - odpowiada dyplomatycznie, spoglądając na bezkształtną, odrażającą rzecz w mojej dłoni. - Panno Doyle... Gemmo... Chcę, żebyś mnie posłuchała. Nie zabiłaś swojej mamy. Wszyscy od czasu do czasu bywamy niemili. Wszyscy robimy rzeczy, które bardzo chcielibyśmy cofnąć. Te żale stają się częścią te go, kim jesteśmy, wraz ze wszystkim innym. Jeśli ktoś próbuje to zmienić, to tak, jakby chciał gonić chmury.

Kolejne łzy spływają mi po policzkach. Panna Moore podnosi dłoń z chusteczką do mojej twarzy.

- Naprawdę nic jej nie będzie? - pytam, spoglądając na Pippę.

- Nie. Choć myślę, że dużo ją kosztuje trzymanie tego w sekrecie.

- Dlaczego to jest konieczne?

Panna Moore zwleka chwilę, poprawiając Pippie koc pod brodą.

- Gdyby jej tajemnica wyszła na jaw, nie miałyby szans na zamążpójście. Ta choroba uznawana jest za skazę krwi, jak szaleństwo. Żaden mężczyzna nie zechce kobiety z taką przypadłością.

Przypomina mi się dziwny komentarz Pippy w jaskini na temat tego, że musi wyjść za mąż, zanim będzie za późno. Teraz już rozumiem.

- To takie niesprawiedliwe.

- Owszem, ale tak już jest na świecie.

Przez chwilę siedzimy, obserwując, jak Pippa oddycha, jak koc unosi się i opada w kojącym rytmie.

- Panno Moore... - urywam.

- Tutaj na osobności możesz mówić do mnie Hester,

- Hester - powtarzam. Jej imię smakuje jak zakazany owoc. - Te historie, które nam pani opowiadała o Zakonie... Czy może w nich być ziarno prawdy?

- Przypuszczam, że wszystko jest możliwe.

- A gdyby taka moc istniała, a pani nie wiedziała, czy ona jest dobra czy zła, to czy próbowałaby ją pani poznać mimo wszystko?

- Musiałaś sporo o tym myśleć.

- Tak tylko się zastanawiałam - odpowiadam, wbijając wzrok w podłogę.

- Rzeczy nie są dobre ani złe same z siebie. Stają się takie przez to, co z nimi robimy. Przynajmniej ja tak to widzę. - Uśmiecha się do mnie zagadkowo. - A o co w tym wszystkim naprawdę chodzi?

- O nic - mówię, ale mój głos załamuje się na tym słowie. - Po prostu byłam ciekawa.

Nauczycielka znów się uśmiecha.

- Lepiej by było zachować dla siebie to, o czym rozmawialiśmy w jaskini. Nie każdy ma otwarty umysł, a gdyby wieści się rozniosły, być może mogłabym zabierać was już tylko do klasy na popołudniowe malowanie wesołych pater z owocami. — Odgarnia luźny kosmyk włosów z mojej wciąż wilgotnej twarzy i zakłada mi go za ucho. Jest to gest tak czuły, tak bardzo przypominający moją manię. Że znowu mogłabym wylać morze łez.

- Rozumiem - odzywam się w końcu.

Pippa przez chwilę porusza dłonią. Palcami łapie powietrze. Potem bierze głęboki, niepewny wdech i znów zapada w sen.

- Myśli pani, że będzie pamiętała, co jej się przydarzyło, kiedy się obudzi? - Nie chodzi mi o atak, lecz o to, co się stało tuż przedtem, gdy ją za sobą pociągnęłam.

- Nie wiem - odpowiada panna Moore. Burczy mi w brzuchu.

- Jadłaś cokolwiek dziś wieczorem? Kręcę przecząco głową,

- Może zejdziesz z dziewczętami na podwieczorek? Dobrze ci to zrobi.

- Tak, panno Moore.

- Hester.

- Hester.

Gdy zamykam drzwi, wreszcie odmawiam modlitwę - o to, że by Pippa niczego nie pamiętała.

#

Na korytarzu witają mnie zdjęcia uczennic klas czwartych prezentujących swe ponure oblicza w całej chwale.

- Witam panie - mówię do pustych, pełnych rezygnacji oczu. - Postarajcie się nie być takie wesołe.

Zakłóćcie spokój tej instytucji.

Na obrazach osiadła warstwa kurzu. Koniuszkiem palca wycie ram małe kółeczka, ujawniając ziarniste oblicza. Wpatrują się w przyszłość, która nie chce zdradzić swoich sekretów. Czy kiedykolwiek wymykały się do ciemnego lasu podczas nowiu? Czy piły whisky i miały nadzieję na rzeczy, których nie umiały ująć w słowo? Czy przyjaźniły się i kłóciły, opłakiwały swoje mamy, widziały i czuły rzeczy, nad którymi nie miały kontroli?

Dwie z nich owszem, tyle wiem. Sara i Mary. Dlaczego nigdy przedtem nie wpadłam na to, żeby poszukać ich na tych ścianach? Muszą gdzieś tu być. Szybko przeglądam daty wypisane u dołu każdej fotografii:

1870, 1872, 1873, 1874...

Klasowego portretu z roku 1871 nie ma.

#

Dziewczyny siedzą już w jadalni. Po burzliwym popołudniu pa ni Nightwing zlitowała się nad nami i wysłała Brigid, by ta kazała kucharce przygotować drugi deser. Wygodniała pożerani słodki krem, jakbym się spodziewała, że jeszcze dziś umrę we śnie.

- Dobry Boże - upomina mnie dyrektorka. - To nie są wyścigi, panno Doyle, a pani nie jest koniem czystej krwi. Proszę jeść wolniej.

- Dobrze, proszę pani - odpowiadam między kęsami. - O czym sobie porozmawiamy? - Pani Nightwing mówi to niczym pobłażliwa babcia, pytająca o imiona naszych ulubionych lalek.

- Czy naprawdę w przyszłym tygodniu weźmiemy udział w pokazie spirytystycznym u lady Wellstone? - chce wiedzieć Martha.

- Tak, to prawda. Na zaproszeniu jest napisane, że gościem będzie prawdziwe medium: madame Romanoff.

- Moja mama brała udział w seansie spirytystycznym - odzywa się Cecily. - To teraz bardzo modne. Sama królowa Wiktoria się tym interesuje.

- Moja kuzynka Lucy. to znaczy lady Thornton - poprawia się Martha, żebyśmy nie zapomnieli, jakie ma dobre koligacje - opowiadała mi o pokazie, podczas którego szklany wazon lewitował nad stołem, jakby ktoś go trzymał! - Ostatnie słowa wymawia ścisłym tonem dla lepszego efektu dramatycznego. Felicity przewraca oczami.

- Nie lepiej po prostu pójść sobie powróżyć do Cyganów?

- Cyganie to brudni złodzieje, którym chodzi tylko o nasze pieniądze albo jeszcze gorzej! - mówi Martha znaczącym tonem.

Elizabeth przysuwa się do niej bliżej, na wypadek gdyby koleżanka ujawniła jakieś pikantniejsze szczegóły. Pani Nightwing nie co zbyt energicznie odstawia filiżankę i posyła Marcie ostrzegawcze spojrzenie.

- Panno Hawthorne, proszę się nie zapominać.

- Chodzi mi tylko o to, że Cyganie to oszuści i przestępcy A spirytyzm jest prawdziwą nauką praktykowaną przez osoby o jak najlepszych intencjach.

- To tylko przelotny kaprys, który wychodzi już z mody, nic więcej - ocenia Felicity, ziewając.

- Jestem przekonana, że wieczór będzie bardzo udany - wypowiada się dyrektorka, odzyskując spokój. -

Choć sama nie jestem zwolenniczką podobnych dyrdymałów, lady Wellstone cieszy się nieposzlakowaną opinią, a także jest jedną z największych dobrodziejek Spence, więc nie wątpię, że wasze wyjście z panną LeFarge okaże się w pewnym sensie... korzystne.

Przez chwilę w milczeniu popijamy herbatę. Większość młodszych dziewcząt poszła już sobie, aby plotkować i chichotać w grupkach po trzy i cztery. Słyszę narastający szmer ich głosów, który niesie się przez korytarz z wielkiego salonu. Znużona Cecily i jej świta przepraszają, po czym wstają od stołu, przez co reszta z nas nie może wyjść i zostawić pani Nightwing samej, bo byłoby to bardzo nieuprzejme.

W pustej jadalni zostajemy więc my cztery

oraz Brigid, krzątająca się to tu, to tam.

- Proszę pani - milknę na chwilę, zbierając się na odwagę- Zauważyłam ciekawą rzecz... w korytarzu nie ma fotografii z roku 1871.

- Nie, nie ma - odpowiada swoim zwykłym zdawkowym tonem - Zastanawiałam się dlaczego. - Staram się, by brzmiało to

niewinnie, ale serce podchodzi mi do gardła. Pani Nightwing nie patrzy na mnie.

- W tamtym roku wybuchł wielki pożar we Wschodnim Skrzydle. Nie powieszono fotografii przez szacunek dla zmarłych.

- Dla zmarłych? - powtarzam za nią.

- Mam oczywiście na myśli dwie dziewczynki, które zginęły w pożarze. - Spogląda na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

Siedzimy jak na szpilkach. Kilka pięter nad nami, tam, gdzie ciężkie drzwi skrywają nadpalone, gnijące deski podłogi, zginęły dwie dziewczyny. Znów ogarnia mnie chłód.

- Te dwie dziewczynki... jak one się nazywały?

Pani Nightwing jest poirytowana, co okazuje, gwałtownie mieszając herbatę.

-Czy musimy poruszać taki nieprzyjemny temat po tym długim i męczącym dniu?

- Przepraszam - mówię, ale nie potrafię się opanować. - Po prostu jestem ciekawa, jakie miały imiona.

Pani Nightwing wzdycha.

- Sara i Mary - wyjawia w końcu. Felicity krztusi się ostatnią łyżką kremu.

- Proszę? Informacja zaczyna do mnie docierać. Czuję, jak jej ciężar

mnie przytłacza. Skrajnie zniecierpliwiona dyrektorka powtarza nazwiska powoli, niczym dzwon bijący na trwogę.

- Sara Rees-Toome i Mary Dowd.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jedynie dwie osoby, którym odważyłabym się zdradzić mój sekret i które mogłyby udzielić mi jakichś wyjaśnień, nie żyją od dwudziestu lat, a wszystko, co wiedziały, zostało pogrzebane wraz z nimi.

- To potworne - mówi Felicity. zerkając na mnie szybko.

- Owszem - odpowiada ostro pani Nightwing. - Uważam, że powinnyśmy znaleźć przyjemniejszy temat do

rozmowy. Otrzymałam właśnie uroczy list od jednej z naszych byłych wychowanek. obecnie lady Buxton. Wróciła z podróży na Wschód, gdzie miała szczęście oglądać słynny taniec derwiszy. Jej list jest doskonałym przykładem poprawnej korespondencji - takiej, która dostarcza adresatowi rozrywki i nie absorbuje go problemami natury osobistej. Gdyby ktoś chciał przeczytać, chętnie go udostępnię. Upija łyk herbaty. Szybko tracimy grunt pod nogami. Spoglądam na Felicity, która wpatruje się w Ann, a ta ostatnia z kolei pa trzy na mnie. W końcu Felicity wzdycha ciężko i zaczyna ronić prawdziwe łzy.

- Panno Worthington, cóż się z panią, na Boga. dzieje?

- Och, przepraszam, proszę pani, ale nie mogę przestać myśleć o tych biednych dziewczętach i o tym, jakie to musiało być dla pa ni przykre.

Jestem tak zaskoczona, że muszę mocno wbić sobie paznokcie w dłoń, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Lecz pani Nightwing połyka przynętę w całości.

-Tak, to było naprawdę potworne - przyznaje, wyglądając. jakby odpłynęła gdzieś daleko stąd. -

Pracowałam tu wówczas jako nauczycielka. Dyrektorką była pani Spence. niech spoczywa w pokoju.

Zginęła w pożarze, próbując uratować te dziewczęta. Ale wszystko na nic, wszystko na nic.

Wydaje się to tak bardzo przeżywać, że ogarnia mnie poczucie winy, iż znów jej to przypomniałyśmy.

Brigid stoi obok mnie, zbierając talerze i słuchając.

Felicity wspiera podbródek na dłoniach.

- Jakie one były, Sara i Mary?

Pani Nightwing zastanawia się przez chwilę.

- Chyba takie jak wszystkie dziewczęta. Mary dużo czytała i była dość spokojna. Chciała podróżować, zobaczyć Hiszpanię, Maroko i Indie. Była ulubienicą pani Spence.

-A Sara? - pytam.

Ręka Brigid zawisa nad stołem, jakby gospodyni na moment za pomniała, czym się zajmuje. Po chwili znów cicho zaczyna zbierać srebra.

- Sara była takim trochę wolnym duchem. Patrząc wstecz, uważam, że pani Spence mogła zrobić więcej, żeby ją okiełznać. Obie przyjaciółki były marzycielkami pochłoniętymi historiami o wróżkach, magii i tak dalej.

Wpatruję się w swój deser.

- Jak doszło do pożaru? - pyta Felicity.

- To był głupi wypadek. Dziewczęta poszły ze świecą do Wschodniego Skrzydła, chociaż powinny już były leżeć w łóżkach. Nigdy się nie dowiemy, po co to zrobiły. Zapewne chodziło o jedną z tych romantycznych przygód. - Pani Nightwing popija z filiżanki, nagle zagubiona. - Ogień ogarnął zasłony i szybko się rozprzestrzenił. Pani Spence pobiegła im na pomoc i drzwi się za nią zatrzasnęły... - Milknie, wpatrując się w herbatę, jakby szukała w niej pomocy. - Nie mogłam ich otworzyć. Tak jakby blokowało je coś ciężkie go. Przypuszczam, że powinniśmy uznać, iż miałyśmy szczęście. Ogień mógł strawić całą szkołę. Słychać tylko pobrzękiwanie naczyń w dłoniach Brigid. I wtedy na scenę wkracza Ann.

- Czy to prawda, że Sara i Mary miały kontakt z silami nad przyrodzonymi?

Talerz rozbija się na podłodze. Brigid na czworakach zgarnia jego szczątki do fartucha.

- Przepraszam, proszę pani. Zaraz pójde po miotłę. Pani Nightwing przyszpila Ann spojrzeniem.

- A gdzie to słyszałaś takie obelżywe plotki?

Mieszam herbatę z koncentracją właściwą mniszkom przy modlitwie. Niech licho porwie Ann i jej głupotę!

- Czytamy... - Powstrzymuję Ann, mocno kopiąc ją w nogę. -J-ja n-nie p-pamiętam...

- Nonsens! Jeżeli ktoś opowiada wam takie bzdury, muszę to wiedzieć od razu...

Felicity postanawia interweniować.

- Cieszę się, że to nieprawda i że reputacja Spence pozostaje bez zarzutu. Cóż za okropny wypadek! - Mówiąc „wypadek”, ze złością patrzy na Ann.

- W najmniejszym stopniu nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone - oświadczam z pogardą pani Nightwing, prostując plecy i odsuwając się od stołu. - Ale wierzę w zdolność dziewczęcych umysłów do przywoływania wszelkiego rodzaju zjaw, które nie mają nic wspólnego z okultyzmem, za to bardzo wiele ze zwykły mi psotami. Dlatego pytam ponownie: czy ktoś miesza wam w głowach bzdurami na temat magii i tym podobnych? Nie zamierzam tego tolerować.

Jestem pewna, że łomot mojego serca słychać po drugiej stronie pokoju. Zgodnie przysięgamy, że jesteśmy niewinne w tej kwestii, a pani Nightwing wstaje od stołu.

- Jeśli odkryję, że jest inaczej

, osoby za to odpowiedzialne spotka surowa kara. To był długi dzień. Czas już życzyć sobie dobranoc. Obiecujemy, że udamy się do pokoiów, gdy tylko skończymy. a pani Nightwing wychodzi do wielkiego

salonu, by jak co wieczór ogłosić, że pora już iść spać.

- Upadłaś na głowę jako dziecko? - warczy Felicity na Ann, gdy tylko dyrektorka nas opuszcza.

- P-przepraszam - jąka się Ann. - Dlaczego nie chciałyście, żeby dowiedziała się o pamiętniku?

- I skonfiskowała go? Wielkie dzięki! - szydzi Felicity. Wraca Brigid, wycierając ręce w ściereczkę.

- Wydajesz się dzisiaj zdenerwowana, Brigid - zwraca się do niej Felicity.

- No pewno - odpowiada gospodyni, zgarniając okruchy ze stołu. - Gadanie o tych dwóch każdego by przyprawiło o gęsią skórę. Pamiętam je, a jakże, i wcale z nich nie były takie aniołki, jak to mówi pani. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć o domostwie, pytaj służbę, jak zwykł mawiać mój ojciec. Proponuję Brigid, by siadła obok mnie.

- Powinnaś chwilę odpocząć, Brigid. Dobrze ci to zrobi. -A nawet chętnie. Och, moje nogi...

- Opowiedz nam o nich całą prawdę - prosi Ann. Brigid wydaje cichy, świszczący dźwięk.

- To były paskudne dziewczuchy. Zwłaszcza ta Sara, zuchwała, że strach. Ja byłam wówczas młoda... i niczego sobie. Miałam wielu zalotników, którzy przychodzili w niedzielę, żeby odprowadzić mnie do kościoła. Zawsze szłam do kościoła, w słońce, śnieg czy upał. zawsze.

Brigid się rozkręca. Mogłybyśmy tak siedzieć całą noc, słuchając o jej pobożności.

- A dziewczęta? - podpowiadam. Gospodyni przeszywa mnie spojrzeniem.

- No o tym będę mówić, nie? Więc co niedzielę szłam do kościoła. Ale pewnego razu pani Spence, która była prawdziwie aniołem bożym, pani Spence poprosiła, żebym została i usłużyła młodej Sarze, która coś źle się czuła. To było gdzieś tydzień przed pożarem. - Milknie i kaszle dla większego efektu. - Ciężko mi się mówi, w gardle mi zaschło.

Ann posłusznie podaje jej filiżankę herbaty.

- O, grzeczna dziewczynka. Mówię paniąkom to wszystko tylko ku przestrodze. I to nie wyjdzie poza te cztery ściany, niech przysięgną.

Przysięgamy jedna przez drugą, a Brigid podejmuje wątek tam, gdzie go porzuciła, szczęśliwa, że znów znajduje się w centrum uwagi.

- Zważcie, że wcale mnie nie ucieszyło, iż muszę zostać. Miał po mnie przyjść mój stały fatygant, Paulie, poza tym dostałam no wy czepek. Ale ja znam swoje obowiązki. Nauczy się paniąka te go szybciotko, paniąko Ann, gdy tylko otrzyma paniąka posadę.

Zażenowana Ann odwraca wzrok, a mnie ogarnia współczucie.

- Ooo, cukru tu brak... - mówi Brigid, podnosząc filiżankę jak królowa. Wykorzystuje nas bezwstydnie, ale ma informacje, których potrzebujemy, więc przynoszę cukiernicę. Czekamy cierpli wie, gdy wrzuca dwie kostki do filiżanki i miesza. - Znakiem tego nie myślałam najlepiej o paniące Sarze tego dnia. Ale co tam, niosę jej tacę ze śniadaniem, a jej nie ma w łóżku, gdzie powinna leżeć, lecz na podłodze kuca jak zwierzak i gada z Mary. Kłóciły się. Usłyszałam, jak Mary mówi: „Och, nie, Saro, nie możemy tego zrobić, nie możemy!”. A Sara odpowiedziała coś w rodzaju: „Łatwo ci mówić. Chcesz odejść i mnie zostawić”.

Mary zaczęła pochlipywać, a Sara objęła ją i całą obcałowywała. Normalnie myślałam, że tam padnę. „Będziemy razem, Mary. Zawsze”. Wtedy po wiedziała coś jeszcze, nie wiem, co dokładnie, ale coś o „ofierze”. Mówiła: „Ona tego chce, Mary, tego żąda. To jedyny sposób”. Wtedy Mary chwyciła ją i odrzekła: „To morderstwo, Saro”. Tak powiedziała: morderstwo. Krew mi krzepnie w żyłach, gdy to wspomnę.

Ann obgryza paznokcie. Felicity chwyta mnie za rękę, a ja czuję, że jej skóra zrobiła się zupełnie zimna.

Brigid zerka przez ramię w stronę drzwi, żeby sprawdzić, czy nadal jesteśmy same.

- No, ani chybi musiałam zahłasować czy coś. Sara śmignęła do mnie szybko jak strzała. Przyparła mnie do ściany, z całej siły. Spojrzała prosto w twarz - a oczy miała zimne, takie zupełnie bez duszy - i spytała: „Węszysz, Brigid?”. Odparłam: „Nie, paniąko. Przyniosłam tylko tacę, jak pani kazała”. Bo byłam przerażona na śmierć, powiem szczerze. Działo się tam coś bardzo złego.

Wszystkie wstrzymujemy oddech w oczekiwaniu. Brigid pochyła się w naszą stronę.

- Miała taką lalczkę do rzucania uroków, taką szmacianą kukiełkę, co małe Cyganiątka noszą...

Pomachała mi nią przed twarzą. Powiedziała: „Brigid, wiesz, co się przytrafia szpiegom i zdrajcom?

Spotyka ich kara”. Nagle wyrwała mi garść włosów z głowy i owinęła wokół lalki. „Trzymaj buzię na kłódkę - ostrzegła - bo następnym razem...”. No, nigdy w życiu tak szybko nie biegłam. Potem nie ruszałam się z kuchni przez cały boży dzień. A kilka dni później dziewczuchy już nie żyły i nie mogę powiedzieć, żeby mi by ło przykro. Chociaż szkoda biednej pani Spence.

Brigid szybko żegna się znakiem krzyża.

- Wiedziałam, że nic dobrego z nich nie będzie... Te ichnie sekrety i ciągle bieganie do matki Eleny, jak Cyganie przyjeżdżali. -Brigid zauważa, że Ann szturcha mnie łokciem w ramię. - Tak, dobrze wiem o

wyprawach do matki Eleny. Stara Brigid nie urodziła się wczoraj. Lepiej niech się nie zbliżają do tej Cyganichy. Ona ma nie po kolei w głowie, ciągle coś tam mamrocze pod nosem. Mam nadzieję, że się nie wpakują w nic takiego.

Posyła nam twarde spojrzenie. Niemalże upuszczam cukiernicę, którą ciągle trzymam w dłoniach.

- Oczywiście, że nie - odpowiada Felicity, znów przybierając wyniosły ton. Dostała od Brigid to, czego chciała, więc z jej punktu widzenia nic ma już po co pobłażać służącej.

- No, oby to była prawda. Nie chcę, żeby zaczęły zadzierać nosa i przybierać dziwaczne imiona tak jak tamte. Uważały, że są księżniczkami czy kim tam. Sara kazała mówić do siebie... Zaraz, jak to szło? - Milknie, zastanawia się, po czym potrząsa głową. -

Ech, znowu coś mi się zacięło w głowie. Miałam to już na końcu języka. Ale jak zobaczę, że wyprawiają to cygańskie hokus-pokus, to zawlokę za uszy do kościoła i zamknę tam na tydzień. Same zobaczą. -

Szybko przełyka resztkę herbaty. - No, która panienka będzie taka kochana i należy biednej Brigid jeszcze filiżaneczkę?

#

Podajemy Brigid następną herbatę, obiecujemy iść prosto do sypialni, po czym okrężną drogą zmierzamy do dużego salonu. Wszystkie inne dziewczęta powlokły się już do łóżek. Dwie pokojówki cicho wypełniają swoje obowiązki, gasząc lampy, aż możemy dojrzeć tylko ich białe fartuszki, a potem one również znikają. Ogień w kominku przygasa. Płomienie chwieją się i migoczą, rzucając cienie, które sprawiają, że marmurowe kolumny zdają się ożywać.

- Czytałyśmy pamiętnik nieżyjącej dziewczyny. - Felicity wzdryga się. - Jest w tym coś przerażającego.

- Jak myślicie - odzywa się Ann - czy to, co pisała Mary, może być prawdą? Chodzi mi o te nadprzyrodzone historie?

Nagle polano strzela iskrami z głośnym trzaskiem, aż wszystkie podskakujemy.

- Musimy się spotkać z matką Eleną - oświadcza Felicity. Nie. Absolutnie nie. Zaciągniemy zasłony i zostaniemy bezpiecznie w domu, w ciepłe, z dala od niepewnych lasów.

- Chcesz iść do obozu Cyganów? Dziś w nocy? Sama? - do pytuje się Ann. Nie potrafię stwierdzić, czy ta perspektywa budzi w niej radość, czy panikę.

- Tak, dzisiaj. Wiesz, jacy są Cyganie. Nigdy zbyt długo nie zostają w jednym miejscu. Jutro już mogą wyjechać na zimę. Musimy zrobić to dzisiaj.

-A co z... - Już prawie wymawiam imię Ithala, ale się po wstrzymuję. Felicity patrzy ostrzegawczo.

- Co z czym? - pyta zdziwiona Ann.

- Z mężczyznami - odpowiadam, celowo zwracając się do Felicity. - W obozie są mężczyźni. Jak zapewnimy sobie bezpieczeństwo?

- Mężczyźni - z powagą powtarza Ann. Jak to się dzieje, że jedno małe słowo może nieść tyle skojarzeń... Felicity podejmuje grę i przekazuje mi zaszyfrowaną wiadomość.

- Jestem pewna, że poradzimy sobie z nimi. Wiesz, jak ci Cyganie potrafią kłamać. Po prostu będziemy się z nich śmiały.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy iść - dochodzi do wniosku Ann. - Nie bez przyzwoitki.

- Och, zgadzam się - kpi Felicity. - Może od razu pójdziesz poprosić Brigid, żeby nam towarzyszyła w nocnej wyprawie do cygańskiego obozu? Jestem pewna, że chętnie nam pomoże.

- Mówię poważnie.

- Więc zostań! - Ann natychmiast zaczyna obgryzać wystrzępiony paznokieć, a Felicity szybko obejmuje ją ramieniem. - Posłuchaj, jesteśmy w trójkę. Będziemy dla siebie wzajemnie przyzwoitymi. I opiekunkami, jeśli to się okaże konieczne. Choć przypuszczam, że wszelkie lęki przed gwałtem są tylko pobożnymi życzeniami z waszej strony.

- Ann. uważam, że zostałyśmy obrażone - mówię, również ją obejmując. Otacza nas atmosfera podniecenia, które mogłabym niemalże posmakować, determinacji, jakiej nie czułam nigdy wcześniej. I chcę czuć ją jeszcze mocniej. - Czy sugerujesz, że nie jesteśmy warte gwałtu?

Felicity uśmiecha się tak szeroko, że ożywa cała jej twarz.

- Sprawdźmy to.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zęby dostać się do obozu Cyganów, musimy dobre dwa kilo metry przedzierać się przez jeżyny, które drapią nas i łapią za nogi. Noce zrobiły się już chłodniejsze i wilgotne powietrze wydaje się bardzo nieprzyjemne. Gdy je wdycham, kaleczy mi płuca, a gdy wydecham, zbija się w białe obłoczki pary. Zanim docieramy do obozu, zanim dostrzegamy namioty i ognisko, duże drewniane wozy oraz mężczyzn grających na przypominających pudełka skrzypkach, z wysiłku kluje mnie w boku. Na ziemi siedzą trzy

duże psy. Nie mam pojęcia, jak je miniemy.

- I co teraz? - szepcze Ann, między jednym łapczywym oddechem a drugim.

Kobiety znajdują się kawałek dalej w swoich namiotach. Po obozie kręci się garstka dzieci. Pięciu młodych mężczyzn siedzi dookoła ogniska, pijąc i opowiadając sobie historie w języku, którego nie rozumiemy.

Jeden z nich mówi coś zabawnego. Jego kompani klaszczą w dłonie i śmieją się. Dźwięk, niski i gardłowy, łaskocze mnie w środku tak, że mam ochotę uciekać, aż znajdę się w bezpiecznym miejscu - albo aż mnie złapią. Nie jestem pewna, z czym wtedy będę musiała się zmierzyć. Mój umysł nie sięga tak daleko. Ale to wszystko wystarczy, żeby serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

Jednym z tych mężczyzn jest Ithal. W świetle ognia jego dziwne złote oczy migoczą. Udaje mi się pochwycić spojrzenie Felicity i kiwam głową w tamtym kierunku, żeby go wskazać.

Ann zauważa to i rozgląda się przestraszona.

- O co chodzi?

- Zmiana planów. Będziemy musiały wrócić jutro w dzień. Ann sprzeciwia się.

- Ale przecież mówiłyście...

Odwracam się, żeby odejść i następuję na gałązkę, która pęka z głośnym trzaskiem. Psy zaczynają wściekle ujadać. Ithal zrywa się ze sztyletem w rękę. czujny jak każde dzikie stworzenie. Ucisza swoich przyjaciół w rodzimym języku. Teraz oni również są uważni i gotowi do ataku.

- Brawo - warczy Felicity.

- To nie moja wina. Porozmawiaj z lasem - odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Ithal unosi palec, żeby uspokoić swoich kamratów, i woła po angielsku:

- Kto tam jest?

- No to po nas - szepcze skamieniała Ann.

- Nie całkiem - odpowiada Felicity. Staje prosto i wychodzi zza drzewa, podczas gdy my próbujemy z powrotem wciągnąć ją za pień.

- Co ty robisz? - pyta Ann głośnym, pełnym paniki szeptem. Felicity ignoruje nas. Idzie w stronę mężczyzn, zjawia w białym

i niebieskim aksamicie, wysoko unosząc głowę, a oni wpatrują się w nią z zachwytem niczym w boginię, leszcze nie wiem, jak smakuje władza. Ale z pewnością wygląda właśnie tak i chyba zaczynam rozumieć, dlaczego tamte kobiety w dawnych czasach musiały ukrywać się w jaskiniach. Dlaczego nasi nauczyciele i adoratorzy chcą, żebyśmy zachowywały się w odpowiedni i przewidywalny sposób. Nie chodzi o to, że chcą nas chronić. Oni się nas boją.

Ithal uśmiecha się lubieżnie, po czym kłania się jej. Kiedy za uważy, że chowamy się za drzewem, jakby to był fartuch mamusi, gwizdże na nas delikatnie, ale wilczy uśmiech nie schodzi mu z ust. Chcę uciekać aż do Spence, ale nie mogę tu zostawić Felicity. Poza tym oni mogliby pobiec za mną, w ciemność lasu. Chwytam Ann za wilgotną dłoń i wchodzę w krąg mężczyzn, który zamyka się wokół naszej trójki.

-Wiedziałem, że nie będziesz umiała trzymać się z daleka -Ithal zwraca się żartobliwie do Felicity.

- Niczego takiego nie mogłeś wiedzieć. Z tego, co pamiętam, ostatnio zostawiłam cię po drugiej stronie muru. I tam jest twoje miejsce: po drugiej stronie wszystkiego. - Szydzi z niego. Nie wydaje się to mądrą strategią, ale nigdy jeszcze nie byłam otoczona przez grupę jurnych Cyganów w lesie w środku nocy. Nie mam prawa nikomu doradzać ani krytykować. Mogę tylko wstrzymać oddech i czekać.

Ithal podchodzi bliżej, bawi się wiązaniem peleryny we wgłębieniu na szyi Felicity. Głos ma donośny i wesoły, ale uśmiech nie dociera do jego oczu. Widać w nich złość i zawód.

- Dzisiaj nie stoję po tamtej stronie muru.

- Proszę - skrzeczy Ann. - Przyszliśmy tylko zobaczyć się z matką Eleną.

- Matki nie ma - odpowiada jeden z mężczyzn. Właściwie jest zaledwie chłopcem. Ma może piętnaście lat i ważną minę, do której jeszcze nie dorósł. Jeśli będziemy musiały uciekać, jego kopnę pierwszego.

- Żądam spotkania z matką Eleną - mówi Felicity chłodnym i pewnym siebie tonem. Jestem jedyną osobą, która dostrzega jej strach i to przeraża mnie nawet bardziej niż cała ta sytuacja.

Jak się wpakowaliśmy w ten bałagan? I jak się z niego wygrzebiemy?

- Co się dzieje? - Karlik wkracza w wir walki w swoim pożyczonym cygańskim stroju z prowizorycznym kijem do krykieta w dłoni. Na mój widok oczy mu się rozszerzają ze zdumienia.

- Proszę, musimy się zobaczyć z matką Eleną - mówię, mając nadzieję, że w moim głosie nie słychać lęku, który czuję.

Ithal unosi ręce, ukazując stwardniałe wnętrza dłoni, pamiątkę ciężkiego życia na łonie natury.

-Ach... Ta gadzie jest twoja. Przepraszam, przyjacielu. Kartik parska.

- Ona nie jest... - Milknie. - Tak, jest moja.

Bierze mnie za rękę i wyciąga z kręgu. Goni nas chór gwizdów i wesołych okrzyków. Nagle czuję, że jakaś inna dłoń chwytą mnie za drugi nadgarstek. Należy do chłopca z nadętą miną, którego zauważyłam wcześniej.

- Skąd mamy wiedzieć, że jest twoja? Nie wydaje się zbyt chętna - drażni się z nami. - Może woli pójść ze mną.

Kartik waha się wystarczająco długo, by mężczyźni nabrali podejrzeń. Ten drugi trzyma mnie mocno, a ja czuję w ustach smak strachu, zimny i metaliczny. Nie ma czasu na skromność, rozsądek nic tu nie da. Bez ostrzeżenia całuję Karlika. Jego usta przyciśnięte do moich zaskakują mnie. Są ciepłe, delikatne niczym oddech, a jednocześnie realne jak dotknięcie brzoskwini na wargach. W powietrzu unosi się zapach rozgrzanego cynamonu, ale to nie jest efekt mojej wizji. To jego zapach we mnie. Zapach, który sprawia, że żołądek opada mi do pięt. Zapach, który wypycha mi z głowy wszelkie myśli i zastępuje je przemożną ochotą na więcej.

Język Kartika na sekundę wślizguje się między moje wargi, co robi na mnie wstrząsające wrażenie. Odsuwam się od niego, ciężko dysząc, z zaczerwienioną twarzą. Nie potrafię spojrzeć na nikogo, zwłaszcza na Felicity i Ann. Co one muszą teraz o mnie myśleć? A co by myślały, gdyby wiedziały, jak bardzo mi się to podobało? Jakiego rodzaju dziewczyną muszę być, aby rozkoszować się pocałunkiem, po który tak śmiało sięgnęłam, nie czekając, aż ktoś mnie o niego poprosi, a potem mi go skradnie, tak jak należy? Stojący z tyłu tęgi mężczyzna wybucha gromkim śmiechem.

- Widzę, że jednak mimo wszystko jest twoja!

- Tak - odpowiada chrapliwie Kartik. - Zabiorę je do matki Eleny, żeby im powróżyła. Wracajcie do picia. Chcemy ich pieniędzy, a nie kłopotów.

Kartik odprowadza nas do namiotu matki Eleny. Po drodze Felicity spogląda do tyłu, przyglądając się Karlikowi u mojego boku. Przesuwa spojrzenie na mnie i z powrotem na niego. Zachowuję kamienną twarz, więc w końcu się odwraca. Kartik rozchyła wejście do namiotu przed Felicity i Ann, ale mnie gwałtownie odciąga na bok.

- Co ty tutaj robisz?

- Przyszłam po wróżbę - odpowiadam. To głupia odpowiedź, ale usta jeszcze mam ciepłe po jego pocałunku i czuję się zbyt zakłopotana, żeby wymyślić coś lepszego. - Przepraszam za moje za chowanie - udaje mi się wydusić. - To było konieczne w tych okolicznościach. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za zbyt śmiałą.

Podnosi z ziemi żołędź, rzuca go w powietrze i odbija kijem do krykieta. Kij jest tak stary i rozszczepiony, że do niczego się nie nadaje. Kartik zaciska usta w wąską linię.

- Teraz będę musiał bez końca wysłuchiwać uwag na ten temat. Łaskotanie w moim brzuchu przeradza się w chłód.

- Przepraszam, że cię na to naraziłam - mówię. Nie odpowiada, a ja czuję się tak upokorzona, że chciałabym się rozpuścić w powietrzu.

- Gdzie jest ostatnia z waszej czwórki? Ukrywa się w lesie? Chwilę trwa, zanim sobie uświadamię, że ma na myśli Pippę.

Przypomina mi się, jak na nią patrzył nad jeziorem. Najwyraźniej nie przestał o niej myśleć. Po raz pierwszy okazał prawdziwe ludzkie uczucia i jestem zaskoczona, jak bardzo mnie to zabolowało.

- Jest chora - odpowiadam z irytacją.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Nie wiem, czemu czuję się taka zraniona jego wyraźnym zauroczeniem Pippą. Nie łączy nas romans. Nic nas nie wiąże poza tym mrocznym sekretem, którego nie chce żadne z nas. To nie pragnienie Kartika mnie boli, lecz własne. To świadomość, że nigdy nie będę miała tego co ona - urody tak potężnej, by dawała mi to, czego pragnę. Boję się, że już zawsze będę musiała zabiegać o to, czego chcę. Zawsze będę musiała się zastanawiać, czy ktoś mnie pragnie, czy tylko akceptuje.

- Nic poważnego - odpowiadam, przełykając z trudem. - Czy mogę teraz wejść do środka?

Wyciągam rękę, żeby unieść klapę, ale on chwytą mnie za nadgarstek.

- Nie rób tego nigdy więcej - ostrzega, po czym wpycha mnie do namiotu. Odchodzi w stronę lasu, by stać się oczami nocy, bezustannie mnie obserwującymi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Jesteś nareszcie! - woła do mnie Felicity od małego stoliczka, przy którym siedzą wraz ze starą Cyganką. - Matka Elena właśnie opowiada nam niezwykle interesującą historię o tym, jak Ann stała się wielką piękną.

- Powiedziała mi, że będę miała wielu wielbicieli - przerywa jej podekscytowana Ann.

Cyganka kiwa palcem.

- Podejdź bliżej, dziecko. Matka Elena przepowie ci przyszłość. Idę ostrożnie przez wnętrze namiotu, w którym pełno jest książek, kolorowych szali oraz flaszek ziół i nalewek wszelkiego rodzaju.

Obok starej kobiety wisi na haczyku latarnia. W jej ostrym świetle wyraźnie widać pomarszczoną i zbrązowiałą od słońca twarz Cyganki. Kobieta ma przekłute uszy, a na każdym palcu dłoni pierścionek. Wysuwa w moją stronę mały koszyczek z kilkoma szylingami na dnie.

Felicity chrząka cicho i mówi:

- Daj jej kilka pensów.

- Ale nie zostanie mi już nic do odwiedzin rodziny w Dniu Wizyt - odpowiadam szeptem.

- Daj. Jej. Kilka. Pensów. - Felicity powtarza przez zaciśnięte zęby, uśmiechając się. Ciężko wzdycham i wrzucam moje ostatnie drobniaki do koszyka. Matka Elena potrząsa nim. Zadowolona z brzęczącego dźwięku. przesypuje jego zawartość do sakiewki.

- I co teraz? Karty? Czytanie z dłoni?

- Matko Eleno, myślę, że nasza przyjaciółka byłaby bardzo za interesowana historią, którą matka nam opowiadała o tych dwóch dziewczynach ze Spence.

- Tak, tak, tak. Ale nie może tu być Caroliny. Carolino, przynieś wodę. - W namiocie nie ma nikogo prócz nas. Zaczynam czuć się niepewnie. Matka Elena gładzi dłonią karty. Przekrzywia głowę, jak by nasłuchiwała czegoś zapomnianego - fragmentu piosenki lub głosu z przeszłości. A kiedy podnosi na mnie wzrok, jest tak, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami, które spotkały się po latach.

- Ach, Mary, jaka miła niespodzianka. Co matka Elena może dla ciebie dzisiaj zrobić? Mam pyszne miodowe ciasteczka, najłodsze na świecie. Częstuj się.

Jej dłonie układają wymagane ciasteczka na wymaganej tacy. Wymieniamy zaciekawione spojrzenia. Czy to gra, czy biednej staruszce rzeczywiście brak piątej klepki? Cyganka podaje mi wymyśloną tacę.

- Kochana Mary, nie bądź taka nieśmiała. Zjedz coś słodkiego. Zaczęłaś inaczej układać włosy. Dobrze ci w tej fryzurze.

Felicity kiwa głową, nakłaniając mnie, bym wzięła udział w przedstawieniu.

- Dziękuję, matko.

- A gdzie jest dzisiaj nasza urocza Sara?

- Nasza Sara? - waham się. Felicity przejmuje pałeczkę.

- Nie ma jej, bo praktykuje magię, której ją uczyłaś. Matka marszczy czoło.

- Ja uczyłam? Matka nie zajmuje się takimi rzeczami, jedynie ziołami oraz talizmanami miłosnymi i ochronnymi. Mówisz o nich

- O nich? - powtarzam. Matka szepcze.

- O kobietach, które przychodzą do lasów. Uczą was swoje sztuki. O Zakonie. Nic dobrego z tego nie wyniknie, Mary, zapamiętaj moje słowa.

Budujemy domek z kart. jedno niewłaściwe pytanie może zburzyć całą konstrukcję, zanim osiągniemy cel.

- Skąd wiesz, jakich rzeczy one nas uczą? - pytam. Stara kobieta puka się w skroń sękatym palcem.

- Matka wie. Matka widzi. One znają przeszłość i przyszłość. Kształtują ją. - Pochyla się w moją stronę. - Widzą świat duchów.

Cale pomieszczenie kręci się i rozmywa, lecz po chwili ostrość wraca. Chociaż noc jest chłodna, pot spływa mi po karku i wsiąka w kołnierzyk.

- Masz na myśli międzyświat? Matka kiwa głową.

- Więc umiesz wejść do międzyświata, matko? - pytam. Słowa odbijają się echem w moich uszach. Usta mam suche jak pieprz.

- Och, nie. Tylko na niego zerknąć. Ale ty i Sara byliście tam. Moja Carolina powiedziała, że

przyniosłyście jej słodki wrzós i mirt z ogrodu. - Uśmiech matki blednie. - Ale są też inne miejsca. Kra in a Zimy. Och, Mary, boję się tego, co tam mieszka... Boję się o Sarę i o ciebie...

- Co Sara... - chce zapytać Felicity. Matka znów marszczy czoło.

- Sara jest wygłodniała. Chce nie tylko wiedzy. Ona chce władzy, tak właśnie. Musimy pilnować, żeby nie poszła złą ścieżką, Mary. Musimy trzymać ją z dala od Krainy Zimy i od mrocznych stworzeń, które tam żyją. Boję się, że może je przyzwać, przywiązać któreś do siebie. A ono zdeprawuje jej umysł. Poklepuje mnie po dłoni. Czuję na kłykciach dotyk jej suchej, popękanej skóry. Czuję też, że mogę zemdleć. Muszę ze sobą walczyć, żeby zadać następne pytanie.

- Jakie... mroczne stworzenia?

- Zranione duchy wielkiego gniewu i nienawiści. Chcą wrócić na ten świat. Odkryją twoje słabości i wykorzystają je. Felicity nie wierzy w ani jedno słowo. Za plecami Cyganki robi potworne miny. Ale ja widziałam, jak ciemność się porusza i krzyczy.

- Jak mogłaby przyzwać coś takiego? - Mimo chłodu jestem spocona i zasapana.

- Musi złożyć duchowi ofiarę, a wtedy władza będzie należała do niej - szepcze matka. - Ale też będzie na zawsze związana z mrokiem.

- Jakiego rodzaju ofiarę? - ledwie chrypię. Oczy matki Eleny robią się szkliste. Próbuje sobie coś przypomnieć. Powtarzam nie co głośniejsze: - Jakiego rodzaju ofiarę?

- Nerwy cię ponoszą... Mary - mówi cicho Ann przez zaciśnięte zęby.

Nieobecny wyraz znika z oczu matki. Cyganka przygląda mi się podejrzliwie.

- Kim jesteś?

Felicity usiłuje skierować ją na poprzednie tory.

- To twoja Mary, matko Eleno. Nie pamiętasz? Matka piszczy jak przestraszony zwierzak.

- Gdzie jest Carolina z wodą? Carolina, nie bądź niedobra. Chodź do mnie.

- Mary może cię do niej zaprowadzić - szarżuje Felicity.

- Przestań! - krzyczę.

- Mary, czy to ty wróciłaś do mnie po tych wszystkich latach? Matka ujmuje moją twarz w swoje zniszczone dłonie.

- Jestem Gemma - mówię z trudnością. - Gemma, nie Mary. Przykro mi, matko.

Matka Elena cofa ręce. Jej szal się rozchyła, ukazując błysk księżycowego oka na pomarszczonej szyi. Odsuwa się.

- To ty! Ty to na nas sprowadziłaś!

Psy szczekają, słysząc jej podniesiony głos.

- Lepiej będzie, jak sobie pójdziemy - ostrzega Ann.

- Ty nas zniszczyłaś. Wszystko straciliśmy... Felicity rzuca na stół kolejnego szylinga.

- Dziękujemy, matko. Bardzo nam pomogłaś. Ciasteczka miodowe były przepyszne.

- To byłaś ty!

Zakrywam uszy dłońmi, żeby nie słyszeć tego głosu. Lasy rozbrzmiewają jego echem, wyciem zwierzęcej matki oplakującej swo je młode - maleńkie stworzonko unicestwione przez drapieżnika w wielkim cyklu życia. To ten dźwięk, bardziej niż cokolwiek inne go, każe mi uciekać, mimo Cyganów, którzy na szczęście są już.

Mroczny sekret

zbyt pijani, żeby nas gonić, mimo protestów Felicity i Ann, które zostawiam z tyłu. Zatrzymuję się dopiero głęboko w lesie. Nie mogę złapać tchu i mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Przeklęty gorset. Zimnymi palcami szarpie sznurowadła, ale nie mogę ich rozwiązać. W końcu padam na kolana, szlochając z frustracji. Czuję na sobie jego spojrzenie, zanim jeszcze go zauważam. Jest tam i przygląda mi się - nic nie robi, tylko patrzy.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyczę.

-Bardzo miło się zachowałaś - mówi Felicity, pojawiając się w zasięgu mego wzroku. Ann jest tuż za nią i oddycha równie ciężko. - Co, u licha, w ciebie wstąpiło?

- Ja... po prostu się przestraszyłam - wyjaśniam, starając się złapać oddech. Kartik nadal tu jest. Wyczuwam jego obecność.

- Matka Elena może być szalona, ale jest zupełnie nieszkodliwa. A może wcale nie jest szalona. Może gdybyś nie uciekła, jej małe przedstawienie dobiegłoby końca, powróżyłaby nam i nie wydałybyśmy pięciu pensów na darmo.

-Prze... przepraszam - mamrocę. Za drzewem nikogo już nie ma. Poszedł sobie.

-Co za wieczór - mruczy Felicity, odchodząc i zostawiając mnie na kolanach pod czujnym wzrokiem sów.

#

Biegnę we śnie, a moje stopy przy każdym kroku zapadają się w zimną, rozmiękłą ziemię. Zatrzymuję się w wejściu do namiotu Karlika. Śpi wśród rozrzuconych koców, które ukazują jego nagą pierś przywodzącą na myśl rzymski posąg. Linia ciemnych włosów przecina twardy brzuch i znika pod paskiem spodni, w rejonach zupełnie mi nieznanymi.

Jego twarz. Policzki, nos, usta, oczy. Oczy pod powiekami po ruszają się gwałtownie. Gęste rzęsy

oceniają kości policzkowe. Nos jest silny i prosty. Idealnie wykrojone usta ma lekko rozchylone, tylko na tyle, by mógł przez nie oddychać.

Chcę znów posmakować tych ust. To pragnienie mnie przygniata. Czuję, że mam miękkie nogi, płytki oddech i lekką głowę. Istnieje tylko to pragnienie. Dotykam ustami jego warg i roztapiam się. Czarne oczy otwierają się i dostrzegają mnie. Posąg ożywa. Wszystkie mięśnie jego ramion napinają się, gdy się unosi, kładzie mnie na posianiu i osuwa się na mnie. Jego ciężar wyciska mi po wietrze z płuc niczym krzyk, ale brzmi on jak najdelikatniejsze westchnienie. I znów jego usta dotykają moich, czuję gorąco, nacisk, obietnicę tego, co ma nadejść, obietnicę, której wychodzę na przeciw.

Czubki jego palców są jak szept na mojej skórze. Kciuk przesuwa się powoli po piersi, kreśląc kółka. Muskam ustami słoną skórę na jego karku i czuję, że rozsuwa moje uda kolanem. Coś się we mnie rozpada, jakbym na chwilę w ogóle przestała oddychać. Jestem wydrążona, wygłodniała.

Ciepłe palce wędrują w dół, wahają się, a potem przesuwiają po tej części mnie, której jeszcze nie rozumiem, której sama sobie nie pozwoliłam poznać.

- Czekaj... — szepczę.

Nie słucha albo nie chce słuchać. Palce, silne, pewne i nie tak całkiem niechciane, wracają. Obejmuje mnie całą dłonią. Chcę uciec. Chcę zostać. Chcę obu tych rzeczy naraz. Jego usta odnajdują moje. Czuję się przyszpilona do ziemi przez jego decyzję. Mogłabym się poddać, zatracić w nim i wyjść narodziła na nowo jako ktoś inny. Kciuk na piersi rozkosznie ociera mi skórę, jakbym miała ją na sobie po raz pierwszy w życiu. Moje ciało pragnie po czuć jego ciężar, Jego wybór mógłby być moim wyborem. Mógłby wchłonać mnie całą, gdybym tylko się poddała. Poddaj się. poddaj się, poddaj się.

Nie.

Przesuwam rękami po gładkiej skórze jego piersi i odpychani go. Przewraca się na bok. Brak jego ciężaru na sobie odczuwani tak, jakby odjęto mi którąś kończynę, i ogarnia mnie przemożna potrzeba, by przyciągnąć go z powrotem. Na jego czole lekko połyskuje pot, gdy mruga we śnie, zmieszany i oszołomiony. Znów śpi tak, jak wtedy gdy go znalazłam. Mroczny anioł tuż poza moim zasięgiem.

#

To sen, tylko sen. Powtarzam to sobie, gdy się budzę, ciężko oddychając, we własnym łóżku w jednym pokoju z Ann pochrapującą z zadowoleniem kilka metrów ode mnie.

To tylko sen.

Lecz wydawał się taki realny. Dotykam palcami ust. Nie są opuchnięte od pocałunków. Nadal jestem nietknięta. Czysta. Pełnowartościowy artykuł handlowy. Kartik znajduje się kilka kilometrów stąd, pograżony we śnie, który mnie nie dotyczy. Jednak ta część mnie, której jeszcze nie poznałam, pulsuje bólem i muszę położyć się na boku z mocno ściśniętymi kolanami, żeby było trochę lepiej.

To tylko sen.

Ale najbardziej przeraża mnie myśl, że bardzo bym chciała, aby było inaczej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Doktor Thomas uznał, iż Pippa doszła już do siebie, a jako że jest niedziela i byliśmy już w kościele, możemy rozkoszować się popołudniem, jak tylko chcemy. Siedzimy więc nad wodą, rzucając na jej nieruchomą powierzchnię płatki ostatnich letnich kwiatów. Ann została w szkole, żeby ćwiczyć swoją arię na Dzień Wizyt, kiedy to Spence zaatakują krewni, gnani potrzebą sprawdzenia, jakimi to cudownymi kobietami się stajemy.

Rzucam na wodę garść pomiętych dzikich kwiatów. Osiadają przy brzegu niczym śnieć, a po chwili lekki wiatr przenosi je na środek jeziora. Nieruchomieją, nabierają coraz więcej i więcej wody, aż w końcu bezgłośnie toną. Na drugim brzegu kilka młodszych

dziewczynek siedzi na kocu, rozmawiając i jedząc śliwki, zadowolonych, że mogą nas ignorować tak, jak my ignorujemy je.

Pippa leży w łódce. Ku mojej ogromnej uldze nie pamięta niczego sprzed ataku.

Jest okropnie zawstydzona tym, że straciła nad sobą kontrolę i że mogła powiedzieć lub zrobić coś nieodpowiedniego.

- Wydawałam jakieś wulgarne dźwięki? - pyta.

- Nie - zapewniam ją.

- Żadnych - dodaje Felicity.

Rozluźniona opiera się o dziób łodzi. Kilka sekund później nowe zmartwienie sprawia, że napina ramiona.

- Chyba nie... zabrudziłam się, prawda? - Z trudem formułuje to pytanie.

- Nie, nie! - gwałtownie zaprzeczamy.

- Moja przypadłość jest bardzo wstydliva, prawda? Felicity splata drobne kwiatki w wianek.

- Nie bardziej wstydliva niż posiadanie matki, która jest kokotą.
- Przepraszam. Felicity, nie powinnam była tego mówić. Wybaczysz mi?
- Nie ma co wybaczać. To sama prawda.
- Prawda! - prychnęła Pippa. - Matka mówi, że nikt nie może się dowiedzieć o moich atakach. Mówi, że kiedy czuję, iż atak się zbliża, powinnam się wymówić bólem głowy i odejść. - Jej śmiech brzmi gorzko. - Sądzi, że potrafię nad tym zapanować.
Jej słowa ciągnę mnie w dół niczym kotwica. Rozpaczliwie pragnę powiedzieć jej, że to rozumiem. Chcę zdradzić swój sekret. Przełykam ślinę. Wiatr się zmienia i ciska płatkami w moje włosy. Czuję, że właściwy moment minął. Wsiąka pod powierzchnię, kryjąc się przed światłem. Pippa zmienia temat.
- A mówiąc o weselszych sprawach, podobno matka i ojciec szykują dla mnie cudowną niespodziankę. Mam szczerą nadzieję, że to nowy gorset. Stelaż tego praktycznie miażdży mnie przy każdym oddechu. O, bogowie!
- Może powinnaś jeść mniej ciągutek - sugeruje Felicity. Pippa jest zbyt zmęczona, by naprawdę się zezłościć. W zamian udaje, że czuje się zraniona.
- Nie jestem tłusta! Nie jestem! Mam w talii raptem czterdzieści dwa centymetry.
Pippa ma talię osy, bo podobno mężczyznom to się podoba. Gorsety ściskają nas i kształtują zgodnie z modą, choć czasami przez to brak nam tchu i czujemy mdłości. Nie mam pojęcia, jak wąska, czy jak szeroka jest moja talia. Nie jestem w najmniejszym stopniu istotą delikatną i mam ramiona jak chłopak. Cała ta konwersacja mnie nuży.
- Czy twoja mama przyjedzie w tym roku, Fee? - pyta Pippa.
- Jest z wizytą u przyjaciół, we Włoszech - odpowiada Felicity, kończąc kwietną koronę. Wkłada ją na głowę gestem królowej wróżek.
- A co z twoim ojcem?
- Nie wiem, ale nadzieja mnie nie opuszcza. Bardzo bym chciała, żebyście go poznały i żeby on się przekonał, że mam prawdziwe przyjaciółki z krwi i kości. - Uśmiecha się smutno. - Myślę, że obawiał się, iż zostanę jedną z tych ponurych dziewczyn, których nikt nigdzie nie zaprasza, Trochę taka byłam po tym, jak mama... Odeszła.
To słowo zawisa w powietrzu niewypowiedziane. Zawiera wstyd, tajemnicę, strach, wizję i epilepsję. Tak wiele niewypowiedzianych rzeczy zwiększa dystans między nami. Im bardziej próbujemy zasypać tę przepaść, tym mocniej nas ona dzieli.
- Jestem pewna, że tym razem przyjedzie, Fee - pociesza ją Pippa. - I będzie bardzo dumny, widząc, że stałaś się prawdziwą damą.
Felicity uśmiecha się i jest tak, jakby skierowała słońce w naszą stronę.
- Tak. Tak, stałam się damą, prawda? Myślę, że będzie zadowolony. Jeśli przyjedzie.
- Pożyczyłabym ci moje nowe skórkowe rękawiczki, ale mama spodziewa się, że sama je włożę jako oznakę naszej pozycji - wzdycha Pippa.
- A co z twoją rodziną? - Felicity zwraca przenikliwy wzrok na mnie. - Tajemniczy Doylewie zamierzają przyjechać?
Mój ojciec nie pisze od dwóch tygodni. Przypomina mi się ostatni list od babki.

Najdroższa Gemmo!

Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Ja miałam atak newralgii, ale nie powinnaś się martwić, gdyż doktor twierdzi, że to Z powodu wysiłku związanego z opieką nad twoim ojcem i że ból osłabnie,

gdy wrócisz znów do domu i pomożesz dźwigać to brzemię, jak przystało na dobrą córkę. Twój ojciec zdaje się znajdować pocięgę w ogrodzie. Przesiaduje na ławce długie godziny. Wpatruje się w przestrzeń, a czasami gwałtownie kiwa głową. lecz poza tym jest spokojny.

Nie martw się o nas. Jestem pewna, że to. iż brak mi tchu, nie jest objawem niczego poważnego.

Odwiedzimy Cię za dwa tygodnie

wraz z Tomem, który przesyła pozdrowienia i pyta. czy znalazłaś mu już odpowiednią żonę. choć wydaje mi się. że powiedział to żartem. Pozdrawiam Babcia

Zamykam oczy i próbuję o tym zapomnieć.

- Tak. przyjeżdżają.

- Nie wydajesz się tym szczególnie zachwycona. Wzruszam ramionami.
- Nie zastanawiałam się nad tym.
- Nasza tajemnicza Gemma - mruczy Felicity, przyglądając mi się trochę zbyt badawczo, bym mogła czuć się swobodnie. - Dowiemy się, co przed nami ukrywasz. Pippa dołącza do niej.
- Może szaloną ciotkę na strychu.
- Albo seksualnie zdeprawowanego nikczemnika, który żeruje na młodych dziewczętach. - Felicity zabawnie porusza brwiami. Pippa piszczy, udając przerażenie, ale ten pomysł wyraźnie ją podnieca.
- Zapomniałaś o garbusie - dodaje, śmiejąc się nieszczerze. Pogłębia dystans między nami, podsuwając im fałszywy trop.
- Seksualnie zdeprawowany garbus! - kwiczy Pippa. Zdecydowanie doszła już do siebie. Wszystkie wybuchamy śmiechem. Las powieła naszą radość echem. Przestraszyłyśmy młodsze dziewczynki po drugiej stronie jeziora. W sztywnych białych fartuszkach wyglądają jak stadko zagubionych nurów umieszczonych w niewłaściwym krajobrazie. Spoglądają na nas, mrużąc oczy. po czym odwracają głowy i podejmują przerwana rozmowę.
Wrześniowe niebo wygląda niepewnie. W jednej chwili szare i groźne, a za moment łaciate i niosące obietnicę błękitu. Felicity opiera głowę o porośniętą trawą pagórek. Włosy rozsypują się wokół jej bladej twarzy niczym mandala.
- Myślicie, że dzisiejszy wieczorek spirytystyczny u lady Wellstone będzie zabawny?
- Mój ojciec twierdzi, że spirytyzm to szarlataneria - odzywa się Pippa. Bosą stopą lekko kołysze łódką. - A co to właściwie jest?
- To wiara, że duchy mogą do nas przemawiać z zaświatów poprzez media takie jak madame Romanoff - wyjaśnia Felicity.
Obie siadamy prosto, gdyż przychodzi nam do głowy ta sama myśl.
- Sądzicie, że... - zaczyna ona.
- ...że może się dla nas skontaktować z Sarą lub Mary? kończę ja. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?
- Genialne! - Lecz po chwili twarz Pippy się chmurzy. - Ale jak ją o to poprosimy?
Oczywiście, ma rację. Madame Romanoff nigdy nie zwróci uwagi na gromadkę uczennic. Mamy mniej więcej takie szanse na skomunikowanie się ze zmarłymi jak na zasiadanie w parlamencie.
- Ja ją poproszę, jeśli pomożecie mi się do niej zbliżyć - mówię. - Zostawcie to wszystko mnie - rozkazuje Felicity, szczerząc zęby.
- Obawiam się, że jeśli zdamy się na ciebie, to wpadniemy w niezłe tarapaty - chichocze Pippa. Felicity zrywa się, szybka niczym zając. Zręcznymi palcami odwiązuje łódź i wypycha ją na jezioro. Pippa gramoli się, próbując złapać linę, ale jest już za późno. Odpływa, przecinając powierzchnię wody.
- Przyciągnij mnie z powrotem!
- To nie było zbyt mile z twojej strony - zwracam się do Felicity
- Musi znać swoje miejsce - wyjaśnia w odpowiedzi. Ale rzuca za przyjaciółką wiosło, które niestety upada za blisko i podskakuje na wodzie.
- Pomóż mi ściągnąć ją z powrotem - proszę. Młodsze dziewczynki wstały i przyglądają się nam z rozbawieniem. Cieszy je oglądanie naszego niegrzecznego zachowania. Felicity opada na trawę i sznuruje but. Wzdycham i wołam do Pippy:
- Sięgniesz po wiosło?!

Wyciąga ramię ponad burtą, ale wiosło znajduje się poza jej zasięgiem. Nie może jej się to udać, lecz uparcie próbuje. Łódka przechyla się niebezpiecznie. Z krzykiem i pluskiem Pippa wpada do wody. Felicity oraz młodsze dziewczynki wybuchają śmiechem. Ale mnie przypomina się krótka wizja, którą miałam tuż przed jej atakiem. Pamiętam mrozący krew w żyłach plusk i zdławiony krzyk Pippy gdzieś spod ciemnej wody. - Pippa! - wołam, wbiegając do lodowatego jeziora. Wyczuwam dłoń jej nogę. Chwytam ją i ciągnę z całej siły. - Trzymaj się! - pluje wodą, kierując się w stronę brzegu i obejmując ją ramieniem w pasie. Próbuje ze mną walczyć. - Gemmo, co ty robisz? Puść mnie! - Wrywa mi się. Woda sięga jej tylko do ramion. - Mogę iść sama, dziękuję ci - mówi z rozdrażnieniem, próbując zignorować chichoty i palce wskazujące na nią z drugiego brzegu. Czuję się śmiesznie. Wyraźnie pamiętam, jak Pippa walczyła pod wodą w mojej wizji. Przypuszczam, że mogłam być w takiej panice, iż nie zapamiętałam wszystkiego dokładnie. W każdym razie nic się nie stało, jesteśmy zdrowe i bezpieczne, tylko przemoczone. I jedynie to się liczy.

- Uduśzę cię, Felicity - mruczy Pippa, starając się utrzymać równowagę w wodzie. Obejmuję ją

ramionami, ciesząc się, że nic jej nie jest, i niemalże znowu wciągam ją pod wodę. - Co ty wyprawiasz? - piszczysz, opędzając się od moich rąk, jakbym była pajakiem. - Przepraszam - mówię. - Przepraszam.

- Otaczają mnie same wariatki - narzeka, wpełzając na trawę.

A gdzie się znów podziała Felicity?

Brzeg jest pusty. Wydaje się, że dziewczyna rozpułyła się w powietrzu. Ale wtedy zauważam ją, jak znika w lesie, ustrojona w koronę ze stokrotek. Odchodzi spokojnie i wdzięcznie, nawet nie zaglądając się za siebie, by sprawdzić, czy nic nam nie jest.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Duży, ręcznie wypisany afisz przed elegancką kamienicą przy Grosvenor Square głosi:

WIECZÓR TEOZOFII I SPIRYTYZMU Z MADAME ROMANOFF.

WIELKĄ WIZIONERKĄ Z ST. PETERSBURGA.

JEJ WSZYSTKO JEST WIADOME

JEJ WSZYSTKO JEST OBJAWIONE

TYLKO JEDEN SEANS

Ulice Londynu wyglądają jak dzieło impresjonisty przedstawiające śliski bruk, pomarańczowo świecące latarnie, zadbane

żywoploty i kiście czarnych parasoli. Rąbek mojej sukni nasiąka woda z kałuż i robi się ciężki. Pospiesznie kierujemy się w stronę otwartych drzwi,

ostrożnie stąpając po kocich łbach w delikatnych wieczorowych bucikach.

Publiczność pokazuje się od najlepszej strony. Mężczyźni wystroili się w smokingi i cylindry, a kobiety w klejnoty i długie rękawiczki.

My wszystkie założyłyśmy swoje najlepsze suknie. Dziwnie i przyjemnie jest nosić jedwabie i halki zamiast zwykłych szkolnych mundurków. Cecily wykorzystała okazję, żeby zaprezentować

nowy kapelusz. Jest dla niej o wiele za dorosły i sprawia, że bardzo rzuca się w oczy, ale stanowi ostatni krzyk mody, więc nie było szans, żeby z niego zrezygnowała. Mademoiselle LeFarge

ma na sobie najlepszą niedzielną suknię z zielonego jedwabiu

z wysokim, plisowanym kołnierzykiem, zielony jedwabny Czepek oraz długie kolczyki z granatami.

Wszystkie okazujemy jej zachwyty.

- Wygląda pani po prostu doskonale - mówi Pippa, gdy wchodzimy do imponującego, wyłożonego marmurami foyer, mijając usłużnych kamerdynerów.

- Dziękuję, moja droga. Należy dokładać starań, żeby zawsze wyglądać jak najlepiej.

Cecily stroszy piórka, pewna, że to komplement pod jej adresem. Przechodzimy między ciężkimi kotarami do audytorium, które z łatwością mogłoby pomieścić dwieście osób. Pippa wykręca szyję, dokonując przeglądu publiczności.

- Widzicie tu jakichś atrakcyjnych mężczyzn? Kogokolwiek poniżej czterdziestki?

- No doprawdy - karci ją Felicity - zainteresowałaś się życiem pozagrobowym tylko w nadziei na znalezienie tam męża.

Pippa wydyma wargi.

- Mademoiselle LeFarge podchodzi do sprawy poważnie, a nie zauważyłam, żebyś z niej kpiła! Felicity przewraca oczami.

- Mademoiselle LeFarge zabrała nas ze Spence do jednego najmodniejszych londyńskich domów. Jeśli o mnie chodzi, może sobie szukać kontaktu nawet z Henrykiem VIII. Nie zapominajmy o naszej misji.

Mademoiselle LeFarge sadowi się na wyłożonym czerwonymi poduchami fotelu, a my siadamy po kolei obok niej. Publiczność zaczyna zajmować miejsca. Przed nami znajduje się scena, a na niej stół i dwa krzesła. Na stole stoi kryształowa kula.

- Kryształowa kula pozwala jej nawiązać kontakt ze światem zmarłych - szeptem wyjaśnia mademoiselle LeFarge, czytając program.

Dzientelmen za nami słyszy jej słowa i skinieniem głowy kłania się mademoiselle.

- Zmuszony jestem powiedzieć, szanowna pani, że to wszystko oszustwo. Magiczne sztuczki.

- Och, nie, sir, myli się pan - wtrąca się Martha. - Mademoiselle LeFarge widziała madame Romanoff w transie.

- Naprawdę? - pyta Pippa, szeroko otwierając oczy.

- Słyszałam o jej darze od kuzynki, która jest bardzo zaprzyjaźniona z dobrą znajomą szwagierki lady Dorchester - przyznaje mademoiselle. - To naprawdę wspaniałe medium.

Dzientelmen uśmiecha się. Uśmiech ma miły i ciepły, tak jak mademoiselle LeFarge. Szkoda, że ona jest

już zaręczona, ponieważ podoba mi się ten sympatyczny pan i mam wrażenie, że byłby z niego cudowny mąż.

-Obawiam się, szanowna pani... szanowna mademoiselle - poprawia się - że została pani oszukana. Spirytyzm jest taką samą nauką jak złodziejstwo. Gdyż tym właśnie jest - bardzo zręczni kanciarze wyciągają pieniądze od osób pogrążonych w żałobie, gotowych oddać wiele choćby za cień nadziei. Niekiedy ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć.

Serce mam mocno ściśnięte w piersi. Czy to możliwe, że widuję mamę, że miewam wizje tylko dlatego, że tego chcę lub potrzebuję? Czy rozpacz może być aż tak silna? Ale przecież mam ten skrawek materiału. Mogę jedynie mieć nadzieję, że dowiem się czegoś więcej przed końcem wieczoru.

Mademoiselle LeFarge zaciska usta w cienką linię.

- Myli się pan, sir.

- Zdenerwowałam panią. Proszę o wybaczenie. Inspektor Kent ze Scotland Yardu. - Podaje jej tłoczoną kartę wizytową, której ona nie chce przyjąć. Mężczyzna spokojnie wkłada ją z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Z pewnością przyszła pani nawiązać kontakt z kochaną osobą? Z bratem lub drogim kuzynem świętej pamięci? - Zarzuca sieci, ale mademoiselle nie widzi, że frapuje go coś więcej niż tylko jej zainteresowanie okultyzmem.

- Przyszłam tu, ponieważ ciekawi mnie ta nauka, a także żeby towarzyszyć moim podopiecznym w roli przywoitki. A teraz, jeśli pan wybaczy, chyba seans już się zaczyna.

Wzdłuż ścian pokoju szybko przechodzi kilku mężczyzn, przyciemniając lampy gazowe do mglistej poświaty. Panowie są ubrani w czarne koszule z wysokimi kołnierzami i przepasani w talii szarfami o głębokiej czerwonej barwie. Na scenę wkracza przystojna kobieta w długiej, powiewnej szacie w kolorze leśnej zieleni. Oczy ma obwiedzione czarnym cieniem, a na głowie turban z pojedynczym pawim piórem. Madame Romanoff. Zamyka oczy i przesuwając dłoń nad publicznością, jakby chciała nas wyczuć. Gdy dociera do lewej strony wielkiej sali, otwiera oczy i skupia wzrok na mocno zbudowanym mężczyźnie w drugim rzędzie.

- Pan, sir. Duchy chcą się z panem skontaktować. Proszę podejść i zająć miejsce obok mnie - mówi z silnym rosyjskim akcentem.

Mężczyzna wykonuje polecenie i siada przy stole. Madame Romanoff zagląda w kryształową kulę, po czym robi się bezwładna. W tym stanie rozpoczyna wróżbę dla mężczyzny.

- Mam dla ciebie wiadomość z drugiej strony...

Człowiek na scenie, podekscytowany i spocony, pochyla się naprzód.

- Tak! Słucham. Czy to od mojej siostry? Halo, to ty, Dora? Głos madame Romanoff robi się wysoki i słodki jak u dziewczynki.

- Johnny, czy to ty?

Mężczyźnie wyrывa się z ust okrzyk bólu i radości.

- Tak, tak, to ja, moja kochana, najdroższa siostrzyczko!

- Johnny, nie wolno ci płakać. Jestem tu bardzo szczęśliwa i mam mnóstwo zabawek.

Przyglądamy się temu z szeroko otwartymi ustami. Na scenie mężczyzna i jego mała siostrzyczka przeżywają ponowne spotkanie

nie, pełne łez i zapewnień o wiecznej miłości. Ledwie mogą usiedzieć na miejscu. Chcę, żeby to się już skończyło i żebym ja też mogła zająć miejsce obok medium.

Inspektor za naszymi plecami pochyla się i mówi: - Doskonale przedstawienie. Ten mężczyzna jest oczywiście jej pomocnikiem. - Jak to? - pyta Ann. - Umieszczają go wśród widzów, więc wydaje się uczciwym poszukiwaczem prawdy, częścią publiczności. Ale on bierze udział w tej grze.

- Pan wybaczy, sir. - Mademoiselle LeFarge wachluje się programem.

Inspektor Kent skłania głowę i z powrotem sadowi się na swoim krześle. Nic nie mogę na to poradzić, że go lubię, z tymi jego szerokimi dłońmi i ciężkimi wąsami. Chciałabym, żeby mademoiselle dała mu szansę. Ale ona, tak jak należy, jest lojalna wobec swego tajemniczego Reginalda - chociaż ani razu nic widziałymy. aby narzeczony ją odwiedził.

Madame Romanoff wypija szklankę wody i zaprasza na scenę po kolei jeszcze kilka osób. Czasami zadaje pytania, które wydają się bardzo ogólne, ale pogrążeni w żałobie widzowie zawsze chętnie opowiadają jej swoją historię. Wydaje się nieomal, że ich naprowadza i sprawia, że sami udzielają odpowiedzi. Lecz nigdy wcześniej nie widziałam medium w akcji, więc nie jestem pewna.

Felicity pochyla się w moją stronę i szepcze mi do ucha:

- Jesteś gotowa?

Mój żołądek fika koziołka.

- Chyba tak.

Mademoiselle LeFarge ucisza nas. Elizabeth i Cecily przyglądają nam się podejrzliwie. Madame Romanoff na scenie prosi, aby zgłosił się ostatni ochotnik. Felicity błyskawicznie zrywa się z miejsca, ciągnąc mnie za ramię.

- Och, błagam, madame - mówi, jakby znajdowała się na granicy łoża, a tymczasem usilnie stara się nic wybuchnąć śmiechem. - Moja przyjaciółka jest zbyt nieśmiała, by prosić panią o przysługę. Czy mogłaby pani pomóc dziewczynie skontaktować się z jej świętej pamięci ukochaną mamą, panią Sarą Rees-Toome?

Rozlega się szmer głosów i westchnień. Zapiera mi dech w piersi.

- To nie było konieczne - syczę po chwili.

- Chcesz chyba być wiarygodna, nie? Poza tym możesz na tym coś zyskać.

- Dziewczęta, proszę natychmiast siadać! - Mademoiselle ciągnie mocno za moją spódnicę, próbując usadzić mnie na miejscu

Ale nic z tego. Apel Felicity poruszył odpowiednią strunę w duszy madame Romanoff. Dwaj pomocnicy już znajdują się przy mnie i prowadzą mnie przejściem między krzesłami. Nie wiem, czy zabić Felicity, czy jej dziękować. Może rzeczywiście jest to sposób, żeby skontaktować się z mamą. Dłonie mi się pocą na myśl, że zaledwie za kilka minut być może będę znowu z nią rozmawiała - choć będę musiała robić to poprzez medium i ducha Sary Rees-Toome. Gdy wchodzę na niewielką scenę, słyszę szelest programów, owadzi szmer szeptów zmieszany z westchnieniami rozczarowanych petentów, którym szansę na kontakt ze zmarłymi odebrała rudowłosa dziewczyna o zielonych oczach błyszczących nadzieją.

Madame Romanoff wskazuje mi krzesło. Na stoliku leży otwarty zegarek kieszonkowy pokazujący godzinę dziewięć czterdzieści osiem. Madame sięga przez stół i ujmuje moją rękę w swoje dłonie.

- Drogie dziecko, z pewnością wiele wycierpiałaś. Musimy wszyscy pomóc tej młodej damie odnaleźć ukochaną mamę. Zamknijmy oczy i skoncentrujmy się dla dobra tego biedactwa. Jak brzmi nazwisko drogiej zmarłej?

Virginia Doyle. Virginia Doyle. Gardło mam wyschnięte na wiór i ściśnięte, gdy mówię:

- Sara Rees-Toome.

Madame Romanoff przesuwa palcami nad szklaną kulą i nadaje głosowi niższe brzmienie.

- Wzywam ducha Sary Rees-Toome, ukochanej matki. Jest tu ktoś, kto pragnie się z tobą skontaktować, ktoś, kto potrzebuje

twojej obecności. Przez chwilę niemalże spodziewam się, że Sara każe mi się odzepić, zostawić ją w spokoju i przestać udawać, że ją znam. Ale przede wszystkim mam nadzieję, że za chwilę usłyszę głos mamy, śmiejącej się z mojego kłamstwa, wybaczącej mi wszystko, nawet to małe oszustwo.

Po drugiej stronie stołu głęboki pomruk madame Romanoff staje się słodki niczym pieśń kościelna.

- Kochanie, czy to ty? Och, tak bardzo za tobą tęsknię.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że wstrzymywałam oddech w nadziei na szansę, w oczekiwaniu na cud. Serce łomocze mi szaleńczo w piersi, nie mogę się powstrzymać i wołam do niej:

- Mamo! To ty?

- Tak, maleńka, to ja, twoja kochająca mama.

Wśród publiczności rozlegają się chlipnięcia. Moja mama nigdy nie powiedziałaaby czegoś tak ckiego. Rzucam kłamstwo, żeby sprawdzić, czy do mnie wróci.

- Manio, czy bardzo tęsknisz za naszym domem w Surrey? Za krzewami róż z tyłu przy małym kupidynie?

Błagam, żeby powiedziała: „Coś ci się pomieszało, kochana Gemmo”. Albo coś innego. Cokolwiek. Byłoby nie to...

- Och, widzę go nawet teraz, moja mila. Zieleń Surrey. Róże w naszym cudownym ogrodzie. Ale nie możesz za mną za bardzo tęsknić, dziecino. Znow się zobaczymy pewnego dnia.

Tłum pochlipuje i wzdycha, rozrzuwiony całą sceną, gdy tymczasem kłamstwo kwasem przeżera mi wnętrze. Madame Romanoff to tylko aktorka. Udaje, że jest moją matką, osobą o nazwisku Sara Rees-Toome, mieszkającą w domku z kupidynem w ogrodzie, a moja mama to Virginia Doyle, kobieta, która nigdy nie postawiła nogi w Surrey. Chciałabym pokazać madame Romanoff posmak tego, jak to naprawdę jest po drugiej stronie, tam gdzie duchy bynajmniej nie są szczęśliwe na widok gości. Nie zdaję sobie sprawy z tego, że z całej siły ściskam madame za rękę, gdy pojawia się nagły rozbłysk światła, jakby świat się otworzył, i znow wpadam do tunelu, a gniew mocno ciągnie mnie w dół.

Ale tym razem nie jestem sama.

Jakimś cudem zdołałam zabrać ze sobą madame Romanoff. tak jak przedtem Pippę. Nie mam zielonego

pojęcia, jak to się stało. ale jest tu, nie da się zaprzeczyć, i wrzeszczy wniebogłosy.

- Szlag by to! Gdzie ja jestem? - Madame Romanoff rzeczywiście jest rodowitą Rosjanką, prosto ze wschodniego Londynu. - Ktoś ty, u licha, jest?

Nie mogę jej odpowiedzieć. Odjęło mi głos. Znajdujemy się w ciemnym, mglistym lesie - rozpoznaję go z moich snów. To musi być ten sam mglisty las, o którym pisała Mary Dowd. Udało mi się.

Jestem w międzyświecie. I jest on równie realny jak rozhisteryzowana złodziejka obok mnie.

- Co jest, no co? - Chwyta mnie mocno za rękaw. Wśród drzew coś się porusza. Mgła podpełza bliżej. Zaczynają wychodzić jeden po drugim, aż zbiera się ich około dwudziestu.

Są martwi, mają puste oczy, blade usta i lśniąca skórę mocna naciągniętą na kościach. Kobieta w łachmanach trzyma przy piersi dziecko. Ocieka wodą, a z jej włosów zwisają strąki śliskich zielonych roślin. Dwaj mężczyźni kuśtykają do przodu z wyciągniętymi ramionami. Widzę zaokrąglony kawałek kości tam, gdzie ich ręce zostały odrąbane. Zbliżają się, a z ich ust wydobywa się ten sam ohydny pomruk.

Przyszłaś. Przyszłaś do nas.

Madame Romanoff piszczy i chyba usiłuje się wdrapać po moim boku.

- Co tu się dzieje, do jasnej anielki? Słodki Jezu, zabierz mnie stąd. Proszę! Nigdy już nikogo nie ocwanię, na grób mamuni przysięgam, nigdy!

- Stać - mówię, wyciągając dłoń. Ku mojemu zaskoczeniu to działa. - Które z was to Sara Rees-Toome? Żaden z duchów się nie zgłasza.

- Jest wśród was ktoś o tym nazwisku? Cisza.

- Powiedz, żeby sobie poszli - prosi madame Romanoff. Podnosi z ziemi konar i macha nim dziko przed sobą, pokwikuując ze strachu.

Nagle zauważam ją wśród drzew. Błękitny jedwab jej sukni. Słyszę jej ciepły, bursztynowy śmiech. Znajdź mnie. jeśli potrafisz, kochanie. Chwytam madame Romanoff za ramiona.

- Jak się pani nazywa? Jak się pani naprawdę nazywa?

- Sally - odpowiada, zachrypnięta ze strachu. - Sally Carny.

- Sally, niech mnie pani uważnie posłucha. Muszę panią na chwilę zostawić, ale zaraz wrócę. Nic się pani nie stanie.

- Nie! Nie zostawisz mnie tu z nimi, ty mała zdziro! Wydrapię ci te paskudne zielone ślipia, jak tylko wrócimy! Popamiętasz mnie!

Krzyczy nadal, ale ja już biegnę między drzewami - błękitna nadzieją

miga tuż przede mną, ale zawsze poza zasięgiem - aż docieram do ruin świątyni. Na ołtarzu otoczonym przez palące się świece siedzi Budda ze skrzyżowanymi nogami. Panuje tu spokój. Nie słychać żadnych dźwięków poza gruchaniem ptaków. Nie istnieje strach. Przesuwam dłoń przez pomarańczowoniebieskie płomienie świec, ale nie czuję gorąca ani bólu. Przez otwarte drzwi napływa słodka woń lili. Chciałabym zobaczyć te kwiaty mojego dzieciństwa. mojej mamy i Indii, i nagle są wszędzie. Pomieszczenie jest pełne kwitnących białych kwiatów. Sprawiałam, że to się stało tylko siłą swoich myśli. Jest tak pięknie, że mogłabym tu zostać na zawsze.

- Mamo? - Głos mam cichy i pełen nadziei. W sali robi się jaśniej. Nie widzę jej, ale słyszę.

- Gemmo...

- Mamo, gdzie jesteś?

- Nie mogę się tu pokazywać ani zostać zbyt długo. Te lasy mogą być niebezpieczne. Szpiedzy są wszędzie.

Nie wiem, o czym ona mówi. Nadal nie mogę uwierzyć, że tu jestem. I że ona tu jest.

- Mamo, co się ze mną dzieje?

- Gemmo, masz wielką moc, moja kochana.

Jej głos odbija się echem we wnętrzu świątyni. Moja kochana. kochana, kochana... Czuję ucisk w gardle.

- Nie rozumiem tego. Nie potrafisz nad tym zapanować.

- To przyjdzie z czasem. Ale musisz używać swojej mocy, pracować nad nią, inaczej zaniknie, a wtedy nie da się jej już odzyskać.

Czeka cię wielka przyszłość, Gemmo, jeśli się na nią zdecydujesz.

Pojawia się małpka kataryniarza. Siedzi na zaokrąglonym ramieniu Buddy, obracając głowę to w jedną stronę, to w drugą, i obserwując mnie.

- Są ludzie, którzy nie chcą, żebym używała tego, co mam. Otrzymałam ostrzeżenie.

Głos mamy jest spokojny, pełen zrozumienia.

- Rakshana. Boją się ciebie. Boją się tego, co mogłoby się stać, gdyby ci się nie udało, a jeszcze bardziej boją się władzy, którą posiadasz, jeśli ci się uda.

- Co mi się uda?

- Przywrócenie magii międzyświata. Jesteś ogniwem łączącym go z Zakonem. Jego magia żyje w tobie, moja kochana. Jesteś znakiem, na który czekał tyle lat. Ale istnieje też niebezpieczeństwo.

Ona również pożąda twojej mocy i nie przestanie szukać, dopóki cię nie znajdzie.

- Kto?

- Kirke.

Kirke. Kirke. Kirke.

- Kim ona jest? Gdzie mogę ją znaleźć?

- Wszystko we właściwym czasie, Gemmo. Na razie jest zbyt potężna, byś mogła stawić jej czoło.

-Ale... - Przeszkadzają mi łzy. - Ona cię zamordowała.

- Nie angażuj się w zemstę. Gemmo. Kirke wybrała swoją ścieżkę, ty musisz wybrać swoją.

- Skąd to wszystko wiesz?

Płatki lilii zaczynają się marszczyć. Brązowieją i zwijają się pod spód. a liście opadają na kamienną podłogę.

- Nasz czas dobiega końca. Nie jest tu już bezpiecznie dla ciebie. Wracaj teraz.

- Nie, jeszcze nie!

- Musisz się skoncentrować na miejscu, które zostawiłaś. Gdy pojawią się drzwi ze światła, przejdź przez nie.

- A kiedy będę mogła z tobą znów porozmawiać?

- Znajdziesz mnie w ogrodzie. Tam jest bezpiecznie.

- Ale jak...

- Zdecyduj się, a drzwi cię tam zaprowadzą. Muszę ruszać.

— Poczekaj... Nie idź!

Lecz jej głos przechodzi w lodową strugę szeptów, która rozplywa się w powietrzu.

Ruszaj. Ruszaj. Ruszaj.

Światło robi się tak jasne, że mnie oślepia. Muszę zakryć oczy ramieniem. Kiedy znów je otwieram, siedzę w opustoszałych ruinach świątyni, a klepisko pokrywają zwiędłe kwiaty. Odeszła.

#

Gdy wracam do miejsca, w którym zostawiłam Sally Carny, pomiędzy drzewami wisi gęsta mgła. Ledwie co widzę, ale nie z powodu mgły.

To przez łzy. Najbardziej na świecie pragnę zostać z moją mamą w tej świątyni pachnącej liliami. Na ścieżce przede mną majaczy ciemna postać i przez chwilę, pomna ostrzeżenia mamy, że ktoś na mnie poluje, czuję wyłącznie przerażenie płynące w moich żyłach.

Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach zastępuje mi drogę. Ma na sobie wojskowy mundur gwardzisty Jej Królewskiej Mości - nie jest oficerem, lecz zwykłym piechurkiem. Zbliży się do mnie nieśmiało, trzymając czapkę w dłoniach. Jego twarz, która wydaje mi się znajoma, ma w sobie coś chłopięcego. Gdyby nie nieziemski blad, mógłby być sąsiadem z drugiej strony ulicy albo ukochanym z rodzinnej fotografii.

- Bardzo przepraszam, ale czy to panienka towarzyszy dziś wieczór mojej Polly?

— Polly? - dziwię się. Rozmawiam z duchem, więc można mi wybaczyć odstępstwo od dobrych manier.

Pewna jestem, że gdzieś już go wcześniej widziałam.

- Na pewno się nie mylę. Chodzi o pannę Polly LeFarge. Mężczyzna w mundurze. Nieobecny uśmiech.

Wyblakły ferrotyp na schludnym biurku. Reginald, najdroższy narzeczony mademoiselle LeFarge, umarł i został pogrzebany, przetrwało tylko wspomnienie, z którym ona nie może się rozstać.

- Ma pan na myśli mademoiselle LeFarge? Moją nauczycielkę? - pytam cicho.

- Tak, panienko. Polly często mówiła o uczeniu, ale obiecałam jej, że zarobię ładną sumkę w wojsku, a wtedy wrócę do domu

i zadbam o nią jak należy, będzie ślub w kościele i mały domek w Dover. Ona kocha morze, ta moja Polly.

-Ale nie wrócił pan do domu - mówię. Jest to bardziej pytanie niż stwierdzenie, jakbym nadal miała nadzieję, że może pewnego dnia wejdzie do klasy.

- Influenca - wyjaśnia Reginald. Spuszcza wzrok na czapkę i obraca ją w dłoniach jak kolo fortuny na

wiejskim festynie. - Czy może panienka przekazać Polly wiadomość ode mnie? Może jej panienka powiedzieć, że Reggie zawsze będzie ją kochał? I że nadal mam ten szalik, który dla mnie zrobiła na drutach na Boże

Narodzenie, zanim odszedłem? Świetnie mi służył, naprawdę. -Uśmiecha się do mnie i choć widzę niebieski odcień jego warg, jest

to dobry uśmiech, szczery. - Zrobi to panienka dla mnie?

- Tak, zrobię - szepczę.

- Bardzo jestem zobowiązany za panienki pomoc. A teraz myślę, że panienka powinna wracać. Będą tu szukali, jeśli panienka

zostanie dłużej. - Wkłada czapkę na głowę i odchodzi w mgłę, z której przyszedł.

#

Wracam do madame Romanoff, skądinąd znanej jako Sally Carny, która drżącym głosem wyśpiewuje stare kościelne hymny. Umarli już

odeszli, ale ona nadal dzierży konar drzewa, jakby od tego zależało jej życie. Zauważa mnie i niemalże wskakuje mi na ręce.

- Proszę, zabierz mnie stąd!

- Dlaczego miałabym panią zabrać, skoro tak wstrętne oszukuje pani ludzi pogrążonych w żałobie po bliskich?

- Nikogo nie chciałam ukrzywdzić, paniusiu! Przysięgam! Nie można mieć do dziewczyny żalu. że chce sobie zarobić na życie.

Nie można, rzeczywiście. Gdyby nie robiła tego w ten sposób, wylądowałaby na ulicy i musiałaby sobie radzić w sposób znacznie ohydniejszy i bardziej plugawy.

- Dobrze, zabiorę panią z powrotem. Ale pod dwoma warunkami.

- Zgadzą się. Co panienka zechce.

- Po pierwsze, nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach. a obejmuje to także stan upojenia alkoholowego w towarzystwie, nie opowie pani nikomu o tym, co się tu dzisiaj stało. Bo inaczej... -

Urywam, ponieważ nie za bardzo wiem, czym mogę jej zagrozić. ale to nie ma żadnego znaczenia. Sally przykłada rękę do serca.

- Bóg mi świadkiem. Ani mru-mru!

- Trzymam panią za słowo. A jeśli chodzi o drugi warunek... -Myślę o sympatycznej twarzy mademoiselle.

- Przekaze pani wiadomość ze świata duchów pewnej osobie z publiczności o imieniu Polly. Ma pani powiedzieć, że Reggie bardzo kocha swoją Polly i że nadal ma ten szalik, który zrobiła mu na Boże

Narodzenie. Następny fragment dodaję od siebie. - I że chce, żeby nie rezygnowała z życia i była szczęśliwa. Zapamiętała pani?

Ręka znów spoczywa na sercu.

- Co do słowa. - Sally obejmuje mnie za ramiona. - Panienko...

A nie przyłączyłaby się panienka do mnie i do moich chłopców? Z panienki darem i moją smykalką do interesów zbiłybyśmy fortunę. Niech panienka się zastanowi. Tylko o to proszę.

- Dobrze, zostaje pani tutaj.

- Ja nic nie mówiłam! - piszczy Sally, a ja mam pewność, że wystraszyłam ją na tyle, by trzymała buzię na kłódkę. A teraz wracamy. Mama kazała mi pomyśleć o miejscu, które zostawiłam.

Jednak nigdy wcześniej tego nie robiłam i nie jestem pewna, czy sobie poradzę. Może się jeszcze okazać, że utknęłyśmy wraz z Sally w tych mglistych lasach na zawsze.

- Potrafi panienka nas zabrać z powrotem, prawda?

Mroczny sekret

- Oczywiście, że potrafię - odpowiadam z irytacją. Dobry Boże, proszę, niech to zadziała. Z ręką Sally w swojej dłoni z całej siły

koncentruję się na audytorium. Nic się nie dzieje. Otwieram jedno oko i widzę, że nadal znajduję się w lesie, a obok mnie stoi Sally w stanie absolutnej paniki.

- Święta Matko Boża! Nie potrafi panienka, co? Słodki Jezu, ratuj mnie!

- Czy może pani być cicho?

Znów zaczyna śpiewać stare hymny. Nad moją górną wargą zbierają się kropelki potu. Zamykam oczy i myślę wyłącznie o sali

wykładowej. Mój oddech staje się głośniejszy i wolniejszy. Czuję, jak coś mnie ciągnie. Zarys lasu rozmywa się we mgle, mgła zwiija się w wielką dziurę światła i znów znajdujemy się na scenie w audytorium. Udało się! Tykanie kieszonkowego zegarka stanowi muzykę dla moich uszu, zwłaszcza że

wskazuje on godzinę dziewiątą czterdzieści dziewięć. Cała nasza wyprawa do świata puchów trwała zaledwie minutę, choć wydaje się, że w tym krótkim czasie twarz Sally Carny postarzała się o dziesięć lat. Ja też się zmieniłam.

Madame Romanoff wróciła i mówi roztrzęsionym głosem.

- Otrzymałam właśnie wiadomość z innej części świata duchów dla osoby o imieniu Polly. Reggie chce jej powiedzieć, że kocha ją całym sercem... - Jej głos zamiera.

- Szalik - podpowiadam przez zaciśnięte zęby.

- Że nadal ma szalik z Bożego Narodzenia i że chce, aby Polly

żyła szczęśliwie bez niego. To wszystko. - Wydaje wysoki, zawodzący dźwięk i bezwładnie opada na krzesło. Kilka sekund później „budzi się”. - Duchy przemówiły, a ja muszę zregenerować siły. Dziękuję wszystkim za przyście dziś wieczór i przypominam, że znów będę się kontaktowała ze zmarłymi w Covent Garden w przyszłym miesiącu. - Gdy publiczność zaczyna bić brawo, Sally Carny alias madame Romanoff zrywa się z miejsca i znika za

kulisami, gdzie zaskoczeni pomagierzy czekają na wyjaśnienia dotyczące zmian w dzisiejszym programie.

#

- Wiedziałam, że coś szykujecie! - szepcze Cecily, biorąc mnie pod ramię. - Czy było niesamowicie?

Elizabeth zarzuca mnie pytaniami:

- Widziałas, jak duchy wchodzą do ciała madame Romanoff? Czy jej ręce zrobiły się lodowato zimne?

Słyszałam, że może się tak zdarzyć.

Nagle jestem najpopularniejszą dziewczyną w Spence.

- Nie. Nie widziałam żadnych duchów. Ręce miała ciepłe i o wiele za wilgotne. I jestem też prawie pewna, że nosi sztuczną biżuterię - odpowiadam, idąc szybko, żeby jak najbardziej zwiększyć dystans między mną a panną LeFarge.

Elizabeth dąsa się.

- Więc co mam napisać mamie o dzisiejszych wydarzeniach?

- Poradź jej, żeby przestała wyrzucać pieniądze na takie bzdury.

- Gemmo Doyle, jesteś absolutnie potworna - stwierdza Cecily. - To prawda - zgadzam się, kończąc swoje jednonminutowe

rzędy w roli królowej Spence.

#

- Ale lipa - podsumowuje Felicity, gdy dołączam do gromadki zmierzającej do wyjścia z sali wykładowej. - Uwierzyła, że twoja

mama nazywała się Sara. A potem zamiast prawdziwej Sary Rees-Toome pojawił się jakiś rozkochany Reggie szukający swojej Polly.

- Co się dzieje z mademoiselle LeFarge? Myślałam, że natychmiast zagrozi nam czterdziestoma naganami za złe zachowanie - szepcze Pippa.

- Prawdopodobnie czeka, aż wrócimy do domu - sugeruje Ann, która wygląda na przerażoną. - Na pewno powie pani Nightwing, co zrobiliśmy, i nie będziemy mogły pójść na podwieczorek taneczny w przyszłym miesiącu.

Na to dictum nawet Felicity błędnie, a ja jestem pewna, że skończę w dybach albo w czymś podobnym.

Mademoiselle idzie

powoli kilka kroków za nami. Nie wydaje się jakaś wyjątkowo ponura. Delikatnie osusza oczy chusteczką i uśmiecha się do inspektora

Kenta, który proponuje, że odprowadzi nas do powozu.

- Myślę, że wszystko dobrze się ułoży - mówię.

#

Na ulicy kłębi się gęsty tłum, który chce się dostać do swoich powozów, za bardzo nie moknąc. Zostaję oddzielona od moich towarzyszek, gdy para starszych ludzi wciska się przede mnie,

a potem nagle niemalże się zatrzymuje. Nie mogę ich obejść i tylko bezradnie obserwuję, jak jasnowłosa głowa Felicity oddala się coraz bardziej.

- Mogę pomóc, panienko? - rozlega się znajomy głos, a znajoma ręka wpycha mnie do ciasnego zaułka obok okazałego domostwa.

- Co ty tu robisz? - pytam Kartika.

- Obserwuję cię - odpowiada. - Zechcesz mi powiedzieć, co miał oznaczać dzisiejszy wyczyn?

- To była tylko zabawa. Takie dziewczynskie figle. Ktoś wykrzykuje moje imię na ulicy.

- Szukają mnie - mówię w nadziei, że mnie puści. Mocniej ściska mój nadgarstek.

- Coś się stało dziś wieczorem. Czuję to. Zaczynam wyjaśniać:
- To był przypadek...
- Nie wierzę w to! - Kartik mocno kopie leżący na ziemi kamień, wyrzucając go w powietrze.
- Nie jest tak, jak myślisz - zapewniam szybko, próbując się obronić. - Mogę to wyjaśnić...
- Żadnych wyjaśnień! My wydajemy rozkazy, a ty masz się do nich stosować. Żadnych więcej wizji, rozumiałaś? - Uśmiecha się pogardliwie. Czeka, aż zacznę się trząść i zgadzać na jego warunki. Ale coś się dzisiaj we mnie zmieniło. I nie mogę się cofnąć. Gryzę go w rękę, a on krzyczy, puszczając mój nadgarstek.
- Nie waż się nigdy więcej tak do mnie mówić! - oświadczam. - Nie zamierzam dłużej być zastraszoną, bezwolną dziewczynką Kim jesteś, obcy człowieku, żeby mi mówić, co mogę, a czego nie mogę robić?
- Jestem Rakshana - odwarkuje. Śmieję się.
- Ach, tak: wielcy i tajemniczy Rakshana. Mocarne bractwo, które czuje się zagrożone ze strony tego, czego nie potrafi zrozumieć, i które musi się chować za chłopcem. - Reaguje tak, jakbym go opluła. - Nie jesteś mężczyzną, Jesteś ich lokajem. Nie obchodzisz mnie ani ty, ani twój brat, ani wasza śmieszna organizacja Od dziś będę robiła dokładnie to, na co mam ochotę, a wy nie możecie mnie powstrzymać. Nie chodź za mną. Nie obserwuj mnie Nawet nie próbuj się ze mną skontaktować, albo naprawdę pożałujesz. Zrozumiałaś?
Kartik stoi, pocierając zranioną dłoń. Jest zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Po raz pierwszy całkowicie milknie. I tak go zostawiam.

#

Mademoiselle LeFarge w ogóle nas nie karci. Przez całą drogę powrotną siedzi w milczeniu z zamkniętymi oczami i smutnym uśmiechem na ustach. Ale w palcach trzyma kartę wizytową inspektora. Kołysanie powozu i długi wieczór sprawiają, że dziewczęta zapadają w półsen. Wszystkie prócz mnie.

Pali mnie ogień tego, co dziś widziałam. Wszystko, co Mary Dowd napisała w swoim pamiętniku, jest prawdą. Międzyświat jest prawdziwy i moja mama przebywa w nim, czekając na mnie. Ostrzeżenia Karlika nic teraz nie znaczą. Nie wiem, co znajdę po drugiej stronie tych drzwi ze światła, i prawdę mówiąc, trochę się tego boję.

Jedno tylko wiem z całkowitą pewnością - nie mogę dłużej ignorować swojej mocy. Nadszedł czas. Kładę dłoń na ramieniu Felicity i delikatnie nią potrząsam.

- Co... Co się dzieje? Dojechaliśmy? - pyta, przecierając oczy. - Nie, jeszcze nie - szepczę. - Muszę zwołać spotkanie Zakonu.

- Fantastycznie - odpowiada sennie, znów zamykając oczy. - A zatem do jutra.

- Nie, sprawa jest pilna. Dzisiaj, musimy się spotkać dzisiaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nie powinnam używać swojej mocy, nie powinnam świadomie wywoływać wizji. Międzyświat był zamknięty od dwudziestu lat, od kiedy to coś przydarzyło się Sarze i Mary. Ale jeśli nie podążę tą ścieżką, nigdy więcej nie zobaczę mamy. Nie dowiem się niczego. Gdzieś głęboko w środku, gdzie intencje przeradzają się w decyzje, wiem już, że jestem gotowa wkroczyć na tę niepewną drogę.

Takie właśnie myśli kłębią mi się w głowie, gdy siedzę wraz z innymi w ciemnej jaskini. Jest lekko i wilgotno. Nocny deszcz nie zdołał schłodzić powietrza, a raczej sprawił, że upał stał się jeszcze bardziej męczący i nieznośny.

Felicity czyta kolejny fragment pamiętnika Mary, lecz niewiele do mnie dociera. Dzisiejszego wieczora mój sekret wyjdzie na jaw i cała jestem napięta w oczekiwaniu na tę chwilę.

Felicity zamyka dziennik.

- No dobrze, więc o co chodzi?

- Właśnie - ponuro odzywa się Pippa. - Dlaczego to nie mogło poczekać do jutra?

- Bo nie mogło - odpowiadam. Moje nerwy aż skrzypią. Każdy dźwięk wydaje mi się wielokrotnie głośniejszy. - A gdybym wam powiedziała, że Zakon istniał naprawdę? Że międzyświat istnieje naprawdę? - Biorę głęboki oddech. — I że wiem, jak się tam dostać?

Pippa przewraca oczami.

- Wyciągnęłaś mnie z łóżka w taką okropną błotnistą noc dla żartu?

Ann parska i kiwa głową do Pippy, okazując solidarność ze swoją nową najlepszą przyjaciółką. Felicity spogląda mi w oczy. Rozumie, że coś się zmieniło.

- Nie wydaję mi się, aby Gemma żartowała - mówi cicho.

- Mam pewien sekret - odzywam się w końcu - I muszę wam go wyjawić.

#

- Nie ukrywam niczego - morderstwa mamy, poprzednich wizji, tego, co się wydarzyło, gdy trzymałam Sally Carnyza rękę i wylądowałyśmy w mglistym lesie, i głosu mojej mamy w świątyni. Nie wspominam jedynie o Kartiku. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby i tym się podzielić. Kiedy kończę, patrzą na mnie. jakbym oszalała. Albo była cudem natury. Nie wiem jeszcze. I rozumiem teraz, że prawda rzuca własny czar, lecz nie mam pojęcia, jak go podtrzymać, choć próbuję ze wszystkich sił.

- Musisz nas tam zabrać - mówi Felicity.

- Nie mam pewności, co tam zastaniemy. Niczego już nie jestem pewna - odpowiadam.

Felicity wyciąga rękę.

- Chętnie zaryzykuję.

U samego dołu ściany dostrzegam symbol, którego nie zauważyłam wcześniej. Jest częściowo zamazany, ale nadal jeszcze go widać.

Kobieta i łabędź. Na pierwszy rzut oka wygląda jakby wielki biały ptak ją

ale przyjrawszy się dokładniej, zauważam, że kobieta i łabędź stanowią jedno. Wspaniały mityczny stwór. Kobieta gotowa do lotu, choć musiała zrezygnować z nóg. Chwytam wyciągniętą dłoń Felicity. Jej palce mocno splatają się z moimi.

- Ruszamy - mówię.

#

Zapalamy świece, umieszczamy je w środku naszego kręgu i siadamy wokół nich, trzymając się za ręce.

- Co robimy teraz? - pyta Felicity. Świece rzucają na Ścianę jej cień, wysoki i smukły jak iglica.

- Udało mi się nad tym zapanować tylko raz, dzisiaj, kiedy wracałam - ostrzegam je. Nie chcę ich rozczarować. A jeśli nie uda mi się tego znowu zrobić i pomyślą, że wszystko sobie wymyśliłam?

Pippę pierwszą ogarnia lęk.

- Jak dla mnie to brzmi trochę podejrzenie. Może nie powinniśmy próbować? - Nikt jej nie odpowiada. -

Zgadzasz się ze mną, Ann?

Przygotowuję się na to, że Ann dołączy do Pippy, ale ona nie mówi ani słowa.

- A zatem w porządku. Ale jeśli się okaże, że to jakieś wyszukane oszustwo, przypomnę wam, że o tym mówiłam i w ogóle nie będę wam współczuć.

- Nie zwracaj na nią uwagi - prosi mnie Felicity. Nie potrafię nie zwracać na nią uwagi. Czuję te same obawy.

- Mama powiedziała, że powinnam się skoncentrować na obrazie drzwi... - mówię, próbując zapanować nad wątpliwościami

- Jakich drzwi? - chce wiedzieć Ann. - Czerwonych, drewnianych, dużych, małych...?

Pippa wzdycha.

- Lepiej opisz jej dokładnie te drzwi, bo nie będzie mogła się skupić. Wiesz, że musi znać zasady, zanim się w cokolwiek zaangażuje.

- Drzwi ze światła - odpowiadam. Ann jest usatysfakcjonowana. Biorę głęboki wdech. - Zamknijcie oczy.

Czy powinnam powiedzieć coś, żeby się tam dostać? Do tej pory wślizgiwałam się, upadałam, byłam wciągana w ten tunel. Ale tym razem jest inaczej. Jak powinnam zacząć? Zamiast szukać właściwych słów, zamykam oczy i pozwalam, by słowa znalazły mnie.

- Decyduję się.

W kątach jaskini narastają szepty, które przeradza się w pomruk. W następnej sekundzie świat ucieka mi spod nóg. Felicity mocniej chwyta mnie za rękę. Pippa zachłystuje się. Są przestraszone.

Wzdłuż moich ramion sływa mrowienie, łącząc mnie z nimi. Mogłabym teraz przestać. Posłuchać Karlika i wycofać się. Ale ten pomruk mnie przyciąga i po prostu muszę się dowiedzieć, co jest po drugiej stronie, niezależnie od wszystkiego. Brzęczenie milknie i przeradza się w dreszcz, który przepływa przez moje ciało niczym melodia, a kiedy otwieram oczy, widzę zarys wspaniałych drzwi ze światła, połyskujących i zapraszających, jakby cały czas tylko czekały aż je znajdę. Na twarzy Ann odbija się lęk. - A niech to...

- Widzicie je? - pyta ze zdumieniem Pippa. Felicity usiłuje otworzyć drzwi, lecz jej ręka prześlizguje się przez nie. Wyglądają jak projekcja w pokazie latarni magicznej i żadna z moich przyjaciółek nie może ich otworzyć. - Gemmo ty spróbuj - poleca mi Felicity. W mocnym blasku padającym od drzwi moja ręka wydaje się knależeć do kogoś innego - wygląda niczym objawiona na chwilę kończyzna anioła. Gałka

wyduje się solidna i ciepła. Coś migocze na powierzchni drzwi. Jakiś zarys. Kształt robi się coraz wyraźniejszy i widzę już znajome linie księżycowego oka. Mój amulet lśni tak jak rysunek na drzwiach, wydaje się, jakby się wzajemnie przyzywały. Nagle gałka gładko obraca się pod moimi palcami. - Udało ci się - słyszę głos Ann. - Tak to prawda, udało mi się - uśmiecham się mimo lęku. Drzwi otwierają się i wkraczamy do świata przesyconego tak żywymi kolorami, że oczy boją od patrzenia. Gdy trochę się przyzwyczajam, wchłaniam widok niewielkimi porcjami. Są tam drzewa okryte zielonozłotymi i pomarańczowoczerwonymi liśćmi. Niebo jest kobaltowobłękitne, a horyzont skąpany w pomarańczowej poświacie przypominającej nigdy nieblaknący zachód słońca. Małeńkie lawendowe kwiatki unoszą się w powietrzu, niesione ciepłą bryzą, która przyjemnie pachnie moim dzieciństwem - liliami, tytoniem ojca i curry z kuchni Sarity. Gruba wstęga rzeki przecina krajobraz, oddzielając skąpany w rosie trawnik od skarpy po drugiej stronie.

Pippa dotyka palcem liścia. Liść zwija się, rozmywa, po czym ponownie formuje w kształt motyla i odlatuje w stronę nieba.

- Och, jakie to wszystko piękne!

- Niesamowite! - zachwyca się Ann.

Kwiaty spadają jak deszcz, po czym rozplývają się nam na głowach niczym wielkie płatki śniegu, nadając naszym włosom blask. Całe iskrzymy.

Felicity wiruje w kółko, ogarnięta radością.

- To jest prawdziwe! jest prawdziwe! - Zatrzymuje się. - Czujecie ten zapach?

- Tak - mówię, wciągając kojącą mieszalinę aromatów z dzieciństwa.

- Gorące bułeczki, Jedliśmy je co niedzielę. I morskie powietrze. Tak pachniały mundury mojego taty, kiedy wracał z podróży. Kiedy wracał do domu. - W jej oczach błyszczą łzy.

Pippa jest zdziwiona.

- Nie, mylisz się, to bez. Pachnie jak gałązki, które przynosiłam z ogrodu do pokoju.

W powietrzu rozchodzi się zapach wody różanej.

- Co to? - pyta Pippa.

Słyszę fragment piosenki. To jedna z kołysanek mojej mamy, która dobiega z położonej poniżej doliny.

Dostrzegam srebrny łuk i ścieżkę prowadzącą w bujną zieleń.

- Poczekaj, dokąd się wybierasz?! - woła za mną Pippa.

- Niedługo wrócę - odpowiadam, idąc coraz szybszym krokiem. aż w końcu rzucam się biegiem za głosem mamy. Mijam łuk i przemykam między wysokimi żywopłotami urozmaiconymi drzewami, które przypominają otwarte parasole. Na samym środku ogrodu dostrzegam mamę w błękitnej sukni, nieruchomą i uśmiechniętą. Czeka na mnie.

Głos mi się załamuje.

- Mamo?

Wyciąga ręce, a ja boję się, że znowu zacznę gonić za ułudą. Ale tym razem rzeczywiście otacza mnie ramionami. Czuję zapach różanej wody na jej skórze.

Z powodu łez wszystko mi się rozmazuje przed oczami.

- Och, mamo, to ty! To naprawdę ty.

- Tak, kochanie.

- Dlaczego tak długo przede mną uciekałaś?

- Ja tu byłam przez cały czas, to ty uciekałaś. Nie rozumiem, co ma na myśli, ale to bez znaczenia. Tak wiele

chciałabym jej powiedzieć. O tak wiele spytać.

- Mamo, przepraszam.

- Ciii - odpowiada, gładząc mnie po włosach. - To wszystko przeszłość. Chodź, przejdziemy się kawałek. Zmierzamy do płytkiej groty, mijając po drodze krąg wysokich kryształów, delikatnych jak szkło. Podbiega do nas truchtem sarna.

Zatrzymuje się, aby powąchać jagody, które mama trzyma w dłoni. Skubie je, spoglądając na mnie brązowymi oczami. Potem niewzruszona idzie powoli przez wysoką, gęstą lrawę i układa się pod drzewem o szerokim, powykrzywianym pniu. Ciśnie mi się na usta tyle pytań, że nie wiem, od czego zacząć.

- Czym dokładnie jest międzyświat? - pytam. Trawa wygląda tak zachęcająco, że kładę się na boku, podpierając głowę dłonią.

- Światem między światami. Miejscem, w którym wszystko jest możliwe. - Mama siada i bawi się

dmuchawcem. Po chwili dmucha w niego, wzbijając w powietrze zamieć białego puchu. - Tutaj członkinie Zakonu przychodziły rozmyślać, wzmacniać swoją magię i siebie same, przechodzić przez ogień i odradzać się. Każdy tu bywa od czasu do czasu, na przykład we śnie, gdy rodzą się nowe idee. - Milknie. - I po śmierci.

Moje serce zamiera.

-Ale ty nie jesteś... - Martwa. Nie mogę się zmusić do wypowiedzenia tego słowa. - Ty tu jesteś.

- Na razie.

- Skąd to wszystko wiesz?

Odwraca ode mnie wzrok i gładzi sarnę po nosie długimi spokojnymi ruchami.

- Początkowo nic nie wiedziałam, ale kiedy miałaś pięć lat, przyszła do mnie kobieta z Zakonu. O wszystkim mi powiedziała. Że jesteś wyjątkowa, że jesteś obiecaną dziewczynką, która może przywrócić magię międzyświata i władzę Zakonu. - Milknie.

- O co chodzi?

- Powiedziała mi też, że Kirke nigdy nie przestanie cię szukać, bo chce, aby władza należała wyłącznie do niej. Bałam się, Gemmo. Chciałam cię chronić.

- To dlatego nie zamierzałaś mnie zabrać do Londynu? -Tak.

Magia. Zakon. Ja jako obiecanie dziecko. Mój umysł nie może tego wszystkiego pomieścić. Z wysiłkiem przełykam ślinę.

- Mamo. co się stało tamtego dnia w sklepie? Czym było to... coś?

- To był jeden ze szpiegów Kirke. Jej tropiciel. Jej zabójca. Nie potrafię na nią spojrzeć. Składam źdźbło trawy w harmonijkę.

-Ale dlaczego ty...

- Dlaczego odebrałam sobie życie? - Unoszę wzrok i widzę, że przygląda mi się przenikliwie. - Żeby mnie nie mógł pochłonąć, Gdyby wziął mnie żywcem, przepadłabym. Też stałabym się mrocznym stworem.

- A co z Amarem? Mama mocno zaciska usta.

- Był moim strażnikiem i oddał za mnie życie. Nie mogłam zrobić nic. żeby go uratować.

Drżę na myśl o tym, w co mógł się przemienić brat Kartika.

- Ale nie martwmy się tym teraz, dobrze? - mówi mama, odsuwając z mojej twarzy luźne pasma włosów. - Powiem ci to, co mogę. Jeśli chodzi o resztę, będziesz musiała poszukać pozostałych. żeby odbudować Zakon.

Siadam prosto.

- Są jakieś pozostałe?

-O, tak. Kiedy międzyświat został zamknięty, wszystkie się ukryły. Niektóre zapomniały już, co wiedziały. Inne odwróciły się,

od tego. Ale pozostałe są nadal wierne i czekają na dzień, kiedy międzyświat się otworzy, a magia znów będzie należała do nich. Falujące źdźbła traw łaskoczą mnie w czubki palców. Wszystko wydaje się takie nierealne - niebo o zachodzie słońca, deszcz kwiatów, ciepła bryza i moja mama, tak bliska, że mogę jej dotknąć. Zamykam oczy, a po chwili otwieram je znowu. Mama nadal tu jest.

- O co chodzi? - pyta mnie.

- Boję się, że to wszystko nieprawda. Ale to jest prawda? Mama odwraca twarz w stronę horyzontu.

Poświata zmiękcza

ostre linie jej profilu, tak że jej twarz kojarzy mi się z wytartymi krawędziami kartek ukochanej książki.

- Prawda to stan umysłu. Dla bankiera pieniądze w księdze głównej są bardzo prawdziwe, choć w rzeczywistości nie może ich

zobaczyć ani dotknąć. Ale dla bramina one po prostu nie istnieją w sensie takim, jak istnieje powietrze i ziemia, ból i poczucie straty. Dla niego rzecz

zywistość bankiera to szaleństwo. A dla bankiera idee bramina są równie błahe jak kurz. Kręcę głową.

- Pogubiłam się.

- Czy tobie to się wydaje prawdziwe?

Wiatr zwiewa pasma włosów na moje usta, płacząc je, a pod koszulą czuję wilgotną rosę z trawy.

- Tak - odpowiadam.

- I o to chodzi.

- Skoro każdy tu przybywa od czasu do czasu, to dlaczego nikt o tym nie mówi?

Mama zbiera ze spódnicy puszki dmuchawca, które ulatują w górę. lśniąc w słońcu jak pokruszone klejnoty.

-Nie przypominają sobie tego, wydaje im się, że są to fragmenty snu, których nie mogą zebrać w całość, choćby nie wiem, jak się starali. Tylko kobiety z Zakonu potrafią przejść przez te drzwi. A teraz również ty.

- Przyprowaździłam swoje przyjaciółki. Oczy mamy otwierają się szeroko.

- Potrafiłaś samodzielnie je tu przyprowaździć?

- Tak - odpowiadam niepewnie. Boję się, że zrobiłam coś złego, ale mama obdarza mnie powolnym, pełnym zachwytu uśmiechem.

- To znaczy, że twoja moc przewyższa nawet nadzieje Zakonu.

- Nagle marszczy brwi. - Ufasz im?

- Tak - odpowiadam. Z jakiegoś powodu jej wątpliwości budzą moją irytację i sprawiają, że znów czuję się jak małe dziecko. - Oczywiście, że im ufam. Są moimi przyjaciółkami.

- Sara i Mary też były przyjaciółkami. 1 dopuściły się zdrady. Gdzieś daleko słyszę radosne okrzyki Felicity, a po niej Ann Wołają mnie.

- Co się stało z Sarą i Mary? Widuję różne duchy, dlaczego więc nie mogę się z nimi skontaktować? Gąsienica wpełza na moje palce. Podskakuję ze strachu. Mama delikatnie bierze liszkę w dłoń, a ona staje się rudzikiem o rubinowej piersi, śmiesznie podskakującym na cienkich nóżkach.

- Ich już nie ma.

- Co to znaczy? Co się z nimi stało?

- Nie marnujemy czasu na rozmowy o przeszłości - odpowiada z lekceważeniem i uśmiecha się do mnie. - Chcę na ciebie popatrzeć. Mój Boże, stajesz się prawdziwą damą.

- Uczę się tańczyć walca. Nie idzie mi zbyt dobrze, ale staram się, i myślę, że opanuję tę sztukę w wystarczającym stopniu przed naszym pierwszym podwieczorkiem tanecznym. - Chcę jej wszystka opowiedzieć. Słowa wprost wylewają się ze mnie. Mama słucha mnie z taką uwagą, że pragnę, aby ten dzień nigdy się nie skończył.

Na trawie leży kiść jeżyn, soczystych i kuszących. Zanim udaje mi się podnieść jedną do ust, mama wyjmuje mi ją z palców.

- Nie wolno ci tego jeść, Gemmo. One nie są dla żywych. - Mama zauważa zdumienie w moich oczach. - Jeśli ktoś zje tutejszej jagody, stanie się częścią tego świata. Nie będzie mógł już wrócić

Odrzuca je, a one lądują przed pyskiem sarny, która pochłania je łapczywie. Mama zerka na małą dziewczynkę - tę z moich wizji - stojącą za drzewem.

- Kto to jest? - pytam.

- Moja pomocnica - odpowiada.

- Jak ma na imię?

- Nie wiem. - Mocno zaciska powieki, jakby walczyła z bólem.

- Mamo, co ci jest?

Otwiera oczy, ale wydaje się bardzo blada.

- Nic takiego, jestem trochę zmęczona natłokiem emocji. Czas już, byś wracała.

Wstaję z ziemi.

- Ale muszę się dowiedzieć jeszcze tylu rzeczy. Mama też się unosi i obejmuje mnie ramionami.

- Na dzisiaj twój czas dobiegł końca, kochanie. Moc tego ogrodu jest bardzo silna. Należy ją przyjmować w niewielkich dawkach. Nawet członkinie Zakonu przychodziły tu tylko wtedy, gdy tego potrzebowały. Pamiętaj, że twoje miejsce jest w tamtym świecie.

Czuję piekący ból w gardle.

- Nie chcę cię opuszczać. Delikatnie muska palcami moje policzki, a ja nie mogę powstrzymać łez. Całuje mnie w czoło i pochyla się, by spojrzeć mi prosto w oczy.

- Ja cię nigdy nie opuszczę, Gemmo.

Odwraca się i wchodzi na wzgórze, trzymając dziecko za rękę. Idą w stronę zachodu, aż rozpływają się w nim i zostajemy tylko ja, sarna i zapach róż na wietrze.

#

Odnajduję przyjaciółki, które dowodzą jak szczęśliwi szaleńcy.

- Patrzcie na to! - wola Felicity. Dmucha delikatnie na drzewo, i jego kora z brązowej robi się niebieska, potem czerwona i znów brązowa.

- Zobaczcie! - Ann nabiera w dłonie wody z rzeki, a ona zamienia się w złoty pył. - Widziałyście?

Pippa wyciągnęła się w hamaku.

- Obudźcie mnie, gdy będzie czas wracać. Albo namyśliłam się, nie budźcie mnie. Ten sen jest zbyt piękny. - Wyciąga ramiona nad głową, a nogę opuszcza z boku hamaka, moszcząc się wygodnie w swoim kokonie.

A ja jestem odmieniona i wyczerpana. Chcę znaleźć się w swoim pokoju i spać przez sto lat, a jednocześnie pragnę

pobiec z powrotem do doliny i zostać z mamą na zawsze.

Felicity obejmuje mnie ramieniem.

- Po prostu musimy tu wrócić jutro. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby ta świnia Cecily mogła nas teraz zobaczyć? Pożałowałaaby, że nie chciała się przyłączyć.

Pippa opuszcza ramię, żeby podnieść garść jagód.

- Nie! - krzyczę, wytrącając jej owoce z dłoni.

- Dlaczego?

- Jeśli je zjesz, będziesz musiała tu zostać na zawsze.

- Nic dziwnego, że wyglądają tak kusząco - zauważa. Wyciągam rękę. Pippa niechętnie przesypuje resztę owoców do

mojej dłoni, a ja wrzucam je do rzeki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Przez cały dzień snujemy się sennie z idiotycznymi uśmiechami. Reszta dziewcząt przemyka między nami po korytarzach jak pokrzywy

niesione wiatrem przez trawnik. Suniemy wśród nich od klasy do klasy, zachowując pozory zaangażowania, ale tak naprawdę niczego nie przyswajając. Przypominamy sobie o obietnicy z poprzedniej nocy ukradkowymi spojrzeniami i zdawkowymi uwagami wypowiedzianymi szyfrem, który wprawia w osłupienie nauczycieli, a na naszych twarzach wywołuje uśmiech. Doskonale się rozumiemy. Mamy wspólny sekret.

Nie sekret straszny, jak ten, który mnie wiąże z rodziną i z Kartikiem,

ale sekret rozkosznie zakazany, który nas jednoczy. Wydaje mi się, że w naszych żyłach nie krąży krew, lecz czyste oczekiwanie. Robimy wszystko, co możemy, żeby przetrwać ten dzień i doczekać nocy, kiedy znów otworzymy drzwi ze światła i wejdziemy do międzyświata.

Jesteśmy jednością. Nie dopuścimy żadnych obcych, żadnych intruzów do naszego przeżycia.

Podczas lekcji muzyki pan Grunewald przez całą godzinę monotonicznie rozwodzi się nad zaletami jakiejś opery. Elizabeth, Cecily i Martha słuchają jak grzeczne dziewczynki, którymi zresztą są, robiąc staranne notatki, w równym rytmie unosząc i opuszczając głowy. Słuchaj, pisz, słuchaj, pisz.

My nie notujemy ani słowa. Przebywamy gdzie indziej, w krainie, w której możemy być. kim tylko zechcemy. Pan Grunewald wzywa Cecily do pianina, żeby zagrała utwór, który przygotowuje na Dzień Wizyt. Dziewczyna prezentuje starannego, poprawnego menueta.

- Ach, dobrze, panno Tempie. Bardzo dokładnie. - Pan Grunewald jest zadowolony, ale my znamy teraz brzmienie prawdziwej muzyki i trudno nam wzbudzić w sobie zainteresowanie czymś zaledwie ładnym. Po lekcji Cecily udaje, że poszło jej fatalnie.

- Och, po prostu to położyłam, prawda? Powiedzcie prawdę. Martha oraz Elizabeth protestują i twierdzą, że była genialna. - A ty jak sądzisz, Fee? - Widać wyraźnie, że łaknie pochwały z ust Felicity.

- Zagrałaś bardzo ładnie. - Felicity nie mówi nic więcej.

- Tylko ładnie? - Cecily zmusza się do śmiechu, który ma brzmień beztriosko. - Rety, w takim razie musiałam grać rzeczywiście paskudnie.

- To był śliczny walc - odpowiada Felicity, która nie bardzo rozumie, o co chodzi, gdyż koncentruje się głównie na tym, aby stale się nie uśmiechać z rozmarzeniem. Muszę odwrócić wzrok, bo czuję, że moje usta też składają się w głupi uśmiech.

- To nie był walc, lecz menuet - koryguje ją Cecily, wyraźnie nadąsana.

Elizabeth przygląda się nam, jakby nas nie poznawała.

- Dlaczego patrzysz na nas jak na jakieś okazy? - pyta Pippa.

- Nie bardzo wiem. Jest w was coś innego. Wymieniamy szybkie spojrzenia.

- Coś się w was zmieniło, prawda? No, dziewczyny, jeśli macie jakiś sekret, to lepiej się nim podzielcie.

- To ci dopiero atrakcyjna propozycja! - parska Felicity. Przez okno na korytarzu wpada światło, w którego smugach tańczy kurz.

- Pippo, kochana, ty mi powiesz, prawda? - Elizabeth obejmuje

ją ramieniem, ale Pippa uwalnia się z uścisku.

Cecily jest zupełnie zbита z tropu.

- Dawna Pip i Fee nie miałyby przed nami tajemnic. -Ale ich już nie ma. - Felicity uśmiecha się promiennie. - Są

martwe i pogrzebane. A my jesteśmy nowymi dziewczynami w nowym świecie.

I z tymi słowami mijamy je. pozostawiając za sobą w korytarzu, jak ten kurz powoli opadający na podłogę.

#

Panna Moore przygotowała dla nas płótna malarskie. Bawełniana

tkanina jest mocno naciągnięta na ramach, obok w pogotowiu czekają akwarele.

Czyżby szykowały się sielankowe scenki z plaży i kompozycje kwiatowe? Na stole stojącym na środku pokoju zauważam

paterę z owocami. Kolejna martwa natura. Skoro chce martwej natury, to równie dobrze możemy namalować przyszłość, do której Spence przygotowuje nas dzień po dniu. Po panie Moore spodziewałam się czegoś lepszego.

- Martwa natura? - Mój głos ocieka pogardą. Panna Moore stoi przy oknie. Zarys jej sylwetki na tle świetliste

szarości nieba przywodzi na myśl stracha na wróble.

- Czyżbym wyczuwała niezadowolenie, panno Doyle?

- To niezbyt ambitne zadanie.

- Nawet najwspanialszy artyści na świecie uznawali za słuszne od czasu do czasu malować martwą naturę. Tu mnie ma, ale nie poddam się bez walki.

- Jakie wyzwanie może stanowić jabłko?

- Zobaczymy - odpowiada nauczycielka, podając mi kiel. Felicity przegląda zawartość patery. Wybiera jabłko i wgrza się w nie z głośnym chrupnięciem. Panna Moore wyjmując jej owoc z dłoni i odkłada go na miejsce.

- Felicity, proszę nie jeść eksponatów albo następnym razem będę zmuszona użyć woskowych owoców, a ciebie spotka przykra niespodzianka.

- Chyba jednak martwa natura nas nie ominie - wzdycham, zanurzając pędzel w czerwonej farbie.

- Wygląda na to, że wybuchł u nas bunt. Ostatnio nie miałyście nic przeciwko malowaniu.

Felicity prezentuje jeden ze swoich filuternych uśmieszków.

- Nie jesteśmy już takie jak ostatnio. Właściwie zostałyśmy zupełnie odmienione, panno Moore.

Cecily głośno wypuszcza powietrze.

- Proszę z nimi nie dyskutować, panno Moore. Są dziś zupełnie niemożliwe.

- Tak - potwierdza Elizabeth, przybierając niemły ton. - Są nowymi dziewczętami w nowym świecie.

Dobrze mówię, Pippo?

Następuje kolejna wymiana znaczących spojrzeń, która nie uchodzi uwagi panny Moore.

- Czy to prawda, panno Doyle? Odbywa się tu wasza prywatna rewolucja?

Zaskakuje mnie. Zawsze dziwnie się czuję, znalazłszy się pod soczewką mikroskopu panny Moore. Jakby wiedziała, co myślę.

- Tak - odpowiadam w końcu.

- Widzi pani, o co mi chodzi? - irytuje się Cecily. Panna Moore klaszcze w dłonie.

- Oto powiew nowości. Zostałam obalona. Przez tę godzinę płótna należą do was, drogie panie. Róbcie, co chcecie.

Wydajemy entuzjastyczne okrzyki. Pędzel w mojej dłoni nagle wydaje się lżejszy. Jednak Cecily nie jest zadowolona.

- Ale, panno Moore, Dzień Wizyt jest już za dwa tygodnie, a ja nie będę miała żadnego przyzwoitego obrazu do pokazania rodzinie - mówi, wydymając usteczka.

- Cecily ma rację, panno Moore - popiera ją Martha. - Nie obchodzi mnie, czego one chcą. Nie mogę pokazać członkom rodziny prymitywnego szkicu ściany w jakiejś jaskini. Byliby przerażeni.

Panna Moore unosi podbródek i spogląda na nie z góry.

- Nie chciałabym być przyczyną rozpaczki waszych rodzin, panno Tempie i panno Hawthorne. Proszę, patera z owocami jest do waszej dyspozycji. Z pewnością rodzicom spodoba się martwa natura.

Felicity podchodzi do gliny.

- Czy mogę zrobić rzeźbę, panno Moore?

- Jeśli ma pani ochotę, panno Worthington. Na bogów, nie wiem, czy to ja zorganizowałam zajęcia klasie, czy klasa mnie. - Podaje Felicity bryłę gliny do modelowania. - Aby jednak to popołudnie

miało pewne walory edukacyjne - mówi panna Moore, zerkając na Cecily - poczytam wam na głos Davida Copperfiela.

Rozdział pierwszy: „Czy sam zostanę bohaterem niniejszej powieści, czy miejsce to zajmie ktoś inny, następną rozstrzygną stronicę”...

#

Pod koniec tej godziny panna Moore ogląda nasze obrazy, przekazując pochwały, a także sugestie poprawek. Kiedy podchodzi do mojego malowidła - wielkiego, niekształtnego jabłka zajmującego całe płótno - ściąga usta i przygląda się mu przez, wydaje się, bardzo długi czas.

- Bardzo nowoczesne, panno Doyle.

Cecily na widok mojego dzieła wymyka się złośliwy śmieszek.

- To ma być jabłko?

- Oczywiście, że to jabłko - warczy na nią Felicity. - Uważam, że jest fantastyczne, Gem. Bardzo avant-garde.

Nie jestem zadowolona.

- Potrzeba więcej światła od przodu, żeby lśniło. Dodaję bieli i żółceni, ale obraz przez to tylko się rozmazuje.

- Trzeba nałożyć też odrobinę cienia. - Panna Moore zanurza pędzel w sepii i maluje łuk wzdłuż zewnętrznej krawędzi mojego jabłka. Natychmiast błysk na owocu robi się wyraźny i kompozycja od razu wygląda lepiej. - Włosi nazywają to chiaroscuro, co oznacza grę światła i cienia na obrazie.

- Dlaczego Gemma nie mogła po prostu dodać bieli, żeby jabłko lśniło? - pyta Pippa.

- Ponieważ nie zauważamy światła bez odrobiny cienia. We wszystkim jest zarówno światło, jak i cień.

Trzeba eksperymentować, zanim się osiągnie właściwy efekt. - Jak chcesz go zatytułować? - głos Cecily ocieka pogardą. - „Decyzja” - wyrzucam to słowo, zaskakując samą siebie. Panna Moore kiwa głową.

- Owoc poznania. Doprawdy, bardzo interesujące.

- Tak jak jabłko Ewy? Jak w rajskim ogrodzie? - dopytuje się Elizabeth. Pracowicie usiłuje dodać sepiowe cienie do swojego obrazu, ale owoce w efekcie wyglądają na obite i brzydkie. Jednak nie zamierzam jej tego uświadamiać.

- Zapytajmy artystkę. Czy taka była pani intencja, panno Doyle? Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, o co mi chodziło.

Szukam słów, w które mogłabym to ubrać.

- Myślę, że chodzi o każdą decyzję, która prowadzi do tego, aby wiedzieć więcej, widzieć dalej.

Felicity rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie. Cecily kręci głową.

- To nie jest odpowiedni tytuł. Ewa nie zdecydowała się na zjedzenie jabłka, lecz została skuszona przez węża.

- No, tak... - Nie zgadzam się z tym, lecz przemyślenia mam jeszcze nie w pełni ukształtowane. - Ale... Nie musiała gryźć jabłka, taką podjęła decyzję.

- I w ten sposób straciła raj. To nie dla mnie, dziękuję. Ja wołałabym pozostać w ogrodzie - wyznaje Cecily.

- To też jest jakaś decyzja - zauważa panna Moore.

- O wiele bezpieczniejsza - podkreśla Cecily.

- Nie ma bezpiecznych decyzji, panno Tempie. Są tylko różne decyzje.

- Mamusia mówi, że kobiety nie powinny podejmować zbyt wielu decyzji, bo to je przytłacza. - Pippa powtarza te słowa jak dobrze wyuczoną lekcję. - Dlatego powinnyśmy słuchać naszych mężów.

- Każda decyzja niesie za sobą konsekwencje - mówi panna Moore, a wzrok ma nieobecny.

Felicity bierze jabłko z patery i odnajduje ślad po ugryzieniu. Słodki biały miąższ zbrązowiał na powietrzu. Felicity zatapia zęby w owocu i robi nowy, czysty ślad.

- Pyszne - orzeka z ustami pełnymi soku.

Panna Moore, śmiejąc się, wraca do rzeczywistości.

- Widzę, że panna Worthington nie komplikuje spraw zbędnymi rozważaniami. Jest jak jastrząb, który bez wahania spada z nieba na ofiarę.

- Zjedz lub zostań zjedzony! - Felicity odgryza następny kęs. Myślę o Sarze i Mary, o tym, jak potworną decyzję podjęły. Jej

konsekwencje były na tyle potężne, że doprowadziły do zniszczenia Zakonu. A to przypomina mi o decyzji, którą sama podjęłam tego dnia, gdy uciekałam od mamy na targu. Do decyzji, która wszystko wprawiła w ruch.

- A co się dzieje, jeśli nasza decyzja okazuje się błędna? - pytam cicho.

Panna Moore bierze gruszkę z patery, a nam oferuje winogrona do podziału.

Musisz spróbować ją skorygować.

- A jeżeli jest za późno? Jeżeli się już nie da? W kocich oczach panny Moore widać smutek i współczucie, gdy przygląda się znów mojemu obrazowi. Domalowuje cieniuteńka smużkę cienia u dołu jabłka, ożywiając je w pełni.

- Wtedy musisz nauczyć się z nią żyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pogoda po południu jest piękna, więc teren wokół Spence rozkwita dziewczętami - jeżdżącymi na rowerach, odgrywającymi pantomimę, spacerującymi, plotkującymi. Nasza czwórka gra w tenisa na trawniku. Rozgrywamy debła - Felicity i Pippa przeciwko mnie i Ann. Za każdym razem, gdy moja rakietka dotyka piłki,

ogarnia mnie lęk, że kogoś zdekapituje. Mogę spokojnie przyznać, że tenis należy dodać do długiej listy umiejętności, których nie zdołam nigdy opanować. Czysty łut szczęścia sprawia, że udaje mi się odbić piłkę w stronę przeciwniczek. Piłka mija Pippę, która obserwuje jej lot z entuzjazmem kucharki patrzącej, jak woda w garnku zaczyna wrzeć.

Felicity z rozpaczą odrzuca głowę do tyłu.

- Pippa!

- Nie moja wina. To był potworny serw!

- Powinnaś go była odebrać - upiera się Felicity, okręcając raketę w dłoni.

- Piłka znajdowała się poza moim zasięgiem!

- Tak wiele znajduje się teraz w naszym zasięgu - odpowiada zagadkowo Felicity.

Dziewczęta obserwujące naszą grę nie wiedzą, co ma na myśli, ale ja wiem. Za to do Pippy nic nie dociera.

- Ta gra jest nudna i boli mnie ramię - narzeka. Felicity przewraca oczami.

- No dobrze, więc chodźmy na spacer, może być?

Przekazujemy nasze rakietki gorliwej, różowolicej czwórce, po czym bierzemy się pod ręce i wędrujemy wśród wysokich drzew, mijając grupkę młodszych dziewczynek, które bawią się w Robin Hooda. Mają spory problem, ponieważ wszystkie pragną być lady Marion, a żadna braciszkiem Tuckiem.

- Zabierzesz nas znowu do międzyświata dziś w nocy? - pyta Ann, gdy ich głosy zaczynają brzmieć jak niewyraźny szum za naszymi plecami.

- Nie mogłybyście mnie powstrzymać. - Uśmiecham się. - Chcę. byście kogoś poznały.

- Kogo? - pyta Pippa, schylając się, by pozbiierać żołądzie.

- Moją mamę.

Ann szeroko otwiera usta. Pippa podrywa głowę. - Ale czy ona nie... Felicity przerywa jej.

- Pippo, pomóż mi zebrać trochę nawłoci dla pani Nightwing. Powinno ją to wprawić w dobry nastrój.

Pippa posłusznie rusza za nią i wkrótce wszystkie szukamy wrześniowych kwiatów. Docieramy do jeziora, zauważam Kartika, który opiera się o hangar na łodzi ze skrzyżowanymi na piersi

rękami i obserwuje mnie. Jego czarny płaszcz łopocze na wietrze.

Zastanawiam się, czy wie, jaki los spotkał jego brata. Przez chwilę jest mi go żal, ale potem przypominają mi się groźby, drwiny i pogardliwy sposób, w jaki próbował mi rozkazywać, i całe moje współczucie znika.

Stoję nieruchoma, patrząc prowokacyjnie prosto na niego.

Zbliża się do mnie Pippa.

- Dobry Boże, czy to nie ten Cygan, który widział mnie w lesie?

- Nie przypominam sobie - kłamię.

- Mam nadzieję, że nie będzie próbował nas szantażować. - Wątpię - odpowiadam, udając brak zainteresowania. - O, popatrz, dmuchawiec.

- Jest całkiem przystojny, prawda?

- Tak myślisz? - Słowa wymykają mi się, zanim zdążyłam się zastanowić.

- Owszem, jak na poganina. - Nieśmiało unosi głowę. - Mam wrażenie, że mi się przygląda.

Nie przyszło mi do głowy, że Kartik mógłby obserwować Pippę, a nie mnie, i z jakiegoś powodu nie podoba mi się to. Chociaż ten człowiek doprowadza mnie do wściekłości, pragnę, żeby spoglądał tylko na mnie.

- Na co patrzycie? - chce wiedzieć Ann. Ręce ma pełne wiotkich żółtych kwiatów.

- Na chłopaka, tego, który widział mnie w koszuli tamtej nocy. Ann mruży oczy.

- A, to ten. Czy to nie z nim się całowałaś, Gemmo?

- Niemożliwe! - Pippie zapiera dech z przerażenia.

- Możliwe - odpowiada rzeczowym tonem Ann. - Ale tylko po to, żeby uratować nas przed Cyganami.
- Byłyście u Cyganów? Kiedy? Dlaczego mnie nie zabrałyście?
- To długa historia, opowiem ci ją w drodze powrotnej - proponuje Felicity. Pippa narzeka, że ukrywamy przed nią istotne informacje, ale Felicity spogląda najpierw na Kartika, a potem na mnie ze zrozumieniem, które budzi we mnie ochotę, by pobiec i schować się gdzieś głęboko. W końcu obejmuje Pippę za ramiona i opisuje jej nasze przygody w cygańskim obozie, zupełnie oczyszczając mnie z zarzutów, Jestem szlachetną, pełną poświęcenia dziewczyną, która zniosła jego pocałunek tylko po to, by nas uratować. Brzmi to tak przekonująco, że niemal sama zaczynam jej wierzyć.

#

Gdy znów przechodzimy przez drzwi ze światła, ogród czeka, żeby powitać nas słodkimi zapachami i kolorowym niebem. Jestem niespokojna, bo nie wiem, ile czasu będę mogła spędzić z mamą, a jakaś drobna cząstka mnie nie chce dzielić się tym czasem z nikim.

Ale przecież one są moimi przyjaciółkami i może mama ucieszy się, mogąc je poznać.

- Chodźcie za mną - mówię, prowadząc je do groty. Mamy nigdzie nie ma. Widać tylko drzewa i krąg dziwnych kryształów kawałek dalej.

- Gdzie ona jest? - pyta Ann.

- Mamo! - wołam. Nie odpowiada. Słysząc jedynie świergot ptaków. A jeśli jej tu naprawdę nie ma? Jeśli tylko ją sobie wyobraziłam?

Przyjaciółki unikają mojego wzroku. Pippa szepcze coś cicho Felicity do ucha.

- Może ona ci się przyśniła? - łagodnie sugeruje Felicity.

- Była tutaj! Rozmawiałam z nią!

- Ale teraz jej nie ma - stwierdza Ann.

- Chodź z nami - Pippa zwraca się do mnie jak do dziecka. - Jedźcie wesolo, obiecuję.

-Nie!

- Szukacie mnie? - I oto pojawia się mama w błękitnej sukience.

Wygląda ślicznie jak zawsze. Jej widok odbiera mowę moim przyjaciółkom.

- Felicity, Pippo, Ann... przedstawiam wam moją mamę. Virginie Doyle.

Dziewczęta mamrocą pod nosem uprzejme słowa powitania.

- Cieszę się, że mogę was poznać - mówi mama. - Jesteście bardzo piękne. - Te słowa przynoszą zamierzony efekt. Dziewczyny rumienią się, zupełnie oczarowane. - Przejdziecie się ze mną? - Już po chwili zabawiają ją opowieściami o Spence i o sobie, zabiegając o jej uwagę, a mnie robi się smutno, bo chciałabym mieć ją tylko dla siebie.

Ale wtedy mama puszcza do mnie oko, bierze mnie za rękę i znowu jestem szczęśliwa.

- Usiądziemy? Wskazuje na koc utkany z delikatnej srebrnej nici, rozłożony na trawie. Jak na tak lekką tkaninę jest zaskakująco mocny i wygodny. Felicity przesuwa dłonią po delikatnych niciach, które wydają niesamowity dźwięk.

- O raju! - wzdycha zachwycona. - Słyszycie to? Pippo, spróbuj.

Wszystkie próbujemy. Jest tak, jakbyśmy czubkami palców dyrygowały orkiestrą harf, co bardzo nas śmieszy.

- Czy to nie cudowne? Ciekawe, co jeszcze możemy zrobić? - zastanawia się Felicity.

Mama uśmiecha się.

- Wszystko.

- Wszystko? - powtarza Ann.

-W tej krainie możecie mieć wszystko, czego zapagniecie. Musicie tylko wiedzieć, czego chcecie.

Przyjmujemy to do wiadomości, nie całkiem rozumiejąc. W końcu Ann wstaje.

- Spróbuję. - Zastanawia się. - Co powinnam zrobić?

-A czego najbardziej chcesz? Nie, nie mów nam. Po prostu o tym pomyśl, jak o życzeniu.

Ann kiwa głową i zamyka oczy. Mija minuta.

- Nic się nie dzieje - szepcze Felicity. - Mam rację?

- Nie wiem - odpowiada Pippa. - Ann? Ann, dobrze się czujesz? Ann kołysze się w przód i w tył na piętach. Ma rozchylone wargi.

Obawiam się, że wpadła w jakiś trans. Spoglądam na mamę, która ostrzegawczym gestem unosi palec. Usta Ann otwierają się szeroko. Głos, który się z nich wydobywa, nie przypomina żadnej znanej mi muzyki, jest czysty i narasta szybko, niczym pieśń anioła.

Jej śpiew wywołuje gęsią skórę na moich ramionach. Każda nuta zdaje się ją odmieniać. Nadal jest sobą, ale muzyka w jakiś sposób czyni ją boleśnie uroczą. Jej włosy lśnią, a policzki stają się gładkie i

światliste. Przypomina jakąś wodną istotę z głębin - syrenę.

kóra ożyła na błyszczących wodach rzeki.

- Jesteś piękna - mówi zaskoczona Pippa.

- Jestem? - Ann biegnie do rzeki i spogląda na swoje odbicie. - Jestem! - Śmieje się zachwycona. Dziwnie jest słyszeć szczerzy śmiech Ann. Zamyka oczy i pozwala, by muzyka nadal rodziła się, w niej.

- Incroyable! — woła Felicity, popisując się swoją francuszczyzną. - Chcę spróbować!

- Ja też! - krzyczy Pippa.

Zamykają oczy, chwilę medytują, po czym znów je otwierają.

- Nie widzę go - mówi Pippa, rozglądając się wokół.

- Czy czekasz na mnie, pani? - Zza wielkiego złocistego dębu wylania się piękny miodny rycearz. Opada przed nią na jedno kolano.

Pippie zapiera dech ze zdumienia. - Przestraszyłem cię, pani. Proszę o wybaczenie.

Mogłam się tego domyślić - szepcze mi zgryźliwie do ucha Felicity.

Pippa wygląda, jakby właśnie zgarnęła główną wygraną na festynie.

Odpowiada kokieteryjnym tonem:

- Wybaczam. Młodzieniec wstaje. Liczy sobie nie więcej niż osiemnaście lat, ale jest wysoki, ma włosy koloru dojrzałej pszenicy i szerokie ramiona okryte kolczugą tak lekką, że wydaje się niemal płynna.

Przypomina lwa. Silnego, pełnego wdzięku, szlachetnego.

- Gdzie jest twój rycearz, pani? Pippa niemalże połyka własny język, próbując wystawiać się jak opanowana dama.

- Nie mam rycerza.

- Chciałbym zatem dostąpić tego zaszczytu. Wyświadczysz mi, pani, ten honor?

Pippa odwraca się do nas. jej szept graniczy z pełnym ekscytacji piskiem.

- Proszę, powiedzcie, że mi się to nie śni.

- Nie śni ci się - odpowiada szeptem Felicity. - Chyba że śni się nam wszystkim.

Pippa robi wszystko, co w jej mocy, żeby nie kwiczeć ze szczęścia i nie skakać w górę jak dziecko.

- Szlachetny rycezu, czynię ci ten honor. - Stara się być władcza, ale ledwie może powstrzymać chichot.

- Moje życie należy do ciebie. - Kłania jej się i czeka.

- Chyba powinnaś mu coś podarować, jakiś dowód uczucia -podpowiadam.

- Och. - Pippa oblewa się rumieńcem. Zdejmuje rękawiczkę i podaje ją rycearzowi.

- Pani - mówi ten skromnie - jestem twój.

Wyciąga ramię, a Pippa, zerknąwszy na nas, przyjmuje je i pozwala się poprowadzić na łąkę.

- Do ciebie też przybędą rycerze? - pytam Felicity. Kręci głową. - A zatem czego sobie życzyłaś?

Uśmiecha się tajemniczo.

- Czystej mocy.

Mama obrzuca ją chłodnym spojrzeniem.

- Uważaj, o co prosisz.

Tuż obok naszych głów przemyka strzała i wbija się mocno w pień drzewa za nami. Na polanę wchodzi łowczyni. Włosy ma luźno zebrane na głowie, na plecach niesie kołczan pełen strzał, a w dłoniach luk gotowy do strzału. Kołczan stanowi cały jej strój. Jest goluteńka jak nowo narodzone dziecko.

- Mogłaś nas zabić - mówię, wstrzymując oddech i starając się nie gapić na jej nagość.

Wyjmuje strzałę z pnia.

- Ale tego nie zrobiłam. - Spogląda na Felicity, która przygląda się jej, zaintrygowana i nieustraszona. -

Widzę, że nie czujesz lęku.

- Nie - odpowiada Felicity, biorąc od niej strzałę. Przesuwu palcami po grocie. - Jestem tylko zaciekawiona.

- Polujesz?

Felicity oddaje strzałę.

- Nie. Mój ojciec zwykł polować. Mówił, że to sport, który podziwia najbardziej.

- Ale ty mu nie towarzyszyłaś?

Moja przyjaciółka uśmiecha się z goryczą.

- Tylko synowie mogą polować, córki nie. Łowczyni kładzie jej dłoń na ramieniu.

-W tej ręce drzemie wielka siła. Możesz się okazać bardzo zdolną łowczynią. Bardzo potężną. - To słowo wywołuje uśmiech na twarzy Felicity i wiem już, że otrzyma to, na czym jej zależy. = Chcesz się nauczyć?

W odpowiedzi Felicity bierze luk i strzałę.

Wokół konara tego drzewa owinięty jest wąż - mówi łowczyni. Felicity zamyka jedno oko i z całej siły

naciąga cięciwę. Strzała leci prosto w górę, a potem odbija się od ziemi. Policzki Felicity pokrywa rumieniec zawodu. Łowczyni bije brawo.

- Mocny strzał, właściwie już mogłabyś być łowczynią, ale najpierw musisz się nauczyć spokojnie obserwować. Felicity i spokojna obserwacja? Może o tym zapomnieć. Łowczyni czy nie, ma przed sobą trudne zadanie, jeśli chce uczyć Felicity cierpliwości. Ale ku mojemu zaskoczeniu przyjaciółka nie drwi ani się nie kłóci. Odchodzi za łowczynią na bok i spokojnie pozwala jej raz po raz demonstrować właściwą technikę.

- A ty czego sobie zażyczyłaś? - pyta mnie mama, gdy zostajemy tylko we dwie.

- Ja mam to, czego chcę. Jesteś tutaj. Gładzi mnie po policzku.

- Tak. Odrobinę dłużej. Mój dobry nastrój znika.

- Co masz na myśli?

Gemmo, nie mogę tu zostać na zawsze, inaczej znajdę się w pułapce jak te nieszczęśliwe dusze, które nie wypełniły swoich misji. - Jaka jest twoja misja?

- Muszę naprawić to, co zrobiły Mary i Sara wiele lat temu.

- A co one zrobiły? Mamie nie udaje się odpowiedzieć, gdyż nadbiega Pippa, niemalże zwałając mnie z nóg w swoim dzikim entuzjazmie.

-Widziałyście go? Czy to nie najwspanialszy dżentelmen na świecie? Ślubował, że będzie moim rycerzem! Właściwie przysiągł, że odda za mnie życie! Słyszałyście kiedyś coś choćby w połowie tak romantycznego? Rozumiecie to?

-Z ledwością - odpowiada kwaśno Felicity. Właśnie wróciła z polowania, wyczerpana, ale szczęśliwa. - To nie takie łatwe, jak się wydaje, mówię wam. Ramię będzie mnie bolało przez tydzień.

Porusza barkiem, kręcąc maie kółka, i trochę się przy tym krzywi. Ale ja wiem, że ból w ramieniu ją cieszy, że jest wdzięczna, iż zyskała dowód na istnienie własnej ukrytej siły.

Podchodzi do nas Ann, a zazwyczaj cienkie, gładkie włosy rozsypują się lokami na jej ramionach. Nawet wiecznie ciekący nos wydaje się czysty. Ann wskazuje na wysokie, smukłe kryształły ustawione w kręgu za mamą.

- Co to jest?

- To są Runy Wyroczeni, serce tej krainy - wyjaśnia mama. Stają przy jednym z kryształów. - Nie dotykajcie ich! - ostrzega mama.

- Dlaczego? - chce wiedzieć Felicity.

-Musicie najpierw zrozumieć, jak działa magia międzyświata jak nad nią panować, zanim pozwolicie jej w sobie ożyć i użycie jej po drugiej stronie.

- Możemy wziąć taką moc ze sobą do naszego świata? - dopytuje się Ann.

- Tak, ale jeszcze nic teraz. Gdy Zakon się odrodzi, jego członkinie was tego nauczą. Wcześniej to nie jest bezpieczne.

- Dlaczego? - pytam tym razem ja.

-Bardzo dużo czasu upłynęło, od kiedy tutejsza magia była używana. Nie da się przewidzieć, co się stanie. Coś mogłoby się stąd wydostać. Albo tutaj wejść.

- One mruczą - zauważa Felicity.

- Ich energia jest potężna - mówi mama, robiąc kocią kołyskę z włókna złocistej przędzy.

Kiedy przechylam głowę w jedną stronę, kryształły zdają się niemal znikać. Ale kiedy przechylam ją w drugą, widzę jak wznoszą się nad ziemią, bardziej olśniewające niż diamenty.

- Jak to dokładnie działa? - pytam.

Mama zręcznymi palcami układa różne wzory z nici.

- Kiedy dotykasz runów, tak jakby sama stajesz się magią. Ona płynie w twoich żyłach. I wtedy możesz w tamtym świecie robić to, co robisz tutaj.

Felicity przysuwa dłoń do jednego z kamieni. - Dziwne. Przestał mrużyć, kiedy się zbliżyłam. Nie mogę się oprzeć. Wyciągam rękę, nie dotykając go, ale niewiele brakuje. Chwyta mnie podmuch energii.

Gwałtownie mrugam oczami. Potrzeba, aby dotknąć kryształu, jest przemożna. - Gemmo! - woła mama. Szybko cofam dłoń. Mój amulet lśni. - C-co to było?

- Jesteś przewodnikiem - wyjaśnia mama. - Magia przepływa przez ciebie.

Twarz Felicity pochmurnieje, ale chwilę później pojawia się na niej szeroki uśmiech, wywołany przez jakąś niegrzeczną myśl. Dziewczyna opiera się łokciami na trawie.

- Wyobrażacie sobie, gdybyśmy miały tę moc w Spence?

- Mogłybyśmy robić, co byśmy zechciały - odpowiada Ann.

- Miałabym szafę pełną najmodniejszych strojów. I stopy pieniędzy. - Pippa chichocze.

- Byłabym niewidzialna przez jeden dzień - dodaje Felicity. - Ja wręcz przeciwnie - mówi z goryczą Ann,
- A ja ulżyłabym ojcu w cierpieniu. - Zerkam na mamę, która mruży oczy.
- Nie - mówi, rozplątując drabinę Jakuba.
- Dlaczego nie? - Policzki mnie palą.
- Byłybyśmy ostrożne - zapewnia Pippa.
- Tak, bardzo ostrożne - dołącza do nas Felicity, starając się oczarować mamę, jakby uważała ją za jedną z naszych naiwnych nauczycielek.

Mama zgniata przędzę w dłoni. Jej oczy płoną.

- Korzystanie z tej magii to nie zabawa. To ciężka praca. Wymaga wielu przygotowań, nie wystarczy niepohamowana ciekawość nadgorliwych uczennic.

Felicity jest wstrząśnięta. Jeż się cała, słysząc te słowa, którymi mnie beszta przy przyjaciółkach.

- Nie jesteśmy nadgorliwe.

Mama kładzie dłoń na moim ramieniu i uśmiecha się lekko. a mnie ogarnia wstyd, że zachowałam się jak dziecko.

- Kiedy nadejdzie właściwy czas.

Pippa przygląda się uważnie podstawie kryształu.

- Co oznaczają te znaki?

- To starożytny język, starszy niż greka i łacina.

- Ale co tu jest napisane? - chce wiedzieć Ann.

- „Zmieniam świat, świat zmienia mnie”. Pippa kręci głową.

- Co to znaczy?

- Wszystko, co zrobisz, wraca do ciebie. Jeśli wpływasz na sytuację, ona również wpływa na ciebie.

- Pani! - Rycerz pojawia się ponownie, tym razem z lutnią. Po chwili śpiewa już serenadę, wystawiającą urodę i cnotę Pippy.

- Czyż on nie jest doskonały? Chyba umrę ze szczęścia. Chcę tańczyć, chodź ze mną! - Pippa ciągnie za sobą Ann w kierunku szarmanckiego młodzieńca, zupełnie zapominając o runach.

Felicity poprawia strój i rusza za nimi. - Idziesz?

- Dołączę do was za chwilę! - wołam.

Mama znów zajmuje się swoją precyzyjną sznurkową architekturą.

Jej palce poruszają się błyskawicznie, a potem nieruchomieją. Nagle zamyka oczy i wciąga powietrze, jakby przeszył ją ból.

- Mamo, co się dzieje? Nic ci nie jest? Mamo! Otwiera oczy, ciężko oddychając.

- Trzymanie go z dala to wielki wysiłek.

- Kogo?

- Tego stwora. Nadal nas szuka.

Dziewczynka o brudnej buzi wygląda zza drzewa. Patrzy na nas szeroko otwartymi oczami. Twarz mamy łagodnieje, a oddech wraca do normy. Znów jest tą opanowaną kobietą, która krzątała się po naszym domu, wydając rozkazy i w ostatnim momencie zmieniając układ gości przy stole.

- Nie ma się czym martwić. Potrafię oszukiwać tę bestię jeszcze przez jakiś czas.

Felicity wola mnie. - Gemmo, ominie cię cała zabawa! - Dziewczęta wirują wokół siebie, tańcząc do dźwięków lutni i piosenki. Mama zaczyna pleść z przędzy filiżankę ze spodeczkiem. Jej dłonie drżą. -

Może do nich dołączysz? Chciałabym zobaczyć, jak tańczysz. Idź, kochanie. Ociągając się, ruszam w stronę przyjaciółek. Po drodze zauważam dziewczynkę, nadal przyglądającą się mojej mamie przestraszonymi oczami. Jest w tym dziecku coś fascynującego. Coś, co wydaje mi się znajome, ale nie potrafię powiedzieć co to. - Czas na tańce! - Felicity ujmuje moje dłonie i okręca mnie wokół. Mama oklaskuje naszą gige*.

Rycerz uderza w struny coraz szybciej i szybciej, podpuszczając nas. Nabieramy prędkości, nasze włosy unoszą się w powietrzu, i mocniej zaciskamy palce na swoich nadgarstkach.

- Nie puszczaj, choćby nie wiem co! - piszczy Felicity, gdy nasze ciała odchylają się do tyłu wbrew grawitacji. A potem stajemy się tylko rozmazaną plamą koloru.

#

Gdy wracamy do pokojów, niebo nabiera już delikatnego nocnego odcienia. Od świtu dzieli nas zaledwie kilka godzin. Jutro będziemy

musiały za to słono zapłacić. - Twoja mama jest cudowna - mówi Ann, wślizgując się pod kołdrę.

- Dziękuję - odpowiadam szeptem, przeciągając szczotką po włosach. Taniec i będący jego efektem upadek na trawę doprowadził je do stanu kompletnego splątania, bardzo podobnego do chaosu panującego w moich myślach. - Ja w ogóle nie pamiętam mojej mamy. Myślisz, że to straszne?

* Giga - staroangielski taniec o bardzo szybkim tempie i płynnym ruchu (przyp. tłum.)

- Nie - odpowiadam.

Ann prawie już śpi, więc jej głos przypomina cichy pomruk:

- Ciekawe, czy ona pamięta mnie...

Chciałabym odpowiedzieć, ale nie wiem co. I tak nie ma to znaczenia, bo Ann już chrapie. Daję sobie spokój ze szczotkowaniem i również wsuwam się pod koc. Kładąc się, czuję, że coś pode mną szeleści. Macam ręką i wyjmuję wsunięty między pościel liścik.

Muszę podejść do okna, żeby go przeczytać.

Panno Doyle!

Bierze Pani udział w bardzo niebezpiecznej grze. Jeśli Pani natychmiast

nie przesianie, będąc musiał podjąć odpowiednie kroki. Niech się Pani wycofa, póki jest to możliwe.

Jest jeszcze jedno słowo nabazgrane pospiesznie, a potem przekreślone.

Proszę.

Nie podpisał się, ale wiem, że to dzieło Kartika. Drę list na maleńkie kawałeczki, potem otwieram okno i wyrzucam je na wiatr.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Przez trzy dni jest tak samo. Trzymając się za ręce, wkraczamy do prywatnego raj, w którym jesteśmy paniami naszego życia. Pod kuratelą łowczyni Felicity staje się znakomitą łuczniczką, rączą i niepowstrzymaną.

Głos Ann z każdym dniem robi się mocniejszy.

A Pippa przestaje być tą rozkapryszoną księżniczką, którą była tydzień temu. Jest miłsza i mniej hałaśliwa. Rycerz słucha jej jak nikt na świecie. Zawsze czułam taką irytację, kiedy Pippa otwierała usta, że nawet nie przyszło mi do głowy, iż może paplać, ponieważ boi się, że nie zostanie wysłuchana.

Przysięgam, że od teraz zawsze będę dawała jej szansę.

Tutaj nie boimy się zbliżyć do siebie. Nasza przyjaźń ukorzenia się i kwitnie. Nosimy wianki na włosach, opowiadamy niegrzeczne żarty, śmiejemy się i krzyczymy, wyznajemy nasze lęki i nasze nadzieje.

Nawet bekamy bez zahamowań. Nie ma w pobliżu nikogo, kto by nas uciszał. Nikogo, kto by nam mówił, że to, co myślimy albo czujemy, jest niewłaściwe. Nie chodzi o to, że robimy to, co chcemy. Chodzi o to, że w ogóle możemy chcieć.

#

Patrzcie na to! - mówi Felicity. Zamyka oczy i w jednej chwili ciepły deszcz spada z nieba wiecznie skąpanego w blasku zachodzącego słońca. Przemakamy do suchej nitki i jest nam z tym cudownie.

- To niesprawiedliwe! - krzyczy Pippa, ale śmieje się. Nigdy nie czułam tak wspaniałego deszczu. Nigdy nie pozwolono mi go poczuć. Chcę go wypić, położyć się w nim,

- Aha! - wola triumfalnie Felicity. - Ja to zrobiłam! Ja! Piszczymy i pędzimy biegiem, zjeżdżając z pagórka w kałuże, i z powrotem na górę. Kompletnie brudne rzucajmy w siebie garściami błota. Za każdym razem, gdy któraś z nas obrywa bryłą mokrej ziemi, wrzeszczy i przysięga zemstę. Ale prawdę mówiąc, czujemy się zachwycone tym, że jesteśmy absolutnie brudne i absolutnie bez troski.

- Trochę namokłam - przyznaje Pippa po tym, jak na nią napadłyśmy.

Jest pokryta biotem od stóp do głów.

- Dobrze więc. - Zamykam oczy, wyobrażam sobie gorące indyjskie słońce i w kilka sekund deszcz mija. Jesteśmy czyste, suche i wyprasowane, gotowe iść na nieszpory lub z wizytą towarzyską. Za srebrnym lukiem szerokim kołem stoją kryształowe runy kryjące wielką moc.

- Czy nie byłoby wspaniale pokazać im wszystkim, co potrafimy robić? - zastanawia się Ann na głos.

Biorę ją za rękę, a kiedy to robię, zauważam, że na nadgarstku nie ma żadnych nowych śladów, a jedynie znikające blizny po dawnych skaleczeniach.

- Tak, byłoby.

Kładziemy się na trawie głowami do siebie, niczym gigantyczny wiatrak. I leżymy tak bardzo długo, jak mi

się wydaje, trzymając się za ręce, czując naszą przyjaźń w palcach, w pewnym, mocnym cieple naszej skóry, aż któraś wpada na genialny pomysł, żeby znowu sprowadzić deszcz.

#

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak działa magia runów. - Leżę na trawie obok mamy, obserwując, jak chmury zmieniają kształty. Tłusta, puchata kaczka przegrywa walkę o przetrwanie i rozciąga się w coś innego.

- Potrzebne są miesiące, a nawet lata treningu - odpowiada mama.

- To wiem. Ale co się dzieje? Czy one recytują? Mówią językami?

Czy runy najpierw muszą odśpiewać Boże. zbaw królową? - Jestem zgryźliwa, ale zostałam sprowokowana.

- Tak, w tonacji e-moll.

- Mamo!

- Chyba już to ci wyjaśniłam.

- Opowiedz jeszcze raz.

- Przykładasz dłoń do runów i moc w ciebie wchodzi. Przez chwilę żyje w tobie.

- I to wszystko?

- To najważniejsze, ale najpierw musisz nauczyć się panować nad mocą. Ważny jest twój nastrój, twoje zamiary, twoja siła. To potężna magia, nie wolno z nią igrzać. Popatrz, widzę słońca. Nad naszymi głowami płama kackopodobna stała się plamą z trąbą.

- Ma tylko trzy nogi.

- Nie, tam jest czwarta. - Gdzie?

- No tam, po prostu nie patrzysz.

- Patrzę! - odpowiadam z oburzeniem, ale to nie ma znaczenia.

Chmura płynie dalej, znów zmieniając się w coś innego. - Jak długo działa magia?

- To zależy. Jeden dzień, a czasami krócej. - Siada prosto i spogląda na mnie z góry. - Ale Gemmo, nie...

- ...wolno mi jeszcze używać magii. Tak, chyba o tym wspomniałaś raz czy dwa. Mama przez chwilę milczy.

- Naprawdę sądzisz, że jesteś już gotowa?

- Tak! - prawie krzyczę.

- Spójrz na tę chmurę dokładnie nad nami. Co widzisz? Widzę zarys uszu i ogona.

- Kociaka.

- Jesteś pewna? Wystawia moją cierpliwość na próbę.

- Potrafię rozpoznać kociaka. To nie wymaga żadnej magicznej mocy.

- Spójrz jeszcze raz - poleca mama.

Na niebie nad nami panuje okropny zamęt. Chmury wirują wśród błysku piorunów. Kociak zniknął, a zamiast niego pojawia się groźna twarz upiora. Z wrzaskiem leci w naszą stronę, aż muszę zakryć oczy ramieniem.

- Gemmo!

Cofam ramię i okazuje się, że niebo jest spokojne. Kociak jest teraz dużym kotem.

- Co to było? - pytam szeptem.

- Demonstracja - odpowiada mama. - Musisz umieć rozpoznać to, co jest prawdą. Kirke będzie chciała, żebyś widziała potwora tam, gdzie jest tylko kociak, i vice versa.

Nadal się trzęsę.

- Ale to się wydawało takie prawdziwe.

Bierze moją dłoń i leżymy, nie ruszając się. W oddali Ann śpiewa starą ludową przyśpiewkę, coś o damie sprzedającej sercówki i małże. To smutna piosenka, która sprawia, że robi mi się dziwnie na duszy. Tracę coś, ale nie wiem co.

- Mamo, a jeśli nie będę umiała tego robić? Jeśli wszystko okaże się nie tak?

Chmury gromadzą się w jednym miejscu, a potem przeredzają się. Nie powstaje żaden konkretny kształt.

- Musimy wykorzystać szansę. Spójrz.

Obłoki nad nami rozciągnęły się w wiotki krąg bez początku i bez końca, a w samym jego środku znajduje się idealnie okrągła plama absolutnego błękitu.

#

W piątek spotyka mnie niespodzianka w postaci gościa. Brat czeka na mnie w salonie. Gromadka dziewcząt znajduje różne preteksty,

żeby móc przejść obok i choćby zerknąć na niego. Zamykam za sobą drzwi, odcinając Toma od pełnego

zachwytu stada, zanim ogarną mnie mdłości.

- Proszę, a oto i pani Ponura! - odzywa się mój brat, wstając. - Udało ci się znaleźć dla mnie odpowiednią żonę? Nie jestem wybredny - niech to będzie ktoś ładny, cichy, mający niewielką fortunę i własne zęby. Właściwie gotów jestem dyskutować o wszystkich warunkach poza niewielką fortuną. Chyba żeby to była wielka fortuna. Z jakiegoś powodu widok Toma - solidnego, snobistycznego, płytkiego Toma - poprawia mi nastrój. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak za nim tęskniłam. Przytulałam go serdecznie, a on na chwilę sztywnieje, ale potem odwzajemnia uścisk.

- No, tak, chyba traktują cię tu jak psa, skoro tak się cieszysz na mój widok. Muszę przyznać, że dobrze wyglądasz. - Bo dobrze się czuję, Tom, naprawdę. - Tak bardzo chciałabym powiedzieć mu o mamie, ale wiem, że nie mogę. Jeszcze nie. - Masz jakieś wieści od babci? Jak się miewa tato? Uśmiech Toma błędnie. - Och, tak. U nich wszystko w porządku.

- Przyjedzie w Dniu Wizyt? Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę i przedstawię mu moje przyjaciółki.

- Wiesz, nie pokładałbym w tym zbyt wielkiej nadziei, Gemmo. Może jeszcze nie być w stanie przyjechać.

- Tom poprawia mankiety. To nerwowy nawyk. Coś, co, jak zaczęłam sobie uświadamiać, robi tylko wtedy, gdy kłamie.

- Rozumiem - odpowiadam cicho. Rozlega się pukanie do drzwi i do środka wsuwa się Ann, szeroko otwierając oczy. Jest wstrząśnięta, że przebywam w salonie sam na sam z mężczyzną. Zakrywa oczy dłonią, żeby na nas nie patrzeć.

- Och, bardzo przepraszam. Chciałam tylko dać znać Gemmie, to znaczy pannie Doyle, że jesteśmy gotowe do ćwiczenia walca. - Nie mogę teraz. Mam gościa. Tom wstaje, wyraźnie czując ulgę.

- Nie możesz z jego powodu zaniedbywać walca. Przepraszam, dobrze się pani czuje? - Zerka na Ann, która nadal odwraca wzrok.

- Och, na litość boską! - wzdycham pod nosem, po czym przeprowadzam konieczną prezentację. - Panno Ann Bradshaw, czy mogę przedstawić pana Thomasa Doyle'a, mojego brata? Odprowadzę go do wyjścia i możemy zająć się tym piekielnym walcem.

#

- To był twój brat? - pyta nieśmiało Ann, gdy wiruję wraz z nią po sali balowej.

- Tak. Bestia we własnej osobie. - Nadal jestem wzburzona nowinami na temat taty. Miałam nadzieję, że po tak długim czasie zaczniesz już powracać do zdrowia.

- Wydaje się bardzo uprzejmy. - Ann nadeptuje mi na obie stopy, a ja krzywię się z bólu.

- Tom? Ha! Usta otwiera tylko po to, żeby się wywyższać. Jest niezmiennie pełen podziwu dla samego siebie. Żal mi dziewczyny, która go dostanie.

- Mimo to wydal mi się bardzo miły. Prawdziwy dżentelmen. Boże w niebiesiech, podoba jej się mój brat! Jest to tak śmieszne, że wręcz wykracza poza granice komedii i pretenduje do miana tragedii.

- Czy on... jest zaręczony?

- Nie. Chyba nikt nie dorasta do pięt jego pierwszej miłości. Jej twarz zapada się. Ann zatrzymuje się bez ostrzeżenia i muszę się bardzo niewygodnie wykręcić, zanim udaje mi się znów stanąć naprzeciwko niej.

- Och?

- Czyli jemu samemu.

Chwilę trwa, zanim żart do niej dociera, ale wtedy wybucha śmiechem i rumieni się jeszcze bardziej. Nie mam serca, żeby jej powiedzieć, iż Tom szuka żony bogatej, a najchętniej również

ładnej, i że ona nie ma szans w tej konkurencji. Gdyby tylko mógł ją zobaczyć i usłyszeć w międzyświecie. Doprowadza mnie do szału to, że wszystko, czego potrafimy dokonać - cała ta moc - musi tam pozostać.

- Nie zatańczę z tobą już ani jednego kroku, bo inaczej przez tydzień będę miała sińce.

- To ty nie potrafisz utrafić w rytm - strofuje mnie Ann, wychodząc za mną z sali. - A ty nie potrafisz zapamiętać, że moje stopy i podłoga to dwie różne rzeczy.

Ann przygotowuje się do riposty, ale przerywa nam widok biegnącej korytarzem Felicity, która macha nad głową kartką papieru. - Przyjeżdża! Przyjeżdża! - Kto przyjeżdża? - pytam. Chwyta nas za ręce i okręca w kółko.

- Mój ojciec! Właśnie dostałam list. Przyjeżdża w Dniu Wizyt! Czy to nie cudowne? - Zatrzymuje się. - Boże, muszę być gotowa!

Muszę się przyszykować. Chodźcie, nie stójcie tak! Jeśli do niedzieli nie nauczę się tańczyć walca jak dama, to po mnie!

#

W raję zrobiło się nieprzyjemnie. Klóć się z mamą. - Ale dlaczego nie mogę zabrać magii z międzyświata tam, gdzie mogłaby czynić prawdziwe dobro? - Mówiłam ci, to nie jest jeszcze bezpieczne.

Kiedy już to zrobisz kiedy przeniesiesz magię przez portal, on całkowicie się otworzy. Każdy, kto wie jak, będzie się mógł dostać do środka. - Milknie, próbując zapanować nad emocjami. Przypominają mi się nasze kłótnie, po których zaczynałam jej nienawidzić. Biorę kilka jagód i przerzucam je z ręki do ręki.

- Mogłabyś mi pomóc to zrobić, wtedy byłoby bezpiecznie. Mama zabiera mi jagody.

- Nie, nie mogę. Nie mogę wrócić. Gemmo.

- Nie chcesz pomóc ojcu. - Ranie ją tymi słowami i wiem o tym.

Bierze głęboki oddech.

- To niesprawiedliwe.

- Nie ufasz mi. Nie wierzysz, że dam sobie radę!

-Och, na litość boską, Gemmo! - Jej oczy lśnią. - Jeszcze wczoraj nie umiałaś odróżnić chmury od iluzji. Mroczny duch pod kontrolą Kirke będzie znacznie bardziej przebiegły. Jak zamierzasz sobie z nim poradzić?

- A dlaczego ty mi nie możesz powiedzieć, jak to zrobić? odpowiadam podniesionym głosem.

- Ponieważ nie wiem! Nie ma ustalonych reguł, rozumiesz? Rzecz w tym, by poznać danego ducha, odkryć jego słabe punkty Rzecz w tym, by nie pozwolić, żeby on wykorzystał twoje słabe punkty przeciwko tobie.

-A gdybym użyła tylko odrobiny magii, tylko tyle, żeby pomóc ojcu i moim przyjaciółkom, nie więcej?

Bierze mnie za ramiona jak dziecko.

- Gemmo, musisz mnie posłuchać. Nie zabieraj magii z międzyświata. Obiecuj mi.

- Dobrze! - odpowiadam, wyrывая się z jej uścisku. Nie mogę

uwierzyć, że znowu się kłócimy. Oczy mam gorące od łez. - Przepraszam, ale jutro jest Dzień Wizyt.

Muszę się wyspać.

Kiwa głową.

- Zobaczymy się jutro?

Jestem zbyt rozszuszczone, żeby jej odpowiedzieć. Odchodzę w stronę moich przyjaciółek. Felicity stoi na grzbiecie wzgórza, trzymając łuk z naciągniętą cięciwą. Wygląda jak rzeźba bogini. Z głośnym trzaskiem wypuszcza strzałę, która gładko rozszczaśnia kawałek drewna na pół. Łowczynie chwali ją, po czym pogrążają się w dyskusji. Zastanawia mnie, o czym rozmawiają na tych polowaniach i dlaczego Felicity mówi mi coraz mniej i mniej. Być może za bardzo pochłonęły mnie własne problemy i przestałam się nią interesować.

Pippa leży w hamaku, podczas gdy rycerz zabawia ją opowieściami

o bohaterskich czynach dokonywanych w jej imieniu. Patrzy

na nią, jakby była jedyną kobietą na świecie. A ona delektuje się tym jak ambrozją. Ann jest zajęta

śpiewaniem. Podczas występu

spogląda na rzekę, w której zebrała setki wyimaginowanych widzów,

oklaskujących ją, podziwiających i wzdychających ze wzruszenia.

Tylko ja jedna jestem zirytowana i niezadowolona, a także czuję się bezsilna. Radość z naszych przygód zaczęła przygasać. Co za pożytek z posiadania tej potencjalnej mocy, skoro nie mogę z niej normalnie korzystać?

W końcu podchodzi do mnie Pippa, obracając w palcach różę.

- Chciałabym tu zostać na zawsze. - Ale nie możesz - odpowiadam.

- Dlaczego nie? - dopytuje się Ann, zachodząc mnie od tyłu. Rozpuszczone włosy układają się falami na jej ramionach.

- Ponieważ tu się nie zostaje - odpowiadam obronnym tonem. - Tu się marzy.

-A jeśli wybiorę marzenie? - pyta Pippa. To takie podobne do niej - powiedzieć coś równie niemądrego i irytującego. -A jeśli nie zgodzę się was tu zabrać następnym razem? Felicity udało się trafić małego królika. Zwisza bezwładny i martwym z jej strzały.

- Co się dzieje?

Pippa wydyma usteczka.

- To Gemma. Nie chce nas tu więcej zabrać. Felicity nadal trzyma zakrwawioną strzałę w dłoni.

- O co chodzi, Gemmo? - Twarz ma ponurą i zdeterminowaną.

Ja pierwsza odwracam wzrok w pojedynku na spojrzenia.

- Nie powiedziałam tego.

- No, ale zasugerowałaś. - Pippa pociąga nosem.

- Czy możemy po prostu zapomnieć o tej głupiej kłótni? - pytam ostro.

- Gemmo. - Pippa wysuwa dolną wargę w przesadnie nadąsanej mince. - Nie gniewaj się.

Felicity robi taką samą idiotyczną minę.

- Gemma, proszę, przestań. Bardzo trudno się mówi z takimi ustami.

Ann dołącza się do nich.

- Nie uśmiechnę się, dopóki Gemma tego nie zrobi. Nie namówicie mnie.

- Tak. - Felicity chichocze z miną buldoga. - I ludzie wszędzie będą powtarzali: „To były takie atrakcyjne dziewczyny. Szkoda, że mają ten problem ze zgryzem”.

Nic nie mogę na to poradzić. Zaczynam się śmiać. Dziewczyny tarzają się wraz ze mną po trawie, wszystkie krzyczymy i robimy najidiotyczniejsze miny na świecie, aż ogarnia nas wyczerpaim i nadchodzi czas, by wracać.

#

Pojawiają się drzwi, a my kolejno przechodzimy na drugą stronę.

Ja wychodzę ostatnia. Skóra zaczyna mnie już mrowić od zapierającej dech w piersi energii emanującej od drzwi, gdy zauważam mamę trzymającą za rękę dziewczynkę. Sukienka, którą mała ma pod wielkim białym fartuchem, jest kolorowa i niezwykła, Nie widuje się takich w angielskich szkołach dla dziewcząt. Ciekawe, że nigdy wcześniej tego nie dostrzegłam.

Obie patrzą na mnie z nadzieją, ale nieufnie, jakbym mogli odmienić

ich los. Ale jak mogę im pomóc, skoro nawet nie wiem, jak pomóc samej sobie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dzisiaj jest Dzień Wizyt. W moim słowniku nie ma żadnego hasła na ten temat, ale gdyby było, mogłoby brzmieć następująco:

Dzień Wizyt (rz.) 'tradycyjna impreza w szkołach z internatem, podczas której rodziny mogą odwiedzać uczennice, co wszystkim przysparza cierpień, a nikomu radości'.

Ufryzowałam włosy, zapięłam guziki i zaciągnęłam sznurowadła, osiągając godny damy perfekcjonizm - albo coś tak do niego zbliżonego, jak to tylko możliwe. Ale wewnątrz nadal jestem wstrząśnięta po wizycie u mamy i po naszej kłótni. Zachowałam się okropnie.

Wieczorem pójde do niej, przeproszę i znów poczuję, jak obejmuje mnie ciepłymi ramionami.

Mimo to żałuję, że nie mogę powiedzieć rodzinie - zwłaszcza ojcu - że ją widziałam. Że gdzieś tam w innym świecie jest tak żywa, kochająca i piękna, jak ją zapamiętaliśmy. Nie mam pojęcia, co zastanę, gdy zejdę na dół, ale nadzieja i marzenia nie pozwalają mi zasnąć spokoju. Mógłby nagle pojawić się tato, dobrze odżywiony i zadbany w swoim eleganckim czarnym garniturze. Mógłby przynieść mi prezent zapakowany w złoty papier. Mógłby nazwać mnie swoim skarbem, mógłby skłonić skwaśniałą Brigid aby śmiała się z jego opowieści, mógłby mnie przytulić.

Mógłby. Mógłby. Mógł. Czy istnieje jakiś środek odurzający silniejszy od tego słowa? - Może poszłabym z tobą - proponuje Ann, gdy po raz setny próbuję ujarzmić swoje włosy. Nic chcę pozostać schludnie zwinięta na czubku głowy w sposób przystający damie.

- Będziesz śmiertelnie znudzona po pięciu minutach - mówię, szczypiąc się w policzki, które na moment różowieją i natychmiast znów stają się blade. Nie chcę, żeby Ann szła ze mną. skoro nie wiem, co zastanę na dole.

- Czy twój brat dzisiaj przyjedzie? - dopytuje się przyjaciółka.

- Tak, Boże dopomóż nam wszystkim - mruczę. Nie chcę jej zachęcać, gdy w grę wchodzi Tom. Dwa sprężyste loki spadają mi nisko na czoto. Muszę coś zrobić z tymi włosami.

- Ty przynajmniej masz brata, który cię irytuje.

W lustrze nad toaletką miga mi widok Ann siedzącej samotnie na łóżku w swojej najlepszej sukience, w której nie ma dokąd pójść ani z kim się zobaczyć. Ja tu narzekam na ciężkie przeżycie, jakim jest spotkanie z rodziną, a tymczasem ona spędzi całusieńki dzień zupełnie sama. Dzień Wizyt musi być dla niej bolesnym doświadczeniem.

-W porządku - wzdycham. - Skoro masz ochotę na tortury, to możesz iść ze mną.

Nie dziękuję mi. Obie wiemy, że to gest miłosierdzia, ale trudno powiedzieć, dla której z nas. Przyglądam się jej. Szwy białej sukienki rozchodzą się na jej pulchnym ciele. Kosmyki cienkich włosów już wymykają się z koczka, opadając na załzawione oczy. Zdecydowanie nie jest tą pięknoscią, którą wczoraj w nocy widziałam w ogrodzie.

- Zróbmy coś z tymi twoimi włosami. Próbuje zerknąć w lustro nad moim ramieniem.

- Co jest nie tak z moimi włosami?

-Nic czego by się nie dało uratować porządym szczotkowaniem i kilkoma spinkami. Nie ruszaj się.

Rozpuszczam jej włosy. Szczotka zahacza o kołtun u podstawy czaszki.

-Auć!

-Cena urody - mówię w ramach przeprosin, tak naprawdę wcale nie przepraszając. W końcu to ona postanowiła, że chce ze mną iść.

- Chyba raczej cena łysości.

- Jeżeli nie będziesz się ruszała, pójdzie nam o wiele łatwiej.

Nagle robi się tak nieruchoma, że można by ją wziąć za kamień.

Ból jest zdecydowanie niedoceniany jako narzędzie motywujący.

Wydaje mi się, że zużywam z tysiąc spinek, żeby przytrzymać jej włosy na miejscu. Nie jest tak źle.

Przynajmniej nastąpiła jakaś poprawa i, prawdę mówiąc, jestem z siebie nawet dumna. Ann staje przed lustrem.

- I jak ci się podoba? - pytam. Odwraca głowę w lewo i w prawo.

- Wolałam tak jak przedtem.

- A oto i wdzięczność. Nie zamierzasz chyba być taka ponura przez cały dzień, co? Bo jeśli tak...

Felicity otwiera drzwi i prowokacyjnie opiera się o framugę, udając kokietkę.

- Bonjour, mesdemoiselles. To ja, królowa Saby. Pokłony możecie zachować na później. - Sznurowadła gorsetu zaciągnęła tak mocno, że jej piersi znacząco się uniosły. - I co sądzicie, kochane? Czyż nie wyglądam zniewalająco?

- Pięknie - odpowiadam. Gdy Ann się waha, trącam ją butem w stopę.

- Tak, pięknie - powtarza po mnie jak echo.

Felicity uśmiecha się, jakby właśnie odkrywała świat na nowo.

- Przyjeżdża! Nie mogę się doczekać, żeby mu pokazać, jaka się ze mnie zrobiła dama. - Wiruje wokół pokoju. - Oczywiście, musicie go poznać. Pokocha was wszystkie, jestem pewna. Chcę, żeby zobaczył, iż dobrze sobie tutaj radzę. Czy któraś z was ma jakieś perfumy?

Obydwie z Ann kręcimy przecząco głowami.

-Żadnych perfum? Ale ja muszę pachnieć słodko! - Nastrój Felicity szybko się psuje.

- Masz - mówię, wyciągając różę z wazonu na parapecie. Płatki łatwo się gniotą, pozostawiając słodki, lepki sok na moich palcach. Rozsmarowuję go za uszami przyjaciółki i na jej nadgarstkach.

Unosi dłoń do nosa i wdycha zapach.

- Doskonale! Gemmo, jesteś genialna! - Zarzuca mi ramiona na szyję i obdarza lekkim pocałunkiem.

Troszkę zbija mnie z tropu ta strona osobowości Felicity - tak jakbym miała małego rekina, który uważa się za złotą rybkę.

- A gdzie Pip? - pyta Ann.

- Na dole. Jej rodzice przyjechali z panem Bumble'em. Wyobrażacie

sobie? Miejmy nadzieję, że pośle go dzisiaj do diabła. No, dobrze

- kończy Felicity, zmierniejąc do drzwi. -Adieu, les filles. Do zobaczenia niebawem. - Kłaniając się nisko, znika otoczona zapachem róż i aurą nadziei.

-Zbierajmy się - mówię do Ann. wycierając palce z resztek kwiatka. - Miejmy to już za sobą. dobrze?

#

Gdy schodzimy na dół. w salonie od frontu kłębi się tłum dziewcząt i różnych członków ich rodzin.

Widziałam lepszą organizację w osławionych indyjskich pociągach. Moich krewnych nigdzie nie widać.

Podchodzi do nas Pippa z nisko pochyloną głową. Za nią nadciąga kobieta w niedorzecznym kapeluszu

ozdobionym piórami. Ma na sobie suknię zdecydowanie bardziej odpowiednią dla osoby znacznie

młodszej, a do tego raczej na bal. Ramiona otula etolą. Towarzyszą jej dwaj mężczyźni. Natychmiast

rozpoznaję pana Bumble'a o krzaczastych wąsiskach. Zakładam, że drugi jest ojcem Pippy. Ma takie same ciemne włosy i oczy jak ona.

- Mamo, tato, czy mogę wam przedstawić pannę Gemmę Doyle oraz pannę Ann Bradshaw? - odzywa się nasza przyjaciółka niemalże szeptem.

- Jak się macie? Cieszę się, że możemy poznać przyjaciółeczki Pippy. - Mama Pip jest równie piękna jak ona, ale ma ostrzejsze rysy, co usiłuje zamaskować ogromną ilością biżuterii.

Ann i ja witamy się uprzejmie. Po chwili ciszy słychać, jak pan Bumble chrząka. Usta pani Cross są zaciśnięte w wymuszonym uśmiechu.

- Pippo, nie zapomniałaś o kimś? Pippa głośno przetyka ślinę.

- Czy mogę również przedstawić czcigodnego pana Bumble'a? - Reszta przypomina cichy krzyk: - Mojego narzeczonego.

Obie z Ann jesteśmy zbyt zaskoczone, żeby coś powiedzieć. - Miło mi panie poznać. - Patrzy na nas z lekceważeniem. -Mam nadzieję, że wkrótce podadzą herbatę - dodaje, zerkając niecierpliwie

na kieszonkowy zegarek.

Ten nieuprzejmy starszy mężczyzna z nalaną twarzą będzie mężem cudownej Pippy? Każdą świadomą chwilę jej życia pochłaniają myśli o czystej, wiecznej, romantycznej miłości, a została sprzedana człowiekowi, który zaoferował najwyższą cenę, człowiekowi, którego nie zna i który jej nie obchodzi. Dziewczyna wpatruje się w perski dywan, jakby mógł się rozstać i pochłonąć ją całą, niosąc wybawienie.

Ann i ja wyciągamy ręce, żeby się grzecznie przywitać.

- Dobrze wiedzieć, że moja narzeczona jest zaznajomiona z odpowiednimi dziewczętami - wymądrza się pan Bumble. - Tak wiele rzeczy może zepsuć osobę młodą i podatną. Zgodzi się pani za mną, pani Cross?

- Och, absolutnie, panie Bumble.

Ten człowiek zasługuje na to, żeby nadziać jego głowę na pal i pokazywać wszystkim ku przestrodze:

„Tak wygląda osoba nieznośna, która się tu panoszyła! Tyle z niej zostało”.

- Och. widzę panią Nightwing. Zapewne będzie chciała poznać nasze nowiny, a może nawet zechce je dzisiaj ogłosić. - Pani Cross odpływa przez pokój, ciągnąc za sobą męża. Pan Bumble uśmiecha się do tyłu głowy Pippy, jakby dziewczyna stanowiła główną wygraną na loterii.

- Pójdziemy? - pyta. podając jej ramię.

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym spędzić chwilę z przyjaciółkami.

Podzielić się z nimi nowiną - prosi Pippa smutnym, cichym głosem. Ten idiota uważa, że ona mu pochlebia.

- Oczywiście, moja droga. Ale niech to nie trwa zbyt długo.

Gdy mężczyzna się oddala, chce wziąć Pippę za rękę.

- Proszę, nie - mówi. W jej fiołkowych oczach wzbierają łzy, Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć.

- Wygląda bardzo dystygnowanie - proponuje Ann po chwili milczenia.

Pippa wybuchła krótkim ostrym śmiechem.

- Tak. Nie ma to jak zamożny prawnik, który spłaci karciane długi ojca i uratuje nas od ruiny, jestem tylko kolejną pozycją w zapisie

gry. - Nie mówi tego z rozgoryczeniem. I to boli. Zaakceptowała swój los bez walki.

Opodal czcigodny Bartleby Bumble niecierpliwie czeka na swoją przyszłą żonę.

- Muszę iść - mówi Pippa z entuzjazmem kobiety ruszającej na spotkanie z katem.

- Dostała śliczny pierścionek - mówi po chwili Ann. Nad głowami tłumu słyszemy, jak pani Nightwing głośno składa im gratulacje, a potem przyłączają się do niej pozostali.

- Tak, bardzo śliczny - zgadzam się. Próbujemy robić dobrą minę do złej gry. Żadna z nas nie chce przyznać, że wie, iż sytuacja jest rozpaczliwa i beznadziejna, ani że odczuwa wyrzuty sumienia z powodu radości, iż to nie ona wyciągnęła krótką słomkę. Przynajmniej jeszcze nie tym razem. Mogę tylko mieć nadzieję, że gdy nadejdzie mój czas, nie zostanę sprzedana pierwszemu lepszemu mężczyźnie, który otumani moją rodzinę.

Obok przemyka Felicity. W dłoni trzyma zmiętą chusteczkę da nosa.

- Co się dzieje? Wyglądacie, jakby nastąpił koniec świata.

- Pippa została zaręczona z panem Bumble'em - wyjaśniam.

- Co? Och, biedna Pip - mówi Felicity, kręcąc głową.

- Czy twój ojciec przyjechał? - pytam w nadziei na lepsze wieści.

- Jeszcze nie. Wybaczcie mi, ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby czekać tutaj. Zostanę w ogrodzie, dopóki się nie pojawi. Jesteście pewne, że dobrze się prezentuję?

- Po raz ostatni tak - mówię, przewracając oczami.

Felicity jest tak zdenerwowana, że nawet mi się nie odgryza. Zamiast tego z wdzięcznością kiwa głową i wyglądając, jakby nie mogła utrzymać śniadania już ani chwili dłużej, wybiega do ogrodu.

#

- No proszę, toż to przecież lady Doyle. Tom oznajmia swoje przybycie, mówiąc bardzo głośno i składając przesadnie uniżony ukłon. Obok niego stoi babcia w najlepszym żałobnym stroju z czarnej krepy.

- Jest tatuś? Przyjechał? - Nerwowo wyciągam szyję, rozglądając się za nim.

- Tak - zaczyna Tom. - Gemmo...

- No, gdzie on jest?

- Witaj, Gemmo.

Początkowo nie widzę ojca, ale potem dostrzegam go skrytego za Tomem - ducha w niedopasowanym czarnym garniturze, z głębokimi cieniami pod oczyma. Babcia bierze go pod ramię, usiłując ukryć to, jak okropnie się trzęsie. Jestem pewna, że dała mu tylko część zwykłej dawki, żeby jakoś przetrwał, obiecując, że później dostanie więcej. Robię, co w mojej mocy, żeby się nie rozplakać. Wstydzę się, że moje przyjaciółki zobaczą go w tym stanie. I wstydzę się tego, że się wstydzę.

- Witaj, ojczu - odpowiadam, całując go w zapadnięte policzki.

- Czy ktoś się spodziewał, że zobaczymy dziś królową? - żartuje. Śmiech wywołuje atak kaszlu i Tom musi go przytrzymać, żeby pomóc mu się opanować. Nie mogę się zmusić, by spojrzeć na Ann.

-W sali balowej podają herbatę - mówię, prowadząc ich na górę, a potem do położonego na uboczu stolika, z dala od tłumu i plotek. Gdy już siedzimy, przedstawiam przyjaciółkę.

- Cieszę się, że znów panią widzę, panno Bradshaw - mówi Tom. Ann oblewa się rumieńcem.

- A gdzie są dzisiaj pani rodzice? - pyta babcia, rozglądając się wokół za jakimś ciekawszym partnerem do rozmowy niż nasza dwójka. Musiała zadać to pytanie, musi też paść odpowiedź, a wtedy będziemy siedzieli w niezręcznej ciszy lub też moja babcia powie coś nieuprzejmego pod pozorem uprzejmości.

- Za granicą - kłamię.

Na szczęście Ann nie próbuje mnie poprawić. Myślę, że czuje wdzięczność, nie musząc wyjaśniać, iż jest sierotą, a potem znosić toktownego, pełnego litości milczenia. Moją babcie ogarnia nagle zainteresowanie, gdyż zapewne zastanawia się w tej chwili, czy rodzice Ann są bogaci, czy utytułowani, czy może i jedno, i drugie.

- To ekscytujące. A dokąd pojechali?

- Do Szwajcarii - wypalam w tym samym momencie, gdy Ann rzuca: - Do Austrii.

- Do Austrii i Szwajcarii - podsumowuję. - To bardzo wyczerpująca wycieczka.

- Austria... - włącza się mój ojciec. - Jest taki śmieszny kawał o Austriakach... - Milknie, a dłonie mu drżą.

- Tak, ojczu? -Hmmm?

- Mówiłeś coś o Austriakach - podpowiadam. W skupieniu ściąga brwi.

- Naprawdę?

Gardło mam ściśnięte aż do bólu. Podaję Tomowi cukiernicę Ann z fascynacją obserwuje każdy jego ruch, choć on ledwie zwraca na nią uwagę.

-A zatem - mówi mój brat, wrzucając trzy kostki cukru do herbaty - panno Bradshaw, czy moja siostra doprowadziła już panią do obłędu swoim otwartym sposobem bycia?

Ann rumieni się.

- Gemma jest niezwykle uprzejmą osobą.

- Uprzejmą? Rozmawiamy o tej samej Gemmie Doyle? Babciu. Spence to więcej niż szkoła. To dom cudów.

Wszyscy serdecznie się bawią moim kosztem i, prawdę mówiąc,

nie przeszkadza mi to. Tak miło jest słyszeć ich śmiech, że nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby sobie ze mnie dworowali całe popołudnie. Ojciec bawi się łyżeczką, jakby nie całkiem wiedział, co powinien z nią zrobić.

- Ojczu - odzywam się łagodnie - nalać ci herbaty? Uśmiecha się do mnie słabo.

- Tak, poproszę, Virginio.

Virginio. Na dźwięk imienia mojej mamy zapada pełna zażenowania cisza. Tom miesza herbatę w kółko i w kółko, goniąc ją łyżeczką.

- To ja, ojczu, Gemma - mówię spokojnie.

Mruży oczy i przechyla głowę na bok, przyglądając mi się. Powoli potakuje.

- Och, tak, rzeczywiście. Wraca do zabawy łyżeczką.

Moje serce zamienia się w kamień i szybko tonie. Prowadzimy uprzejmą rozmowę. Babcia opowiada o ogrodzie, wizytach towarzyskich i o tym, kto z kim obecnie nie rozmawia. Tom rozprawia o swoich studiach, a Ann spija każde słowo z jego ust, jakby był Bogiem. Ojciec zapada się w sobie. Nikt nie pyta, jak się czuję czy jak sobie radzę. Nie mogłabym ich mniej obchodzić.

My, dziewczęta, jesteśmy tylko lustrami, istniejemy jedynie

po to, by ukazywać ich obraz, takimi, jakimi chcą się widzieć. Jesteśmy jak puste naczynia, wypłukane z własnych ambicji, potrzeb i opinii, czekające, aby je napełnić letnią wodą pełnej wdzięku uległości.

Na powierzchni naczynia pojawia się rysa. Zaczynam pękać.

- Czy są jakieś nowiny w sprawie mamy? Policja trafiła na coś nowego?

Tom bulgocze.

- Ho, ho! Znów to samo, co? Panno Bradshaw, musi pani wybaczyć mojej siostrze. Ma niezwykle upodobanie do dramatyzmu.

Nasza mama zmarła na cholere.

- Ona wie. Powiedziała jej - mówię, czekając na ich reakcję.

- Przykro mi, że moja siostra robi sobie takie nędzne żarty pani kosztem, panno Bradshaw. - Słowa wypowiedziane do mnie przez zaciśnięte zęby stanowią ostrzeżenie: - Gemmo, wiesz, że biedną mamę zabrała cholera.

— Tak, cholera. Zadziwiająco, że ta cholera nie pozabijała nas wszystkich. A może to robi. Może płynie w naszych żyłach, co dniu powoli uśmiercając nas swoją trucizną - odpowiadam z równie jadowitym uśmiechem.

— Myślę, że lepiej będzie zmienić temat. Panna Bradshaw z pewnością nie ma ochoty brać udziału w podobnych komediach. - Babcia okazuje mi wzgardę, upijając łyk herbaty.

— Uważam, że moja biedna matka stanowi doskonały temat do rozmowy. Jak sądzisz, ojcze?

Dalej. tato. Powstrzymaj mnie. Każ mi się zachowywać, iść do diabła, coś, cokolwiek. Okaż dawnego ducha walki. I nic. prócz lepkiego dźwięku wilgotnego powietrza wydobywającego się z jego otwartych ust. Nie słucha. Pochłania go kontemplacja własnego odbicia, rozmazanego i zniekształconego, wpatrującego się w niego z lśniącego wgłębienia w łyżeczce, którą obraca w wychudłych palcach.

Nie mogę znieść widoku ich wszystkich uzbrojonych przeciwko prawdzie, głuchych i ślepych na cokolwiek zbliżonego do rzeczywistości.

— Dziękuję, że przyjechaliście. Jak widzicie, radzę tu sobie całkiem nieźle. Spełniliście swój obowiązek i możecie już wrócić do tego, czym się zazwyczaj zajmujecie.

Tom wybuchł śmiechem.

— No, piękne podziękowanie. I po to zrezygnowałem z meczu krykieta. Czy oni tu przypadkiem nie mieli cię trochę ucywilizować?

— Zachowujesz się dziecinnie i niegrzecznie, Gemmo. I to przed swoim gościem. Panno Bradshaw, proszę wybaczyć mojej wnuczce. Ma pani jeszcze ochotę na herbatę? - Babcia nalewa napar, nie czekając na odpowiedź. Ann wpatruje się w filiżankę, wdzięczna, że ma na czym skupić wzrok.

Przynoszę jej wstyd. Wszystkim przynoszę wstyd.

Wstaję.

- Nie zamierzam psuć wam miłego popołudnia, więc pożegnaj się już. Idziesz, Ann?

- Nie skończyłam jeszcze herbaty - odpowiada, zerkając nieśmiało na Toma.

- Ach, przynajmniej jedna prawdziwa dama! - Mój brat klaszcze lekko. - Brawo, panno Bradshaw!

Moja przyjaciółka uśmiecha się do swoich kolan. Tom częstuje ją ciastkiem, a Ann, która nigdy w życiu nie zrezygnowała z ani kęsa jedzenia, odmawia jak przystało dobrze urodzonej i wychowanej damie, która nie może sprawiać wrażenia żarłocznej. Stworzyłam potwora.

- Jak sobie życzysz - mówię urażonym tonem. Schylam się nad kolanami ojca, biorę go za ręce i odciągam od stołu. Jego dłonie drżą, a na czole zebrały się perełki potu. - Ojcze, idę już. Może pójdziesz ze mną?

- Tak, dobrze, kochanie. Obejrzymy okolicę, co? - Próbuje przywołać na twarz uśmiech, który po chwili zmienia się w wyraz bólu. To. co dała mu babcia, nie wystarcza. Wkrótce będzie potrzebował

więcej albo stracimy z nim kontakt. Robimy kilka kroków, lecz ojciec potyka się i musi się wesprzeć na krzesło. Wszyscy podnoszą wzrok i Tom szybko znajduje się u mojego boku, po czym odprowadza ojca do stolika.

- Ależ, tato - mówi nieco zbyt głośno, żeby wszyscy słyszeli -przecież wiesz, że doktor Price mówił, iż nie wolno ci nadwierać tej kostki. Trzeba czasu, żeby ta kontuzja po grze w polo przeszła,

- Jest zadowolony, bo wszystkie głowy w pokoju odwracają się. Poza jedną. Dostrzega nas Cecily Tempie. Kieruje się do naszego stolika i prowadzi za sobą rodziców.

- Witaj, Gemmo. Ann. - Na twarzy Ann maluje się czysta panika.

Cecily ocenia sytuację. - Ann, zaśpiewasz dla nas później? Ann ma taki słodki głos. To ta uczennica, o której wam opowiadałam, że ze stypendium. Ann zapada się w krzesło. Babcia jest skonsternowana.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, iż twoi rodzice wyjechali za granicę...

Twarz Ann wykrzywia się i wiem, że przyjaciółka zaraz się rozpłaczę.

Zrywa się od stołu, przy okazji przewracając krzesło. Cecily udaje, że jest zażenowana.

- Och, Boże, mam nadzieję, że nie powiedziałam nic niewłaściwego?

- Za każdym razem, gdy otwierasz usta, mówisz coś niewłaściwego - odpowiadam ostro.

Babcia podnosi głos:

- Gemmo, co się z tobą dzisiaj dzieje? Żle się czujesz? -Tak, proszę wszystkich o wybaczenie - mówię, rzucając zmiętą serwetkę niedbale na stół. - Znów mam nawrót cholery.

Później trzeba będzie przeprosić - przepraszam, tak mi przykro, naprawdę nie wiem, co powiedzieć, przepraszam. Ale teraz jestem wolna od tyranii ich potrzeb ukrytej pod maską troski. Idąc szybko przez salę balową i w dół po schodach, muszę przykładać dłoń do żołądka, żeby nie oddychać za szybko i nie zemdleć. Na szczęście drzwi do ogrodu są otwarte, by wpuścić świeże powietrze, więc wychodzę na trawnik, gdzie parę osób rozpoczęło grę w krokieta. Modnie ubrane matki w kapeluszach z szerokimi rondami uderzają kolorowe kule drewnianymi młotkami, przeprowadzając je przez wąskie bramki, a mężowie kręcą głowami i łagodnie je poprawiają, tu chwytając ręką, tam obejmując ramieniem. Matki śmieją się i ponownie pudlują, wydawałoby się, że celowo, po to, by mężowie znów stanęli blisko nich. Mijam ich niezauważona i schodzę ze wzgórza do miejsca, w którym Felicity siedzi samotnie na kamiennej ławce.

- Nie wiem, jak ty, ale ja mam zupełnie dosyć tego absurdu - mówię, starając się okazać beztroskę, której w ogóle nie czuję. Jedna gorąca łza spływa po moim policzku. Wycieram ją i spoglądam w stronę grających w krokieta.

- Czy twój tato już przyjechał? Nie zauważyłam go. Felicity nic nie mówi, tylko siedzi bez ruchu.

- Fee? Co się stało?

Podaje mi liścik napisany na ładnym, grubym białym papierze.

#

Najdroższa córka!

Przykro mi, że zawiadamiam Cię z takim niewielkim wyprzedzeniem, ale obowiązek wzywa mnie gdzie indziej, a obowiązek wobec Korony to sprawa najwyższej wagi. Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną. Życzę Ci wesołego dnia. Może zobaczymy się podczas Bożego Narodzenia. Pozdrawiam Cię, Twój ojciec

Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć.

- To nawet nie jest jego pismo - odzywa się w końcu Felicity głuchym głosem. - Nawet się nie pofatygował, żeby własnoręcznie napisać do mnie list.

Kilka młodszych dziewczynek bawi się wesoło w kółku na trawniku.

Nurkują sobie nawzajem pod ramionami i padają na ziemię w atakach śmiechu, podczas gdy matki stoją obok, narzekając na poplamione sukienki i włosy wymykające się spod wstążek oraz czepków. Dwie dziewczynki przebiegają obok nas w podskokach, recytując wiersz, którego nauczyły się na dzisiaj, żeby pokazać, na jakie wspaniałe damy się zapowiadają.

Krosno rzuciła. trud przerwała. Z sali wybiegła wreszcie śmiała. Kwiat nenufaru zerwać chciała, Hełm z piórem w dali wnet ujrzała. Spojrzała w stronę Camelot.

Nad naszymi głowami chmury wygrywają walkę o to, by zasłonić niebo. Od czasu do czasu zza większych bryl groźnej szarości wyzierają niewielkie plamy błękitu, kurczowo trzymające się słońca.

Zerwana nić jak cienki włos, Zwierciadło pęka w odłamków stos. ..Klątwa nade mną!"- woła w głos Pani na Shalott.

Dziewczęta odrzucają do tyłu wolne od trosk głowy i śmieją się hałaśliwie ze swojego dramatycznego przedstawienia. Wiatr zmienia kierunek na wschodni. Burza jest już blisko. Wyczuwam wilgoć w powietrzu jak cuchnącą, żywą istotę. Pojedyncze krople spadają. liżąc moje ręce. twarz i sukienkę. Zaskoczeni goście piszczą, odwracają dłonie wnętrzem w stronę nieba, jakby zadawali mu pytanie, po czym pędzą szukać schronienia.

- Zaczyna padać.

Felicity wpatruje się prosto przed siebie nic nie mówiąc.

- Zmokniesz - dodaję i zrywam się z miejsca, zmierzając ukryć się w szkole. Felicity nie wykonuje żadnego ruchu, żeby wejść do środka. Odchodzę więc i zostawiam ją tam, chociaż nie czuję się z tym dobrze. Kiedy docieram do drzwi, nadal ją widzę siedzącą na ławce i moknącą. Rozkłada list od ojca, wstawiając go na deszcz, który wymazuje wszelkie ślady po piórze na nasiąkniętej kartce, i pozwalając, aby woda obmyła je obie do czysta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jednak najbardziej posępny jest wieczór. Zimny, rzęsisty deszcz leje strugami, uświadamiając nam, że

lato odeszło już na dobre. Chłodna wilgoć przenika nas do kości, wywołując ból w palcach, plecach i sercach. Grzmot dudni coraz bliżej i bliżej, rywalizując z miarowym bębnieniem ulewy. Co jakiś czas blask błyskawicy rozdziera niebo, a światło sływa w dół z trzaskiem i tańczy w wejściu do jaskini. Jesteśmy tu wszystkie. Mokre. Zmarznięte. Milczące. Nieszczęśliwe. Felicity siedzi na płaskim głazie, zaplatając pasmo włosów w warkocz, rozplatając je i zaplatając na nowo. Zniknął wszelki ślad po jej ogniu, który zapewne spłynął tam, gdzie deszcz zabiera to, co zmywa. Pippa owija się końcami peleryny i chodzi w kółko, jęcząc.

- On ma pięćdziesiąt lat! Jest starszy od mojego ojca! To zbyt potworne, żeby o tym myśleć.

- Przynajmniej ktoś chce się z tobą ożenić. Nie jesteś pariasem. - To mówi Ann, trzymając jedną dłoń nad płomieniem świeczki. Opuszcza ją coraz niżej i niżej, aż w końcu musi ją szybko zabrać. Ale grymas na jej twarzy zdradza mi, że oparzyła się celowo - raz jeszcze sprawdzając, czy może coś poczuć.

- Dlaczego wszyscy chcą mnie posiadać? - lamentuje Pippa. Ukrywa twarz w dłoniach. - Dlaczego wszyscy chcą kontrolować moje życie, mój wygląd, kogo widuję, co robię, a czego nie robię? Dlaczego nie zostawią mnie w spokoju?

- Bo jesteś piękna - odpowiada Ann, przyglądając się, jak płomień liże jej dłoń. - Ludzie zawsze uważają, że mogą posiadać piękno na własność.

Śmiech Pippy jest gorzki, podszyty łzami.

- Ha! Dlaczego dziewczyny sądzą, że uroda rozwiązuje każdy problem? Uroda stanowi przyczynę problemów. To kłątwa. Chciałabym być kimś innym.

Oto zbytbykowny komentarz - na taki mogą sobie pozwolić tylko piękne dziewczyny. Ann reaguje na niego krótkim, pełnym niedowierzania parsknięciem.

- Naprawdę! Chciałabym być... chciałabym być tobą, Ann. Ann jest tak ogłuszona, że trzyma dłoń nad płomieniem o sekundę za długo i w końcu cofa ją z głośnym jękiem.

- Czemu, na Boga, chciałybyś być mną?

- Ponieważ - Pippa wzdycha - nie musisz się martwić o te rzeczy.

Nie należysz do tego typu dziewcząt, wokół których bezustannie jest takie zamieszanie, że nie mają czym oddychać. Nikt cię nie chce.

- Pippa! - krzyczę.

- Co? Co takiego znowu powiedziałam? - dziwi się Pippa. Kompletnie nie zdaje sobie sprawy ze swojego głupiego okrucieństwa.

Twarz Ann pochmurnieje, oczy zwężają się. ale dziewczyna jest zbyt przybita własnym życiem, żeby się bronić, a Pippa zbyt egoistyczna, by cokolwiek zauważyć.

- Chodzi ci o to, że się nie wyróżniam - mówi głucho Ann. -No właśnie - zgadza się Pippa. spoglądając na mnie z satysfakcją, że ktoś w tej jaskini rozumie głębiej jej nieszczęścia. Mija sekunda i coś w końcu powoli do niej dociera. - Och! Och! Ann nie to miałam na myśli.

Ann zmienia dłonie i unosi lewą nad świeczką.

-Ann, kochana, musisz mi wybaczyć. Nie jestem taka bystra jak ty. Nawet połowy tego, co mówię, nie można traktować poważnie. - Pip obejmuje ramionami Ann, która nie potrafi oprzeć się temu, że ktoś, ktokolwiek, zwraca na nią uwagę, nawet jeżeli jest to dziewczyna,

która uważa ją za zwykły dodatek do siebie, taki jak odpowiedni naszyjnik czy wstążka do włosów. - No, już. Opowiedz nam jakąś historię. Albo poczytajmy z pamiętnika Mary Dowd.

- Po co nam to, skoro i tak wiemy, jak wszystko się kończy? -mówi Ann, wracając do swojej świeczki. - Giną w pożarze.

- No. ja chcę poczytać pamiętnik!

- Pippa, nie możesz choć raz dać za wygraną? - wzdycham. - Nie jesteśmy w odpowiednim nastroju.

- Łatwo wam mówić. Wy nie musicie wychodzić za mąż wbrew swojej woli!

Na niebie rozlega się łoskot, a my siedzimy w różnych kątach jaskini, razem, lecz samotne.

-Opowiedzieć wam historię? Nową i straszną? Historię o duchach?

Głos. słabe echo w wielkiej jaskini, należy do Felicity. Dziewczyna

obraca się na głazie twarzą do nas i obejmuje ramionami zgięte kolana, przyciągając je blisko do siebie.

- Jesteście gotowe? Mogę zaczynać? Dawno, dawno temu były sobie cztery dziewczynki. Jedna była ładna. Jedna bystra.

Jedna urocza, a ostatnia... - Zerka na mnie. - Ostatnia była tajemnicza.

Lecz wszystkie zostały okaleczone. Z każdą coś było nie tak. Zła krew. Wielkie marzenia. Och, zapomniałam. Powinna wspomnieć o tym wcześniej. Wszystkie te dziewczyny za dużo marzyły.

- Felicity...- odzywam się, ponieważ to ona, a nie jej opowieść, zaczyna mnie przerażać.
- Chciałyście historii, więc będziecie ją miały. - Piorun oświetla jaskinię, kąpiąc połowę jej twarzy w świetle, a drugą pozostawiając w cieniu. - Dziewczęta spotykały się noc w noc. I grzeszyły. Wiecie, jaki grzech popełniały? Nikt nie wie? Pippa? Ann?
- Felicity... - W głosie Pippy słychać zdenerwowanie. - Wracajmy do domu i napijmy się herbaty. Tu jest za zimno.

Głos Felicity narasta, wypełnia przestrzeń wokół nas niczym bicie dzwonu.

- Ich grzech polegał na tym, że wierzyły. Wierzyły, że mogą być inne. Wyjątkowe. Wierzyły, że mogą zmienić to. Jakie są - zranione i niekochane. Odrzucone. Chciały stać się żywe. uwielbiane. potrzebne. Niezbędne. Ale to nie było możliwe. To historia o duchach, pamiętacie? To tragedia.

Wraca błyskawica, potężna, jeden, dwa, trzy błyski, które pozwalają mi zobaczyć twarz Felicity błyszczącą od łez, z ciekającym nosem.

- Zostały wprowadzone w błąd. Zdradzone przez własne głupie nadzieje. Nic nie mogło się dla nich zmienić, ponieważ tak naprawdę wcale nie były wyjątkowe. Życie więc je poniosło, poprowadziło, a one poszły za nim, wiecie? Wyblakły we własnych oczach, aż stały się niczym więcej niż żywymi duchami, dręczącymi się nawzajem tym, co mogło być. Ale nie będzie. - Głos Felicity robi się miękki jak puch. - No i proszę, czy to nie najstraszniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałyście?

Deszcz pada bezlitośnie, a jego szum miesza się ze zdławionym szlochem Felicity. Ann przestała maltretować swoje dłonie. Wpatruje się przez płomień w ścianę jaskini, która pokazuje jej historie i niczego nie obiecuje. Pippa obraca pierścionek zaręczynowy na palcu z taką zaciekłością, że zaczynam się bać, iż go złamie. Może to monotonna ulewa doprowadza mnie do szału. Może myśl o uroczej Pippie poślubionej mężczyźnie, którego nie kocha i który jej nie kocha, a tylko chce ją posiadać. Może to wyobrażenie Ann marnującej głos w pracy dla napuszonych arystokratów i ich nienawistnych dzieci. Albo Felicity próbującej powstrzymać łzy. A może dlatego że każde słowo, które wypowiedziała, było prawdą. Niezależnie od powodu zastanawiam się teraz nad rozwiązaniem, nad tym, jak przynieść magię z międzyświata. Myślę o tych dzisiejszych matkach, mających bogate suknie i ubogie życie. I myślę o ostrzeżeniu mojej mamy, że nie jestem jeszcze gotowa w pełni używać swojej mocy.

Och, jestem, mam. Jestem.

Na zewnątrz kolejna fala grzmotów dudni ostrzeżeniem i modlitwą.

Wszędzie wokół mnie w półmroku znajdują się symbole wydrążone w skale potem i krwią kobiet, które istniały przed nami. Ich szepty ponaglają mnie jednym słowem.

Uwierz.

Widzę błysk niechcianego pierścionka Pippy. Słyszę wysięk, z jakim Ann oddycha przez usta. Czuję rozpacz i niewypowiedziane życzenia rozpluwające się w ciszy.

Musi być coś lepszego niż to.

Mój głos wznosi się ku niewidocznemu sklepieniu jaskini niczym ptak zrywający się do lotu.

- Jest sposób, żeby to wszystko zmienić...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Jesteś pewna, że wiesz, jak korzystać z tych runów? - pyta Ann, gdy ustawiamy świeczki w środku naszego kręgu.

- Oczywiście, że wie! Nie próbuj jej przestraszyć - karci ją Pippa. - Wiesz, prawda?

- Nie. Ale Mary i Sara to zrobiły. To nic może być zbyt trudne. Mama powiedziała, że po prostu kładzie się dłonie na runach, a wtedy...

... wtedy... - Co wtedy? Magia wlewa się w człowieka. Niewiele tego jak na początek.

Felicity zajmuje miejsce obok mnie. Przestała już płakać.

- Spróbujemy i zobaczymy. To wszystko. Tylko drobna próba - mówię, jakbym chciała przekonać samą siebie.

#

Wchodzimy do międzyświata przez nasze drzwi ze światła i jak najszybciej kierujemy się do grotty.

Kryształ runów wznoszą się przed nami, wysokie i imponujące. Są strażnikami strzegącymi sekretów niebios.

- Nie widziałam nikogo po drodze - mówi zasapana Felicity.

- To oznacza, że zapewne nikt nie widział nas - Stwierdza Pippa.

Obiecuj mi, że nie zabierzesz magii z międzyświata. Gemmo...

Obiecałam jej. Ale przecież nie mogę skazać moich przyjaciółek na puste życie.

Magia nie była używana od bardzo dawna. Trudno przewidzieć, co może się stać.

Co nie oznacza wcale, że stanie się coś strasznego. Może mama niepotrzebnie się martwi. Będziemy bardzo ostrożne i żadne paskudztwo nie znajdzie sposobu, żeby wejść do środka.

Pojawia się łowczyni.

- Co robicie?

Pippa wydaje okrzyk zaskoczenia.

- Nic - odpowiadam zdecydowanie za szybko. Milczy, obserwując nas.

- Będiesz dzisiaj polowała? - zwraca się w końcu do Felicity.

- Dzisiaj nie, jutro - odpowiada dziewczyna.

- Jutro - powtarza łowczyni. Odwraca się i odchodzi w stronę srebrnego łuku. Tylko raz zerka do tyłu z zaciekawionym wyrazem twarzy, a potem znika.

- Było blisko - zauważa Ann, wypuszczając oddech.

- Tak. Myślę, że musimy działać szybko - mówię.

- Jak sądzisz, co się z nami stanie? - w głosie Pippy brzmi lęk.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - oświadczam, podchodząc bliżej do runów. Czuję, jak ich energia mnie przyzywa. Dotknę ich tylko na sekundę lub dwie, nie dłużej. Co może się stać w tak krótkim czasie?

Dziewczęta kładą na mnie ręce. Jesteśmy ze sobą połączone, jak części jakiegoś nowomodnego aparatu, który wytwarza światło elektryczne.

Powoli przykładam dłoń do emanujących ciepłą siłą kryształów, które brzęczą pod moim dotykiem.

Wrażenie jest mocniejsze, niż sobie wyobrażałam. Runy lśnią, początkowo słabo, potem coraz mocniej.

Blask szybko formuje wirujący słup, który krąży wokół, a potem mnie ogarnia. Wyczuwam w sobie

obecność przyjaciółek - szybkie pulsowanie krwi w ich żyłach. Nasze serca biją jednym rytmem.

Jak konie galopujące po wybielonych przez zimę polach, gnane nadzieją pędzimy naprzód, zachłystując się wolnością. Krzyk myśli przelatuje obok mnie, przypominając świst rozpedzonej lokomotywy.

Różne głosy, różne języki mieszają się, tworząc rozedrgany pomruk.

Za szybko. Nie mogę tego wszystkiego przyswoić. To może mnie złamać. Muszę się wyrwać, ale nie potrafię.

I wtedy świat się rozpada.

Ogromne nocne niebo spowija nas niczym koc. Stoimy na szczycie góry. Chmury pędzą nad naszymi głowami z nieprawdopodobną prędkością, skręcając się i rozprostowując. Silny wiatr ryczy, rozwiewając nam włosy. A jednak lęk nie istnieje. Nic we mnie nie jest już takie samo. Każda komórka ciała jest niezwykle świadoma, wszystkie zmysły wyostrzone. Nie musimy nic mówić. Potrafimy odbierać uczucia pozostałych.

Nagle spoglądam w twarz Felicity - jej szare oczy wydają się ogromne, a ich czarny środek porusza się i zaczyna wirować, wciągając mnie do środka, gdzie unoszę się nad otwartym morzem. Góry lodowe wynurzają się spośród fal, a w pobliżu słychać wołanie wielorybów. Jak ciecz zostaje wlana do tego morza, pochłonięta w całości, a potem wypadam przez dno w londyński półmrok. Podo mną znajduje się Tamiza, nakrapiana ulicznymi światłami. Lecę. Lecę! Wszystkie lecimy, unosimy się tak wysoko, że kominy i dachy znaczą nie więcej niż monety wrzucone do rynsztoka. Zamknij oczy.

Zamknij oczy. Gemmo. Budzę się na pustyni pod księżycem w pełni. Wydmy unoszą się i opadają niczym oddech, a moje stopy zapadają się w nich. Rozpływam się w ciepłym brązowym piachu.

Dotknięciem zamieniam delikatne piaskowe ziarenku w miękką skórę. Ciało Kartika toczy się podo mną jak równina. Jest krainą, przez którą chcę podróżować - rozległą, niebezpieczną i nieznaną. Kiedy się całujemy, znów ulatuję, z powrotem na szczyt góry, gdzie stoją Felicity. Pippa i Ann, które też wróciły z własnych podróży, a mimo to czujemy, jakbyśmy nigdy nie opuszczały tego miejsca. Uśmiechamy się do siebie. Muskamy się czubkami palców, podajemy sobie dłonie. Pojawia się oślepiające białe światło. A potem nie ma już nic więcej.

#

- Gemmo, obudź się. - Ann potrząsa mną delikatnie. Stopniowo skupiam wzrok na fragmentach naszej sypialni: sufit, szare światło za oknem, zniszczona drewniana podłoga. Wracają do mnie niejasne wspomnienia ostatniej nocy - międzyświat. runy, dziwna mina łowczyni, nasza czwórka ślaniająca się w drodze powrotnej

- ale przede wszystkim mam w głowie mgłę. Straciłam wszelką orientację w czasie i przestrzeni.

- Która godzina? - mamroczę.

- Pora na śniadanie.
To niemożliwe - myślę, pocierając czoło.
- A jednak możliwe - odpowiada Ann. Dziwne.
- Skąd wiedziałaś, o czym pomyślałam? - pytam.
- Nie wiem - odpowiada, szeroko otwierając oczy. - Usłyszałam to w głowie.
- Magia... - mówię, siadając prosto. Do pokoju wpadają Felicity i Pippa.
- Spójrzcie na moją sukienkę - prosi rozpromieniona Pippa. Na rąbku widać wielką plamę po trawie.
- A to pech, Pip - mówię. Nadal uśmiecha się jak kretynka. Zamyka oczy i po sekundzie plamy już nie ma.
- Sprawiałaś, że zniknęła - zauważa ze zdumieniem Ann. Pippa uśmiecha się jeszcze promiennie.
Wykręca spódnicę w jedną i w drugą stronę, tak aby było ją dokładnie widać w świetle.
- A więc udało się nam - oznajmiam. - Przyniosliśmy magię z międzyświata.
I wszystko jest w porządku.

#

Ubieram się w rekordowo krótkim czasie. Przemykamy korytarzem i klatką schodową niczym powiew wiatru, szepcząc do siebie półowki zdań, które jakimś cudem kończymy w głowach.
Jesteśmy tak poruszone naszym odkryciem, że nie możemy przestać chichotać.
Figurka małego kupidyna przysiadła w niszy pod schodami.
- Chcę się trochę rozerwać - mówi Pippa, zatrzymując nas. Zamyka oczy, macha rękami nad amorkiem z gipsu, któremu wyrastają całkiem spore piersi.
- Och, to obrzydliwe, Pip! - wola Felicity. Wybuchamy śmiechem.
- Pomyślcie, jakie to otwiera możliwości zmian w wystroju! - woła Pippa, histerycznie chichocząc.
Od strony korytarza zbliża się do nas Brigid.
- Dobry Boże, napraw to szybko! - szepczę.
Wpadamy na siebie, próbując jakoś zasłonić to szkaradzieństwo.
- Nie potrafię tego zrobić pod presją! - w panice oznajmia Pippa
- No, panienki, co to za hałasy? - Brigid wspiera dłonie na biodrach. - A co tam mają? Niech się odsuną i pokażą.
Z niechęcią wykonujemy jej polecenie.
- Co to, na Boga, ma być? - Brigid unosi statuetkę najbrzydszej na świecie tancerki wykonującej kankana, uprzednio będącej kupidynem z biustem.
- To ostatni krzyk mody z Paryża - chłodno wyjaśnia Felicity. Brigid odstawia figurkę na miejsce w niszy.
- Na śmietnik by się nadało, jeśli o mnie chodzi. Oddała się. a my znowu zaczynamy chichotać.
- To najlepsze, na co było mnie stać w tych okolicznościach - usprawiedliwia się Pippa.

#

Ody schodzimy na śniadanie i zajmujemy miejsca za długim stołem, wszystkie głowy odwracają się w naszą stronę. Cecily nie może oderwać wzroku od Ann.
- Ann, czy to nowa suknia? - pyta, między kęsami bekonu. Przyszłyśmy za późno, więc dla nas została tylko owsianka.
- Nie - odpowiada Ann.
- A może zmieniłaś fryzurę? Ann kręci głową.
- W każdym razie tak jest znacznie lepiej, niezależnie od powodu. Ta uwaga wywołuje nerwowe chichoty wśród dziewcząt. Cecily znów poświęca całą uwagę bekonowi. Felicity z hałasem odkłada łyżkę.
- Jesteś bardzo nieuprzejma, Cecily. Wiesz o tym? Chyba nie powinnaś już dzisiaj nic mówić.
Cecily otwiera usta, żeby odpyskować Felicity, ale nie rozlega się żaden dźwięk. Może tylko szeptać. Unosi rękę do gardła.
- Cecily, co się dzieje? - Elizabeth podaje jej wodę.
- Kot połknął jej język - wyjaśnia Felicity, uśmiechając się sztucznie.
- Fee, będziesz kiedyś musiała oddać Cecily głos - napomina ją Pippa, gdy idziemy na francuski.
Felicity kiwa głową.
- Wiem. Ale przyznacie chyba, że tak jest znacznie lepiej.

#

Gdy wchodzimy do klasy, mademoiselle LeFarge ma na twarzy wyjątkowo sadystyczny uśmiech. To nie wróży dobrze.

- Bonjour, mes filles. Dzisiaj mamy konwersacje, żeby sprawdzić, jak płynnie mówicie po francusku.

Konwersacje. W tym jestem absolutnie najgorsza, więc zastanawiam się, jak długo uda mi się pozostać niezauważoną. Elizabeth podnosi rękę.

- Mademoiselle, Cecily straciła głos.

- Naprawdę? To stało się dość nagle, mademoiselle Temple. Cecily znów próbuje coś powiedzieć, ale bezskutecznie. Ann uśmiecha się do niej lekko, co wprawia Cecily w wyraźne przerażenie.

Szybko wtyka nos w książkę.

- Bardzo proszę - mówi mademoiselle LeFarge - mademoiselle Doyle, pani pierwsza.

No to po mnie. Błagam, obym sobie jakoś poradziła! Żołądek mi się skręca w precel. Być może nadszedł ten dzień, w którym mademoiselle przesunie mnie do niższej klasy. Ciska we mnie pytaniem na temat Sekwany i czeka na odpowiedź. Gdy otwieram usta, wszystkie przeżywamy wstrząs. Mówię po francusku jak paryżanka i okazuje się, że mnóstwo wiem na temat Sekwany. A tak że francuskiej geografii.

Monarchii. Rewolucji. Czuję się taka bystra, że chętnie bym mówiła przez całą lekcję, ale w końcu mademoiselle LeFarge dochodzi do siebie i z wrażenia łamie własne zasady.

- To było niezwykle, mademoiselle Doyle! Naprawdę niezwykle! - zachwyca się po angielsku. - Jak widzicie, drogie panie, gdy robicie coś z zapałem, rezultaty mówią same za siebie! Mademoiselle Doyle, dzisiaj otrzyma pani trzydzieści plusów. To rekord na moich zajęciach!

Ktoś powinien zamknąć buzie Marcie, Cecily i Elizabeth, zanim spadnie deszcz i potopią się jak indyki.

#

- Co robimy teraz? - pyta Pippa, gdy zajmujemy miejsca, czekając na polecenia pana Grunewalda.

- Myślę, że kolej na Ann - odpowiadam. Ann błędnie.

- N-na mnie? N-nie wiem...

- Daj spokój. Nie chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, co potrafisz? Marszczy czoło.

-Ale to nie będę ja, prawda? To będzie magia. Tak jak z twoim francuskim.

Ta uwaga wywołuje rumieńce na moich policzkach.

-Trochę mnie poniosło. Ale ty naprawdę potrafisz śpiewać, Ann. To będziesz ty u szczytu swoich możliwości.

Ann zachowuje sceptycyzm. Nerwowo przygryza wargę.

- Chyba nie potrafię.

Przerywa nam pojawienie się niskiego, przysadzistego Austriaka.

Pan Grunewald jest zazwyczaj w jednym z dwóch humorów: w paskudnym lub paskudniejszym. Dzisiaj przerasta sam siebie, prezentując nastrój najpaskudniejszy.

- Przestańcie tyle gadać! - warczy, przeczesując dłonią rzedniejące siwe włosy. Wzywa nas jedną po drugiej na środek klasy, żebyśmy śpiewały ten sam hymn. Jedną po drugiej niemalże miażdży swoją krytyką. Nasze samogłoski są zbyt płaskie, a nasze usta niewystarczająco otwarte. Mój głos załamuje się na wysokiej nucie, a on krzyczy głośno: „Au!”, jakby cierpiał katusze. W końcu nadchodzi kolej Ann.

Początkowo jest onieśmielona. Pan Grunewald pokrzykuje i narzeka, co wcale nie pomaga. Niemalże błagam, żeby Ann pozwoliła swojemu głosowi ulecieć. Śpiewaj, Ann. Dalej! I Ann zaczyna śpiewać.

Jest tak, jakby ptak opuścił gniazdo, wzniósł się wysoko i swobodnie.

Wszystkie siedzimy milczące i pełne zachwytu. Nawet pan Grunewald przestaje zrzędzić. Wpatruje się w Ann z wyrazem absolutnej radości na twarzy.

Jestem z niej taka dumna! Jak moja mama mogła nam nie pozwalać korzystać z magii? Jak mogła uważać, że nie jesteśmy na to gotowe?

Kiedy Ann kończy, pan Grunewald bije brawo. Ten człowiek, który nigdy nie uderzył dłonią o dłoń, żeby wyrazić uznanie, oklaskuje Ann. Dołączają do niego wszystkie dziewczęta. Widzą ją teraz

inaczej, stała się kimś. A czy nie tego właśnie wszyscy pragną?

By ich zauważono?

#

Pławimy się w chwale tego dnia aż do wieczora. Dopiero wtedy czujemy, jak resztką magii wycieka z naszych ciał, pozostawiając je w stanie wyjątkowego wyczerpania. Gdy siedzimy w wielkim salonie, pani Nightwing bacznie przygląda się Pippie. - Panno Cross, wygląda pani na bardzo zmęczoną.

- Bo jestem bardzo zmęczona, proszę pani. - Pippa się rumieni.

Pani Nightwing nie ma pojęcia, co się dzieje, kiedy ona odsypia swoje sherry.

- Musi się pani dzisiaj dobrze wyspać. Chyba chce pani pięknie wyglądać, gdy pan Bumble przyjedzie jutro w odwiedziny?

- Och, zapomniałam, że ma przyjechać - lamentuje Pippa, gdy wlecemy się do łóżek.

Ann kocim ruchem wyciąga ramiona nad głowę. -Dlaczego nie możesz się go pozbyć? Powiedzieć mu wprost, że nie jesteś zainteresowana?

- To powinno bardzo ucieszyć moją matkę - ironizuje Pippa.

- Mogłybyśmy wrócić do międzyświata i sprawić, że staniesz się odrażająco brzydka - podpowiada Felicity.

- Wielkie dzięki!

Docieramy do podestu. Sufit pokryty jest smugami sadzy w miejscach, w których znad latarni gazowych unosi się dym. Zabawne, że nie zauważyłam tego wcześniej.

- No więc dobrze. Pożegnaj się z panem Doskonałym i zostań żoną prawnika - mówi Felicity, uśmiechając się szyderczo.

Śliczna twarz Pippy wyraża zmartwienie, ale po chwili zmarszczone rysy wygładzają się. Na jej obliczu widać nową determinację.

- Mogłabym po prostu powiedzieć mu prawdę o mojej epilepsji Ściany też są pobrudzone. Tak wielu rzeczy nie zauważyłam.

- Przyjeżdża z wizytą jutro o jedenastej - ciągnie Pippa. Felicity kiwa głową.

- Więc każemy mu się wynosić, tak?

Ziewając, mijam aż nazbyt znajome fotografie przedstawiające do połowy wyblakłe kobiety. Ale dziś jest wieczór, w którym dostrzegam różne rzeczy po raz pierwszy. Jedno ze zdjęć w surowej czarnej ramie zaczęło się wyginać i marszczyć za szkłem, prawdopodobnie z powodu wilgoci. Niedługo ulegnie pełnemu zniszczeniu. Ale jest coś jeszcze. Gdy przyglądam się bliżej, zauważam na ścianie brudny ślad w miejscu, w którym kiedyś wisiał piąty portret.

- To dziwne - mówię do Ann.

- Co? - ziewa ona. - Spójrz na tę ścianę. Widzisz ślad? Tu wisiała jeszcze jedna fotografia.

- No to wisiała. I co z tego? Może im się znudziła?

-A może to brakująca klasa z 1871: Sara i Mary? - zastanawiam się.

Ann odchodzi w stronę pokoju, przeciągając się i ziewając.

- Dobrze. Więc jej poszukaj.

Tak. może to zrobić. Nie wierzę, że to zdjęcie nie istniało. Uważam, że zostało usunięte.

#

Śpię niespokojnie i mam dziwne sny. Widzę w chmurach twarz mojej mamy, miękką i jasną, a potem obłoki rozstępują się. Niebo się zmienia i pęcznieje w szarą bestię z dziurami zamiast oczu. Wokół robi się ciemno. Wtedy pojawia się dziewczynka. Biel jej fartucha i barwy egzotycznej sukni wyraźnie wyróżniają się w mroku.

Obraca się powoli, a z nieba zaczyna padać. To karty. Pada deszcz kart do tarota, które zaczynają płonąć w locie. Nie, nie chcę tego snu.

Odszedł. Znów śni mi się Kartik. To sen pełen pragnień. Nasze usta znajdują się wszędzie naraz.

Pocałunki są gorączkowe i mocne.

Kartik szarpie materiał mojej koszuli nocnej, obnażając skórę szyi. Pieści ustami niewielkie wgłębienie, lekko kęsając, co trochę boli, ale przede wszystkim rozpala ogień. Toczymy się razem w płątanie rąk, języków, palców i ust. Narasta we mnie takie napięcie,

że mam wrażenie, iż zaraz eksploduję. A kiedy czuję już, że tego nie zniosę ani chwili dłużej, budzę się gwałtownie. Koszula oblepia moje ciało. Oddech mam płytki. Układam ręce sztywno po bokach i nie ruszam się przez bardzo długi czas, aż w końcu zasypiam i o niczym nie śnię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZEWIĄTY

Pan Bumble przyjeżdża z wizytą do Pippy punktualnie o godzi nie jedenastej. Jest wystrojony w porządną czarną płaszcz, sztywną koszulę i fular. Na buty ma włożone czyste białe getry, a w dłoni trzyma wyszczotkowany melonik. Gdybym nie wiedziała, jak się sprawy mają, przypuszczałabym, że jest kochającym ojcem, który odwiedza młodszą córkę, a nie przyszłą żonę.

Pani Nightwing przygotowała mały salonik. Wzięła ze sobą ro bótkę i zamierza posiedzieć w kącie jako milcząca przyzwoitka. Ale to też przemyślałyśmy. Felicity ma nagły, potworny atak bólu brzu cha. jest na górze i cierpi katusze. Istnieje obawa, że to atak wy rostka, więc pani Nightwing nie ma wyboru i musi natychmiast po pędzić do jej łóżka. A ja mam zostać przyzwoitka w zastępstwie. Tak więc siedzę cichutko z książką, a malowana na różowo filiżan ka drży w dłoniach Pippy.

Pan Bumble przygląda się jej, jakby oceniał kawałek gruntu, który może kupić.

- Zakładam, że pierścioneł panią zadowolili? - To nie pytanie, lecz szansa, aby skomplementować jego gust.

- Och, tak - odpowiada z roztargnieniem Pippa.

- A pani rodzina? Czuje się dobrze?

- Tak, dziękuję.

Kaszlę i posyłam Pippie ponaglące spojrzenie. Dalej, załatw sprawę. Słyszcząc moje kaszlnięcie, pan Bumble uśmiecha się do mnie blado. Kaszlę jeszcze raz i pogrążam się w lekturze.

- Mam nadzieję, że pani też ma się dobrze - naciska Bumble.

- Och, tak - odpowiada Pippa. - To znaczy nie. Zaczynamy.

Jego filiżanka zatrzymuje się w pół drogi.

- Och? Mam nadzieję, że to nic poważnego, moja droga. Pippa unosi chusteczkę do ust, jakby nie panowała nad uczu ciami. Mogłabym przysiąc, że roni prawdziwe łzy. Gra bardzo do brze i muszę przyznać, że jestem pod sporym wrażeniem.

- O co chodzi, moja droga? Możesz zwierzyć się mnie, swoje mu narzeczonemu.

- Pan jest taki dobry, a ja pomagałam pana oszukać! Prawnik cofa się odrobinę, a jego głos nagle brzmi chłodno.

- Słucham, w jaki sposób?

- Chodzi o moją chorobę. Mam potworne ataki, które zdarzają się w najmniej spodziewanych momentach.

Pan Bumble sztywnieje.

-Od... od jak dawna ma pani tę... przypadłość?

Jego dobrze wychowane usta z trudem wypowiadają to słowo.

- Obawiam się, że od urodzenia. Moi biedni rodzice wiele wy cierpieli. Ale ponieważ jest pan takim honorowym człowiekiem, serce nie pozwala mi dalej ciągnąć tego oszustwa.

Brawo! Brytyjska scena traci w jej osobie doskonałą aktorkę. Pippa spogląda na mnie ukradkiem. W odpowiedzi uśmiecham się z aprobatą.

Pan Bumble wygląda dokładnie tak, jak człowiek, który kupił piękny okaz porcelany, przyniósł go do domu i tam zauważył pęk nięcie.

- Jestem mężczyzną honorowym. Wywiązuję się ze zobowią zań. Natychmiast porozmawiam z pani rodzicami.

Pippa chwyta go za rękę.

- Och, nie. Proszę! Nigdy by mi nie wybaczyli, że powiedziałam panu prawdę. Proszę zrozumieć, że robię to tylko dla pańskiej go dobra.

Spogląda na niego błagalnie swoimi ogromnymi oczami. Jej urok wywiera pożądany efekt.

- Rozumie pani, że gdybym zerwał zaręczyny, to pani reputa cja, pani cnota, zostałyby podana w wątpliwość.

Ach, tak. Nikt nas nie zechce, jeżeli cnota będzie budziła wątpliwości. Boże broń!

- Tak - odpowiada Pippa, spuszcżając oczy. - Dlatego uwa żam, że najlepiej będzie, jeśli to ja odmówię panu. - Zsuwa pier ścionek z palca i opuszcza na jego dłoń. Czekam, żeby się przeko nać, czy będzie błagał ją, aby się zastanowiła, czy będzie ślubował miłość mimo jej choroby. Jednak wydaje się raczej, że czuje ulgę, a jego głos brzmi arogancko.

- Co zatem mam powiedzieć pani rodzicom?

- Proszę powiedzieć, że jestem za młoda i za głupiutka, by zo stać żoną, a pan zachował się na tyle szlachetnie, że pozwolił mi wszystko zakończyć i uratować reputację. Nie będą wywierali na pana presji. Pippa nigdy nic wyglądała tak ślicznie jak w tej chwili - z wyso ko uniesioną głową i triumfalnie lśniącymi oczami. Choć raz nie dryfuje, lecz płynie pod prąd.

- A więc dobrze. Wchodzi pani Nightwing.

- Och, panie Bumble, bardzo mi przykro, że kazałam panu cze kać. Jedna z dziewcząt miała atak hysterii, ale już jej chyba lepiej.

- Nic nie szkodzi, pani Nightwing. Właśnie wychodzę.

- Już? - Pani Nightwing jest bardzo zdziwiona.
- Tak. Obawiam się, że pewna pilna sprawa wymaga mojej uwagi. Drogie panie, życzę miłego dnia. Zmieszana, ale jak zawsze uprzejma pani Nightwing odprowadza go do wyjścia.
- Jak mi poszło? - pyta Pippa, zapadając się w fotel, jakby była zrobiona z ołowiu.
- Fenomenalnie! Nawet panna Lilly Trimble nie poradziłaby sobie lepiej.
- Pippa ogląda swój nagi palec.
- A jednak szkoda pierścionka.
- Mogłaś poczekać, aż poprosi, żebyś go oddała!
- Nie zrobiłby tego.
- No właśnie!
- Śmiejemy się wesoło, kiedy wchodzi pani Nightwing z podejrzliwą i drapieżną miną.
- Pippo, czy między tobą i panem Bumble wszystko układa się tak jak uprzednio? Pippa głośno przełyka ślinę.
- Tak, proszę pani.
- To gdzie, powiedz, proszę, podział się twój pierścionek? Nie doszliśmy tak daleko w naszych planach - nie omówiliśmy, jak wyjaśnić wszystkim zniknięcie pierścionka. Obawiam się, że wpadliśmy. Ale Pippa unosi brodę, a na jej ustach błąka się cień uśmiechu. - Ach, pierścionek... Miał skazę.

#

Siedzimy osłonięte kolorowymi szalami w prywatnym kąciку Felicity. Pippa i ja zdajemy relację z wydarzeń tego ranka, wchodząc sobie w słowo, a czasami mówiąc równocześnie.

- A wtedy Pippa powiedziała...
- Że miał skazę!
- Śmiejemy się, dopóki starcza nam sił, aż bolą nas od tego brzuchy.
- Och, wyborne - przyznaje Felicity, ocierając łzy z oczu. - Mijmy nadzieję, że więcej już nie zobaczymy nieszczęsnego pana Bumble'a.
- Pana Bartleby'ego Bumble'a - Pippa wypluwa twarde B, - Wyobrażacie sobie coś równie potwornego? Znow się śmiejemy, aż nasz śmiech przechodzi w westchnienia.
- Gemmo, chcę znow tam iść - mówi Felicity, gdy zapada cisza. Ann kiwa głową.
- Ja też.
- Możemy przesadzić, robiąc to znowu tak szybko - odpowiadam.
- Nie bądź marudna - błaga Ann. Felicity potakuje.
- Tak, w końcu nic strasznego się nie stało. I pomyśl, jak cudownie było czuć całą tą moc w palcach. Może twoja mama robiła poprostu to, co matki robią najlepiej, czyli niepotrzebnie się martwiła?
- Może - odpowiadam. Muszę przyznać, że zakochałam się w uczuciu, jakie daje magia runów. Jeszcze jedna wizyta nie może zaszkodzić. A potem obiecuję przestać i postępować tak, jak każe mama.
- No dobrze - odpowiadam. - A zatem do jaskini.
- Och, szczerze mówiąc, jestem zbyt zmęczona, żeby ganiać dziś po lesie - grymasi Pippa.
- mogłybyśmy to zrobić teraz, tutaj - sugeruje Felicity.
- Pippa szeroko otwiera oczy.
- Oszalałaś? W towarzystwie pani Nightwing i wszystkich innych uczennic?
- Felicity unosi palcem szal. Dziewczęta zebrane wokół ciepłego ognia w grupkach po trzy i po cztery w ogóle nie zwracają na nas uwagi.
- Nawet nie zauważają, że nas nie ma.

#

Ruszamy na przejażdżkę na górski szczyt, zapadając się w siebie i nawet nie próbując się zatrzymać. Przeżywamy tylko jeden trudny moment. Jestem syreną i unoszę się nad roziskrzonym morzem, ale kiedy spoglądam w dół, woda ukazuje twarz mojej mamy, napiętą i przestraszoną. Nagle ogarnia mnie lęk i pragnę się zatrzymać. Ale w następnej chwili zanosi nas do namiotu Felicity. Oczy nam lśnią, cerę mamy różaną i znowu tajemniczo się uśmiechamy. Nasze ciała są niczym rozkoszne westchnienia wiatru, gdy stoimy w wielkim salonie, zupełnie niewidzialne. Och, Boże, jakież to jest wspaniałe, a jednocześnie przerażające! Wokół nas ruch w pokoju zwolnił do letargicznego tempa pozytywki kończącej grać melodię. Dziewczęta mówią głębkimi głó sami i wydają

się, że potrzebują całego życia, żeby wypowiedzieć jedno słowo. Pani Nightwing siedzi w swoim fotelu i czyta na głos Davida Copperfelda młodszym dziewczynkom. Pokusa jest dla mnie zbyt silna. Niezwykle delikatnie muskam palcem jej ramię. Nie przerywając czytania, wolno, wolno unosi drugą rękę i kładzie ją tam, gdzie jej dotknęłam. Drapie to miejsce, jakby podrażniło ją ukąszenie owada, na które zareagowała i natychmiast o nim zapomniała. To nadzwyczajne.

Pippa wydaje cichy okrzyk radości.

- One nas nie widzą! Jakby nas tu w ogóle nie było! Och, tyle rzeczy chciałabym zrobić...

- To je zrobimy - proponuje Felicity, unosząc brwi. A następnie wyciąga rękę i przekłada książkę trzymaną przez panią Nightwing do góry nogami. Chwilę trwa, zanim do dyrektorki dociera, co się stało, a wtedy czuje się kompletnie zbита z tropu. Dziewczęta u jej stóp zakrywają usta, żeby stłumić chichoty.

- Dlaczego wszystko dzieje się tak powoli? - pytani, opierając dłoń o marmurową kolumnę. Kamień wykręca się pod moimi palcami, więc szybko cofam rękę.

Kolumna ożyła.

Setki maleńkich marmurowych wróżek i satyrów poruszają się po jej powierzchni. Odrażający mały gargulec rozpościera skrzydła i przechyla głowę na bok.

- Teraz widzicie wszystko takim, jakie naprawdę jest - mówi. - Inni myślą, że to tylko sen. Ale to oni żyją we śnie, a nie my.

Pluje i wyciera nos w skrzydło.

- Ble - wzdryga się Felicity. - Ohyda. Mam ochotę go rozgnieść.

Gargulec z piskiem ucieka, wlatując wyżej na kolumnę. Lśniący chochlik o żółtych oczach uśmiecha się do mnie. - A może nas uwolnisz? - Jego głos przypomina miękki po mruk.

- Uwolnię?

- Jesteśmy tu uwięzieni. Uwolnij nas, tylko na chwilę, żebyśmy mogli rozprostować skrzydła.

- Dobrze - odpowiadam. W końcu wydaje się to rozsądną prośbą. - Jesteście wolni.

Z piskami i okrzykami wróżki oraz nimfy zbiegają w dół kołomy niczym fala wody, a potem rozpierzchają się po podłodze, zbierając resztki sera, okruszki chleba, zagubioną bierkę szachową. Następuje kompletne szaleństwo z tymi wszystkimi stworami latającymi i biegającymi na swobodzie!

- O raju! - piszczy Pippa.

Satyr wielkości mojego kciuka podchodzi do dziewczynki się dzącej na dywanie. Podnosi rąbek jej spódnicy i opuszcza go z luźnym okrzykiem.

- Taka słodka i pulchna - mruczy.

- Jakie paskudne stwory - śmieje się Felicity. - Damy ze Spence czeka bardzo niegodne traktowanie.

- Nie możemy im na to pozwolić - mówię, ale mnie też bawią ich figle. Jednak gdy satyr zaczyna się wspinać po łędzie dziewczynki, podnoszę go w palcach. - Nie, nie zrobisz tego - upominam go we soło.

Wije się i przeklina, protestując. W jednej chwili jego twarz przeobraża się w demoniczną maskę i maluch zatapia ostre zęby w deli katnej skórze mojego nadgarstka. Upuszczam go z okrzykiem bólu. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy nagle zrobił się większy? Felicity obok mnie ze zdumienia wstrzymuje oddech i teraz już wiem, że to prawda - bestia rośnie. W końcu pochyla się nad nami, a jego zwieńczona rogami głowa dotyka sufitu.

- Sprawdzimy, jaki macie smak, słodki czy kwaśny - mówi głębokim, zgrzytliwym głosem.

- Co się dzieje? - piszczy Pippa. - Zrób coś!

- Koniec, natychmiast! - wołam. Satyr tylko się śmieje, widząc nasz lęk.

Pippa ze strachu przytula się do mnie.

- To nie działa! Dlaczego to nie działa?

- Nie wiem! - odpowiadam krzykiem. Korzystanie z magii jest bardziej skomplikowane, niż myślałam.

- Wiedziałam, że to zły pomysł - jęczy Pippa. Czy to przypadek, czy nie ona chwilę wcześniej błagała, żeby to zrobić?

- Musimy zapędzić je z powrotem na miejsce! - woła Felicity. Gargulec wskakuje na moją nogę. lednym gładkim ruchem

chwytam go za skrzydła i szybko podchodzę do kominka, gdzie unoszę paskudną bestię nad ogniem.

Łobuz krzyczy z przerażenia.

- Powiedz mi, jak to odwrócić. - Przeklina mnie, więc obniżam go odrobinę, żeby płomienie polizały go po nogach. - Powiedz albo cię tam wrzucę! Gargulec wzywa kolegów na pomoc, ale satyr tylko się śmieje.

- Nie wahaj się. Jakie znaczenie ma jeden gargulec? To może się okazać całkiem zabawne.

Opuszczam stwora jeszcze kilka centymetrów niżej.

- Mów! Krzyczy. - Tak, tak! Powiem ci! Powtarzaj za mną: Za swe kłamstwa w marmurze spoczniecie...

Nimfa o nagim biuście wskakuje na półkę nad kominkiem.

- Ty bydlaku! Nie mów nic więcej!

- ...i przez tysiąc lat nie umrzecie.

Nimfa próbuje go uderzyć, ale nie trafia i wpada do ognia, któ ry pochłania ją z trzaskiem i sykiem.

Gargulec wytrzeszcza oczy i woła:

- To wszystko! To jest właściwe zaklęcie!

- No to dalej! Wypowiedz je! - wola Felicity. Satyr zapędził moje przyjaciółki do rogu.

Zaczynam mówić, choć mam zupełnie sucho w ustach:

- Za swe kłamstwa w marmurze spoczniecie...

Pokój wypełniają potworne piski. Bydlątka lubią wolność. Serce bije mi tak szybko, jak one machają skrzydłami, gdy pospiesznie wypowiadam drugą część:

- ...i przez tysiąc lat nie umrzecie!

Satyr zaczyna się kurczyć, aż znowu osiąga rozmiary napařtka. Wróżki, nimfy, gargulce oraz inne bestie pędzą obok nas lub lecą w powietrzu, aż znów przywierają mocno do kolumn, głośno piszcząc przez całą drogę. Plują i przeklinają nas. Powoli marmur ucisza je, a jch rozzłoszczone miny i otwarte usta stanowią jedyna świadectwo tego, co właśnie się wydarzyło.

Cała drzę i pot po mnie spływa. Zresztą wszystkie wyglądamy na śmiertelnie przerażone.

Pippa wzdryga się.

- Nigdy nie lubiłam tego pokoju. Teraz już wiem dlaczego. -Myślę, że mam dość magii jak na jeden wieczór – oświadcza Felicity, ocierając czoło wierzchem dłoni.

Tylko Ann się nie zgadza. Staje obok Cecily i Elizabeth.

- Ostatnia przyjemność.

- Co Chcesz im zrobić? - pyta Pippa. Ann uśmiecha się.

- Nic, na co by nie zasłużyły.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- To powinno... stać się... teraz - mówi Felicity, rozchylając za słony z szalów akurat w chwili, gdy rozlegają się przeraźliwe piski

Cecily i Elizabeth, a po nich przesywający wrzask pani Nightwing.

- Boże litościwi! Dziewczyny są zupełnie nagie, a ich ubrania porozrzucane po całym pokoju: z otomany zwiesza się pończocha, a skłębiona koszula poniewiera się po podłodze. Kiedy uświadamiają sobie swój stan, za czynają piszczeć i próbują osłonić się rękami. Cecily usiłuje użyć Elizabeth jako żywej tarczy, ale ta krzyczy i szarpie przyjaciółkę za włosy.

-Co to ma znaczyć? - grzmi pani Nightwing. Pokój wypełnia się chichotami i oburzonymi sapanięciami.

Dziewczęta pokazują so bie skandalistki palcami. W końcu panna Moore okrywa je kocem, a pani Nightwing wprowadza na korytarz, skąd dobiega jej głos wznoszący się do głośności niemalże operowej.

- To było genialne - ocenia Felicity, uśmiechając się krzywo. Ann promienieje. Jej zemsta była doprawdy słodka. A mnie ogarnia takie pokrętne uczucie, kiedy coś nas cieszy, ale jednocześnie wiemy, że z pewnością będziemy tego później żałować. Staram się o tym nie myśleć. Mój wzrok pada na pannę Moore. Prawdopodobnie odzywa się we mnie nieczyste sumienie, ale pod jej przenikliwym spojrze niem mogłabym niemal przysiąc, że wie, co zrobiliśmy.

Pippa powiedziała właśnie coś, co wywołało kolejną falę histerycznego śmiechu. Nie dosłyszałam, co to było. Przyglądałam się, jak panna Moore kieruje się w naszą stronę.

- Czyżbyśmy zostały osaczone przez hieny? - pyta, wsuwając głowę do namiotu.

Próbujemy się opanować.

- Proszę nam wybaczyć, panno Moore. Nie powinnyśmy się śmiać. Ta manifestacja była w najwyższym stopniu wstrząsająca - mówi Felicity, bardzo się starając, aby w jej głosie nie było słycać śmiechu.

-Owszem, wstrząsająca. I bardzo dziwna - przyznaje panna Moore. Jej spojrzenie znowu spoczywa na mnie, a ja szybko spuszcza wzrok. - Mogę wejść?

- Tak, bardzo proszę - odpowiada Pippa, robiąc miejsce.

- Nigdy nie byłam w środku twojego sanktuarium, Felicity. Całkiem tu miło.

-Znam miejsce, w którym jest znacznie miłej - mówi dziewczyna. Posyłam jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Naprawdę? Czy mogłam je kiedyś zobaczyć?

-Och, raczej nie. To sekretne miejsce. Taki prywatny raj. - Felicity uśmiecha się z rozmarzeniem.

- Lepiej więc mi o tym nie opowiadaj. Nie wiem, czy można by mi zaufać i wpuścić mnie do raju.

Śmieje się w niemalże dziewczęcy sposób. Próbuję sobie wyobrazić, jaka była panna Moore jako dziewczynka. Posłuszna? Okrutna? Zbuntowana? Nieśmiała? Czy miała przyjaciółkę i swoje tajemne

miejsce, w którym znajdowała schronienie przed światem? Czy była do nas podobna?

- Co czytacie? - Pamiętnik leży na widoku. Ann próbuje go zabrać, ale panna Moore jest szybsza. Serce podchodzi mi do gardła, gdy nauczycielka obraca dziennik w dłoniach, przyglądając mu się.

Felicity reaguje błyskawicznie.

-To tylko głupi romans. Znalazłyśmy go w bibliotece. zgodnie z pani sugestią.

- Ja wam to zasugerowałam?

- To znaczy, żebyśmy poszły do biblioteki.

Panna Moore otwiera dziennik. Nie mamy śmiałości spojrzeć na siebie.

- Sekretny dziennik Mary Dowd: moje... - Na podłogę wypada kartka. - Co to jest?

Dobry Boże! Ilustracja! Felicity i ja niemalże wzajemnie powałam się na podłogę w szaleńczym rzucie, żeby złapać zakazany obrazek, zanim panna Moore to zrobi.

- Nic - odpowiada Felicity. - Jakież bazgroły.

- Rozumiem. - Panna Moore przewraca stronę, a potem kolejną.

- Czytamy go sobie po kolei - wyjaśnia Ann. Wszystkie wierci mi się niespokojnie. Nie podnosząc wzroku znad lektury, panna Moore mówi:

- Może przyłączę się dzisiaj do was. Pozwolicie mi? Tak jakbyśmy mogły odmówić.

- Oczywiście - odpowiada matowym głosem Felicity. - Pokażę pani, dokąd dotarłyśmy. Jesteśmy już prawie przy końcu, jak mi się zdaje.

Spojrzenie panny Moore przesuwają się po stronie. Czekanie trwa bez końca, Jestem pewna, że nauczycielka lada moment każe nam się stawić u pani Nightwing. Ale w końcu jej głęboki, ciepły głos wypełnia namiot.

6 kwietnia 1871

Nie da się cofnąć tego, co zrobiliśmy. Dziś wieczór poszłam z Sarą do lasu. Noc rozkwitała, a tłusty księżyc wisiał na niebie. Wkrótce przybiegła do nas córka matki Eleny. Carolina. Obiecałyśmy jej lalkę.

„Przyniosłyście moją lalę?”

„Tak - odpowiedziała Sara. - Jest nowa, czysta i czeka na ciebie tuż za tymi drzewami. Chodź, Carolino, zaprowadzimy cię do niej”.

To bezczelne kłamstwo skrywało nasze podłe zamiary.

Ale dziecko nam uwierzyło. Wzięło nas za ręce i szczęśliwie powędrowało z nami, śpiewając jakąś starą piosenkę.

Gdy dotarłyśmy do szkoły, dziewczynka zapytała:

„A gdzie moja lala?”

„W środku” — odparłam, a moje serce zamieniło się w kamień.

Lecz dziecko przestraszyło się i nie chciało iść dalej.

„Twoja śliczna lala tęskni za tobą, a poza tym mamy pyszne cię gutki” - kusila Sara.

„Pozwolę ci ponosić mój biały fartuch - dodałam, przekładając jej ramiona przez szelki i wiążąc wstążkę na plecach. - Jejuś. jak ślicznie wyglądasz”.

To poprawiło jej nastrój. więc poszła za nami pod kopułę we Wschodnim Skrzydle, gdzie zapaliłyśmy świeczki.

Panna Moore milknie. W pokoju zapada cisza. Stało się. Teraz pozostaje jej jedynie zatrzaskać dziennik i wrzucić go do ognia. Ale ona przerywa tylko po to, żeby chrząknięciem oczyścić gardło, i po kilku sekundach na nowo podejmuje czytanie.

„Gdzie moja lala?” - marudziła mała. więc Sara rzuciła jej stałą szmacianą lalkę. Dziewczynka nie tego się spodziewała i zaczęła płakać.

„Ciii. ciii” - próbowałam ją uspokoić.

„Zostaw ją - warknęła Sara - t zajmijmy się naszą sprawą, Mary”

W życiu każdego człowieka przychodzi taka chwila, gdy musi dokonać wyboru, gdy hartuje się jego charakter. Mogłam wybrać inną drogę, ale nie zrobiłam tego. Zawiodłam samą siebie. Podczas gdy ją przytrzymywałam dziecko, zakrywając mu dłonią usta. żeby uciszyć krzyki. Sara przywołała bestię z jej kryjówek w ciemnym sercu Krainy Zimy.

„Przybądź do nas! - wołała, unosząc ramiona. - Przyjdź i obdarz mnie mocą, która mi się należy”.

A potem stało się coś przerażającego. Zostałyśmy wciągnięte w ten półmroczny rejon między naszym

światem a tamtym. Zaczęła się do nas zbliżać wielka czarna próżnia, nabierając kształtów bestii. Och, byłabym wówczas uciekła. gdybym tylko miała władzę w nogach. Krzyki przeklętych sprawiły, że moje serce prawie zamarło. Ale Sara uśmiechała się. zupełnie zafascynowana. Przerazona dziewczynka zaciekle ze mną walczyła, więc przycisnęłam dłoń do

jej twarzyczki bardziej zdecydowanie, próbując ją uciszyć i stłumić własny strach. Później powoli przesunęłam rękę i zakryłam również jej mały nosek. Wiedziała, co zamierzam, i walczyła z jeszcze większą zaciętością. Jej życie za nasze, tak to przynajmniej widziałam. trzyzymałam dziecko mocno, dopóki nie przestało się przeciwstawiać i nie legło bez ruchu na podłodze Wschodniego Skrzydła, z szeroko otwartymi oczami, martwe dla świata. Nagle dotarła do mnie po tworność tego, co zrobiłam. Potwór wrzasnął ze złością:

„Potrzebowałam jej całej! Wasza ofiara jest teraz dla mnie bez wartościowa!”.

„Ale przecież obiecałeś”... - szepnęłam. Oczy Sary zapłonęły.

„Mary, zniszczyłaś wszystko! Nigdy nie chciałaś, żebym posiadała moc, nie chciałaś być moją siostrą! Powinnaś była to wiedzieć”. „Wezmę swoją zapłatę!” - zawołał stwór, szybko chwytając Sarę za ramię. Krzyknęła, a ja wtedy odzyskałam władzę w nogach, och, dzienniczku, odzyskałam ją i pobiegłam szybko jak wiatr do Eugenie. Opowiedziałam jej wszystko, a ona chwyciła pelerynę i świecę. Kiedy wróciliśmy, dziecko, memento mojego grzechu, leżało na podłodze. ale Sary nie było. Eugenia zacisnęła usta.

„Musimy spieszyć do Krainy Zimy”.

Znalazłyśmy się w obszarze lodu i ognia, wielkich nagich drzew i wiecznej nocy. Potwór zabrał się już do dzieła i oczy Sary zrobiły się czarne niczym kamienie. Eugenia zachowała spokój.

„Saro Rees-Toome. nie przepadniesz w Krainie Zimy. Wracaj ze mną. Wracaj!”.

Stwór zwrócił się do niej.

„Zaprosiła mnie. Musi zapłacić, inaczej zostanie naruszona równowaga międzyświata”. „Ja zajmę jej miejsce”.

„Nie!” - krzyknęłam, gdy wygięte w wyrazie zaskoczenia usta potwora wykrzywił odrażający uśmiech.

„Niech tak będzie. Wiele możemy dokonać z kimś tak potężnym. Z czasem zniszczymy tamten świat”.

Wtedy Sara jęknęła, a Eugenia rzuciła mi swój amulet z księży cowym okiem.

„Mary, uciekaj! Przeprowadź Sarę przez drzwi, a ja zamknę mię dzyświat!”.

Potwór zawył z furją. „Nigdy!”.

Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam nawet myśleć. „Nie! Nie wolno pani! - zawołałam. - Nie możemy stracić mię dzyświata!”.

Wtedy stwór sprawił, że zaczęła krzyczeć z bólu. Oczy miała pełne błagania, które zaparło mi dech w piersi, gdyż nigdy wcześniej nie widziałam przestraszonej Eugenie.

„Międzyświat musi pozostać zamknięty, dopóki znów nie znajdziemy do niego właściwej drogi. A teraz biegnij!” - rozkazała. Och, dzienniczku, pobiegłam, ciągnąc za sobą Sarę. Eugenia przywołała dla nas drzwi i jednym skokiem znalazłyśmy się w bezpiecznym miejscu. Gdy widziałam ją po raz ostatni, wypowiedziała zaklęcie zamykające międzyświat, a ciemność pochłonęła ją bez śladu. Po tem potwór rzucił się za nami. Przyłożyłam amulet do kształtu w drzwiach, pieczętując je na głucho.

„Otwórz drzwi, Mary”. - Sara podniosła się z podłogi. Potwór zdołał ją odmienić i nawiązać z nią więź.

„Nie, Saro. Magii już nie ma. Położyłyśmy jej kres. Spójrz”. - Drzwi ze światła zaczęły blaknąć na naszych oczach.

Rzuciła się na mnie. przewracając świecę. W ciągu kilku sekund pokój stanął w płomieniach. Nie wiem, co wydarzyło się później, gdyż wybiegłam ze Wschodniego Skrzydła i ile sił w nogach popędziłam do lasu.

Przez chwilę patrzyłam, jak dziwna poświata wypełnia niebo, jak ogień płonie, a wraz z nim moja najdroższa przyjaciółka. Tak więc magia Zakonu i międzyświat przypadły. Czuję, jak wszelki ślad po nich wymyka się z tego świata wraz z pierwszym ostrym blaskiem poranka. Odeszła również Mary Dowd. Przestała istnieć.

Dziś wieczór ruszyła do lasu, jednak obawiam się, że będzie już zawsze żyła w lesie mojej duszy.

Panna Moore zamyka książkę. Wszystkim nam odebrało mowę.

- Proszę czytać dalej - odzywa się w końcu Pippa, a jej głos brzmi jak ledwie słyszalny szept.

Panna Moore przerzuca strony.

- Nie mogę. Nie ma już nic więcej. Tu właśnie, w ciemnym lesie opowieść się najwyraźniej kończy. -

Wstaje i wygładza spódnicę - Dziękuję, że podzieliłyście się ze mną swoją lekturą, moje panie. To było niezwykle interesujące przeżycie.

#

- Nie mogę uwierzyć, że Mary zabiła tę biedną dziewczynkę -mówi Ann, gdy zostajemy znów same.
- Ja również - zgadza się Felicity. - Kto mógłby zrobić coś takiego?
- Potwór - odpowiadam. Ona już nie istnieje. Tak powiedziała moja mama. Coś w tym zdaniu napawa mnie lękiem, który nie chce ustąpić. Nie wiem dlaczego.

#

Nie mogę zasnąć. W moich żyłach nadal płynie zbyt wiele ma-gii, a historia Mary i Sary obudziła we mnie niepokój, tak jakbym potrzebowała udowodnić, że my robimy coś zupełnie innego. W porządku. Ubieram się szybko i ruszam do lasu poszukać na miotu Kartika. Chłopak siedzi w wejściu i czyta.

Wychodzę zza drzewa, a on podrywa się przestraszony.

- Co ty tu robisz? - pyta.

- Nie mogę spać.

Wraca do swojej książki. Chcę, żeby wiedział, że jestem dobra, nie taka jak Mary i Sara. Z jakiegoś powodu rozpaczliwie pragnę, żeby mnie lubił. Chcę, by budził się ze snów o mnie spocony i pełen życia. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale tak właśnie jest.

- Kartiku, a jeżeli mogłabym ci pokazać, że Rakshana się mylą? Jeśli mogłabym udowodnić, że moja moc, magia Zakonu, jest wspaniała?

Jego oczy otwierają się szeroko.

- Powiedz, że nie zrobiłaś tego, co myślę, że zrobiłaś. Postępuję krok do przodu. Nie rozpoznaję własnego głosu, taki jest pełen rozpaczy i łez.

- Nie ma w tym nic złego. To jest piękne. Ja jestem... - Chcę powiedzieć „piękna”, ale nie mogę, bo zaraz się rozpłaczę.

Kręci głową i odsuwa się ode mnie. Tracę go. Powinam dać sobie spokój. Odejść. Przestać. Ale nie potrafię.

- Pozwól, że ci pokażę. Zabiorę cię ze sobą. Moglibyśmy poszukać twojego brata!

Sięgam po jego dłoń, ale on daje susa na drugą stronę namiotu

- Nie! Nie mnie jest dane to oglądać. Nie mnie jest dane wiedzieć.

- Tylko weź mnie za rękę. Proszę! -Nie!

Dlaczego myślałam, że zdołam go przekonać? Dlaczego myślałam, że skłonię go, by patrzył na mnie inaczej? Gorzej jeszcze być może to, jak mnie widzi, jest słuszne? Jako osobę, której nale ży się obawiać, a nie kochać? Pomniejsza ohyda. Potwór.

Odwracam się i biegnę najszybciej, jak potrafię, a on mnie nie goni.

#

W trakcie długiej wspinaczki po schodach do pokoju zatrzymuje mnie Brigid ze świecą w ręku i w czepku nocnym na głowie

- Kto idzie?

- To tylko ja, Brigid - odpowiadam w nadziei, że nie podejdzie bliżej i nie zauważy, iż jestem całkowicie ubrana.

- Co panienka tak się skrada w środku nocy?

- Proszę nic nie mówić pani Nightwing, po prostu nie mogłam zasnąć.

- Myśli panienka o mamusi, co?

Kiwam głową, czując się podle z powodu tego małego kłamstwa.

- No, dobra. Ani pary z ust. Ale niech już się kładzie do łóżka. Ta nagła życzliwość Brigid załamuje mnie.

Czuję, że się rozklejam.

- Dobranoc - szepczę, mijając ją w drodze na górę.

- Och, tak przy okazji, jeśli idzie o to wydumane imię. To, co Sara je sobie wzięła. Nagle mnie oświeciło, kiedy zmywałam wieczorem talerze. Wspomniałam, jak pani Spence rzekła mi: „Och, nasza Sara ma się za jakąś dawną boginię, taką jak u Greków”. Kiedy myłam porcelanę z greckim szlaczkiem, wtedy mnie oświeciło.- Tak? - pytam. Nagle czuję się bardzo zmęczona i nie mam nastroju na zawiłane opowieści Brigid.

- Kirke - odpowiada i schodzi na dół, a cień ją wyprzedza. -Takie sobie imię wymyśliła: Kirke.

#

Kirke to Sara Rees-Toome.

Sara Rees-Toome, która nie zginęła w pożarze dwadzieścia lat temu, ale żyje. ma się dobrze i czeka na mnie. Nie jest już cieniem, lecz wrogiem z krwi i kości. Kimś, kogo mogę dopaść, zanim on dopadnie mnie. Gdybym tylko miała pojęcie, gdzie może być albo jak wygląda. Lecz nie mam. Jestem zupełnie zdana na jej łaskę. A może nie?

Kirke, Sara Rees-Toome, była kiedyś uczennicą Spence, rocznik 1871. Dziewczynką z fotografii, która została usunięta, ale na dal gdzieś istnieje. Odnalezienie tego zdjęcia nie jest już kwestią ciekawości. Jest koniecznością, jedynym sposobem na to. bym znała ją, zanim ona znajdzie mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Następnego ranka nasze nocne eksperymenty z mocą i magią za czynają zbierać żniwo. Twarze mamy ziemiste i blade, usta spękane. W mojej głowie snuje się mgła i z trudnością porozumiewam się po angielsku, a co dopiero po francusku, co stwarza pewien problem na zajęciach z mademoiselle LeFarge. Sytuacji nie poprawia to, że poją wiam się w klasie odrobinę spóźniona.

Mademoiselle LeFarge postanawia się zabawić kosztem mojej opieszałości. Teraz gdy jestem jej najlepszą uczennicą, lśnącym dowodem jej zdolności dydaktycznych, ma ochotę się ze mną przekomarzać.

- Bonjour. mademoiselle Doyle. Ouelle heure est-il? Znam odpowiedź, mam ją na końcu języka. To chyba coś na

temat pogody. Gdyby tylko zostało mi choć tyle magii, żebym dała radę przebrnąć przez tę lekcję. Ale niestety będę musiała płynąć na swym własnym nędznym żagielku.

- Hm... pogoda jest... - Niech to szlag! Jak się mówi „deszcz” po francusku? Le rain? La rain? Czy deszcz jest męski czy żeński? Takie z niego utrapienie, że musi być rodzaju męskiego.

-Le pogoda est le rainy - mówię niepewna ostatniego słowa, ale le sprawia, że brzmi bardziej po francusku.

Dziewczęta chichoczą, co jedynie utwierdza mademoiselle. Le Farge w przekonaniu, że się bawię jej kosztem.

- Mademoiselle Doyle, cóż za wstyd. Raptem dwa dni temu oka zała się pani wzorową studentką, a teraz ma pani czelność szydzić ze mnie. Może będzie się pani lepiej czuła w klasie z ośmiolatkami.

Odwraca się do mnie plecami i przez resztę lekcji zachowuje się tak, jakbym nie istniała.

#

Pani Nightwing zauważa naszą bladość. Zmusza nas do space ru po ogrodzie, sądząc, że chłodne powietrze przywróci kolory na szym policzkom. Wykorzystuję okazję, żeby opowiedzieć przyjaciółkom o wymianie zdań z Brigid zeszłej nocy. -A więc Kirke to Sara Rees-Toome. I ona żyje. - Felicity z niedowierzaniem kręci głową.

- Musimy znaleźć tę fotografię - oświadczam.

- Powiemy pani Nightwing, że szukamy zagubionej rękawiczki. Pozwoli nam przeszukać szkołę od piwnicy po strych. Zbadamy wszystkie pokoje po kolei - sugeruje Ann. Pippa jęczy. -To będzie trwało rok.

- Niech każda z nas zajmie się jednym piętrem, dobrze? - proponuję.

Pippa patrzy na mnie wielkimi sarnimi oczami.

- Musimy?

Popycham ją w stronę schodów.

-Tak.

Po godzinie poszukiwań nadal nic nie znalazłam. Przemierzyłam trzecie piętro tyle razy, że z pewnością wydeptałam dziury w dywanach. Z westchnieniem stoję przed portretami klasowymi, pragnąc, by przemówiły, by podpowiedziały mi, gdzie mogę szukać tego, który zaginął. Ale wyblakłe damy nie spełniają mojej prośby.

Moją uwagę przyciąga zdjęcie z roku 1872, to z pomarszczoną powierzchnią. Delikatnie zdejmuję je ze ściany i odwracam. Tył fotografii jest gładki i w najmniejszym stopniu zniszczony. Od wracam ją ponownie i moim oczom ukazuje się pofałdowany przód, Jak to możliwe? Chyba że to wcale nie jest to samo zdjęcie.

Nerwowo szarpnię za róg fotografii, jakbym chciała podnieść dywan. Za zdjęciem w ramce znajduje się drugie. Słyszę brzęczenie w uszach. Osiem dziewcząt kończących szkołę siedzi w grupie na trawniku. W tle widać niedający się z niczym pomylić zarys Spence. U dołu delikatnymi literami wypisane jest Rocznik 1871 Znalazłam je! Wzdłuż krawędzi zwartym charakterem pisma zano towano nazwiska.

Od lewej do prawej: Millicent Jenkins, Susanna Meriwether. An na Nelson, Sara Rees-Toome...

Podrywam głowę. Przesuwam palcem po fotografii w poszukiwaniu Sary. Odwróciła głowę, akurat w chwili gdy zrobiono zdjęcie, ukazując rozmazany, trudny do zidentyfikowania profil. Wysyłam wzrok, ale niewiele mogę dojrzeć.

Przesuwam palec na koleżankę obok niej. W ustach zupełnie mi zasycha. Dziewczyna patrzy prosto w

obiektyw mądrymi, prze nikliwymi oczami - oczami, które znałam przez całe życie. Szu kam jej nazwiska, choć już wiem. co znajdę - to, które porzuciła i zostawiła na śmierć w pożarze wiele lat przed tym, zanim się urodziłam. Mary Dowd.

Dziewczyną odwzajemniającą moje spojrzenie ze zdjęcia klasowego rocznika 1871 jest Mary Dowd - moja matka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Czekam, aż wszyscy zasiądą do kolacji, po czym wymykam się do swojego pokoju. Gęstniejąca ciemność stopniowo go pochłania. Kształty rozmywają się, stając się tylko ideami przedmiotów. Wszystko zostaje odarte do samego sedna, lestem gotowa. Zamykam oczy i przyzywam drzwi. Znajome pulsowanie przepływa przez moje żyły, po czym samotnie wkraczam do innego świata, do ogrodu, w którym słodko pachnące kwiaty opadają wokół mnie niczym płatki popiołu.

- Mamo - odzywam się głosem, który brzmi obco i szorstko w moich własnych uszach.

Wieje delikatny wiaterek. Za nim, jak zapach deszczu, unosi się woń wody różanej. Nadchodzi.

-Znajdź mnie, jeśli potrafisz - odzywa się z uśmiechem. Nie odwzajemnię go, nawet na nią nie spojrzę. - O co chodzi?

Moja matka nie jest kobietą, za którą ją uważałam. Nigdy tak naprawdę jej nie znałam. To Mary Dowd - kłamczucha i czarodziejka. Morderczyni.

- Jesteś Mary Dowd. Jej uśmiech zamiera.

- Więc już wiesz.

Jakaś część mnie żywiła nadzieję, że się mylę i że mama wybuchnie śmiechem, mówiąc, iż to głupie nieporozumienie, a potem wszystko wyjaśni. Prawda stanowi bolesny cios.

- Nikt nie przyszedł do ciebie i nie opowiedział ci tych wszystkich rzeczy o mnie. Sama to wiedziałaś.

Należałaś do Zakonu. Wszystko, co mi powiedziałaś, to kłamstwa.

Jej głos jest zaskakująco miękki.

- Nie. nie wszystko.

Mruganiem próbuję powstrzymać łzy.

- Okłamałaś mnie.

- Tylko po to, by cię chronić.

- Kolejne kłamstwo. - Czuję taką nienawiść, że aż chce mi się od niej wymiotować. - Jak mogłaś?

- To działa się tak dawno temu. Gemmo.

- I to ma być usprawiedliwienie? Zaprowadziłaś tę dziewczynkę do Wschodniego Skrzydła. Zabiłaś ją!

- Tak. I każdego dnia życia pokutowałam za to. - Ptak na gałęzi głuchym głosem śpiewa wieczorną piosenkę. - Wszyscy zakłó dali. że umarłam i w pewnym sensie tak się stało. Mary Dowd ode szła. a jej miejsce zajęła Virginia. Stworzyłam dla siebie nowe życia z twoim ojcem, a potem z Tomem i z tobą.

Mokre, gorące łzy spływają po moich policzkach. Matka próbuje mnie wziąć za rękę, ale odsuwam się.

- Och, Gemmo, jak mogłam ci powiedzieć o tym, co zrobiłam? To klątwa matek, wiesz. Nigdy nie

jesteśmy przygotowane na to, jak wielką miłość poczujemy do naszych dzieci, jak bardzo będzie my chciały je chronić przez to, że same będziemy doskonałe. - Mruga szybko, starając się nie płakać. -

Myślałam, że mogę zacząć na nowo, że wszystko zostało zapomniane, a ja odzyskałam wolność. Ale tak nie było. - W jej głosie słychać gorzkość. - Powoli za częłam sobie uświadamiać, że jesteś inna. Że od

dawna martwa moc Zakonu i międzyświata znów się w tobie odradza. Bałam się tego. Nie chciałam, żebyś dźwigała to brzemię. Myślałam, że może nic nie mówiąc, zdołam cię ochronić, dopóki to nie minie i

nie sta nie się znowu legendą. Tylko tyle. Ale oczywiście myliłam się. Nie można uciec przed przeznaczeniem. A potem zrobiło się już za późno i Kirke odnalazła mnie, zanim miałam szansę wszystko ci opowiedzieć.

- Ona nie zginęła w pożarze.

- Nie. Byłam o tym przekonana, dopóki rok temu nie przyjechał do mnie Amar i nie powiedział, że ona używa swojej więzi z mrocznym duchem, żeby nas wszystkich odnaleźć. Dowiedziała się, że

któraś z nas znów stała się portalem do międzyświata. Nie wiedziała tylko która. - Uśmiecha się do mnie, ale jest to uśmiech pełen bólu.

Moje łzy przestają płynąć. Złość wznosi się we mnie jak nowy dom, lśniący i atrakcyjny, w którym chcę mieszkać już zawsze.

- Dobrze. Wypełniłaś misję swojej duszy. Powiedziałaś mi prawdę - mówię, wypluwając ostatnie słowo. -

Dlaczego więc nie odejdziesz i nie zostawisz mnie w spokoju? - Los mojej misji spoczywa w twoich rękach - mówi miękko tym głosem, który kołysał mnie do snu, który zapewniał mnie, że je stem śliczna,

gdy wcale taka nie byłam. - Wybór należy do ciebie.

- Cóż mogłabym teraz zrobić?

- Wybacz mi.

Łkanie, które powstrzymywałam, wylewa się ze mnie wielką falą.

- Chcesz, żebym ci przebaczyła?

- Tylko w ten sposób będę mogła zaznać spokoju.

- A co ze mną? Czy sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek zaznam spokoju, wiedząc to, co wiem?

Dotyka dłonią mojego policzka. Cofam się przed nią.

- Przepraszam, Gemmo. Ale nie możemy cały czas żyć w świe tle. Tyle światła, ile potrafisz, musisz zanieść ze sobą w ciemność.

Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy o to wszystko nie prosiłam i nigdy w życiu nie czułam się bardziej samotna. Chcę ją zranić.

- Myliłaś się w kwestii runów. Użyłyśmy magii dwukrotnie i nic złego się nie stało.

W jej oczach pojawia się błysk.

- Słucham? Mówiłam, żebyście tego nie robili. To niebezpieczne, Gemmo.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jest jedno z twoich kłamstw? Dlaczego mam wierzyć w cokolwiek, co mówisz?

Przyciska dłoń do ust i zaczyna nerwowo spacerować tam i z powrotem.

-A zatem międzyswiat był niestrzeżony. Potwór Kirke mógł już tu być i zdeprawować jedno z nas. Gemmo, jak mogłaś?

- Powinnaś zadać ci to samo pytanie - odpowiadam, odchodząc.

- Dokąd idziesz? - pyta mama.

- Z powrotem.

- Gemmo. Gemmo!

Wychodzę z ogrodu. Zaskakuje mnie łowczyni. Nawet nie sły szłam, jak do mnie podeszła od tyłu, z łukiem gotowym do strzału.

- Zwierzyna jest blisko. Zapolujesz ze mną?

- Innym razem - mówię niewyraźnie, gdyż usta mam spuchnięte od płaczu.

Schyla się, żeby podnieść kiść jagód. Wrzuca jeden owoc do ust, a resztą macha mi przed oczyma.

- Poczęstujesz się?

Przecież wie, że nie mogę jeść tych owoców, więc dlaczego mi je proponuje?

- Nie, dziękuję - odpowiadam, przyspieszając kroku. Znajduje się nagle przede mną, jakbym w ogóle się nie ruszała z miejsca, trzymając jagody w wyciągniętej dłoni.

- Jesteś pewna? Są przepyszne.

Krótkie włoski na moim karku stają dęba. Coś jest nie tak.

- Przepraszam, ale muszę już iść - mówię, ale gdy biegnę przez zielony aksamit trawy nad rzeką, słyszę za sobą cień głosu.

- Nareszcie... Nareszcie...

- Nie psuj nam zabawy - mówi Pippa, trącając mnie trzewikiem. Nie odpowiadam, tylko skupiam wzrok na pęknięciu w ścianie.

- Co jej jest? - Pippa pogardliwie pociąga nosem.

- Mówiłam, żeby nie jeść wątróbki - odzywa się Ann.

- No cóż - wzdycha Felicity po chwili. - Mam nadzieję, że dojdiesz do siebie. Ale nie myśl, że się tak łatwo wywiniesz jutro w nocy.

Nie zamierzam wchodzić do międzyswiata. Ani jutro w nocy, ani nigdy. Drzwi pokoju zamykają się, zabierając resztkę światła, a pęknięcia znikają.

#

Ann stoi w ciemnościach nad moim łóżkiem.

- Gemmo? Nie śpisz?

Zaciskam mocno oczy w nadziei, iż nie zauważy, że płaczę. Felicity i Pippa potrząsają mną tak natrętnie, że w końcu muszę odwrócić się i stawić im czoła.

- Chodźmy - szepcze Felicity. - Jaskinie czekają, nadobna pani

- Nie czuję się dobrze. - Odwracam się i wbijam wzrok w delikatne rysy na ścianie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pan Bumble okazuje się twardszym orzechem do zgryzienia, niż sądziłyśmy. Udaje się prosto do Crossów i wszystko im mówi. Crossowie są przerażeni, że stracili kontrolę nad tym, nad czym zawsze powinni panować - nad córką, czyli swoim zabezpieczeniem finansowym. Zapewniają pana Bumble'a, że to tylko mło dzieńcza psota dziewczyny zdenerwowanej zbliżającą się datą ślubu. W końcu jak dziewczę tak śliczne jak Pippa mogłoby nie być okazem zdrowia? Pan Bumble przyjmuje ich wyjaśnienia za dobrą monetę, ponieważ oni są rodzicami, a my tylko głupimi dziewczynami. Jednak cały epizod kończy się awanturą w Spence. Tak więc nasza czwórka siedzi w gabinecie pani Nightwing pod pełnym wy rzutu spojrzeniem pawich ok z tapety, aby wysłuchać oskarżeń oraz wyrzutów i patrzeć bezradnie, jak tkanina naszej wolności pruje się nitka po nitce.

Jutro Pippa wyjedzie z rodzicami, a przed końcem tygodnia zo stanie poślubiona panu Bumble'owi.

Rozpoczęto pospieszne przy gotowania. Powróci porządek. Duma zostanie uratowana. Kogo obchodzi nieszczęśliwe życie jednej dziewczyny w obliczu kwestii tak istotnej jak zachowanie pozorów?

Pippa wpatruje się w złożone na podołku dłonie, mocno przy gryzając dolną wargę, zupełnie załamana, podczas gdy pani Night wing wychodzi z siebie, żeby ułagodzić jej rodziców i narzeczone go. Pociąga za długi sznurek - który uruchamia dzwonek w kuch ni - i chwilę później pojawia się Brigid, sapiąc i dysząc po długim biegu schodami na górę.

- Brigid. proszę, zaprowadź panów do biblioteki i poczęstuj kieliszkiem naszego najlepszego porto.

Mężczyznom podoba się ten pomysł. Rozpływają się w zado wolonych uśmiezkach i prężą piersi.

- Mam nadzieję, że przyjmą panowie poczęstunek wraz z moimi przeprosinami i zapewnieniem, że nie będzie już żadnych dalszych nieprzyjemności. - Pani Nightwing zerka na pana Bumble'a z ukosa.

Pan Cross lekceważąco macha ręką.

- Na szczęście nic wielkiego się nie stało.

Pan Bumble marszczy wąs, jakby nie mógł się zdecydować, które cygaro wybrać.

- Jestem człowiekiem rozsądnym. Ale dziewczęta należy trzy mać o wiele krócej. Nie powinny mieć możliwości podejmowania samodzielnych decyzji. To niezdrowe.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak pan Bumble spada gło wą w dół po schodach i lamie sobie kark, zanim zdąży skosztować porto. Ironia polega na tym, że powiedziałyśmy mu prawdę. I teraz zostaniemy za to ukarane.

- Ma pan rację. Bezwzględnie zastosuję się do pańskich rad, pa nie Bumble - odpowiada pani Nightwing ulegle, co rzadko jej się zdarza. Chodzi jej tylko o to, żeby go ugłaskać, ale on jest zbyt na dęty, aby to zauważyć.

Panowie wychodzą z Brigid. Pani Cross wstaje i poprawia ręką wiczki, mocniej je naciągając i wygładzając fałdki.

- Chodźmy, Pippo. Musimy zdjąć miarę na suknię ślubną. Są dzę, że jedwabna satyna będzie odpowiednia.

Z drżących warg Pippy wymyka się cichy, rozpaczliwy szloch.

- Proszę, mamó! Proszę, nie każ mi za niego wychodzić. Pani Cross zaciska usta w brzydką wąską linię i wypowiada sło wa, jakby syczała:

- Przynosisz wstyd naszej rodzinie.

- Pippo - odzywa się pani Nightwing, stając między nimi - bę dziesz piękną panną młodą. Cały Londyn będzie o tobie mówił. A po miesiącu miodowym, gdy okaże się, że jesteś bezgranicznie szczęśli wa i wszystkie nieprzyjemności pójdą już w niepamięć, przyjedziesz nas odwiedzić.

Pani Cross przestaje zaciskać usta, a w jej oczach wzbierają prawdziwe łzy. Delikatnie ujmuje Pippę pod brodę.

- Wiem, że teraz mnie nienawidzisz, ale obiecuję ci, że pewne go dnia mi podziękujesz. Małżeństwo może oznaczać niezależ ność. Naprawdę. Jeśli jesteś inteligentna, możesz mieć to, czego chcesz. A teraz zajmijmy się suknią, dobrze?

Pippa wychodzi w ślad za matką, lecz przedtem odwraca się i spogląda na nas z taką rozpaczą, że czuję się, jakbym to ja zostali zmuszona do małżeństwa wbrew mojej woli.

Zostaje tylko nasza trójka przed panią Nightwing i jej równie im ponującym biurkiem. Szuflada jest otwarta. Na błyszczący mahonio wy blat upada pamiątnik Mary Dowd. Strach ściska mi wnętrzności.

Wszystkie jesteśmy teraz skazane na śmierć.

- Kto może mi coś powiedzieć na ten temat?

Zegar na kominku odmierza sekundy głośno niczym ogień artylu ryjski.

- Ann?

Ann jest bliska płaczu.

- To jest z-zeszyt.

- Wiem, że to jest zeszyt. Przeczytałam każdą jego stronę. Pa ni Nightwing przewierca nas wzrokiem znad okularów. - Każdziu teńką stronę.

Rozumiemy, którą dokładnie ma na myśli, i drżymy na sama myśl o tym.

- Panno Worthington, czy może mi pani powiedzieć, jak we szła w posiadanie tego pamiętnika?

Felicity podrywa głowę.

- Przeszukała pani mój pokój?

- Czekam na odpowiedź. Czy będę musiała skontaktować się w tej sprawie z pani ojcem?

Felicity wygląda, jakby miała zaraz zalać się łzami. Przełykam z trudem.

- On należy do mnie - mówię.

Pani Nightwing błyskawicznie obraca głowę w moją stronę i mruży oczy. Wygląda jak sowa, która wypatrzyła ofiarę.

- Do pani, panno Doyle? Żołądek ucieka mi do pięt. - Tak.

Dobrze, niech mnie wydałą. Niech to wszystko się skończy.

- A skąd, jeśli można wiedzieć, wzięła pani ten stek bzdur?

- Znalazłam.

- Znalazła pani? - powtarza moje słowa wolno, podkreślając w ten sposób, jak bardzo mi wierzy. - Gdzie?

- W lesie. Pani Nightwing spogląda na mnie gniewnie, ale jestem zbyt odrętwiała, by się bać.

- Wygląda na to, że wiele rzeczy działo się w lesie. Pippa co nieco mi opowiedziała.

Słyszę, jak siedząca obok Ann zaczyna płakać, a Felicity wierci się na krześle. Ale ja czuję zupełną pustkę i po prostu czekam na nieuniknione.

- Powiedziała mi, że to panna Moore dała wam to dzieło. Nie tego się spodziewałam. To mnie przywraca do rzeczywi stości.

- Czy to prawda?

Otwieram usta, gotowa zaprzeczyć, powiedzieć, że to wszystko moja wina. ale Felicity jest szybsza.

- Tak - mówi tak spokojnie, że wprost nie mogę w to uwie rzyć. - To panna Moore.

- Przykro mi to słyszeć, ale musi mi pani opowiedzieć wszyst ko, panno Worthington.

- Nie, to nieprawda - zaprzeczam, odzyskując w końcu głos.

- Sama się przyznałaś, że znalazłaś to w bibliotece. - Oczy Felicity nabrały twardego, zdesperowanego wyrazu. - A panna Moore przecież powiedziała nam, że jeśli chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o Zakonie, powinniśmy poszukać w bibliotece.

- O Zakonie? Dlaczego, na Boga, panna Moore napełniała wam głowy takimi bzdurami?

- Zabrała nas do jaskiń, żeby pokazać nam rysunki naskalne

- Niektóre są wykonane krwią - dodaje Ann. Połączyły siły.

- Nigdy nie wydałam pannie Moore pozwolenia, żeby zabierała was do jakichś jaskiń - dziwi się pani Nightwing.

- Ale i tak nas tam wzięła, proszę pani. - Felicity szeroko otwiera oczy, żeby wyglądać niewinnie.

- To wcale nie było tak. Znalazłam pamiętnik...

Felicity kładzie mi dłoń na ramieniu. Wygląda, jakby tylko lek ko mnie dotykała, a tymczasem ściska mnie boleśnie.

- Pani Nightwing już wie, co się stało, Gemmo. Musimy po wiedzieć całą prawdę. - Po czym zwraca się do dyrektorki: - Na wet przeczytała nam spory fragment tego dziennika w moim na miocie w salonie.

Zrywam się z krzesła.

- Bo ją o to poprosiłyśmy!

- Panno Doyle, proszę natychmiast usiąść! Opadam na krzesło. Nie mogę patrzeć na Felicity.

- To bardzo poważne zarzuty wobec panny Moore. - Pani Night wing uchwyciła się już tego pomysłu i chce go wykorzystać, żeby oczyścić z zarzutów nas, Spence i siebie samą. Musi znaleźć kozła ofiarnego. Musi uwierzyć w cokolwiek, byle nie w prawdę: że mo głyśmy zrobić to wszystko całkiem samodzielnie. I że zrobiliśmy to tuż pod jej nosem. - Czy to prawda. Ann?

- Tak - mówi Ann bez zająknienia.

- Proszę pani - odzywam się błagalnie. - To wszystko moja wina. Może mnie pani ukarać, jak pani chce, ale proszę nie winić panny Moore.

- Panno Doyle, wiem, że ma pani dobre serce, ale nic pani nie zyska, chroniąc pannę Moore.

- Ależ ja jej nie chronię! Pani Nightwing łagodnieje.

- Czy panna Moore czytała wam fragmenty tej książki?

-Tak, ale...

- I zabrała was do jaskiń?

- Tylko żeby pokazać nam piktogramy...

- Opowiadała wam o okultyzmie?

Nie potrafię wypowiedzieć ani słowa. Tylko kiwam głową. Mó wi się, że diabeł tkwi w szczegółach. To samo można powiedzieć o prawdzie. Odrzuć szczegóły, zostaw samo sedno i możesz na nim ukrzyżować każdego. Panna Nightwing sadowi się w wielkim fotelu. Mebel trzeszczy i wzdycha pod jej ciężarem.

- Wiem, jak łatwo wyrzucić wrażenie na młodych dziewczętach. Sama kiedyś byłam dziewczynką - zwierza się, choć ja potrafię ją wi dzieć tylko uwięzioną w obecnej postaci. - Wiem, jak bardzo dziewczęta chcą przypodobać się nauczycielom i jak wielki ci nauczyciele mają na nie wpływ. Natychmiast rozprawię się z panną Moore. A że by tego typu zachowanie więcej się nie powtórzyło, dopilnuję, aby co wieczór wszystkie drzwi były zamykane, a klucze przekazywane pod moją opiekę, dopóki znów nie zasłużycie na zaufanie.

- Co się stanie z panną Moore? - pytam, lecz mój głos jest słabszy niż szept.

-Nie będę tolerowała lekceważenia mojego autorytetu wśród nauczycieli. Panna Moore zostanie zwolniona.

To się nie może dziać. Ona zamierza wyrzucić naszą ukochaną pannę Moore! Co myśmy narobiły? Mrozący krew w żyłach krzyk przerywa panującą w pokoju ciszę. Dochodzi z dołu. Pani Nightwing zrywa się z miejsca i pędzi na dół po schodach, a my tuż za nią. Brigid stoi na wyłożonej rom bami podłodze w hallu, ściskając coś w ręce.

- Niech mnie bronią wszyscy święci! To ona! Wróciła po mnie.

Pani Nightwing chwytą ją za ramiona. Brigid ma wzrok oszala ły ze strachu. RzUCA na podłogę to, co trzyma w dłoni, jakby to był wąż. Naszym oczom ukazuje się cygańska lalka, lekko nadpalona, z puklem włosów ciasno owiniętym wokół szyi.

Kirke.

- Ona wróciła - jęczy Brigid. - Słodki Jezusie, ona wróciła!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Wielebny Waite każe nam stać z Bibliami w dłoniach i czytać uni sono z Księgi Sędziów, rozdział jedenasty, wersy od pierwszego do czterdziestego. Nasze glosy wypełniają kaplicę niczym pieśń żałobna. Jefe złożył leż ślub Panu: Jeżeli sprawisz, że Ammonici wpadną w moje ręce. wówczas ten. kio pierwszy wyjdzie od drzwi mego do mu. gdy w pokoju będę wracał z pola walki, będzie należał do Panu i złożę z niego ofiarę całopalną".

- Musiałam jej powiedzieć o pannie Moore - szepcze Pippa do mojego ucha. - To był jedyne sposób na to, żebyśmy jeszcze tę ostatnią noc spędziły razem.

We frontowej ścianie kościoła znajduje się witrażowe okno z aniołem. Z oka anioła zniknął duży fragment szkła. Wygląda to jak otwarta rana. Wpatruję się w tę dziurę i nic odpowiadam, a jedynie poruszam ustami do słów Biblii i słucham, jak te słowa wirują wokół mnie.

...i Pan wydał ich w jego ręce".

- Przecież ona nie jest całkiem bez winy.

Gdy polem wracał Jefe... do swego domu. oto córka jego wyszła na spotkanie... a było to dziecko jego jedyne...

- Proszę, Gemmo. Muszę go zobaczyć. Wiesz, jak to jest stracić kogoś i nie zdążyć się z nim pożegnać? Jeśli wpatruję się bez zmruczenia oka, dziura robi się większa i anioł znika. Ale gdy mrugnę, znów widzę anioła, nie dziurę, i mu szę wszystko zaczynać od początku.

...Ujrawszy ją. rozdarł swe szaty, mówiąc: „Ach, córko moja! Wielki ból mi sprawiasz... Oto bowiem nierozważnie złożyłem Panu ślub. którego nie będę mógł odmienić!".

Pippa znów zaczyna mnie błagać, ale pani Nightwing odwraca się w ławce, żeby skarcić nas wzrokiem. Przyjaciółka ukrywa twarz za Biblią i podejmuje czytanie ze zdwojoną energią.

...Nadto rzekła do swego ojca: „Pozwól mi uczynić tylko to jed no: puść mnie na dwa miesiące, a ja udam się w góry z towarzyszkami moimi, aby opłakać moje dziewictwo".

Niektóre młodsze dziewczynki chichoczą, słysząc to. Potem rozlega się głośny chór uciszających je nauczycieli - są tu wszyscy prócz panny Moore, która została w szkole, żeby się spakować.

I pozwolił jej oddalić się... Poszła więc ona i towarzyszki jej... w góry.

Wielebny Waite zamyka Biblię.

- Oto Słowo Pańskie. Módlmy się.

Rozlega się szuranie i stukoty, gdy siadamy, a potem przekazu jemy Biblię jedna drugiej, aż leżą schludnie ułożone na końcach ła wek. Ja podaję swoją Pippie, która przytrzymuje ją mocno.

— Jeden ostatni raz, zanim odejdę na zawsze. Tylko o to proszę. Puszczam i Pismo Święte opada jej na kolana, a ja wracam do

obserwowania anioła. Wpatruję się w niego tak długo i tak intensywnie, że anioł zdaje się poruszać. To nadchodzi mrok i zaciemnia wszystkie kontury. Ale mogłabym przysiąc, że przez chwilę widziałam, jak skrzydła anioła łopoczą, ręce zaciskają się na mieczu, a ostrze przeszywa jagnię szybko niczym kosa. Odwracam wzrok i obraz znika. To tylko złudzenie wywołane przez światło.

#

Po kolacji nie idę ze wszystkimi do wielkiego salonu. Słyszę, jak mnie wołają, ale nie odpowiadam. Zamiast tego siadam sama w bibliotece z otwartą książką do francuskiego na kolanach, udając, że pochłaniają mnie koniugacje i formy czasowników, od których bolą mnie oczy. Tak naprawdę nasłuchuję dźwięku jej kroków na korytarzu. Nie jestem pewna, co powiem, ale wiem, że nie mogę pozwolić, by panna Moore odeszła bez próby wyjaśnienia i bez przeprosin.

Po pewnym czasie mijają moje drzwi w eleganckim kostiumie podróżnym. Na głowie ma kapelusz z szerokim rondem przybrany różami stulistnymi. Wygląda, jakby wyjeżdżała na wakacje nad morze, a nie opuszczała Spence w aurze niedopowiedzeń i wstydu.

Idę za nią do frontowych drzwi.

- Panno Moore?

Zapina na nadgarstku guziki rękawiczki i prostuje palce.

- Panno Doyle, co panią tutaj sprowadza? Czy nie omija pani ważna okazja towarzyska?

- Panno Moore - mówię, ale głos więźnie mi w gardle. - Bar dno mi przykro.

Uśmiecha się blado.

- Tak, mogę w to uwierzyć.

- Żałuję... - Milknę, starając się nie rozplakać.

- Dodałabym pani moją chusteczkę, ale obawiam się, że już ją pani ma.

- Przepraszam - szepczę, przypominając sobie chusteczkę, którą mi dała po ataku Pippy. - Proszę mi wybaczyć.

- Tylko jeśli pani wybaczy sama sobie.

Kiwam głową. Rozlega się pukanie. Panna Moore nie czeka na Brigid. Otwiera szeroko drzwi, pokazuje woźnicy swój kufer i pa trzy, jak mężczyzna ładuje go do powozu.

- Panno Moore...

- Hester.

- Hester - powtarzam w poczuciu winy za przywileju używania jej imienia. - Dokąd pani pojedzie?

- Chętnie trochę popodróżuję. A potem znajdę mieszkanie gdzieś w Londynie i zatrudnię się jako guwernantka.

Woźnica jest gotów. Panna Moore kiwa do niego głową. Kiedy odwraca się do mnie, w jej głosie brzmi wahanie, ale moje dłonie ujmują stanowczym gestem.

- Gemmo... Gdybyś kiedyś cokolwiek potrzebowała... - Przerywa w poszukiwaniu słów. - Chcę powiedzieć, że wydajesz się całkiem inna od pozostałych dziewcząt. Być może twoim przeznaczeniem nie są podwieczorki taneczne i odpowiednia zastawa stołowa. Niezależnie od tego, jaką drogę życiową wybierzesz, mam nadzieję, że obejmie ona również mnie i że zechcesz mnie kiedyś odwiedzić.

Dreszcz przebiega po moich ramionach. Jestem tak bardzo wdzięczna pannie Moore. Nie zasługuję na jej dobre serce.

- Zrobisz to? - upewnia się.

- Tak - słyszę, jak odpowiadam.

Z wysoko uniesioną głową wypuszcza moje dłonie i zdecydowanym krokiem kieruje się w stronę powozu. W połowie drogi odwraca się.

- Musisz znaleźć sposób, żeby te martwe natury zrobiły się intrygujące.

Potem wsiada do powozu i dwukrotnie stuka w dach. Konie, rżąc cicho i wyrzucając kopytami błoto, pędzą kłusem do bramy. Patrzę, jak powóz maleje w oddali, a potem skręca i rozplywa się w nocy. Panna Moore odeszła.

ROZDZIAŁ TRZYDZESTY PIĄTY

Pół do jedenastej pani Nightwing robi obchód, żeby upewnić się, iż jej owieczki są bezpieczne - leżą wygodnie w łóżeczkach z dala od złych wilków. Gdy zegar na parterze wybija północ, do naszych drzwi skrobia Pippa i Feicity, dając nam znać, że moim bezpiecznie wyjść na ostatni wspólny wieczór.

- Jak się wydostaniemy? - pytam. - Drzwi są zamknięte. Felicity kiwa kluczem zawieszonym na palcu.
- Molly, pokojówka z góry, była mi winna przysługę, po tym jak ją przyłapałam ze stajennym. A teraz ubierajcie się.

#

Jaskinie witają nas po raz ostatni. Noce zrobiły się chłodniejsze, więc w poszukiwaniu ciepła zbijamy się w gromadkę nad ostatnią świecą. Gdy do moich przyjaciółek dociera, że nie zabiorę ich do międzyświata, są wściekle.

- Ale dlaczego nas nie weźmiesz? - wola Pippa.

- Powiedziała ci. Nie czuję się dobrze.

Nie zamierzam już przechodzić przez lśniące drzwi. Zamiast tego podszlifuję francuski. Popracuję nad właściwą postawą. Na uczę się dygać i rysować ładne obrazki. Będę zachowywać się tak jak tego chcą - bezpiecznie. I nigdy już nie stanie się nic złego. Mogę udawać, że jestem kimś innym niż w rzeczywistości, a jeśli będę udawać wystarczająco długo, to sama w to uwierzę. Mamie się to udało.

Pippa kłęka u moich stóp i jak dziecko kładzie mi głowę na ko lanach.

- Proszę, Gemmo. Kochana, kochana Gemmo! Pozwól ci po nosić moje koronkowe rękawiczki. Dam ci je na zawsze!

- Nie! - Mój krzyk odbija się od ścian jaskini. Pippa opada na ziemię i obraża się.

- Fee, ty z nią porozmawiaj. Ja sobie nie radzę. Felicity jest zaskakująco spokojna.

- Wydaje się, że dzisiejszej nocy nic nie poruszy Gemmy.

- To co zrobimy? - zawodzi Pippa.

- Zostało jeszcze trochę whisky. Napij się. - Feicity wyciąga do połowy opróżnioną butelkę ukrytą w skalnej szczelinie. - Dzięki te mu zmienisz zdanie. - Bierze dwa łyki i macha mi butelką przed nosem.

Wstaję i przesiadam się na inny głaz. - Nadal gniewasz się za pannę Moore?

- Między innymi. - Gniewam się, że tak okropnie ją zawiodły śmy. Gniewam się, że moja mama jest kłamczucha i morderczynią. Że mój ojciec jest uzależniony. Że Kartik mną pogardza. Że wszystko, czego się tknę, źle się układa.

- Dobrze - odpowiada Feicity. - Więc idź i się dąsaj. Kto chce się napić?

Jak mam im powiedzieć to, co wiem? Ja wcale nie chcę tego wiedzieć. Chciałabym wymazać to, co się stało, wrócić do tego pierwszego dnia w międzyświecie, kiedy wszystko wydawało się możliwe. Feicity podaje butelkę w kółko i wkrótce przyjaciółki są zarumienione, mają szklisty wzrok i trochę im cieknie z nosów z powodu nagiego ciepła, które czują dzięki whisky krążącej w ich żyłach. Feicity wiruje po jaskini, recytując wiersz.

Lecz swym arrasem wciąż się cieszy.

Wpłatać magiczne sceny spiesz,

Bo w noc samotną nieraz słyszy:

Z ognia, w żałobie idą piesi

Z muzyką hen. do Camelot.

- Och, tylko nie to - jęczy Ann, opierając głowę o kamień.

Felicity szydzi ze mnie tym poematem. Wie, że przypomina mi on o pannie Moore. Jak tańczący derwisz rozkłada ramiona i w uniesieniu wiruje coraz szybciej.

Gdy księżyc świecił nocą błogą,

Kochanków para szła tą drogą,

„Tych cieni oczy znieść nie mogą”,

Westchnęła Pani z Shcdott.

Opiera się dłońmi o ścianę jaskini, chroniąc się przed upadkiem. Przetacza się po chropowatej powierzchni, aż znów staje twarzą do nas. Pasma włosów mokre od potu przyklejają jej się do czoła i do

policzków. Ma dziwny wyraz twarzy.

- Pip. kochanie, naprawdę chcesz zobaczyć swojego rycerza?

- Nade wszystko!

Felicity chwyta przyjaciółkę za rękę i ciągnie ją do wyjścia z ja skini.

- Poczekajcie na mnie! - wola Ann, ruszając za nimi. Wysypują się w noc jak plemię Beduinów, a ja idę za nimi

Zimne powietrze w zetknięciu z wilgotną skórą przyprawia nas o wstrząs.

- Felicity, co ty zamierzasz zrobić? - pytam.

- Coś nowego - droczy się ze mną.

Niebo, przedtem obojętne, teraz pulsuje milionem gwiazd, Świeci wczesnojesienny księżyc, złoty jak masło, unosząc się wyso ko nad rzadkimi smugami chmur, które mówią wszystkim, że wkrótce nadejdzie czas żniw, czas, gdy rolnicy wzniosą kufel za le gendamy mord na Johnie Barleycornie.

Felicity wyje do kuli na niebie.

- Ciii - odzywa się Pippa. - Obudzisz całą szkołę.

- Nikt nas nie usłyszy. Pani Nightwing wypita dziś dwie szkla Beczki sherry. Nie obudziłaby się, nawet gdybyśmy położyły ją na środku Trafalgar Square z gołębiem w każdej dłoni.

Wyrywa jej się kolejne wycie.

- Chcę zobaczyć mojego rycerza! - wola Pippa.

- I zobaczysz.

- Nie, jeżeli Gemma nas tam nie zabierze.

- Wszystkie wiemy, że jest inna droga - mówi Felicity. W świe tle księżycy jej blada skóra lśni biało jak kość. W górę moich ple ców pełnie zimny dreszcz.

- Co masz na myśli? - pyta Pippa.

Coś porusza się wśród drzew. Rozlega się trzask łamanych ga łązek, a potem widać jakiś ruch, szybki i ukradkowy. Podskakuje my. Na polanę wychodzi sarna. Trzyma nos przy ziemi, węsząc za jedzeniem.

- To tylko sarna. — Ann głośno wypuszcza powietrze.

- Nie — mówi Felicity. - To nasza ofiara.

Księżyc na chwilę zanurza się w chmurach, pstrząc nam twarze cętkami światła.

- Nie mówisz poważnie - protestuję, otrząsając się z ponurego otępienia.

- Dlaczego nie? Wiemy, że one to zrobiły. Ale my będziemy sprytniejsze.

Felicity zachowuje się jak naganiacz w wesołym miasteczku, któ ry zachęca tłum do odwiedzenia namiotu położonego na uboczu. -Ale one nad tym nie panowały... - zaczynam. Felicity przerywa mi:

- Jesteśmy silniejsze i nie popełnimy tych samych błędów. Łow czym powiedziała mi...

Łowczyni, która częstowała mnie jagodami i szeptała coś Feli city do ucha podczas polowań. Iakaś myśl usiłuje się sprecyzować w moim umyśle, ale bez powodzenia. Pozostaje tylko lęk, wyraźny i niezaprzeczalny.

- Co z łowczynią?

- Mówi mi różne rzeczy. Takie, w które ty nie jesteś wtajemni czona. To ona powiedziała mi, że mogę mieć moc, jeśli dam jej upominek.

- Nie... to nie...

- Uprzedzała, że zareagujesz w taki sposób. Że nie można ci ufać, ponieważ pragniesz mocy międzyświata wyłącznie dla siebie.

Pippa i Ann odwracają wzrok od Felicity, spoglądają na mnie. a potem znów na nią, czekając.

- Nie możesz tego zrobić - mówię. - Nie pozwolę ci. Felicity rzuca się naprzód i powala mnie na ziemię.

- Ty. Nas. Nie. Powstrzymasz.

- Felicity... -Ann wygląda, jakby nie wiedziała, czy mi pomóc, czy uciekać.

- Nie widzicie tego? Gemma chce całą moc zachować dla sie bie! Chce mieć władzę nad nami.

-To nieprawda! - Z wysiłkiem wstaję z ziemi i cofam się o krok, byle dalej od nich.

Pippa zachodzi mnie od tyłu. Czuję jej oddech na karku.

- Więc dlaczego nas nie zabierzesz? Tu mnie ma.

- Nie mogę wam powiedzieć.

- Ona nie jest wobec nas szczerą - stwierdza Felicity. Triumfal nym gestem splata ramiona na piersi, pozwalając, żeby przyjaciółki przesiąkły nieufnością. Podejrzliwość ogarnia je niczym choroba.

Sarna znajduje się w gąszczu tuż za nami. Pippa przygląda się jej, po czym przenosi ciężar ciała z nogi na nogę.

- I nie musiałabym za niego wychodzić, prawda? Felicity ujmuje jej dłonie.
- Mogłybyśmy wszystko zmienić.
- Wszystko - powtarza Ann, dołączając do nich.

#

Widziałam kiedyś w Indiach, jak wybuchł pożar, w jednej se kundzie od iskierki z ogniska biedaków pochwyconej przez wiatr. Po kilku minutach wszystko w zasięgu wzroku płonęło - pokryte strzechą dachy trzaskały jak sucha podpałka, a matki wybiegały na ulice, niosąc w ramionach płaczące dzieci.

Tak wybucha pożar. Od jednej iskry. I właśnie teraz widzę, jak wiatr porywa tę iskrę.

- Dobrze - mówię z desperacją, nie chcąc, żeby zajęły się tym same. - W porządku. Zabiorę was tam. Wracajmy do jaskini i weź my się za ręce.

- Te czasy już minęły - odpowiada Felicity, znów krzyżując ramiona na piersi.

- Co masz na myśli?

- To, że nie chcemy już trzymać się twojej spódnicy, Gemmo. Zamierzamy wejść do międzyświata samodzielnie, dzięki.

- Ale przecież wezmę was... Pippa odwraca się do mnie plecami.

- Jak ją złapiemy?

- Zapędzimy ją do wąwozu i tam osaczymy.

Felicity rozpina guziki przy rękawach i zrzuca koszulę.

- Co robisz? - pytam zaniepokojona. Ignorując mnie, Felicity zwraca się do pozostałych:

- Zdejmijcie ubrania. Nie dajcie rady złapać sarny w gorsetach i halkach. Nigdy nam się to nie uda.

Musimy być nagie jak łowczynie.

Cala sytuacja gwałtownie wymyka się spod kontroli. Czuję się, jakbym obserwowała walący się budynek i nie miała żadnego wpływu na to, co się dzieje.

Ann obronnym gestem przyciska dłoń do pulchnego łona.

- Czy to absolutnie konieczne? Nie możemy złapać sarny w ta kim stroju?

-A jak wytłumaczysz pochodzenie plam pani Nightwing? -Felicity jest już naga, blada jak obrane z kory drzewo. Jej głos, twardy i pełen bólu, przebija się przez szelest suchych liści. - Zo stań, jeśli chcesz, ale ja już nie wrócę do tego, co było. Nie mogę.

Pippa siada na trawie i ściąga buty, a potem zaczyna zdejmować halki. Ann idzie w jej ślady.

- Ann, Pippo, posłuchajcie mnie! To nie jest w porządku. Nie możecie tego zrobić. Proszę, posłuchajcie! - Nie zwracają na ranie uwagi, zdzierając ubrania gorączkowymi ruchami. Sarna czujnie podnosi głowę, a dziewczyny kucają nisko w leśnym poszyciu. Felicity unosi palec, nakazując im, by były cicho. Zwierze wyczuwa niebezpieczeństwo i rzuca się pod osłonę drzew.

Łowczynie zrywają się z groźnym pomrukiem, nagie i lśniące. pędzą w stronę lasu, aż stają się tylko pasmem bieli, łopotem aniel skich skrzydeł w pokrytej mchem nocy.

Gonię je, a one gonią sarnę. Zwierzę to wbiega między drzewa, to wypada spomiędzy nich. Felicity prowadzi pościg - jej jasna skóra wskazuje kierunek. Słyszę ostry trzask łamanych gałązek i własny ciężki oddech. A potem jakby wielki łoskot gdzieś z przodu, gdzie niczego nie widzę.

Docieram do wąwozu i widzę Ann i Pippę. które stoją na jego brzegu, ciężko oddychając. Sarny nigdzie nie widać. Wielka bryła

ziemi oderwała się od krawędzi. Ostrożnie zbliżam się do tego miejsca. Spod moich butów spada w głąb wąwozu deszcz ziemi oraz kamyków i muszę się chwycić nisko wiszącego korzenia, żeby nie polecieć za nimi.

Na dnie wąwozu leży ranna sarna, która próbuje unieść łeb, wydając przy tym przeraźliwe dźwięki. Felicity przykuca nisko i podkrada się bliżej. Pochyla się nad zwierzęciem, głaszcząc jego sierść i mruczy coś uspokajająco. Ona tego nie robi. Ogarnia mnie niewysłowiona ulga. Postanawiam zaczekać, aż przyjaciółka wdrapa się na górę.

Chmury rozwiewają się w warstwę cienką niczym krzyk. Księżyc

oślepi nas jasnym, ostrym światłem, zalewa Felicity białą gipsową, zamieniając ją w posąg zamaryły w czasie. Dziewczyna szuka czegoś po omacku w ciemnościach. Nagle unosi rękę w górę. Opuszcza kamień z przyprawiającym o mdłości głuchym łomotem Jeszcze raz. I jeszcze raz, aż w wąwozie nie porusza się już nie prócz niej i stworzeń tak małych, że nie widzimy ich z miejsca w którym stoimy. Ann i Pippa powoli zsuwają się po zboczu rucha mi przywodzącymi na myśl kraby, a potem każda po kolei uderza ofiarę kamieniem. Ich nagie plecy, napięte i wygięte w łuk, poły skują w nocy. Kiedy się odsuwają,

leżące na dnie wąwozu zwierzę.

powyżej szyi nie przypomina już sarny. Głowa stanowi jedną breję, niczym przejrząły melon, który uderzając w ziemię, rozpadł się z zaskakującą gwałtownością. Odwracam się i wymiotuję w krzaki. Gdy chwiejnym krokiem wracam na miejsce, dziewczęta, idąc na czworakach, wdrapują się po stromym zboczu. W ciemnościach plamy krwi wyglądają na ich alabastrowej skórze jak atrament. Felicity wspina się ostatnia. Nadal trzyma w dłoni ociekający posoką kamień.

- Dokonało się - mówi, a jej głos rozdziera nocną ciszę. I tak wybuchają pożary.

I tak zaczynamy się palić. Wszystko wymyka się spod kontroli.

Felicity wkłada mi kamień do ręki. Jego ciężar pociąga mnie w przód, chwieję się i potykam. Kamień wydaje mi się lepki.

- Co teraz? - pyta Ann. Ciemność nie odpowiada, tylko lekki wiaterek porusza suchymi liśćmi nad naszymi głowami.

- Bierzymy się za ręce i przywołujemy drzwi ze światła - odpo wiada Felicity.

Chwytają się za ręce i zamykają oczy, ale nic się nie dzieje.

- Gdzie one są? - dopytuje się Pippa. - Dlaczego nic nie widzę? Po raz pierwszy tego wieczoru Felicity wygląda na zagubioną. - Obiecała mi...

Nie podziałała. Zostały oszukane. Współczułabym im, gdybym nie była tak przerażona.

- Obiecała... - szepcze Felicity.

Na polanę wchodzi Kartik. Zatrzymuje się na widok dziewcząt, poplamionych krwią i na wpół oszalałych. Robi krok w tył, gotów się wycofać, ale Felicity go zauważa.

- Co ty tu robisz?! - krzyczy.

Kartik nie odpowiada. Zamiast tego jego wzrok pada na kamień w mojej dłoni. Upuszczam go szybko, a on uderza o ziemię z głuchym odgłosem.

Felicity wykorzystuje tę krótką chwilę dekoncentracji. Chwyta ostry patyk i atakuje Kartika, tnąc go przez pierś. Krew przesącza się przez podartą koszulę, a chłopak zgina się wpół zaskoczony bólem. Felicity prezentuje swoje nowe umiejętności łowczynie. Chwyta kij, gotowa powtórzyć cios.

- Ostrzegałam, że następnym razem wyłupimy ci oczy - warczy. Wydawała mi się niebezpieczna jakiś czas temu, kiedy czuła, że

ma władzę. Myliłam się. Zraniona i bezsilna jest o wiele groźniejsza, niż mogłam to sobie wyobrazić.

Ranny Kartik przez chwilę nie może się bronić.

- Przestań! - wołam. - Pozwól mu odejść, a zabiorę was do międzyświata.

Felicity ciężko oddycha, nadal celując patykiem w jego oczy.

- Fee - odzywa się Pippa, sama chyba odrobinę wystraszona. - Gemma nas zabierze.

Felicity powoli cofa się. by do nas dołączyć.

- Ona da nam moc, gdy już się tam znajdziemy - mówi, pró bując uratować twarz. - Jestem tego pewna.

Jej słowa wyraźnie niepokoją leżącego na ziemi Kartika. Lekko kiwam do niego głową, dając mu znać, że wszystko będzie dobrze, choć wcale nie jestem tego pewna. Nie mam pojęcia, co tym razem czeka nas po drugiej stronie drzwi. Nie wiem, jaki efekt przyniosą działania moich przyjaciółek. Wiem tylko, że muszę to zrobić.

Felicity patrzy na mnie twardo. Wszystko się zmieniło, nie ma już odwrotu. Idę za nimi do lasu, żeby mogły się ubrać. Wkrótce są gotowe.

- Weźcie mnie za ręce - mówię w nadziei na najlepsze i w oba wie przed najgorszym.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Drzwi pulsują światłem. Gdy przechodzimy przez nie, wszystko wydaje się takie jak przedtem. Rzeka śpiewa słodko, słońce nadal zachodzi w feerii barw, kwiaty unoszą się na wietrze.

- Widzicie? - mówi Felicity, a jej oczy lśnią triumfalnie. - Ni czego nie brakuje. Mówiłam wam, że ona po prostu chciała zachować moc dla siebie.

Ignoruję ją, nasłuchując niezwykłych odgłosów.

Przyjaciółki wkraczają na łąkę przede mną i idą w stronę ogrodu ramię w ramię, niczym trio papierowych figurek z wycinanki.

Wiele wiatr, niosąc zapach róż i jakiś inny nieznanymy odór, który sprawia, że rzucam się za nimi biegiem.

- Czekać! Felicity, proszę, posłuchaj, uważam, że powinnyśmy wracać.

- Wracać? Dopiero tu dotarliśmy - odpowiada szyderczym tonem.

Ann ma kamienną twarz.

- Nie wrócimy, nie mając mocy, by przychodzić tu samo dzielnie.

Nagle u naszego boku pojawia się łowczynie. Przestraszyła mnie. To dziwne, że nigdy nie słyszę, jak się

zbliża. Nie mogę przestać myśleć o tym, że zaproponowała mi jagody. Ogarnia mnie chłód. Łowczyni przesuwa palcem po zakrwawionej twarzy Felicity, pociera płamę kciukiem. Unosi palec do ust, smakuje krew i uśmiecha się.

- Widzę, że złożyłyście ofiarę.

- Tak - potwierdza Felicity. - Czy dasz nam moc, abyśmy mogły same przychodzić do międzyświata?

- A czy nie obiecałam tego? - Uśmiecha się. lecz nie ma w niej ani krztyny ciepła. - Chodźcie za mną. Chwytam Felicity za ramię.

- Coś jest nie w porządku, nic powinnymy z nią iść - szepczę.

- Nie, w końcu wszystko jest w porządku - odpowiada ostro, wrywa mi się i biegnie za pozostałymi.

Przechodzę za nimi pod srebrnym łukiem do groty. Mamy ni gdzie nie widać. Wokół unoszą się zapachy mojego dzieciństwa Curry. Fajkowy dym. I coś jeszcze. Znow to czuję. Nieprzyjemny odór.

Docieramy do Runów Wyroczni - serca wszystkiego.

#

Znow zrywa się lekki wiatr. Zapach powraca. Pod aromatem wspomnień czai się coś cierpkiego, przypominającego fetor mięsa gnijącego w słońcu. Czy nikt inny tego nie czuje?

- Co robimy teraz? - pyta Pippa.

- Użyjcie magii, żeby przeprowadzić mnie na drugą stronę - wydaje polecenie łowczyni.

- Jeśli to zrobimy, to dasz nam moc, której potrzebujemy. Żeby tu przychodzić, kiedy zechcemy?

- Nie ja. moja pani. Ona da wam to, na co zasłużyłyście. Budzi się we mnie niepokój i nie opuszcza mnie już ani na chwilę.

- Twoja pani? - Felicity jest zbита z tropu.

Wszystko we mnie krzyczy, żeby uciekać. Kładę dłoń na ramie niu przyjaciółki, a ona, jakby wyczuwając moje przerażenie, cofa się powoli dalej od kręgu. Łowczyni zdaje się robić coraz wyższa. Jej oczy stają się czarne, a głos przechodzi w syk.

- Chodźcie do mnie. moje śliczne.

Niebo otwiera się, ukazując skłębione morze ciemnych chmur, Wyrasta przed nami ogromne, skrzeczące widmo, niosące dusze po tępiionych pod łopoczącą na wietrze czarną peleryną. Felicity nie może od niego oderwać wzroku, nie może przestać się wpatrywać w szkieletową twarz, w okolone czerwienią oczy z wirującymi czarnymi mi owalami w środku, w ostre, wyszczerbione zęby. To coś zaciska dłoń na jej ramieniu. Felicity szeroko otwiera usta. Niczym tusz czerń przelewa się w jej oczy, aż stają się bezdenne.

- Nie! - krzyczę, rzucając się bez namysłu na przyjaciółkę. Obie przewracamy się na ziemię. Felicity cała drży, oczy nadal ma czarne. Pippa, krzycząc, pada na ziemię i zsuwa się po zboczach w stronę rzeki.

-Ann! Pomóż mi! Musimy ją stąd zabrać!

Bierzemy Felicity między siebie i biegniemy nad rzekę. Musimy znaleźć Pippę i wydostać się stąd.

Wichura narasta. Zrywa kwiaty, liście i gałęzie z drzew, miota nimi wokół nas. Konar przelatuje tuż obok mojej głowy, ale na szczęście tylko muska policzek, pozostawiając zadrapanie, z którego płynie krew.

Mrocznemu widmu wyrasta kolejna para rąk, a potem następna. Rusza w naszą stronę, gotowe zgnieść nas w uścisku. Felicity trochę przytomnieje, najpierw idzie niepewnie, lecz potem zaczyna biec.

Docieramy do rzeki, ale gdzie jest Pippa? Nagle krzyk Ann rozdziera powietrze:

- Pomóżcie mi!

Dziewczyna klęczy nad rzeką i szarpiąc się za włosy, wpatruje się w swoje odbicie. Ciało ma pokryte odrażającymi wrzodami. Włosy wypadają jej całymi pasmami, a rany wyrzuszają się na czaszce.

Wygląda to tak, jakby jej skóra odchodziła od kości.

- Przestań na sobie patrzeć, Ann! Przestań! - wołam.

- Nie mogę! Nie mogę!

Pochyla się jeszcze niżej nad powierzchnią wody. Obejmuję ją ramionami za tors, ale jest ciężka i nawet nie drgnie. A potem na gle dzięki mocnemu szarpnięciu Felicity jest wolna i przewraca się na trawę.

Szarość powraca do jej oczu.

- Gdzie Pippa? - przekrzykuje wiatr.

- Nie wiem - odpowiadam.

Coś pełźnie po mojej ręce. Wśród wysokiej trawy, która kurczy się i wysycha, wiją się węże. Wskakujemy na leżący nieopodal głaz.

Gruszki spadają z drzewa i gniją u naszych stóp. Ann kwili, pa trząc, jak jej skóra staje się przeraźliwie brzydka.

- Pomocy! - dociera do nas krzyk Pippy. Potykając się, brnie my przez suchą trawę, aż w końcu dostrzegamy ją. Wypłynęła na rzekę dużą łodzią, trochę przypominającą katafalk, a wiatr ze pchnął ją na głębinę. Widmo chodzi nabrzeżem, nie pozwalając nam się do niej zbliżyć.

- Tak, tak... Chodźcie po nią... - śmieje się.

- Proszę! Pomóżcie mi! - wola Pippa. Ale nie da się nic zrobić. Jest od nas odcięta. Nie możemy pozwolić, żeby upiór nas złapał. Tak bardzo się boję, że potrafię myśleć tylko o jednym - muszę nas stąd jakoś wydostać.

- Przez drzwi! Szybko! - wołam. Wiatr chłoszcze bladą twarz Felicity.

- Nie możemy zostawić Pip!

- Wrócimy po nią! - krzyczę, ciągnąc ją za rękę -Nie!

- Nic zostawiajcie mnie! - Pippa przesuwa się na dziób łodzi, który zanurza się pod jej ciężarem.

- Pippa, nie! - wrzeszczę, ale jest już za późno. Wskakuje do rzeki, klóra zamyka się nad jej wyciągniętymi rękami niczym łód. grzebiąc wszystko prócz słabego, zdławionego wołania. Przypomina mi się ten dzień, gdy Pippa miała atak, a ja wizję, w której ujrzałam, jak coś wciąga ją pod wodę. I teraz z wielkim przerażeniem w końcu rozumiem, o co chodziło.

Wściekły potwór wydaje ryk, po czym ciemność rusza w naszą stronę, wyjąc.

- Pippa! Pippa! - krzyczy Felicity, aż do zachrypięcia.

- Felicity, musimy uciekać! Natychmiast!

Widmo jest tuż obok. Nie ma czasu na zastanowienie. Mogę tylko reagować. Sięgam do drzwi i wprowadzam nas do jaskini. gdzie migocze ogarek świeczki, jesteśmy tu wszystkie, bezpieczne i całe, jak się zdaje. Lecz leżące na ziemi wyprężone ciało Pippy ogarniają niepohamowane drgawki.

W głosie Ann słychać panikę.

- Pippa? Pippa? Felicity wybucha płaczem.

- Zostawiłaś ją tam! Zostawiłaś! Ostatnia świeca gaśnie z sykiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

- Musisz mi pomóc!

To stworzenie z obłędem w oku, stojące przed namiotem Kartika, to ja. Chłopak nie kłóci się ze mną, nie mówi ani słowa, nawet wtedy gdy opowiadam mu, co się stało. Przerzuca Pippę przez ramię i nie się ją całą drogę do Spence. Zatrzymuje się tylko jeden raz, gdy mi jamy wąwóz i zwłoki sarny, które tam zostawiłyśmy. Pomaga nam zanieść przyjaciółkę do pokoju, a ja pędzę po panią Nightwing. Ło moczę wściekle w drzwi, wołając ją z rozpaczą, której nie umiem powściągnąć.

Dyrektorka otwiera gwałtownie. Nocny czepek zsuwa się po jej długich, siwiejących warkoczach.

- Na Boga. o co chodzi? Panno Doyle, dlaczego pani jest ubra na? Dlaczego pani nie śpi?

- Chodzi o Pippę - udaje mi się wysapać. - Ona...

Nie jestem w stanic dokończyć, ale to nie ma znaczenia. Pani Nightwing usłyszała panikę w moim głosie. Rusza do działania z tą swoją niewzruszoną stanowczością, której do tej pory nigdy na prawdę nie doceniałam.

- Proszę powiedzieć Brigid, żeby natychmiast wezwała doktora Thomasa.

#

Światła palą się całą noc. Siedzę przy oknie w bibliotece, obejmując ramionami kolana i starając się być jak najmniejsza. Widzę Pippę na krawędzi snu. Mokra, o pustych oczach, znika pod gładką powierzchnią, wołając o pomoc. Wbijam paznokcie w dłoń, że

Mroczny sekret

by nie zasypiać. Felicity przechodzi obok. Stara się na mnie nie pa trzeć, ale jej milczenie mówi za nią.

Zostawiłaś ją tam. Gemmo. Samą w wodnym grobie.

Ktoś idzie przez trawnik, niosąc latarnię. To Kartik. Światło podskakuje i chwieje się w metalowej klatce.

Muszę wyteńczyć wzrok, żeby go zobaczyć. Niesie łopatę i wiem że idzie zająć się tym, czego nie potrafi zignorować. Zamierza pogrzebać sarnę w wąwozie.

Ale czy zamierza chronić siebie lub mnie, tego nie wiem.

Siedzę bardzo długo i obserwuję, jak nad ranem noc sinieje, po tem fiolet przechodzi w żółć, a żółć blednie, aż wydaje się, jakby ciemność nigdy nie plamiła skóry nieba. Zanim słońce wzniesie się nad drzewami, gotowa jestem odbyć jeszcze jedną, ostatnią podróż.

#

-Weź to - mówię, wciskając amulet z księżycowym okiem w dłoń Felicity.

- Ale dlaczego?

- leżeli nie wrócę... - Milknę. - Jeżeli coś pójdzie nie tak, będziesz musiała odszukać pozostałych. Dzięki temu poznają, że je steś jedną z nich.

Wpatruje się w srebrny amulet.

- Od ciebie będzie zależało, czy pójdziesz po mnie. - Przerzy wam. - Czy zamkniesz międzyświat na zawsze. Rozumiesz?

- Tak - szepcze. - Obiecuj, że wrócisz.

Strzępek jedwabiu z sukni mamy wydaje się bardzo miękki w mojej zaciśniętej dłoni.

- Postaram się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Nie ma tu już ptaków, nie ma kwiatów, nie ma zachodu słońca. Wszystko za świetlistymi drzwiami pokrywa upiorna szarość. Pu sta łódź nadal stoi na rzece, unieruchomiona przez cieką powłokę lodu na wodzie.

- Jeśli mnie chcecie, tutaj jestem! - wołam. Ostatnie słowo od biją się echem wokół mnie. Jesiem, jestem. Jestem.

- Gemma? Gemma! - Mama wyłania się zza drzewa. Jej głos. silny i pewny, zaskakuje mnie.

- Mama?

W oczach ma łzy.

- Gemmo, tak się bałam... Ale nic ci nie jest. - Uśmiecha się, a ja całą sobą tęsknię do niej. Czuję się zmęczona i niepewna, leci ona jest przy mnie. Pomoże mi wszystko wyprostować.

- Mamo. tak mi przykro. Potwornie namieszałam. Mówiłaś mi, że nie powinnam jeszcze używać magii, ale zrobiłam to, i wszystko zawaliłam, a Pippa...

Nie potrafię się zmusić, by powiedzieć więcej, nie potrafię tego nawet pomyśleć.

-Ciii, Gemmo, nie czas na łzy. Przyszłaś tu, żeby sprowadzić Pippę z powrotem, tak?

Potakuję skinieniem głowy.

-Nie ma więc czasu do stracenia. Szybko, zanim ten stwór wróci.

Przechodzę za nią przez srebrny luk, zanurzam się w ogród docieram do wysokich kryształów, które mają tyle mocy.

- Przyłóż dłonie do runów. Waham się, choć nie wiem dlaczego.

- Gemmo - mówi mama, mrużąc zielone oczy. - Musisz mi zaufać albo twoja przyjaciółka będzie na zawsze stracona. Chcesz mieć ją na sumieniu?

Myślę o Pippie walczącej w lodowatej wodzie, tam gdzie wpała. Gdzie ją zostawiłam. Unoszę dłonie nad runami.

- Dobrze, moja kochana. Wszystko już poszło w niepamięć. Wkrótce będziemy razem.

Przykładam lewą rękę do kryształu. Przebiega przeze mnie drże nie. Jestem osłabiona po ostatnich podróżach i magia zaczyna mnie wciągać swoją mocą. To dla mnie zbyt wiele. Mama podaje mi dłoń. Jest tuż przede mną - różowa, żywa i otwarta. Muszę ją tylko chwycić. Unoszę ramię. Wyciągam rękę w jej kierunku, aż moja skóra zaczyna wibrować od jej bliskości. Nasze palce stykają się.

- Nareszcie... Nagle to coś, co ukrywa się pod postacią mojej mamy, rośnie wysoko jak kamienie wyroczni. Z głośnym rykiem stwór chwytą mnie za ramię. Czuję jego chłód, gdy wślizguje się przez moją rękę w żyły i pełźnie w stronę serca. Opuszcza mnie wszelkie ciepło. Nie mam szans walczyć z tą istotą.

Wszystko wokół się rozpada. Spadamy szybko razem, mijamy górę, skłębione niebo, zasłonę dzielącą międzyświat od rzeczywi stości śmiertelników. Zachwycony stwór zanosi się śmiechem.

-Nareszcie... Nareszcie...

Ta nowa magia podbija mnie przez zaskoczenie, przepływając przeze mnie i łącząc się z moją wolą. Ogrom jej siły jest przytła czający. Nie chcę nigdy z niej zrezygnować. Mogłabym ją wyko rzystać do kontrolowania, do ranienia, do zwyciężania.

Stwór chichocze.

- Tak... to jest odurzające, prawda? Tak, och, tak. Czy to czuły moja mama i Kirke, czy to bały się stracić - władzę, której nie mogłyby mieć we własnym świecie? Gniew. Radość. Uniesienie. Furia.

Wszystko należy do nich. I do mnie.

- jesteśmy już prawie na miejscu - szepcze to coś.

Pode mną Londyn rozkłada się jak wachlarz damy - ozdobny i delikatny. Miasto, które chciałam zobaczyć, gdy mieszkałam w In diach. Miasto, które nadal chcę zobaczyć. Sama.

To coś wyczuwa mój niepokój.

- Mogłabyś tu rządzić - mówi, niemalże liżąc moje ucho. Tak, tak, tak.

Nie. Nie tak naprawdę. Nieprzywiązana do tego stwora. Moc nigdy nie należałaby do mnie. Sprawowałaby nade mną kontrolę. Nie, nie, nie. Pozwól mu wygrać. Połącz się z nim. Jestem zmęczony na podejmowaniu decyzji. Robię się ociężała. Tak ociężała, że mogłabym spać przez całą wieczność. Niech Kirke wygra. Porzucę rodzinę i przyjaciół. Popłynę z prądem.

Nie.

W tym momencie stwór zdaje się słabnąć. Musisz znać samą siebie, wiedzieć, czego chcesz. Tak mówiła mama. Czego chcę.. Czego chcę...

Chcę wrócić. A to wraca ze mną. Nagle London kurczy się do rozmiarów główki od szpilki, zupełnie poza moim zasięgiem. Wy ciągam tego stwora z powrotem ze świata, z powrotem na szczyt góry, do groty i runów.

Piski i wycie, odrażające wołania przeklętych smagają mnie ni czym bicze.

- Oszukałaś nas!

Potwór rozciąga się w upiorną, kłębiącą się ścianę, która sięga aż do nieba. Nigdy nie widziałam nic bardziej przerażającego i przez chwilę czuję wyłącznie lęk, który mnie paraliżuje. Szkiele towe ręce chwytają mnie mocno za szyję i ściskają. W panice od dają cios, używając magii, aby skrzywdzić to coś jak najbardziej. Za każdym razem gdy wraca, zabiera mi coraz więcej energii.

Ręce znów obejmują mnie za szyję, a ja prawie nie mam już siły.

- Tak, bardzo dobrze. Poddaj mi się.

Nie mogę myśleć. Z trudem oddycham. Na niebie nad moją, głową kłębią się szarość i czerń.

Siedzieliśmy tutaj i liczyliśmy chmurki na błękitnie. Błękitnie takim jak jedwabna suknia mojej mamy. Jak obietnica. Jak nadzieja. Mama wróciła po mnie. Nie mogę jej przecież zostawić na pastwę tego czegoś. Czarne wirujące kule pochylają się niżej. Smród zgnilizny wypełnia moje nozdrza. Łzy szczypią mnie w oczy. Nie zostało mi nic prócz tej nadziei i tego szeptu.

-Mamo... wybaczam ci.

Uścisk słabnie. Stwór szeroko otwiera oczy, rozdziawia odra żające usta. Jego moc słabnie.

-Nie!

Czuję, jak wraca mi siła. Głos mam mocniejszy, słowa żyją wła snym życiem.

-Wybaczam ci, mamo. Wybaczam ci, Mary Dowd.

Stwór wije się i wrzeszczy. Wymykam mu się z rąk. Przegrywa walkę i robi się mniejszy. Woła do mnie w bólu, ale ja nie przesta ję. Powtarzam te słowa jak mantrę, chwytam głaz i rozbijam pierw szy kamień runiczny. Rozpada się w deszczu kryształowych kro pel, a ja niszczę następny.

- Przestań! Co ty wyprawiasz?! - wrzeszczy to coś. Rozbijam trzeci i czwarty kamień. Na moment stwór zmienia

kształt i staje się moją mamą. drżącą i słabą na przypominające, siano trawie.

- Gemmo, proszę cię, przestań. Zabijasz mnie.

Waham się. Odwraca do mnie delikatną, poplamioną łzami twarz.

- Gemmo, to ja, twoja mama.

- Nie. Moja mama nie żyje.

Rozbijam piąty kamień runiczny i padam na twardą ziemię. Z głośnym westchnieniem istota traci władzę nad duchem mojej mamy. Kurczy się w sobie i zmienia w ciekłą wirującą kolumnę ję ków, po czym zostaje wessana w niebo i zapada cisza.

Leżę bez ruchu.

- Mamo? - odzywam się. Tak naprawdę nie spodziewam się żadnej odpowiedzi i żadnej nie otrzymuję.

Mama odeszła napraw dę. Jestem sama i w jakimś sensie tak właśnie powinno być.

W pewien sposób mama, którą pamiętam, była taką samą iluzją jak liście, które przemieniałyśmy w motyle podczas naszej pierw szej eskapady do międzyświata. Będę musiała pozwolić jej odejść. żeby zaakceptować matkę, którą właśnie zaczęłam poznawać. Zdolną do popełnienia morderstwa, ale też gotową walczyć z ciem nością, żeby przyjść mi na pomoc. Przestraszoną, próżną kobietę, a jednocześnie

potężną członkinię starożytnego Zakonu. Nawet te raz tak naprawdę wcale nie chcę tego wiedzieć. Najłatwiej byłoby uciec w bezpieczne schronienie iluzji i mocno się w nim okopać. Ale nie zrobię tego. Chcę przygotować miejsce dla tego, co realne, dla rzeczy, których mogę dotknąć i posmakować, które mogę po wąchać i poczuć - dla obejmujących mnie ramion, dla łez i złości, rozczarowania i miłości, dla tego dziwnego uczucia, które mnie ogarnęło, gdy Kartik uśmiechnął się do mnie pod swoim namiotem, a przyjaciółki wzięły mnie za ręce i powiedziały: „Tak, pójdziemy za tobą”... A najbardziej realne jest to, że jestem Gemmą Doyle. Nadal istnieję. I po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję się za to ogromnie wdzięczna.

#

Mam jeszcze wiele do przemyślenia, ale teraz stoję na brzegu rzeki. Pod taflą lodu widać bladą twarz Pippy i okalające ją ciemne loki. Kamieniami rozbijam lód. Woda gwałtownie wypływa przez pęknięcia. Muszę zanurzyć rękę w tej mrocznej, zakazanej wodzie. Jest ciepła jak kąpiel w wannie, zapraszająca i spokojna. Czuję pokusę, żeby się w niej zanurzyć, ale jeszcze nie teraz. Chwytam Pippę za rękę i ciągnę z całej siły, wyszarpując ją spod ciężaru wody, aż wreszcie wywlekam na brzeg. Parska i kaszle, wymiotuje rzeczną wodą na trawę.

- Pippa? Pippa! - Jest taka blada i zimna. Pod oczami ma wielkie ciemne kręgi. - Pip, wróciłam, żeby zabrać cię z powrotem.

Fiołkowe oczy otwierają się.

- Z powrotem. - Wypowiada te słowa miękko, zerkając tęsknie na rzekę, której sekrety zarazem chciałabym poznać i trzymać z dala od siebie, przynajmniej na razie. - Co ze mną będzie?

Nie mam w sobie wystarczająco dużo magii, żeby kłamać.

- Nie wiem.

- A zatem żona Bartleby'ego Bumble'a, tak?

Nic nie mówię. Pippa głaszcze mnie po policzku zimną, wilgotną dłonią i ja już wiem, o czym myśli, nie z powodu magii, ale dla tego, że jest moją przyjaciółką i kocham ją.

- Proszę, Pip - mówię, ale zaraz milknę, bo chce mi się płakać. - Musisz wrócić. Po prostu musisz.

- Muszę... Całe moje życie sprowadza się do tego słowa.

- To się może zmienić... Potrząsa głową.

- Nie jestem wojowniczką tak jak ty.

W zimowej kručzej trawie znajduje małą kiść pomarszczonych jagód, nie większych niż ziarna pszenicy. Spoczywają w jej dłoni jak garść monet.

Boli mnie gardło.

- Jeśli je zjesz...

- Co takiego powiedziała panna Moore? Nie ma bezpiecznych decyzji, są tylko różne decyzje.

Po raz ostatni spogląda na rzekę i unosi rękę do ust. W pewnej chwili robi się tak cicho, że słyszę poszarpane krawędzie mojego oddechu. A potem jej skóra odzyskuje kolor, włosy zwijają się w loki, policzki pokrywa żywy róż. Pippa promienieje. Wszędzie wokół mnie świat znów ożywa kaskadą kwitnących kwiatów i zło cistych liści. Na horyzoncie rodzi się nowe różowe niebo. A rycerz stoi, czekając, z jej rękawiczką w dłoni.

Ciepła bryza gna łódź pod nasz brzeg.

Czas się pożegnać. Ale ostatnio miałam zbyt wiele pożegnań i będę ich miała jeszcze więcej, więc nic nie mówię. Pippa uśmiecha się, a ja odpowiadam uśmiechem. Tylko tyle potrzeba. Wchodzi do łódki i pozwala się ponieść na drugi brzeg. Gdy do niego dopływa, rycerz pomaga jej wysiąść i stanąć na soczystej zielonej trawie. Spod srebrnego luku ogrodowej bramy przygląda jej się córeczka matki Eleny, Carolina. Lecz szybko uświadamia sobie, że to nie jest ta osoba, na którą czeka, więc znika z pola widzenia, kołysząc lalkę w ramionach.

#

Kiedy wracam, zastaję Felicity przycupniętą pod pokojem Pip py, opartą plecami o ścianę. Łkając, zarzuca mi ramiona na szyję. Kawalek dalej w korytarzu Brigid pociąga nosem, zasłaniając lustro prześcieradłem. Ann wychodzi z pokoju Pippy z zaczerwienionymi oczami i ciekącym nosem.

- Pippa... - Głos jej się załamuje. Nie musi kończyć zdania.

Ja już wiem, że Pippa odeszła.

#

Tego ranka, gdy składamy Pippę do grobu, pada deszcz. Zimny, październikowy deszcz, który garść ziemi w mojej dłoni prze mienia w błoto. Kiedy nadchodzi moja kolej, ziemia przecieka mi przez palce i pada na trumnę z lśniącego drewna, nie wydając przy tym żadnego odgłosu.

Przez cały ranek Spence działało jak dobrze naoliwiona maszyna. Każda z nas robiła to, co do niej należało, cicho i efektywnie. To dziwne, jak rozważni robią się ludzie po czyjejś śmierci. Nagle wszelki brak zdecydowania rozplywa się w jasnych, określonych czynnościach - zmienianiu pościeli, wybieraniu sukni lub hymnu, praniu, cichym odmawianiu modlitw. Wszystkie małe, proste, świadome gesty stają się nagle obroną przeciwko umieraniu.

Dziewczęta z pierwszej klasy otrzymują pozwolenie na pięć dziesięciokilometrową podróż do domu Crossów na pogrzeb. Pani Cross nalega, aby pochować Pippę w pierścionku zaręczynowym z szafirem, co bez wątpienia bardzo boli pana Bumble'a. Przez cały pogrzeb co chwila zerka na zegarek kieszonkowy i robi miny. Pastor głębokim, czystym głosem opowiada nam o urodzie Pippy i jej niezachwianej dobroci. W ogóle nie znam tej płaskiej, stereo typowej dziewczyny. Żałuję, że nie mogę wstać i opisać, jaka była naprawdę - czasem próżna, egoistyczna i zakochana w swoich romantycznych złudzeniach, ale również dzielna, zdeterminowana i hojna. A nawet gdybym powiedziała im to wszystko, to i tak nie byłby pełny portret. Nie da się nigdy nikogo poznać do końca. Dlatego jest to jedna z najbardziej przerażających rzeczy - przy mówieniu komuś na wiarę i nadzieję, że on przyjmie nas tak samo. Jest to stan równowagi tak chwiejnej, że aż dziw, iż w ogóle się na to decydujemy. A mimo to... Pastor udziela końcowego błogosławieństwa. Jeszcze tylko gra barze muszą wykonać swoją pracę. Wkładają czapki na głowy, po czym wbijają łopaty w błoto, zakopując dziewczynę, która była moją przyjaciółką. Cały czas czuję, jak on mnie obserwuje zza drzew. Kiedy się odwracam, widzę jego czarny płaszcz. Gdy tylko zauważam, że pani Nightwing jest zajęta pocieszaniem Crossów, wymykam się do Kartika w jego kryjówce za wielkim marmurowym sepiem.

- Przykro mi - mówi. Jego słowa są proste i bezpośrednie, nie wygłasza tych wszystkich frazesów na temat Boga powołującego do siebie anioła w zbyt młodym wieku i kimże my jesteśmy, żeby kwestionować jego tajemne ścieżki. Deszcz bębni po moim parasolu w monotonnym rytmie.

- Pozwoliłam jej odejść - odpowiadam z wahaniem, zadowolona, że w końcu mogę uczynić swego rodzaju wyznanie. - Przy puszczałam, że mogłam bardziej się postarać ją zatrzymać, ale nie zrobiłam tego. Karlik pozwala mi wyrzucić to z siebie.

Czy powie Rakshanom, co zrobiłam? Nie ma to w zasadzie żadnego znaczenia. Już podjęłam decyzję. Jestem teraz odpowiedzialna za międzyświat. Gdzieś tam czeka Kirke, a ja muszę odnaleźć członkinie Zakonu, naprawić swoje błędy, nauczyć się wielu rzeczy.

Kartik milczy. Odpowiada mi tylko uporczywy deszcz. W końcu chłopak odzywa się do mnie:

- Pobrudziłaś sobie twarz.

Na ślepo ocieram policzki grzbietem dłoni. Kartik kręci głową, dając do zrozumienia, że nie udało mi się zetrzeć brudu.

- Gdzie? - pytam.

- Tutaj. - Powoli przesuwam kciukiem po krawędzi mojej dolnej wargi i jest tak, jakby czas zwolnił, a dotyk jego kciuka pod moimi ustami trwa całą wieczność. Nie znam takiego czarownika, ale jest w nim tyle magii, że ledwie mogę oddychać. Kartik szybko cofa dłoń, świdrując dom tego, co zrobił. Lecz ja nadal czuję jego dotyk.

- Moje kondolencje - mamrocze, odwracając się, żeby odejść.

- Kartik? - Zatrzymuje się. Jest przemoczony do suchej nitki. a czarne loki kleją mu się do czoła. - Nie ma już odwrotu. Możesz im to powiedzieć.

Pytając przechyla głowę na bok i uświadamiam sobie, że nie jestem pewien, czy mam na myśli, iż nie ma odwrotu od tego, że odnalazłam moc, czy od tego, co się między nami stało. Chcę to wyjaśnić, ale uświadamiam sobie, że sama nie jestem pewna. A poza tym on już ucieka. Wyciągając długie nogi, biegnie, aby bezpiecznie nie skryć się w powozie, który widzę kawałek dalej na drodze.

Gdy dołączam do pozostałych, Felicity wpatruje się w świeży grób, płacząc na deszczu.

- Ona naprawdę odeszła?

- Tak - odpowiadam, zaskoczona pewnym brzmieniem w jej głosie.

- Co mi się przydarzyło po drugiej stronie, z tym stworzeniem?

- Nie wiem.

Patrzemy na żałobników stanowiących plamę czerni w morzu szarego deszczu. Felicity nie może się

zmusić, żeby na mnie spoj rzeć.

- Czasami wydaje mi się, że widzę coś kątem oka. Drwi ze mnie. a potem znika. I mam sny. Potworne sny. A jeśli przydarzyło mi się coś strasznego, Gemmo? Jeśli zostałam jakoś okaleczona?

Deszcz składa chłodny pocałunek na mojej ręce, gdy biorę ją pod ramię.

- Wszystkie zostałyśmy jakoś okaleczone.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Dano nam dzień wolny na odpoczynek i zadumę, więc made moiselle LeFarge jest bardzo zdziwiona, widząc mnie pod drzwiami swojej klasy. A przeżywa już zupełny wstrząs, kiedy wręczam jej pięć stron schludnego, starannego tłumaczenia z francuskiego.

-Całkiem dobre - oświadcza, dokładnie sprawdzwszy moją pracę. Na biurku, tam gdzie ongiś stał ferrotyp przedstawiający Reginalda, zauważam teraz elegancki nowy wazon z kwiatami. Na uczycielka składa kartki i oddaje mi je z naniesionymi atramentem poprawkami.

- Dobra robota, mademoiselle Doyle. Sądzę, że jest dla pani jeszcze jakaś nadzieja. Dans chaque fin, il y a un debut.

To przerasta moje umiejętności translatorskie.

- Na końcu jest też debiutantka? Mademoiselle LeFarge przecząco kręci głową.

- Każde zakończenie stanowi początek czegoś nowego.

#

Deszcz przestał padać, ale przyniósł rześki jesienny wiatr, który wywołuje na mojej twarzy takie rumieńce, że wyglądam, jakby ktoś mnie przed chwilą spoliczkował. Październik rozkwita czerwienią i złotem.

Wkrótce drzewa stracą liście i świat będzie zupełnie nagi.

Wiele kilometrów stąd Pippa leży w trumnie, zmieniając się we wspomnienie, kolejną legendę Spence powtarzaną szeptem w noc. Słyszałyście o dziewczynie, która umarła w tamtym pokoju po drugiej stronie korytarza? Nie wiem, czy przyjacielka żałuje swojego wyboru. Lubię myśleć o niej takiej, jaką widziałam po raz ostatni, gdy szła z ufnością w stronę czegoś, czego, mam nadzieję, ja nie zobaczę jeszcze bardzo długo.

W świecie poza naszym światem rzeka płynie, śpiewając słodko, czarując nas tym, co chcemy usłyszeć, kształtując to, co musimy zobaczyć, by żyć dalej. W tych wodach zapomniane są wszelkie rozczarowania, a błędy wybaczone. Spoglądając w nie, widzimy silnego ojca, kochającą matkę, ciepły dom, w którym znajdujemy schronienie, uznanie, miłość. A niepewność naszej przyszłości stanowi ledwie mgłą oddechu na okiennej szybie.

#

Ziemia nadal jest mokra. Obcaszki moich butów grzęzną w niej głęboko, utrudniając marsz, ale widzę już między drzewami cygańskie wozy. Idę przekazać prezent. Albo łapówkę. Nie jestem jeszcze do końca pewna swojej motywacji. Liczy się to, że idę.

Paczka jest opakowana w dzisiejszą gazetę. Zostawiam ją przed namiotem Karlika i wślizguję się z powrotem między drzewa, żeby poczekać. Wraca dość szybko, niosąc kilka upolowanych młodych gołębi na sznurku. Zauważa paczkę, więc odwraca się szybko, żeby sprawdzić, kto mógł ją zostawić. Nie zauważywszy nikogo, otwiera ją i znajduje lśniący kij do krykieta mojego ojca. Nie wiem, czy go przyjmie, czy uzna ten gest za obrazę.

Kartik pieszczotliwie przesuwa dłońmi po drewnie. Cień uśmiechu błąka się w kąciakach jego ust, które - co sobie właśnie uświa damiam - są najpiękniejszymi ustami na świecie. Potem podnosi z ziemi dzikie jabłko i podrzuca je w powietrze. Kij z cichym trza skiem uderza w jabłko, wysyłając je w daleki lot będący wypadkiem umiejętności gracza i przypadku. Kartik wydaje cichy okrzyk zadowolenia i dalej atakuje niebo. Przyglądam się, jak uderza w kolejne jabłka, znów i znów, aż w końcu zostają mi dwie refleksje: Krykieta to cudowna gra niosąca przebaczenie oraz Następny razem muszę przynieść mu piłkę.

Przebaczenie. Warte piękno tego słowa zakorzenia się we mnie gdy wracam przez las, mijam jaskinię oraz wąwóz, w którym ziała, przyjęła ciało sarny, pozostawiając jedynie kilka kości wystających z

zaimprovizowanego grobu na dowód, że to się w ogóle stało. One też wkrótce znikną.
Ale przebaczenie... Trzymam się tego niewielkiego okruchu nadziei, tulę go mocno, pamiętając, że w każdym z nas mieszka dobro, zło, światło i ciemność, sztuka i ból, wybór i żal, okrucieństwo, poświęcenie. Każdy z nas jest swoim własnym chiaroscuro własnym kawałkiem iluzji, który stara się przerodzić w coś konkretnego, coś realnego. Musimy sobie to wybaczyć. Muszę potrafić się wybaczyć sobie. Ponieważ trzeba ogarnąć ogromne pole szarości. Nikt nie może cały czas żyć w pełnym świetle. Wiatr wzmaga się, niosąc zapach róż, silny i słodki. Po drugiej stronie wąwozu widzę ją na stercie suchych liści. Sarna. Zauważyła mnie, rzuca się między drzewa. Biegnę za nią, tak naprawdę wcale jej nie goniąc. Biegnę, ponieważ mogę, ponieważ muszę
Ponieważ chcę zobaczyć, jak daleko dotrę, zanim będę musiała się zatrzymać.
KONIEC.